



*Jeden  
pocatunek*  
JULIA  
QUINN



*Roman historyczny*

# JULIA QUINN

## *Jeden pocałunek*

Przekład  
Ewa Morycińska-Dzius



*Dla Susan Cotter:*

*podziwiam cię codziennie.*

*A także dla mojego Paula:*

*cechą idealnego męża jest to,*

*że telefonuje w odpowiednim momencie.*

*Obyś wtedy dotknął nieba!*

## *1*

*Dach opuszczonej wiejskiej chaty  
w połowie drogi pomiędzy Aubrey Hall a Crake House  
Kent, Anglia 1779*

*To nie znaczyło, że Billie Bridgerton brakowało zdrowego rozsądku. Przeciwnie, była zupełnie pewna, że jest jedną z najrozsądniejszych osób w całym otoczeniu. Jednak, jak każda myśląca istota, czasami naumyślnie nie zwracała uwagi na cichutki głos rozsądku, szepczący jej coś do ucha...*

*Tego – była pewna – nie można by uznać za lekkomyślność. Kiedy zignorowała ten ostrzegawczy głos, podjęła świadomą decyzję – co prawda już po dokładnej analizie własnej sytuacji. A trzeba przyznać, że kiedy Billie podjęła decyzję – którą zresztą większość ludzkości uznałaby za kompletnie pozbawioną sensu –*

zazwyczaj lądowała całkiem zwinnie na obydwu nogach.

Chyba że... nie lądowała.

Na przykład tak, jak teraz.

Zerknęła w dół na swego towarzysza.

– Powinnam cię udusić!

Jej towarzysz wydał z siebie dość niefrasobliwe „miau”.

Billie natomiast wydała z siebie raczej mało wytworne warknięcie.

Kot wysłuchał tego, uznał za niegodne uwagi i najspokojniej zaczął sobie wylizywać łapki.

Billie rozważyła obie zasady zachowania: godność i przyzwoitość; jedną i drugą uznała za przesadzone i odwdzieczyła mu się niegrzecznym spojrzeniem.

To jej jednak nie poprawiło humoru.

Jęknęła ze znużenia i spojrzała na niebo, próbując zgadnąć, która może być godzina. Słońce było dosyć dokładnie przesłonięte grubą warstwą chmur, co utrudniało zadanie, ale musiała już być przynajmniej czwarta... Doszła do wniosku, że tkwi tu już co najmniej godzinę, a z miasteczka wyszła o drugiej. Jeżeli obliczyć czas, jaki jej zajął spacer...

O, do diabła! Jakże to ma znaczenie, która godzina? To jej nie pomoże zejść z tego cholernego dachu.

– To wszystko twoja wina – zwróciła się do kota.

Jak należało przypuszczać, kot nie przejął się jej słowami.

– Nie wiem, co sobie myślałeś, włączając na to drzewo – ciągnęła. – Każdy głupi by wiedział, że nie potrafisz z niego zejść!

Każdy głupi by go zostawił tam na drzewie... ale nie ona.

Billie usłyszała miauczenie i już była w połowie drogi na szczyt, kiedy przyszło jej na myśl, że właściwie nawet nie lubi kotów.

– Naprawdę cię nie lubię – powiedziała mu.

Rozmawiała z kotem. Do tego doszło. Poprawiła się i zaraz skrzywiła, kiedy nadziała się pończochą na jeden z zardzewiałych gwoździ. Hak szarpnął jej stopą na bok, a już bardzo obolała kostka aż zawyła w proteście.

A może to ona tak zawyła? Nic na to nie mogła poradzić. To

bolało!

Zastanowiła się: właściwie mogło być gorzej. Była już całkiem wysoko na drzewie, o dobre dwa i pół metra nad dachem wiejskiej chałupy, kiedy kot nagle na nią fuknął, wysunął łapę z ostrymi pazurami... i w rezultacie oboje spadli na wspomniany dach.

Nie trzeba mówić, że kot uczynił to z wdziękiem akrobaty, lądując bez szkody na czterech łapach.

Billie właściwie nie była pewna, w jaki sposób wylądowała ona; tyle, że bolał ją łokieć, kłuło w biodrze, żakiet podarła – prawdopodobnie zahaczyła nim o gałąź, która się złamała pod jej ciężarem, kiedy była już w dwóch trzecich drogi w dół.

Ale w najgorszym stanie była kostka nogi i stopa: bolały koszmarnie!

Gdyby była teraz w domu, ułożyłaby nogę na poduszkach. Bywała już świadkiem czegoś gorszego niż zwichnięta kostka – czasem sama tego doświadczała, częściej widziała u innych – i wiedziała, co robić w takich wypadkach. Zimny kompres, noga w górze, siostra, która musi czekać, aż jej ręka czy noga...

Gdzie była ta oddana służba teraz, kiedy ich potrzebowała?

Ale w tej chwili dostrzegła w oddali jakiś ruch – i chociaż miejscowe zwierzaki ostatnio często stawały na dwóch łapach, tym razem to niewątpliwie był człowiek.

– Halooooo! – zawołała, a po chwili namysłu zaczęła wołać głośno – Pomooocyyy!!!

O ile wzrok Billie nie mylił – a tak nie było, naprawdę nie było; nawet jej najlepsza przyjaciółka Mary Rokesby twierdziła, że oczy Billie ma po prostu doskonałe – ta postać w oddali, to był mężczyzna. I to nie taki mężczyzna, jak się jej wydało, który mógłby zignorować kobiece wołanie o pomoc.

– Pomocy! – zawołała ponownie i poczuła wielką ulgę, bo mężczyzna się zatrzymał. Nie potrafiłaby z całą pewnością stwierdzić, czy się odwrócił w jej stronę – doskonały wzrok nie sięgał aż tak daleko – zatem wydała kolejny krzyk, najgłośniejszy, na jaki ją było stać i omal się nie rozsłochała, tak bardzo jej

ulżyło, kiedy ten dżentelmen – och, błagam, niech to będzie dżentelmen, jeśli nie z urodzenia, to przynajmniej z charakteru – zaczął iść w jej kierunku.

No, ale się nie rozszlochała. Bo ona nigdy nie szlochała. Nigdy nie była tego rodzaju kobietą.

Natomiast gwałtownie wzięła głęboki oddech – zaskakująco głośny i wysoki, ale jednak tylko oddech.

– Tutaj! – wykrzyknęła, powiewając w powietrzu ściągniętym z ramion żakietem. Nie miało sensu w takiej chwili się starać o „godny” wygląd. W końcu tkwiła na jakimś dachu, ze skręconą kostką i w dodatku z wyleniałym kociskiem!

– Sir! – wrzasnęła jeszcze raz. – Pomocy! Proszę!

Jej krzyk spowodował, że mężczyzna zmienił nieco rytm marszu, spojrzał w górę – i mimo, że jeszcze nadal był zbyt daleko, żeby doskonały wzrok Billie mógł go dokładnie obejrzeć, już wiedziała.

Nie. Nie. Nie! Każdy, tylko nie on!

Ale oczywiście to był on. Bo któż inny mógłby akurat przechodzić obok, kiedy się znalazła w najbardziej przykrej, najbardziej krępującej i kłopotliwej sytuacji, kiedy akurat teraz, w tej cholernej chwili to ona potrzebowała pomocy?

– Dzień dobry, George – mruknęła, kiedy był już na tyle blisko, żeby ją słyszeć.

Oparł dłonie na biodrach i zerknął na nią z ukosa.

– Billie Bridgerton... – stwierdził.

Niemal czekała, aż doda: „Mogłem się tego spodziewać”.

Nie zrobił tego i to ją w pewien sposób jeszcze bardziej zirytowało. Świat chyba stanąłby na głowie, gdyby nie potrafiła przewidzieć każdego nadętego, pompatycznego słowa z ust George’a Rokesby.

– Korzystasz ze słonka? – spytał niewinnie.

– Taaak... pomyślałam po prostu, że warto sobie sprawić parę nowych piegów – parsknęła.

Nie odpowiedział od razu. Zdjął natomiast trójkątny kapelusz, odsłaniając niepudrowaną głowę, pokrytą gęstą,

złotawobrazową czupryną i obrzucił Billie spokojnym, krytycznym spojrzeniem. W końcu, starannie odłożywszy kapelusz na murek, który kiedyś był kamienną ścianą domu, znowu popatrzył w górę i rzekł:

– Nie mogę powiedzieć, żeby mi się to nie podobało. W każdym razie... trochę.

Na końcu języka Billie już tańczyło mnóstwo ostrych odpowiedzi, kiedy sobie przypomniała, że George Rokesby jest w tej chwili jedynym człowiekiem w pobliżu i że jeśli chce postawić stopę na ziemi przed nadejściem wiosny, będzie musiała być dla niego uprzejma.

Przynajmniej do czasu, aż ją uratuje...

– A właściwie... jakim cudem się tam znalazłaś? – spytał.

– Kot... – odpowiedziała głosem, który można by najdelikatniej opisać, jako „kipiący gniewem”.

– Ach...

– Był na drzewie – wytłumaczyła, zresztą diabli wiedzą po co. Co nie znaczy, żeby George prosił o dalsze wyjaśnienia.

– Rozumiem...

Czyżby? Przypuszczała, że raczej nie.

– Płakał – bąknęła. – Równie dobrze mogłam na to nie zwrócić uwagi.

– Nie, jestem pewien, że nie mogłaś – zaprzeczył i mimo że mówił głosem pełnym prawdziwej życzliwości, była przekonana, że się z niej w duchu śmieje.

– Niektórzy z nas... – wyszczerzyła zęby w uśmiechu, po czym dokończyła – to takie współczujące, wrażliwe istoty...

Przechylił głowę na bok.

– ... i dobre dla małych dzieci i zwierzątek?

– Właśnie.

Jego prawa brew wygięła się w łuk w ten tak piekielnie denerwujący, typowy dla Rokesbych sposób.

– Niektórzy z nas – powiedział przeciągle – są też dobrzy dla dużych dzieci i zwierząt.

Ugryzła się w język – najpierw w przenośni, a następnie

dosłownie. „Bądź miła”, napominała siebie. „Choćby cię to miało kosztować życie...”

Uśmiechał się zdawkowo. No... gdyby nie to małe skrzywienie w kąciku ust...

– Czy ty mi w końcu, do cholery, pomożesz zejść? – wybuchnęła wreszcie.

– Co to za słownictwo! – skarcił ją.

– Nauczyłam się go od twoich braci.

– O, wiem – zgodził się. – Nigdy nie można ich było całkiem przekonać, że jednak jesteś dziewczyną.

Billie zmilczała. Tak, naprawdę była pewna, że nie zdoła się opanować, tylko zeskoczy z tego dachu i spróbuje go udusić.

– Nigdy nie mogłem sam się do końca przekonać, że jesteś człowiekiem – dodał George, raczej bez zastanowienia.

Billie wygięła palce rąk, jak szpony. Co, biorąc wszystko pod uwagę, rzeczywiście było niewygodne.

– George... – odezwała się, słysząc we własnym głosie tysiące rozmaitych uczuć: błaganie, ból, rezygnację, wspomnienia... Łączyła ich wspólna przeszłość – i niezależnie od wszystkich różnic on był z rodu Rokesbych, a ona z Bridgertonów i w najgorszym razie mogliby być nawet rodziną.

Ich domy: Crake House, siedziba rodu Rokesby, i Aubrey Hall, dwór Bridgertonów leżały zaledwie o pięć kilometrów od siebie, w zacisznym, pełnym zieleni zakątku hrabstwa Kent. Bridgertonowie, mieszkali tu dłużej: przybyli już w początkach XVI wieku, kiedy to James Bridgerton otrzymał tytuł wicehrabiego i ziemię, nadane mu przez króla Henryka XIII; natomiast ród Rokesbych, choć przybył później, bo dopiero w 1672 roku, przewyższał Bridgerstonów urodzeniem.

Wyjątkowo przedsiębiorczy baron Rokesby (jak głosi wieść) był postacią niezbędnie potrzebną w służbie króla Karola II i w podzięcie został mianowany pierwszym hrabią Manston. Szczegóły wyniesienia go na to zaszczytne stanowisko giną w pomroce dziejów, ale generalnie pamiętano, że miało to jakiś związek z dyliżansem, sztuką tureckiego jedwabiu i dwiema królewskimi



metresami.

Billie była w stanie w to uwierzyć. Przecież wdzięk to coś, co się dziedziczy, prawda? George Rokesby mógłby sobie być typem nudziarza, (czego można się było spodziewać po dziedzicu hrabiowskiego tytułu), za to Andrew, jego młodszy brat, odznaczał się rodzajem diabelskiej *joie de vivre*<sup>[1]</sup>, co mogłoby mu zyskać opinię notorycznego kobieciarza, takiego samego, jakim był Karol II. Inni bracia Rokesby nie byli może aż takimi łobuzami (choć Billie przypuszczała, że najmłodszy, zaledwie czternastoletni Nicolas przejął, a może nawet udoskonalił zdolności brata), ale wszyscy bez trudu przewyższali George'a urokiem i miłym usposobieniem.

George.

Właściwie nigdy się nie lubili, Billie jednak przypuszczała, że nie miał powodu, by się na nią skarżyć. Cóż, kiedy w tej chwili jedynym dostępnym bratem Rokesby był właśnie George. Edward wyjechał daleko, na wojnę w koloniach, walczyć mieczem i pistoletem, czy diabli wiedzą czym tam jeszcze; mały Nicholas tkwił w Eton, prawdopodobnie również walcząc mieczem lub pistoletem (choć pewnie z odpowiednio mniejszym skutkiem). Andrew był w tej chwili tutaj, w Kent i miał tu pozostać jeszcze przez następne parę tygodni, gdyż złamał rękę przy jakichś niewątpliwie heroicznym działaniach na okręcie... Raczej nie mógłby jej w tej chwili przyjść z pomocą.

Że też to akurat musiał być George! Ale cóż, powinna być dla niego uprzejma...

Uśmiechnęła się do niego. No... w każdym razie rozciągnęła wargi.

Westchnął.

– Zobaczę, czy za domem nie ma drabiny.

– Dziękuję – powiedziała sztywno, chociaż chyba tego nie słyszał. Zawsze chodził szybko, długimi krokami, i zniknął za rogiem, zanim zdążyła się zachować odpowiednio grzecznie.

Po jakiejś minucie znów się pojawił, niosąc na ramieniu drabinę, wyglądającą, jakby jej ostatni raz używano podczas

Chwalebnej Rewolucji<sup>[2]</sup>.

– Co się właściwie stało? – spytał, opierając drabinę o krawędź dachu. – To nie w twoim stylu, tak utknąć.

Było to prawie jak komplement... nigdy nie słyszała nic podobnego z jego ust.

– Ten kot nie okazał mi należnej wdzięczności za pomoc... – powiedziała, akcentując każdą spółgłoskę, jakby to był cios w kierunku wrednego małego kociaka.

Drabina zaskrzypiała i Billie usłyszała, jak George się wspina na górę.

– Czy to nas utrzyma? – spytała. Drewno wydawało się zbutwiałe, poza tym z każdym krokiem George'a niebezpieczne skrzypiało.

Skrzypienie na chwilę ustało.

– To przecież nie ma większego znaczenia, czy nas utrzyma, czy nie, prawda?

Billie przełknęła ślinę. Ktoś inny może nie byłby w stanie przetłumaczyć tych słów, ona jednak знаła tego mężczyznę, od kiedy tylko pamiętała – i jedno, co można było o nim powiedzieć zawsze i z całkowitą pewnością, to że był dżentelmenem. I że nigdy nie pozostawiłby damy w kłopotcie, niezależnie od tego, jak słaba byłaby drabina.

A ona w tej chwili była w kłopotcie, *ergo* – George nie miał wyboru. Musiał jej pomóc, niezależnie od tego, jak bardzo go irytowała.

A właśnie takie zdanie miał o niej. Och, wiedziała, że tak jest. Nigdy się nie starał tego ukrywać. Chociaż... aby być szczerą... ona też nie.

Głowa George'a ukazała się nad dachem i jego niebieskie (jak u wszystkich Rokesbych) oczy się zwęziły. Wszyscy Rokesby mieli błękitne oczy. Wszyscy, co do jednego.

– Masz na sobie bryczesy – stwierdził z głębokim westchnieniem. – Naturalnie, włożyłaś bryczesy!

– Raczej nie dałabym rady wchodzić na drzewo w sukni!

– Nie – stwierdził sucho – na to jesteś o wiele za rozsądna.

Billie uznała, że puści to mimo uszu.

– On mnie podrapał – rzekła, wskazując głową kota.

– Naprawdę?

– Spadliśmy razem.

George zadarł głowę do góry.

– Niemąła wysokość...

Billie podążyła za jego spojrzeniem. Najniższa gałąź rosła co najmniej półtora metra nad dachem, a ona przecież nie spadła z tej najniższej...

– Zraniłam się w kostkę – poinformowała.

– Tyle to zrozumiałem.

Spojrzała na niego pytająco.

– Przecież gdyby nie to, zeskoczyłabyś po prostu z dachu na ziemię!

Z zasznurowanymi ustami patrzyła za plecami George'a na stertę śmieci, otaczających ruiny tego, co kiedyś było wiejskim domem. Swego czasu musiał należeć do zamożnego farmera, bo był wysoki, piętrowy.

– Nie... – stwierdziła, oceniając odległość. – Na to by było za wysoko.

– Nawet dla ciebie?

– George, proszę cię! Nie jestem idiotką.

Nie zgodził się z nią – niemal tak szybko, jak tylko mógł. Czyli w ogóle.

– Doskonale – powiedział. – Wobec tego musimy cię sprowadzić na dół.

Głęboko wciągnęła powietrze i zaraz je wypuściła. Wreszcie powiedziała:

– Dziękuję ci.

Przypatrywał się jej z dziwnym wyrazem twarzy. Może to było niedowierzanie, że Billie użyła słów „dziękuję” i „ci” w tym samym zdaniu?

– Niedługo się zacznie ściemniać – powiedziała, marszcząc nos i patrząc w niebo. – To byłoby okropne, tak tkwić tutaj... – przerwała i odchrząknęła. – Dziękuję ci.

Podziękował także – najkrótszym z możliwych kiwnięciem głową.

– Dasz radę zejść po drabinie?

– Chyba tak... – Wiedziała, że będzie okropnie bolało, ale da radę. – Tak.

– Mógłbym cię znieść.

– Po tej drabinie?

– Na plecach.

– Nie mam zamiaru włązić ci na plecy.

– To nie miejsce, w którym bym cię chętnie widział... – mruknął.

Spojrzała ostro.

– No, dobrze – ciągnął, wchodząc po następnych dwóch szczeblach. Kraniec dachu był teraz na wysokości jego bioder. – Dasz radę stanąć?

Patrzyła na niego, oniemiała.

– Chciałbym sprawdzić, jak bardzo jesteś w stanie obciążyć tę kostkę – wyjaśnił.

– Och – wymamrotała. – Naturalnie.

Pewnie nie da rady tego zrobić. Pochyłość dachu była tak duża, że aby zachować równowagę, musiałaby użyć obu nóg, a w tej chwili prawa stopa była właściwie nie do użytku. Jednak spróbowała: nienawidziła okazywania słabości, zwłaszcza wobec tego mężczyzny; a może po prostu spróbowała, bo nie spróbować byłoby sprzeczne z jej charakterem – nie spróbować czegokolwiek – albo najzwyczajniej nic nie pomyślała; tak czy owak stanęła, potknęła się natychmiast i z powrotem usiadła.

Tyle, że jeszcze przedtem z jej ust wyrwał się głośny okrzyk bólu.

W ciągu jednej sekundy George zeskoczył z drabiny na dach.

– Ty mały głuptasie... – mruknął, ale w jego głosie było uczucie... w każdym razie tyle uczucia, na ile go było stać. – Mogę to zobaczyć?

Niechętnie wyciągnęła nogę w jego stronę. Już przedtem zdjęła but.

Dotknął kostki ostrożnie, jak lekarz, jedną dłonią obejmując jej piętę, a drugą sprawdzając zakres możliwości ruchu.

– Boli tutaj? – spytał i lekko ucisnął zewnętrzną stronę kostki.

Billie wydała syk bólu, zanim zdołała się powstrzymać. Skinęła głową.

Dotknął innego miejsca.

– A tutaj?

Znów kiwnęła głową

– Ale nie tak bardzo...

– A co z...?

Ból przeszył jej całą stopę; był ostry jak iskra elektryczna. Odruchowo wyrwała mu nogę.

– Rozumiem przez to, że boli – powiedział, marszcząc brwi.  
– Ale chyba nie jest złamana.

– Oczywiście, że nie jest złamana – parsknęła ze złością.

Śmieszne, że to powiedziała, bo nie było w tym nic oczywistego. Ale George Rokesby zawsze budził w niej najgorsze instynkty, a fakt, że stopa ją piekielnie bolała, bynajmniej nie pomagał. Do diabła z tym wszystkim!

– Zwichnięcie – stwierdził George, nie zwracając uwagi na ten mały wybuch gniewu.

– Wiem...

Potulnie. Znowu. W tej chwili sama siebie nienawidziła.

Uśmiechnął się sztywno.

– Naturalnie, że wiesz.

Miała ochotę go zabić.

– Ja będę schodził pierwszy – oznajmił George. – W ten sposób, gdybyś się potknęła, będę w stanie cię przytrzymać, żebyś nie zleciała na ziemię.

Billie kiwnęła głową. To był dobry plan, właściwie jedyny, i byłaby niemądra, gdyby zaprotestowała po prostu dlatego, że to właśnie on na to wpadł. Nawet jeżeli taki był jej pierwszy impuls...

– Gotowa? – spytał.

Znowu przytaknęła.

– Nie zastanowiłeś się, że mogłabym cię zrzucić z tej drabiny?

– Nie.

Żadnych wyjaśnień. Po prostu „nie”. Jakby nawet rozważanie tej kwestii było absurdem.

Znowu spojrzała na niego. Wyglądał na tak masywnego. I silnego! I takiego, na którym można polegać. Nagle zdała sobie sprawę, że zawsze robił na niej takie wrażenie. Tyle, że była zazwyczaj zbyt przejęta tym, że ją irytuje, żeby to w ogóle zauważyć.

Ostrożnie ustawił się plecami do krawędzi dachu, tak, że mógł postawić nogę na najwyższym szczeblu drabiny.

– Nie zapomnij o kocie – zwróciła mu uwagę Billie.

– O kocie... – powtórzył, obrzucając ją spojrzeniem, mówiącym „chyba żartujesz”.

– Nie zamierzam go tu porzucić... po tym wszystkim.

George zacisnął zęby, mruknął pod nosem coś niemiłego i sięgnął po kota.

Kot natychmiast go ugryzł.

– Ty podły...

Billie się odsunęła. Wyglądał jak ktoś, kto gotów jest w każdej chwili skrócić komuś kark, a ona była bliżej niż kot.

– Ten kot – burknął George – może sobie zgnić w piekle!

– Masz rację – zgodziła się bardzo szybko.

Aż mrugnął na to błyskawiczne przyzwolenie. Starła się uśmiechnąć i w końcu załatwiła to wzruszeniem ramion.

Miała dwóch braci rodzonych i jeszcze trzech, którzy mogliby równie dobrze być jej braćmi, w posiadłości Rokesbych. Czterech – jeżeli liczyć George’a... chociaż nie była pewna, czy tak by zrobiła.

Ale po prostu dobrze rozumiała mężczyzn i wiedziała, kiedy powinna trzymać buzię na kłódkę.

A poza tym – z tym przeklętym zwierzakiem już skończyła!

Nigdy nie pozwoliła sobie wmówić, że Billie Bridgerton ma

sentymtalne serduszko. Owszem, próbowała ratować tę wredną bestię, bo tak powinna była zrobić, a potem znów próbowała go ratować, tyle, że to wyglądało na marnowanie jej poprzednich wysiłków, ale teraz...

Spojrzała z pogardą na zwierzę.

– Radź sobie teraz sam.

– Pójdę pierwszy – powiedział George, podchodząc do drabiny. – Chcę, żebyś szła zaraz za mną, cały czas. W ten sposób, gdybyś się potknęła...

– ... wtedy oboje spadniemy na dół?

– Wtedy cię złapię – burknął.

Żartowała, choć to w tej chwili nie wyglądało na najmądrzejszy pomysł.

George się odwrócił, by zacząć schodzić, ale kiedy postawił nogę na najwyższym szczeblu, kot, któremu najwyraźniej się nie spodobało, że go zignorowano, wydał mrozący krew w żyłach wrzask i rzucił mu się pod nogi. George gwałtownie się cofnął, wymachując rękoma w powietrzu.

Billie ani chwili nie myślała. Nie zwracała uwagi na swoją stopę ani na równowagę, w ogóle na nic. Po prostu rzuciła się do przodu i złapała go; ciągnęła George'a w górę, aż znów był bezpieczny.

– Drabina! – wrzasnęła nagle.

Ale już było za późno.

Oboje patrzyli, jak drabina powoli się obraca, skręca, wreszcie z jakimś dziwnym, baletowym wdziękiem pada na ziemię.

Byłoby słuszne stwierdzić, że George Rokesby, najstarszy syn hrabiego Manston i znany w eleganckim świecie jako wicehrabia Kennard, jest zrównoważonym dżentelmenem. Miał spokojną, pewną rękę, niewzruszenie logiczny umysł, a sposób, w jaki mrużył swoje błękitne oczy, mówił wyraźnie: „dokładnie tak”, zapewniając w ten sposób, że jego chęci są wypowiedane chłodno, ale skutecznie, jego życzenia są natychmiast spełniane z prawdziwą przyjemnością, a także – co najważniejsze – wszystko to jest zgodne z jego własnymi planami.

Byłoby też słuszne stwierdzenie, że jeśli panna Sybilla Bridgerton miała jakieś pojęcie, jak bliski był wtedy złapania jej za gardło, wyglądałaby na o wiele bardziej przerażoną, niż była teraz, w zapadających ciemnościach.

– To prawdziwy pech! – stwierdziła, patrząc na leżącą na ziemi drabinę.

George milczał. Uznał, że tak będzie najlepiej.

– Wiem, co myślisz... – zaczęła.

Rozluźnił szczęki na tyle, by móc coś powiedzieć.

– Nie jestem pewien...

– Próbujesz wybrać, które z nas chętniej zrzuciłbyś z tego dachu. Mnie czy tego kota.

Była bliższa prawdy, niż można by się spodziewać.

– Próbowałam tylko pomóc... – szepnęła.

– Wiem.

Było to powiedziane tonem niezachęcającym do dalszej rozmowy.

Mimo to Billie mówiła dalej.

– Gdybym cię nie złapała, mógłbyś spaść na ziemię.

– Wiem!

Przygryzła dolną wargę, a on przez jedną błogosławioną chwilę myślał, że Billie wreszcie zamilknie.



Ale ona się odezwała.

– To twoja noga... no wiesz.

Lekko poruszył głową. Tylko tyle, żeby jej dać znać, że słyszy.

– Przepraszam...?

– No... twoja stopa. – Wskazała głową w stronę jego kończyny. – Kopnąłeś tę drabinę.

George zrezygnował z wszelkich prób niezwracania uwagi na to, co mówiła.

– Chyba nie oskarżasz mnie o to – syknął.

– Nie, oczywiście że nie – zapewniła go szybko, w końcu okazując chociaż cień instynktu samozachowawczego. – Ja tylko myślałam... Tylko, że ty...

Zmrużył oczy.

– Zresztą to nieważne – wybełkotała. Oparła brodę na zgiętych kolanach i rozejrzała się po polu.

Co nie znaczy, żeby było tam coś godnego widzenia. Jedynym, co się poruszało, był wiatr, widoczny tylko dzięki lekkiemu kołysaniu liści drzew.

– Myślę, że mamy jeszcze godzinę, zanim zajdzie słońce – wymamrotała. – Może nawet dwie...

– Kiedy się zrobi ciemno, już nas tu nie będzie – odparł zdecydowanie.

Zerknęła na niego, potem w dół, na drabinę. Następnie znowu na niego – z taki wyrazem twarzy, że najchętniej zostawiłby ją w przysłowiowych ciemnościach.

Jednak nie zrobił nic takiego. Przede wszystkim dlatego, że po prostu nie mógłby. Dwadzieścia siedem lat życia było dostatecznie długim okresem, by zasady dżentelmenerii zostały mu naprawdę głęboko wpojone: George nie mógłby być nigdy okrutny wobec damy.

Nawet... wobec niej.

– Za jakieś pół godziny powinien tu być Andrew – powiedział.

– Co takiego? – zawołała z ulgą, a po chwili dodała,

zirytowana: – Dlaczego dotychczas o tym nie powiedziałeś? Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłeś mi sądzić, że zostaniemy na tym dachu przez całą noc!

Popatrzył na nią – na Billie Bridgerton, zmoreę jego istnienia od chwili, kiedy dwadzieścia trzy lata temu przyszła na świat. Przeszywała go wściekłym spojrzeniem, jakby popełnił jakiś niewybaczalny afront, policzki jej płonęły, a wargi miała tak wydęte, że przypominały rozzłoszczoną różę.

Odezwał się w końcu lodowatym tonem:

– Od chwili, kiedy drabina upadła na ziemię, upłynęła najwyżej minuta i właśnie wtedy ci o tym powiedziałem. Proszę, powiedz mi, kiedy – podczas gdy przeprowadzałaś analizę ruchu, którym moja stopa zetknęła się z drabiną – miałem ci udzielić takiej informacji?

Kąciki ust Billie zadrżały, choć to jeszcze nie był uśmieszek. Nic nie wskazywało na potrzebę sarkazmu. Gdyby była kimś innym, George mógłby przypuszczać, że się spieszyła, a może nawet zawstydzila. Ale Billie Bridgerton? Uczucie wstydu było jej kompletnie obce. Robiła tylko to, co jej się podobało i miała w nosie konsekwencje. Tak postępowała przez całe życie, pociągając przy tym za sobą niemal cały klan młodych Rokesbych.

I jakoś tak się działo, że wszyscy jej zawsze wybacжали. Miała w sobie coś takiego – właściwie to nie był nawet urok, tylko jakaś zwariowana, nierozważna pewność siebie, która sprawiała, że Billie zawsze była otoczona tłumem ludzi. Jej rodzina, jego rodzina, cała ta cholerna miejscina – wszyscy ją uwielbiali. Miała szeroki uśmiech, jej śmiech był zaraźliwy i – Boże w niebiosach! – jak to możliwe, że był jedyną osobą w Anglii, która zdawała się dostrzegać, jakie zagrożenie ta dziewczyna stanowi dla ludzkości?

Jej skręcona kostka? Nie pierwszy raz.

Kiedyś się jej zdarzyło złamać rękę – także w typowo spektakularny sposób. Miała wtedy chyba osiem lat i nagle spadła z konia. Słabo wyszkolony wałach nie miał ochoty nosić jej na grzbiecie, a tym bardziej próbować przeskakiwania przez jakieś krzaki. Ręka się idealnie wygoiła – naturalnie, Billie zawsze miała

diabelne szczęście – tak, że po kilku miesiącach dziewczynka wróciła do dawnych narowów i nikomu nawet przez myśl nie przeszło chociaż się na nią skrzywić.

Ani wtedy, gdy jeździła po męsku. W bryczesach. Na tym samym przeklętym wałachu skakała przez te same cholerne krzaki. A kiedy jeden z jego młodszych braci wybił sobie bark ze stawu...

Wszyscy się zaśmiewali. Jego – i jej – rodzice śmiali się tak, aż im się trzęsły głowy... Żadne z nich nie pomyślało, że należałoby ściągnąć Billie z grzbietu konia, wcisnąć ją w sukienkę, a jeszcze lepiej wpakować do jednej z tych pensji dla panienek, na których uczą haftu i dobrego zachowania.

Tymczasem ramię Edwarda zwisało, wybite ze stawu. Ze stawu! Ach, ten dźwięk, jaki wydało, kiedy szef stajennych mu je wbijał na miejsce...

George zadygotał. To był dźwięk, który się raczej czuje, niż słyszy.

Okropny.

– Zimno ci? – spytała Billie.

Potrząsnął głową. Ona chyba jednak zmarzła. Jego żakiet był o wiele cieplejszy niż jej.

– A tobie?

– Nie.

Przyjrzał jej się z bliska. Billie najwyraźniej nie zamierzała się przyznać do żadnej słabości i nie chciała mu pozwolić na zachowanie właściwe dżentelmenowi.

– Czy mi powiesz, jeżeli ci będzie zimno?

Podniosła rękę w geście obietnicy.

– Przyrzekam.

To mu wystarczyło: Billie nigdy nie kłamała ani nie łamała przyrzeczeń.

– To Andrew był razem z tobą w miasteczku? – spytała, wpatrzona zmrużonymi oczyma w horyzont.

George przytaknął.

– Mieliśmy coś do załatwienia u kowala. Andrew się potem zatrzymał, żeby pogadać z proboszczem. Nie chciało mi się na

niego czekać.

– Pewnie, że nie – mruknęła.

Pokręcił gwałtownie głową.

– Co chciałaś przez to powiedzieć?

Otworzyła usta, tak że przez sekundę jej wargi pozostawały rozchylone, tworząc delikatny owal; następnie powiedziała:

– Naprawdę nie wiem.

Spojrzał na nią skrzywiony, po czym przeniósł uwagę na dach; co nie znaczy, że w tej chwili mógłby cokolwiek zrobić. Ale tak siedzieć i czekać...! To było przeciwne jego naturze. A już na pewno nie mógłby teraz rozpatrywać niczego na nowo, badać...

– Nic się nie da zrobić – odezwała się Billie spokojnie. – W każdym razie nie bez drabiny.

– Wiem o tym – warknął.

– No... bo się rozglądałeś – powiedziała, wzruszając ramionami – Tak jakby...

– Doskonale wiem, co robiłem – parsknął.

Zacisnęła wargi i równocześnie uniosła brwi, aż utworzyły tak go zawsze denerwujący „łuk Bridgertonów”. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Proszę bardzo, myśl sobie co chcesz, ja wiem lepiej”.

Chwilę siedzieli w milczeniu, po czym Billie spytała ciszej niż zwykle:

– Jesteś zupełnie pewien, że Andrew będzie tędy szedł?

Skinął głową. On i jego brat poszli piechotą do miasteczka z Crake House – choć to nie był ich zwykły środek transportu, ale Andrew, którego niedawno mianowano porucznikiem Królewskiej Marynarki, złamał rękę przy jakimś idiotycznym wyczynie kaskaderskim w pobliżu wybrzeży Portugalii i odesłano go do domu, żeby odzyskał siły. Teraz łatwiej mu było spacerować, niż jeździć konno, poza tym dzień, jak na marzec, był wyjątkowo piękny.

– Idzie piechotą – wyjaśnił George. – Którędy miałby iść, jeżeli nie tędy?

W okolicy było wiele ścieżek, ale żadna nie skracała drogi do

domu o półtora kilometra.

Billie przechyliła głowę na bok, wpatrzona w ziemię pod sobą.

– Chyba, że ktoś go podwiezie na koniu.

Odwrócił się powoli w jej stronę, zdumiony kompletnym brakiem... czegokolwiek w tonie jej głosu. Nie było w nim ani wyższości, ani chęci sporu, ani nawet odrobiny zdenerwowania. Tylko to dziwaczne i obojętne: „Hmmm, cóż, to katastrofa, która się mogła wydarzyć”.

– No cóż, mogło się tak zdarzyć – stwierdziła i wzruszyła ramionami. – Wszyscy lubią Andrew.

Była to prawda; Andrew odznaczał się rodzajem beztroskiego, serdecznego uroku, który sprawiał, że wszyscy go kochali: od proboszcza z miasteczka aż do barmanek w zajezdzie. Gdyby tylko ktoś jechał w tę samą stronę, z pewnością by mu zaproponował podwiezienie.

– Będzie szedł pieszo – stwierdził z uporem George. – Musi się trochę rozruszać.

Oblicze Billie przybrało wyraz zdecydowanego zwątpienia.

– Andrew?

Tym razem to George wzruszył ramionami, nie chcąc ustąpić, choć Andrew zawsze był doskonale wysportowany.

– No, w każdym razie potrzebuje świeżego powietrza. Przez ostatni tydzień dosłownie łąził po ścianach. Matka próbowała go trzymać w łóżku i karmić zupkami.

– Z powodu złamanej ręki? – parsknęła Billie i zachichotała.

Popatrzył na nią z ukosa.

– Śmiejesz się z cudzego nieszczęścia?

– Zawsze!

Teraz to on nie mógł powstrzymać uśmiechu. Trudno się było obrażać, w każdym razie nie wtedy, gdy on sam spędził ostatni tydzień na rozbawianiu – no, powiedzmy, na rozpraszaniu złego humoru brata.

Billie ostrożnie zmieniała pozycję, zginając nogi tak, żeby móc oprzeć brodę na kolanach.

– Uważaj na stopę – ostrzegł ją George niemal odruchowo. Kiwnęła głową i oboje zapadli w milczenie. George wpatrywał się w przestrzeń, czuł jednak każdy ruch siedzącej tuż obok niego Billie. Odgarnęła pasmo włosów, jakie jej spadło na oczy, przeciągnęła się, wysuwając przed siebie ramiona, przy czym jej łokcie zatrzeszczały jak stare drewniane krzesło. Potem z nieustępliwością, cechującą ją we wszystkim, wróciła do poprzedniego tematu, mówiąc:

– Ale jednak mógłby wracać konno...

George niemal się uśmiechnął.

– Mógłby.

Parę sekund milczała, po czym zauważyła:

– Nie zanosz się na deszcz.

Spojrzał w niebo. Było zachmurzone, ale niegroźnie. Chmury były jasne, a więc raczej nie deszczowe.

– No i z pewnością zauważą, że nas nie ma.

Pozwolił sobie na zjadliwy uśmieszek.

– To, że mnie nie ma, zauważą na pewno.

Trąciła go łokciem. Mocno. Na tyle mocno, że się roześmiał.

– Jesteś okropny, George Rokesby! – Ale mówiła to ze śmiechem.

On też parsknął śmiechem, zaskoczony przyjemnym uczuciem rozbawienia. Nie był pewien, czy powinien określić siebie i Billie jako przyjaciół – na to zbyt często kłócili się ze sobą – ale była mu bliska. Taka znajomość nie zawsze jest dobra, ale właśnie teraz...

Była dobra.

– No cóż – oznajmiła. – Wydaje mi się, że dotychczas nie zdarzyło mi się nic podobnego: jak dotąd, z nikim nie siedziałam na dachu.

Zwrócił głowę w jej kierunku.

– Panno Bridgerton, czy to miał być komplement?

– A jak pan sądzi?

– Od ciebie? – odparował.

Uśmiechnęła się uroczym uśmiechem.

– Pewnie na to zasłużyłam... Ale wiesz co? Jesteś niezawodny.

– Niezawodny? – powtórzył.

Przytaknęła.

– Jak najbardziej.

Miał ochotę spojrzeć na nią z gniewem, chociaż – na wszystkie świętości! – nie miał pojęcia dlaczego.

– Gdybym sobie nie skręciła kostki – beztrąsko ciągnęła Billie – z pewnością znalazłabym jakiś sposób, żeby zejść na ziemię.

Przypatrywał jej się sceptycznie. Niezależnie od faktu, że to nie miało żadnego związku z jego „niezawodnością”....

– No tak – dodała, wykonując lekceważące ruchy ręką – w każdym razie obmyślałabym jakąś drogę wyjścia.

– Naturalnie – powiedział, bo po prostu nie miał dość energii, żeby wymyślić coś innego.

– Sprawa polega na tym – ciągnęła – że tak długo tu jestem z tobą...

Nagle zbladła gwałtownie. George nigdy, ale to nigdy nie widział jeszcze Billie Bridgerton w takim stanie.

Najwyraźniej była przerażona.

– Co się stało? – spytał z naciskiem.

Odwróciła się do niego.

– Chyba nie myślisz...

Czekał, co powie dalej, ale chyba zabrakło jej słów.

– O czym?

Jej szara jak popiół twarz nabrała zielonkawych tonów.

– Chyba nie myślisz, że ktoś mógłby pomyśleć, że ty... że my... – Przełknęła ślinę. – Że my zniknęliśmy... razem?

Świat zawirował mu przed oczami.

– O Boże... nie! – odpowiedział natychmiast.

– Wiem – zgodziła się z takim samym pośpiechem. – Mam na myśli, że ty... i ja. Śmiechu warte!

– Absurd.

– Każdy, kto nas zna...

– Wiedziałby, że my nigdy...  
– Dotychczas... – Tym razem Billie nie tylko mówiła coraz ciszej: ostatnie słowa wypowiedziane były rozpaczliwym szeptem. Spojrzał na nią z niecierpliwością.  
– Co?  
– Jeżeli Andrew nie będzie tędy szedł, tak jak myślimy.... Bo ty gdzieś się zgubiłeś... i ja się zgubiłam... – Utkwiła w nim wielkie, przestraszone oczy. – W końcu ktoś się zorientuje, że oboje się zgubiliśmy.  
– A co ty na to? – parsknął.  
Spojrzała mu prosto w twarz.  
– Tylko tyle, że wtedy ktoś mógłby uznać...  
– Musiałby nie mieć ani krzty rozumu! – rzucił w odpowiedzi. – Nikt nigdy by nie pomyślał, że mógłbym tu być z tobą z własnej woli.  
Odchyliła się w tył.  
– Aha! Bardzo ci dziękuję.  
– Chcesz przez to powiedzieć, że znalazłby się ktoś taki? – odparł.  
– Nie!  
Przewrócił oczyma. Kobiety! Chociaż to była Billie... najmniej kobieca ze wszystkich znanych mu kobiet.  
Odetchnęła głęboko.  
– Niezależnie od tego, co ty o mnie myślisz, George...  
Jak ona to zrobiła, że jego imię zabrzmiało w jej ustach jak obelga?  
– ...muszę wziąć pod uwagę swoją reputację. A chociaż rodzina mnie dobrze zna, i... – tu w jej głosie zabrzmiała niechęć – i myślę, że ci wystarczająco ufa, by wiedzieć, że nasze obecne zniknięcie nie oznacza nic zdrożnego...  
Ściszyła głos i zagryzła dolną wargę z niewyraźną miną: robiła wrażenie chorej.  
– ...reszta świata może nie być aż tak pobłażliwa – dokończył za nią.  
Chwilę milczała, wreszcie przytaknęła.



– Istotnie.

– A jeżeli nas nie znajdą do jutra rana... – zaczął niemal do siebie.

Tym razem to Billie skończyła za niego owo przerażające zdanie.

– ...będziesz musiał się ze mną ożenić.

Co robisz? – niemal wrzasnęła Billie, bo George nagle zerwał się na nogi z doprawdy wielką nieostrożnością i w tej chwili patrzył przed siebie ze zmarszczonym czołem poprzez krawędź dachu, jakby się nad czymś zastanawiał.

Prawdę mówiąc, wyglądał, jakby dokonywał jakichś skomplikowanych obliczeń matematycznych.

– Chcę się wydostać z tego cholernego dachu... – zamruczał.

– Zabijesz się!

– Może i tak... – zgodził się ponuro.

– No cóż, ja też nie mogę powiedzieć, żebym się świetnie z tym czuła – odparowała Billie.

Odwrócił się i spojrzał na nią z wyższością spod przymkniętych powiek.

– Chcesz przez to powiedzieć, że chcesz wyjść za mnie?

Aż zadygotała.

– Nigdy.

Ale równocześnie, jako dama, wołała nie myśleć, że mężczyzna chętnie stoczyłby się z dachu tylko po to, by uniknąć takiej możliwości...

– Co do tego, madame – oświadczył George – jesteśmy jednego zdania.

O, to ukłuło. Do licha, jak mocno ją to ukłuło! Co za ironia losu...

Nie obchodziło jej, czy George Rekesby chciał, czy nie chciał się z nią ożenić. Właściwie nigdy go nie lubiła. Poza tym wiedziała, że kiedy ten facet raczy sobie wybrać damę serca, ta jakże-mu-wdzięczna dama w niczym nie będzie jej przypominała.

A jednak to zaboląło.

Przyszła lady Kennard powinna być delikatna i kobieca. Powinna być przygotowana do prowadzenia wspaniałego domu, a nie byle jakiej posiadłości, która musi zarabiać na siebie. Powinna

się ubierać według najświeższej mody, mieć włosy upudrowane i kunsztownie ułożone, i chociażby miała kręgosłup ze stali, powinna to głęboko ukrywać pod pozorami subtelnej bezbronności.

Tacy mężczyźni jak George uwielbiają się uważać za męskich i silnych.

Przyglądała mu się, kiedy kładł dłonie na biodrach. Dobrze, dobrze, zgoda! Był męski i silny. Ale też był taki jak wszyscy mężczyźni: marzyła mu się kobieta, która szczebiocze, zasłaniając się wachlarzem. Niech Bóg broni, żeby miała wyjść za kogoś takiego!

– To prawdziwe nieszczęście – parsknął.

Billie z najwyższym trudem pokonała chęć opryskliwej odpowiedzi.

– Dopiero teraz to zrozumiałeś?

Odpowiedzią było dość niegrzeczne, dziecinne skrzywienie ust.

– Nie mógłbyś chociaż być miły? – nie wytrzymała Billie.

– Miły? – powtórzył jak echo.

O Boże... po co to powiedziała? Teraz się będzie musiała tłumaczyć...

– Jak cała twoja rodzina – wyjaśniła.

– Miły – powtórzył. Potrząsnął głową, jakby nie potrafił uwierzyć w jej tupet. – Miły...

– Ja jestem miła – oświadczyła. I natychmiast tego pożałowała: przecież wcale nie była miła. W każdym razie nie przez cały czas... poza tym odniosła też wrażenie, że właśnie teraz taka szczególnie miła to znowu nie jest. No, ale ona z pewnością miała wytłumaczenie – to był przecież George Rokesby, więc nie mogła się powstrzymać.

Wyglądało na to, że on też nie potrafił.

– Czy nigdy ci nie przyszło do głowy – zaczął tonem z wszelką pewnością dalekim od „bycia miłym” – że jestem miły dla wszystkich, z wyjątkiem ciebie?

To zabolalo. Chociaż właściwie nie powinno: przecież nigdy

się nie lubili... i, do diabła! To nie powinno boleć! Wcale tego nie chciała!

Ale oczywiście nie mogła mu tego okazać.

– Myślę, że próbujesz mnie obrazić... – rzekła, starając się nasycić pogardą każde wypowiedziane słowo.

Patrzył na nią, jakby czekając, co powie dalej.

Wzruszyła ramionami.

– Ale....? – podsunął.

Znowu wzruszyła ramionami i udała, że ogląda własne paznokcie. Co naturalnie znaczyło, że naprawdę oglądała własne paznokcie, zresztą w tej chwili obrzydliwie brudne.

Kolejna rzecz, której nie mogłaby dzielić z przyszłą lady Kennard.

Policzyła w myśli do pięciu, czekając, aż George zażąda od niej wyjaśnień w ten swój uszczypliwy sposób, jaki opanował do perfekcji, jeszcze zanim się zaczął golić. Nie powiedział jednak nic, i w rezultacie to ona była przegrana w tej bitwie na słowa, buzującej pomiędzy nimi. Podniosła głowę.

Wcale na nią nie patrzył.

Niech go diabli wezmą!

I ją też, bo po prostu nie mogła się powstrzymać. Wiedziała, że każda inna osoba z odrobiną rozsądku wiedziałaby, kiedy powściągnąć język, ale nie, ona musiała otworzyć te swoje głupie usta i powiedzieć:

– Jeżeli nie potrafisz się zdobyć na...

– Lepiej tego nie mów – ostrzegł ją.

– ... na tyle wielkoduszności, żeby...

– Ostrzegam cię, Billie!

– Doprawdy? – rzuciła gniewnie. – Myślę, że raczej grozisz!

– Zrobie to – niemal warknął – jeżeli nie zamkniesz... –

przerwał, zmełł w ustach przekleństwo i gwałtownie odwrócił od niej głowę.

Billie wyskubywała pojedyncze drzazgi z pończochy; drżące usta miała gniewnie zaciśnięte. Nie powinna była w ogóle się odzywać. Wiedziała, że mimo wszystko, mimo że George Rokesby

był tak pompatyczny i irytujący, fakt, że tkwił tu na dachu, to była wyłącznie jej wina, więc nie miała najmniejszego powodu, żeby go prowokować.

Ale było w nim coś takiego – jakiś szczególny talent, właściwy wyłącznie jemu – co kazało jej zapominać o latach doświadczenia i dojrzałości i sprawiało, że zaczynała się zachowywać jak zwariowana sześciolatka. Gdyby to był ktoś inny – ktokolwiek! – byłaby chwalona, jako najrozsądniejsza i najbardziej pomocna kobieta w historii chrześcijaństwa. Wszędzie by opowiadano – oczywiście po tym, kiedy już by zeszli z tego dachu – o jej odwadze i bystrości. Billie Bridgerton... taka zaradna, taka roztropna... tak właśnie wszyscy by mówili. A każdy miałby powód, żeby tak mówić, bo ona była zaradna... i roztropna!

Tylko nie wobec... George'a Rokesby.

– Przepraszam... – wybełkotała.

Głowa George'a powoli zwróciła się w jej stronę, jakby nawet jego mięśnie nie były w stanie uwierzyć w to, co usłyszały.

– Powiedziałam „przepraszam” – powtórzyła, tym razem głośniej.

Zabrzmiało to jak antidotum na truciznę... ale musiała tak zrobić. Tyle, że niech go Bóg ma w swojej opiece, jeżeli ją zmusi, żeby to jeszcze raz powiedziała, bowiem mogła przełknąć najwyżej tyle z własnej dumy... jeszcze trochę, a się zakrztusi! Powinien był o tym wiedzieć.

Ponieważ był dokładnie taki sam.

Spojrzał jej w oczy, po czym oboje spuścili wzrok; po chwili odezwał się George:

– Żadne z nas nie jest w tej chwili w najlepszej formie.

Billie przełknęła ślinę. Myślała, że może powinna powiedzieć coś jeszcze, ale jej rozsądek w tym momencie milczał, kiwnęła więc tylko głową, przysięgając sobie w duchu, że będzie trzymać buzię na kłódkę aż do...

– Andrew...? – szepnął George.

Billie nadstawiła uszu.

– Andrew! – ryknął George na całe gardło.

Billie usilnie próbowała przebić się wzrokiem przez gęstwą drzew na odległym krańcu pola... tak, na pewno...

– Andrew! – wrzasnęła, próbując się podnieść, zanim pomyślała o swojej kostce. – Auuu! – zawyła i z powrotem usiadła.

George nie raczył nawet zaszczycić jej spojrzeniem. Był zbyt zajęty wychylaniem się zza krawędzi dachu i gwałtownym wymachiwaniem rękami.

Nie było mowy, żeby Andrew ich nie zauważył, kiedy tak się wydzielali oboje, jak para obłąkanych czarownic, Billie jednak nie zauważyła, żeby zmienił rytm marszu.

To jednak był Andrew. Pewnie powinna być zadowolona, że nie zaczął się turlać ze śmiechu na widok ich kłopotliwej sytuacji.

To było coś, o czym z pewnością Andrew nie pozwoli im zapomnieć.

– Ahoj! – krzyknął Andrew, kiedy był już w połowie odległości pomiędzy nimi a lasem.

Billie zerknęła na George'a. Widziała jedynie jego profil, ale od pojawienia się brata najwyraźniej poczuł się spokojniejszy. A nawet dziwnie ponury. No, może nie całkiem ponury. Ale przecież wiedziała, że choćby ją czekały ze strony Andrew potężne kpiny, George'a czeka ich sto razy więcej!

Andrew był już blisko; szedł sprężysto, pomimo ręki na temblaku.

– Ze wszystkich rozkosznych niespodzianek... – zaczął z szerokim uśmiechem, który mu prawie przeciął twarz na dwie części. – Naprawdę! Choćbym myślał i myślał, i myślał...

Tu przerwał i wytwornie uniósł palec wskazujący – co było, jak zrozumiała Billie, uniwersalną prośbą o chwilę przerwy. Wtedy pokręcił głową, jakby wracając do rzeczywistości i dodał:

– ...i myślał...

– Och, na miłość boską! – burknął George.

– ...i myślał przez całe lata – rechotał Andrew – i tak bym jeszcze nie potrafił...

– Po prostu ściągnij nas z tego przeklętego dachu! – parsknął

George.

Billie w pewnym sensie się z nim zgadzała.

– Zawsze byłem zdania, że wy dwoje moglibyście stanowić wspaniałą parę – chytrze zauważył Andrew.

– Andrew... – groźnie mruknęła Billie.

Odplącił się jej uśmiechem z zaciśniętymi ustami.

– Doprawdy! Że też musieliście uciec się do czegoś tak ostatecznego w poszukiwaniu chwili prywatności... Przecież my wszyscy z największą radością byśmy wam to umożliwili!

– Przestań! – rozkazała Billie.

Andrew popatrzył w górę, rozbawiony, po czym zmarszczył czoło.

– Czy naprawdę musisz do mnie mówić takim tonem, Billie-kózko? W końcu to ja w tej chwili stoję na *terra firma*!<sup>[3]</sup>

– Proszę cię, Andrew – zaczęła, starając się za wszelką cenę, by to zabrzmiało grzecznie i rozsądnie. – Będziemy ci naprawdę bardzo zobowiązani, jeżeli nam pomożesz.

– No cóż... skoro mnie tak grzecznie prosicie – mruknął Andrew.

– Zabiję go... – szepnęła Billie pod nosem.

– A ja złamię mu drugą rękę – zawtórował George.

Billie z trudem powstrzymała uśmiech.

Nie było mowy, żeby Andrew mógł ich słyszeć, ale na wszelki wypadek spojrziała w dół – i w tym momencie zauważyła, że Andrew marszczy brwi, stojąc ze zdrową ręką na biodrze.

– Co teraz? – rzucił rozkazująco George.

Andrew patrzył na drabinę z wydętymi ustami.

– Nie jestem pewien, czy któreś z was to rozumie, ale to nie jest łatwe dla kogoś z jedną tylko ręką.

– Zdejmij rękę z temblaka – poradził George, ale jego ostatnie słowa zagłuszył krzyk Billie:

– Nie zdejmuj ręki z temblaka!

– Czy ty naprawdę chcesz zostać tu na dachu? – syknął

George.

– Czy z powrotem mu zranić ramię? – odparowała.

Mogli sobie żartować na temat złamania mu drugiej ręki, ale przecież... ten facet był marynarzem Królewskiej Floty! To, żeby się porządnie wykurował, było najważniejsze.

– Wyjdiesz za mnie za mąż z powodu jego ręki?

– Nie mam zamiaru za ciebie wychodzić – zaprzeczyła. – Andrew wie już, gdzie jesteśmy. Jeżeli potrzebujemy pomocy, pójdzie po nią.

– Do tego czasu, zanim wróci z kimś ze zdrowymi kończynami, będziemy tu musieli tkwić jeszcze kilka godzin.

– Pewnie masz tak wysokie zdanie na temat twoich wybitnych męskich zdolności, że uważasz, iż wszyscy uwierzą, że mnie skompromitowałeś na dachu...

– Wierz mi – syczał dalej George – każdy mężczyzna o jakim takim rozsądku wie, że ciebie w ogóle nie można skompromitować.

Brwi Billie zbiegły się na chwilę, tak ją to zaskoczyło. Czyżby miał zamiar chwalić jej moralność? Ale wtedy...

Och!

– Jesteś nikczemny – parsknęła wściekła. Tylko tak mogła mu odpowiedzieć. Że też nie pomyślała... Gdyby powiedziała „Nie masz pojęcia, ilu mężczyzn chciałoby mnie skompromitować”, zyskałaby na godności i dowcipie.

Albo na uczciwości.

– Andrew! – krzyknął George tonem „jestem-najstarszym-synem”. – Dam ci sto funtów, byleś tylko zdjął ten temblak i ustawił drabinę!

Sto funtów?

Billie odwróciła się do niego z niedowierzaniem.

– Czyś ty oszalał?

– No, nie wiem – zastanawiał się Andrew. – Właściwie te sto funtów może być warte przypatrywania się, jak się zabijecie tam na górze.

– Nie bądź osłem – rzucił George z wściekłym spojrzeniem.

– I tak byś nic nie odziedziczył – zauważyła Billie, co nie znaczyło, żeby Andrew kiedykolwiek pragnął być dziedzicem



ojcowskiego tytułu hrabiego Manston. Był zbyt rozmiłowany w swoim włóczęgowskim życiu, by się podjąć takiej odpowiedzialności.

– No, tylko Edward! – powiedział Andrew z przesadnym westchnieniem; chodziło o drugiego syna Rokesby, starszego od niego o rok. – To istotnie może być kłopot. Wyglądałoby podejrzanie, gdybyście obaj zaginęli w dziwacznych okolicznościach.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, ponieważ wszyscy troje zdali sobie sprawę, że Andrew być może rzucił właśnie światło na coś o wiele poważniejszego, z czego nie należy robić głupich żartów.

Edward Rokesby obrał najlepszą drogę drugiego syna i został kapitanem 54. Regimentu Piechoty Jego Królewskiej Mości. Mniej więcej przed rokiem wysłano go do kolonii w Ameryce, gdzie się dzielnie sprawił w bitwie o Quaker Hill. Pozostał na Rhode Island przez kilka miesięcy, zanim go przeniesiono do dowództwa sił brytyjskich w mieście Nowy Jork. Niestety, wieści na temat jego zdrowia i sytuacji nadchodziły bardzo rzadko, co wszystkich martwiło.

– Jeżeli nawet Edward zaginął – rzekł George sztywno – nie uważam, żeby te okoliczności należało określać jako „dziwaczne”.

– Och, daj już spokój – przerwał Andrew, przewracając oczyma do starszego brata – nie bądź taki cholernie poważny!

– Twój brat ryzykuje życiem dla Króla i Ojczyzny – oznajmił George, a Billie pomyślała, że jak na niego, mówił to z napięciem.

– Tak jak i ja – oświadczył Andrew z łagodnym uśmiechem. Ostrożnie uniósł ramię w górę razem z temblakiem. – No, w każdym razie zaryzykuję... jedną czy dwiema kośćmi.

Billie przełknęła ślinę i spojrzała z wahaniem na George'a, próbując się domyślić, jak zareaguje.

Jak zwykle bywa w wypadku trzeciego syna, Andrew dał sobie spokój ze studiami uniwersyteckimi i zaciągnął się od razu do Królewskiej Marynarki jako midszypmen<sup>[4]</sup>. Rok temu doszedł do stopnia porucznika. Andrew nie bywał w niebezpieczeństwie

tak często jak Edward, ale i tak z dumą nosił mundur.

Z kolei George nie mógł sobie pozwolić na samodzielne decydowanie o swoim losie: jako dziedzic tytułu hrabiowskiego był osobą zbyt cenną, żeby rzucać się pod kule amerykańskich muszkietów.

Billie się zastanowiła. Czy mu nie przeszkadza, że jego bracia służą ojczyźnie, a on nie? Czy w ogóle chciał kiedykolwiek walczyć?

Właściwie dlaczego się nigdy nad tym nie zastanowiła? Co prawda niewiele myśli poświęcała George'owi Rokesby, chyba że stał przed nią – ale losy obu ich rodzin z reguły się splatały. Dziwne, że o tym dotąd nie wiedziała.

Spoglądała po kolei to na jednego, to na drugiego brata. Przez parę chwil milczeli. Andrew nadal patrzył w górę z wyzywającym wyrazem lodowatoniebieskich oczu, George zaś też patrzył na niego z... no, właściwie to nie był gniew. W każdym razie już nie. Ale też nie było w tym spojrzeniu żalu. Ani dumy. W ogóle niczego, co Billie umiałyby nazwać.

Ta rozmowa prowadziła o wiele dalej, niż mogłoby się wydawać.

– No tak, tym razem to ja ryzykowałam życiem i nogą... dla tego niewdzięcznego kociska! – oznajmiła, chcąc skierować rozmowę na mniej kontrowersyjne tematy. A ściśle na wyratowanie jej z opresji.

– A więc to o to poszło? – mruknął Andrew i pochylił się nad drabiną. – Zawsze myślałem, że nie lubisz kotów.

George odwrócił się do niej z miną zdecydowanie rozdrażnioną.

– Więc ty nawet nie lubisz kotów?

– Wszyscy lubią koty – szybko odpowiedziała Billie.

Oczy George'a zwięzły się niebezpiecznie; Billie wiedziała, że mowy nie ma, by uwierzył w jej uspokajający, mdły uśmiech. Na szczęście Andrew w tym momencie zaklął pod nosem, tak że oboje zwrócili uwagę na jego walkę z drabiną.

– Nic ci się nie stało? – krzyknęła Billie.

– Drzazga... – rzucił Andrew. Zaczął ssać mały palec. – Cholera!

– Nie umrzesz od tego – rzucił George.

Andrew przez chwilę patrzył wściekłym wzrokiem.

George przewrócił oczyma.

– Och na miłość boską...

– Nie prowokuj go – syknęła Billie.

George wydał jakiś dziwny, warczący dźwięk, ale zamilkł, skrzyżował ręce na piersi i przyglądał się młodszemu bratu.

Billie spróbowała przysunąć się trochę bliżej do brzegu dachu, żeby lepiej widzieć Andrew, który jedną stopą zaklinował dół drabiny, po czym się pochylił, żeby chwycić za szczebel. Głośno stęknął, ale postawił ją pionowo. Postępował wbrew wszelkim zasadom fizyki, ale jedynie to mógł zrobić, mając sprawną tylko jedną rękę.

Był jednoręki, ale silny, i z wielkim wysiłkiem i równie wielką litanią niewłaściwych słów zdołał oprzeć drabinę o mur budynku.

– Dzięki ci – odetchnął George, chociaż sądząc z jego tonu, Billie nie była pewna, czy dziękował bratu, czy Wszechmocnemu.

Ponieważ Andrew podtrzymywał drabinę – w dodatku nie mając pod stopami żadnego kota – zejście było zdecydowanie prostsze, niż ich pierwsza próba.

Ale jednak bolało. Na Boga!

Ból w kostce był taki, że Billie niemal nie mogła oddychać. W dodatku nie była w stanie nic na to poradzić. Nie mogła skakać w dół po szczeblach, więc z każdym krokiem musiała chociaż trochę obciążyć zranioną kostkę. Kiedy dobrnęła do trzeciego szczebla od końca, mogła najwyżej w milczeniu hamować łyzy.

W tym momencie czyjeś silne ręce objęły ją w pasie.

– Zniosę cię – powiedział George spokojnie, a Billie pozwoliła sobie opaść mu bezwładnie w ramiona.

George miał wrażenie, że ból był o wiele większy, niż Billie to okazywała, ale nie zdawał sobie sprawy jak bardzo – aż do chwili, kiedy oboje schodzili po drabinie. Przez chwilę rozważał możliwość wzięcia jej na barana, ale wydało mu się, że będzie bezpieczniej, by schodziła tuż za nim. Zszedł już o trzy szczeble w dół, zanim ona zdołała postawić zdrową nogę na drabinie; patrzył uważnie, jak ostrożnie stawiała obok jej ranną towarzyszkę. Chwilę stała nieruchomo, pewnie próbując ustalić, jak najlepiej zejść na kolejny szczebel.

– Ja bym na twoim miejscu zaczął od tej zdrowej nogi – powiedział spokojnie. – I mocno się trzymaj poręczy, żeby chociaż trochę odciążyc tę chorą.

Z napięciem skinęła głową w podziękowaniu i postąpiła tak, jak radził; oddech jej przechodził w bolesny syk, kiedy zdrowa noga stała już bezpiecznie i można było przenieść drugą z najwyższego szczebla.

Wstrzymała oddech. Nie miał jej tego za złe.

Zaczął, aż się uspokoi, wiedząc, że musi trzymać się od niej najwyżej o kilka szczebli; gdyby upadła – a to było bardzo możliwe, bo widział, że jej kostka jest naprawdę słaba – będzie musiał być na tyle blisko, żeby ją przytrzymać i nie pozwolić spaść na ziemię.

– Może gdybym spróbowała odwrotnie... – zaczęła, ciężko oddychając z bólu.

– Nie radziłbym – odpowiedział, starając się mówić spokojnie.

Billie nigdy nie lubiła słuchać rozkazów. Przypuszczał, że on rozumie to lepiej niż ktokolwiek inny.

– Pamiętaj, żeby ta chora noga nie była nigdy niżej niż zdrowa – rzekł. – Kostka może się wykrzywić...

– Naturalnie – potwierdziła sztywno. Nie ze złością, po

prostu sztywno.

Znał ten ton. Tak mówi ktoś, kto uznaje twój punkt widzenia i naprawdę nie chce żadnych dalszych wyjaśnień w tej sprawie.

Ton, którego tak często sam używał.

No, w każdym razie tak często, jak uznawał czyjś punkt widzenia.

– Uda ci się, na pewno – powiedział. – Wiem, że to boli.

– Rzeczywiście boli – potwierdziła.

Uśmiechnął się lekko. Nie był pewien dlaczego, ale był zadowolony, że nie mogła w tej chwili widzieć jego twarzy.

– Nie pozwolę, żebyś spadła – powiedział.

– Jak tam w górze, wszystko w porządku? – zawołał z dołu Andrew.

– Każ mu się zamknąć – burknęła Billie.

George mimo woli się roześmiał.

– Panna Bridgerton prosi, żebyś się, do cholery, zamknął – odkrzyknął bratu.

Andrew ryknął śmiechem.

– No, wobec tego wszystko dobrze.

– Tego bym nie powiedziała – mruknęła Billie, próbując zrobić następny krok.

– Już jesteś prawie w połowie – zachęcił ją George.

– Kłamiesz... ale dziękuję ci za pomoc.

Uśmiechnął się – tym razem już wiedział dlaczego. Billie mogła być „solą w oku”, ale też zawsze miała poczucie humoru.

– No, jesteś w połowie drogi do połowy drogi – poprawił się.

– Co za optymista – mruknęła pod nosem.

Zeszła bez większego problemu jeszcze o szczebel niżej, a George się zorientował, że ich rozmowa może być dla niej dobrym odwróceniem uwagi od bólu.

– Możesz to zrobić, Billie – powiedział.

– Już to mówiłeś.

– Ale warto powtórzyć.

– Myślę... – syknęła i gwałtownie wciągnęła powietrze, schodząc na kolejny szczebel.

Począł, aż zebrała siły; trzęsła się cała, chwilę balansując na zdrowej nodze.

– Myślę... – zaczęła znowu, tym razem spokojniej, jakby postanowiła wypowiedzieć dokładnie całe zdanie – że byłoby bardzo miło, gdybyś w mojej obecności zawsze się tak zachowywał.

– Mógłbym to samo powiedzieć o tobie – zauważył.

Kiwnęła głową z uznaniem.

– Trafiony, zatopiony.

– Nic tak nie rozbudza energii jak zdolny przeciwnik – stwierdził, podliczając równocześnie, ile razy krzyżowali ze sobą broń w słownej utarczce. Billie nigdy nie była łatwym słuchaczem, dlatego zawsze tak się cieszył, kiedy był nim on.

– Nie jestem pewna, czy także na polu bi... och!

George zaczekał, aż zacisnęła zęby i mówiła dalej.

– ...na polu bitwy – powtórzyła po krótkim, pełnym gniewu oddechu. – O Boże, jak boli... – mruknęła znów.

– Wiem – pocieszył ją.

– Dobrze, nie wiesz.

Mimo to się dalej uśmiechał.

– Nie, nie wiem.

Energicznie kiwnęła głową i zrobiła kolejny krok. I wtedy – bo to przecież była Billie Bridgerton, w związku z czym absolutnie nie mogła pozostawić rozmowy w zawieszeniu – powiedziała:

– Myślę, że na polu bitwy mogłabym znaleźć zdolnego przeciwnika, który by mi dodał natchnienia.

– Natchnienia? – mruknął, byle tylko mówiła dalej.

– Ale nie energii.

– Jedno może doprowadzić do drugiego – rzucił, co nie znaczy, że miał w tych sprawach jakiegokolwiek doświadczenie. Jedyne bitwy, w jakich brał udział, miały miejsce na planszach szermierczych albo na ringach bokserkich, gdzie najpoważniej ryzykowała jego miłość własna.

Zszedł jeszcze o stopień niżej, dając Billie pole do manewru, następnie zerknął przez ramię na Andrew, który pogwizdywał,

czekając na nich.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytał brat, widząc jego spojrzenie.

George potrząsnął głową i spojrzał w górę na Billie.

– Już jesteś prawie na dole – powiedział.

– Proszę, powiedz, że tym razem nie kłamiesz...

– Nie kłamię.

I rzeczywiście nie kłamał. Zaskoczył na ziemię, omijając ostatnie dwa szczeble i czekał na nią, aż będzie na tyle blisko, że zdoła ją złapać. Po chwili była już w jego zasięgu i George chwycił ją w ramiona.

– Mam cię – mruknął, czując, jak pada mu całym ciężarem na ręce, pierwszy raz w życiu pozwalając komuś innemu na decydowanie o niej.

– Doskonale – stwierdził Andrew, wsuwając głowę między nich. – Dobrze się czujesz, Billie-kózko?

Skinęła głową. Nie wyglądało jednak na to, że jest jej dobrze. Szczeka jej nadal drżała, a z tego, jak przełykała ślinę, widać było, że bardzo stara się nie płakać.

– Ty mały głuptasie – mruknął pod nosem George; wtedy już wiedział, że wcale nie jest z nią dobrze, bo pozwoliła mu to powiedzieć bez słowa protestu. Właściwie patrzyła przepraszająco, co było tak do niej niepodobne, że wręcz alarmujące.

– Obejrzyjmy tę stopę – rzekł Andrew, ciągle tym swoim obrzydliwie radosnym głosem w obecnej sytuacji. Zsunął jej pończochę, cicho gwizdnął i powiedział z pewnym podziwem:

– Ech, Billie, coś ty ze sobą zrobiła? To wygląda okropnie.

– Zamknij się – huknął George.

Andrew tylko wzruszył ramionami.

– To nie wygląda na złamanie...

– Bo nie jest – ucięła Billie.

– Ale i tak poleżysz co najmniej tydzień...

– Może nie aż tak długo – powiedział George, chociaż jego zdaniem Andrew miał rację. Ale nie było sensu teraz tego omawiać. Nie mówili nic, czego by Billie nie wiedziała.

– Idziemy? – spytał.  
Billie przymknęła oczy i przytaknęła.  
– Powinniśmy odstawić tę drabinę – wybąkała.  
George objął ją silniej ramionami i skierował się w stronę Aubrey Hall, gdzie Billie mieszkała z rodzicami i trójką rodzeństwa.  
– Zrobimy to jutro.  
Skinęła głową.  
– Dziękuję ci.  
– Za co?  
– Za wszystko.  
– Czyli za wiele rzeczy – stwierdził sucho. – Pewna jesteś, że chcesz mi być winna aż tyle?  
Spojrzała mu w oczy; była zmęczona, ale bystra.  
– Zanadto jesteś dżentelmenem, żeby tego ode mnie żądać.  
Zachichotał. Miała rację, oczywiście, chociaż nigdy nie traktował Billie Bridgerton tak, jak się odnosił do innych znajomych kobiet.  
Do diabła... nikt jej tak nie traktował.  
– Dasz radę przyjść dziś wieczorem na kolację? – spytał Andrew, starając się dotrzymać kroku George'owi.  
Billie spojrzała na niego, nie rozumiejąc.  
– Co takiego?  
– Przecież chyba nie zapomniałaś? – mówił Andrew, dramatycznym ruchem kładąc rękę na sercu. – Rodzina Rokesby gorąco zaprasza swojego marnotrawnego syna.  
– Ty przecież nie jesteś synem marnotrawnym – rzucił George. Dobry Boże...  
– Pewnego marnotrawnego syna – ciągnął Andrew z uśmiechem. – Nie było mnie długie miesiące, nawet lata.  
– Jakże tam lata – znów zaprotestował George.  
– No, może nie lata – zgodził się Andrew – ale tak to wygląda, prawda? – Schylił się w stronę Billie, dostatecznie blisko, żeby jej dać lekkiego kuksańca. – Brakowało ci mnie, prawda, Kozotrix? No, przyznaj się!



– Odsuń się trochę – zwrócił mu George uwagę, zirytowany.  
– Och, jej jest wszystko jedno.  
– Odsuń się trochę ode mnie.  
– A, to całkiem co innego – zgodził się Andrew ze śmiechem.  
George już się miał skrzywić, ale nagle podniósł głowę.  
– Jak ty ją przed chwilą nazwałeś?  
– On mnie często porównuje do kozy – wtrąciła Billie zrezygnowanym tonem osoby, która nie ma sił, by się gniewać.

George spojrział na nią, następnie na Andrew, po czym tylko potrząsnął głową. Nigdy nie rozumiał ich poczucia humoru. Może dlatego, że nigdy nie był z nimi zbyt blisko. Kiedy dorastał, zawsze się czuł odseparowany od pozostałych dzieci Rokesbych i Bridgertonów. Przede wszystkim ze względu na wiek – był o pięć lat starszy od Edwarda, który był po nim następny – ale i ze względu na swoje stanowisko. Był najstarszy – a więc był dziedzicem. Ciężka na nim – jak mu często przypominał ojciec – wielka odpowiedzialność. Nie mógłby tak cholernie wesoło baraszkować cały dzień po polach, wdrapywać się na drzewa i łamać sobie kości.

Edward, Mary i Andrew Rokesby urodzili się jedno po drugim, w odstępach czasem mniejszych niż rok. To oni, wraz z Billie, która była niemal dokładnie w wieku Mary, stworzyli ścisłą „paczkę”, która wszystko robiła razem. Ich domy leżały od siebie zaledwie o pięć kilometrów, i najczęściej dzieci spotykały się gdzieś w połowie drogi, nad strumieniem dzielącym ich posiadłości albo w domku na drzewie, jaki lord Bridgerton zbudował na prośbę Billie w rozgałęzieniu starego dębu, rosnącego nad stawem pełnym pstrągów. George właściwie nigdy nie był pewien, jaką psotę szykują, ale jego rodzeństwo z reguły wracało do domu brudne, wygłodniałe – i w znakomitych humorach.

Nie był o to zazdrosny. Doprawdy, byli bardziej irytujący niż ktokolwiek inny. Ostatnią rzeczą, jaką chciałby zrobić, kiedy wracał ze szkoły do domu, to wygłupiać się z tą paczką obdartych dzikusów, których wiek można było zsumować na palcach rąk!

Czasem jednak tęsknił. Co by było, gdyby miał tak bliskich

towarzyszy? Nie znalazł przyjaciela w swoim wieku aż do czasu, kiedy w wieku dwunastu lat wyjechał do Eton. A tam po prostu też nie poznał nikogo, z kim mógłby się zaprzyjaźnić.

Teraz jednak to niewiele znaczyło. Wszyscy już byli dorośli – Edward w armii, Andrew w marynarce, a Mary zamężna z serdecznym przyjacielem George’a, Feliksem Maynardem. Billie też już była pełnoletnia, ale to nadal była Billie, dokazująca po terenie posiadłości ojca, jeżdżąca na zbyt ostrych koniach, jakby jej kości były ze stali, obdarzająca szerokim uśmiechem całe miasteczko, w którym wszyscy ją uwielbiali.

A co do George’a... Cóż, uważał, że nadal jest sobą. Nadal był dziedzicem, nadal się przygotowywał do odpowiedzialności, nawet kiedy jego ojciec jej zaniedbał; nadal nie robił nic, podczas gdy jego bracia chwycili za broń i walczyli za króla i ojczyznę.

Spojrzał na swoje ramiona, w których nadal kołysał Billie, niosąc ją do domu. To była najprawdopodobniej najbardziej pożyteczna praca, jaką te ramiona wykonały od lat...

- Powinniśmy cię zabrać do Crake – rzekł Andrew do Billie.
- Będzie bliżej, a poza tym będziesz mogła zostać u nas na kolacji.
- Przecież jest ranna – przypomniał mu George.
- Eee... Czy kiedykolwiek ją to powstrzymało?
- No cóż... nie jest odpowiednio ubrana – stwierdził George.

Zabrzmiało to jak opinia nieuleczalnego świętoszka, wiedział o tym, ale czuł się w tej chwili niezmiernie zirytowany, a nie mógł się wyładować na Billie, skoro była ranna.

– O, na pewno znajdzie coś do włożenia w garderobie Mary – lekceważąco zbył go Andrew. – Chyba nie zabrała ze sobą wszystkiego, kiedy wychodziła za mąż, prawda?

– Nie – powiedziała Billie głosem stłumionym przez pierś George’a. Śmieszne, jak można czuć czyjś głos w sobie... – Zostawiła dużo rzeczy w domu.

– Wobec tego załatwione – stwierdził Andrew. – Przyjdiesz na kolację, zostaniesz u nas na noc i wszystko będzie w porządku... wobec świata.

George obrzucił go przeciągłym spojrzeniem przez ramię.

– Zostanę u was na kolacji – zgodziła się Billie, poruszając głową tak, by jej głos popłynął w powietrze, a nie w ciało George’a – ale później wrócę do domu. Wolę spać we własnym łóżku, jeżeli ci to nie przeszkadza.

George się potknął.

– Nic ci nie jest? – spytał Andrew.

– Nic – odburknął. I wtedy, nie wiadomo dlaczego, dodał: – Tylko jedna noga mi zdrętwiała i trochę się ugięła.

Andrew obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

– Tylko tyle, tak?

– Zamknij się.

Ale to tylko rozśmieszyło Andrew.

– Znam to... – powiedziała Billie, patrząc na George’a z uśmiechem. – Kiedy jesteś bardzo zmęczony, to nawet sobie z tego nie zdajesz sprawy i własna noga cię zaskakuje.

– Dokładnie tak.

Znów się uśmiechnęła, dziwnie sympatycznym uśmiechem, a jemu przyszło na myśl – chociaż nie, zdał sobie sprawę z pewnym zaskoczeniem i po raz pierwszy – że Billie jest naprawdę ładna.

Miała piękne oczy w głębokim odcieniu brązu, zawsze ciepłe i zapraszające, niezależnie od tego, jak wiele gniewu kryły w głębi. A jej skóra była zadziwiająco jasna, jak na kogoś, kto spędzał tyle czasu na powietrzu, co ona... chociaż zauważył leciutką siateczkę piegów na jej policzkach i nosie. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy tam były, kiedy była młodsza. Prawdę mówiąc, nie zwracał wtedy uwagi na piegi Billie Bridgerton.

Nie zwracał wtedy w ogóle uwagi na nią, a w każdym razie się starał tego nie robić. Bo Billie – od zawsze – raczej trudno było nie zauważać.

– Na co tak patrzysz? – spytała.

– Na twoje piegi.

Nie widział powodu, żeby kłamać.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Bo je masz.

Wydeła wargi i pomyślał, że to już koniec ich rozmowy. Ale wtedy się nagle odezwała:

– Nie mam ich tak dużo.

Uniósł brwi.

– Sześćdziesiąt dwa – uściśliła.

Omal się nie zatrzymał.

– Liczyłaś?

– Kiedyś, kiedy nie miałam nic lepszego do roboty. Pogoda była ohydna, nie mogłam wyjść na dwór.

George wiedział, że lepiej jej nie wspominać o haftowaniu czy malowaniu akwarelami, ani o tuzinie innych domowych zajęć zazwyczaj wykonywanych przez znajome damy.

– No, może teraz jest ich o kilka więcej – zauważyła Billie. – Ta wiosna była bardzo słoneczna.

– O czym rozmawiacie? – spytał Andrew. Wysforował się trochę do przodu, a teraz go dogonili.

– O moich piegach – poinformowała go Billie.

Aż zamrugał ze zdziwienia.

– Mój Boże... ty naprawdę jesteś nudna.

– Albo znudzona – sprostowała.

– Albo jedno i drugie.

– To chyba z powodu towarzystwa.

– Zawsze uważałem, że George jest nudny – potwierdził

Andrew.

George przewrócił oczyma.

– Ja mówiłam o tobie – wyjaśniła.

Andrew się tylko wyszczerzył.

– Jak twoja stopa?

– Boli – odparła po prostu.

– Ale jak? Mniej? Bardziej?

Chwilę myślała, wreszcie odparła:

– Tak samo. Chociaż... chyba mniej, bo jej już nie muszę opierać. – Znowu utkwiała wzrok w twarzy George'a. – Dziękuję ci – rzekła. – Jeszcze raz.

– Nie ma za co – odpowiedział, może trochę za ostro.

Naprawdę nie chciał mówić z nią o sobie. Nigdy zresztą tego nie chciał.

Ścieżka się rozgałęziła i George skierował się na prawo, w stronę Crake. Istotnie, tam było bliżej, a ponieważ Andrew miał rękę na temblaku, George i tak musiał nieść Billie przez całą drogę.

– Nie jestem za ciężka? – spytała jakby sennie.

– Nawet gdybyś była... co to miałoby za znaczenie?

– O Boże, George, nic dziwnego, że aż piszczysz za damskim towarzystwem – stęknął Andrew. – To było najwyraźniej zaproszenie, żebyś powiedział: „Oczywiście, że nie! Jesteś niezwykle delikatnym płatkim róży, pełnym kobiecości”.

– Nieprawda, to nie było nic takiego – zaprzeczył George.

– Było, było – stwierdził Andrew zdecydowanie. – Po prostu nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– I wcale nie tęsknię za damskim towarzystwem – stwierdził George. Bo tak było naprawdę.

– Jasne! Oczywiście, że nie – sarkastycznie powiedział Andrew. – Przecież trzymasz Billie w ramionach.

– Myślę, że chcesz mnie po prostu obrazić – zaprotestowała.

– Bynajmniej, kochanie. Tylko stwierdzam fakt.

Skrzywiła się; jej orzechowe brwi zbiegły się nad oczami.

– Kiedy wracasz na morze?

Obrzucił ją kosym spojrzeniem.

– Będziesz za mną tęskniła...

– Nie sądzę.

Oboje jednak wiedzieli, że kłamię.

– No, w każdym razie będziesz miała George’a – rzekł Andrew, odsuwając nisko zwisającą gałąź. – Tworzycie całkiem niezłą parę.

– Zamknij się! – rzuciła Billie. Co prawda, to było o wiele mniej przykre, niż kiedy wychodziło z ust George’a.

Andrew zachichotał i cała trójka w przyjaznym milczeniu skierowała się w stronę Crake House, a wiatr lekko poruszał delikatnymi, świeżo rozwiniętymi z pączków listkami drzew.

– Nie jesteś wcale za ciężka – stwierdził nagle George.  
Billie ziewnęła i poruszyła się lekko w jego ramionach tak, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Co powiedziałaś przed chwilą?

– Że nie jesteś za ciężka – odparł i wzruszył ramionami. Z jakiegoś nieznanego powodu uznał, że musi jej to uświadomić.

– Aha... to dobrze. – Mrugnęła kilka razy; wzrok miała zaskoczony, miły. – Dziękuję ci.

Andrew, który poszedł przodem, znowu się roześmiał, chociaż George naprawdę nie miał pojęcia, dlaczego.

– Tak – odezwała się Billie.

– Przepraszam?

– Tak... – powtórzyła, jakby odpowiadając na niezadane przez niego pytanie – on się z nas śmieje.

– Tak czułem.

– To idiota – stwierdziła i westchnęła prosto w pierś George'a. Było to jednak ciepłe westchnienie: nigdy słowa „to idiota” nie były wypowiedziane z uczuciem większej sympatii.

– Ale miło mieć go znów w domu – spokojnie stwierdził George. Istotnie tak było. Całe lata młodsi bracia tylko go irytowali, zwłaszcza Andrew, ale teraz, kiedy byli już dorośli i żyli poza codziennością Kentu czy Londynu, bardzo za nimi tęsknił.

I tak samo bardzo im zazdrościł.

– Miło, prawda? – Billie tęsknie się uśmiechnęła, po czym dodała: – Co nie znaczy, żebym mu to kiedykolwiek powiedziała.

– Och, nie. Tego jestem pewny.

Billie zachichotała na ich wspólny żart, po czym znowu ziewnęła.

– Przepraszam... – wymamrotała. Obejmowała go rękami za szyję, więc nie mogła mówić wyraźnie. – Nie przeszkodzi ci, że zamknę oczy?

W piersi George'a poruszyło się coś dziwnego, nieznanego. Coś... jakby opiekuńczego.

– Naturalnie, że nie – odparł.

Uśmiechnęła się – mała, szczęśliwa istotka – i rzekła:

– Nigdy nie miałam trudności z zasypianiem.

– Nigdy?

Poruszyła głowę, a jej włosy, z których już dawno powypadały wszystkie szpilki, spłynęły w dół i teraz łaskotały go w brodę.

– Potrafię wszędzie zasnąć – mruknęła i ziewnęła.

Przez całą resztę drogi do domu drzemała, a George – wcale się tym nie przejmował.

**Billie** przyszła na świat zaledwie w siedemnaście dni po narodzinach Mary Rokesby, i według ich rodziców stały się najlepszymi przyjaciółkami już w chwili, kiedy je położono w tej samej kołysce podczas wizyty lady Bridgerton w domu lady Manston – jak zwykle, we czwartek rano.

Billie nie bardzo rozumiała, dlaczego jej matka wzięła ze sobą zaledwie dwumiesięczne niemowlę; w Aubrey Hall była przecież doskonała niania! Przypuszczała jednak, że to dlatego, że Billie już wtedy, niewiarygodnie wcześnie, bo mając sześć tygodni, potrafiła się sama przewrócić na brzusek.

Panie Bridgerton i Manston były oddanymi i lojalnymi przyjaciółkami i Billie była pewna, że jedna oddałaby życie za drugą (albo za jej dzieci), trzeba jednak przyznać, że w ich stosunkach zawsze istniał odcień rywalizacji.

Billie przypuszczała także, że jej zaskakująca, wyjątkowa znajomość sztuki przewracania się na brzusek miała mniej wspólnego z wrodzonym talentem, natomiast bardziej z czubkiem wskazującego palca mamy, mocno opartym na jej ramieniu – ale, jak podkreślała matka, nie było na to żadnych dowodów.

Zostało natomiast udowodnione – widziały to obie mamy i gospodyni domu – że Billie, ułożona w obszernej kołysce Mary, sięgnęła łapką i chwyciła delikatną rączkę drugiego niemowlęcia. A kiedy mamy próbowały je rozdzielić, obie zaczęły wrzeszczeć jak opętane.

Matka opowiadała potem, że musiała po prostu zostawić Billie na noc w Crake House, bo tylko w ten sposób można było obie dziewczynki uspokoić.

Tamten pierwszy ranek był istotnie zapowiedzią przyszłych wydarzeń. Billie i Mary stały się – jak lubiły twierdzić ich nianie – dwoma ziarenkami groszku w jednym strączku. Dwoma bardzo różnymi ziarenkami, które mimo to nawzajem bardzo się kochały.



Tam, gdzie Billie była nieustraszona, Mary – ostrożna. Nie lękliwa: po prostu ostrożna. Zanim zrobiła skok, zawsze patrzyła i oceniała odległość. Billie oceniała ją także, ale tylko po to, by stwierdzić, że może to zrobić bez trudności.

I skakała wysoko i daleko, często lepiej niż Edward i Andrew, którzy tak czy owak musieli się z nią zaprzyjaźnić, kiedy się zorientowali, że Billie a) pójdzie za nimi na koniec świata, chyba że b) dotrze tam już przed nimi.

Z Mary – po dokładnym rozważeniu przez nią ewentualnego zagrożenia – drepczącą tuż za Billie.

Tak powstała „czwórka hultajska”. Trójka dzikusów i jeden głos rozsądku.

Zdarzało się, że cała trójka słuchała Mary. Naprawdę tak było. Prawdopodobnie dzięki temu owa czwórka dożyła dojrzałego wieku mniej więcej w całości, bez okaleczeń na całe życie.

Ale wszystko, co dobre, ma swój koniec.

Kilka lat później Edward i Andrew wyjechali z domu, a Mary zakochała się, wyszła za mąż i także wyjechała. Ona i Billie pisywały do siebie regularnie, ale... to już nie było to samo. Jednak Mary zawsze pozostała dla Billie najlepszą przyjaciółką.

Dlatego, kiedy się teraz znalazła w Crake House ze zwichniętą kostką, mając na sobie tylko bryczesy i mocno zakurzoną bluzkę i żakiet, bez żadnych skrupułów zaczęła przeglądać garderobę przyjaciółki, szukając jakiegoś stroju, nadającego się na rodzinną kolację. Większość sukien wyszła już trochę z mody, ale Billie się tym nie przejmowała. Mówiąc prawdę, w ogóle by na to nie zwróciła uwagi, gdyby nie pokojówka, która pomagała się jej ubrać.

Zresztą suknie Mary i tak były z pewnością bardziej eleganckie niż te, które Billie miała we własnej garderobie.

Bardziej się martwiła ich rozmiarem, a ściślej tym, że były na nią za długie. Mary była od niej wyższa co najmniej o siedem centymetrów. Ta różnica zawsze drażniła Billie (i bawiła Mary) ogromnie; zawsze jej się wydawało, że to ona powinna być z nich dwóch wyższa. Jednak, ponieważ Billie teraz nawet nie mogłaby

chodzić, problem długości właściwie tracił na znaczeniu.

Suknie Mary były poza tym nieco za obfite w biuście. Ale jako że darowanemu koniowi... i tak dalej, Billie wetknęła za gors dwie zwinięte w kłębek chusteczki i po prostu postanowiła być wdzięczna losowi, zwłaszcza że w garderobie Mary znalazła się dosyć prosta, równej długości suknia w odcieniu leśnej zieleni, która zdaniem Billie pasowała do jej cery.

Pokojówka wpinała właśnie Billie we włosy ostatnie szpilki, kiedy rozległo się pukanie do drzwi dawnego pokoju Mary, który Billie dzisiaj zajęła dla siebie.

– George! – powiedziała zdziwiona, widząc w obramowaniu drzwi jego potężną postać.

Był elegancko ubrany w ciemnogrnatowy zakiet, który – jak podejrzewała – pięknie pasowałby do jego oczu, gdyby go nosił w pełnym świetle dnia. Złote guziki odbijały światło świec, dodając jeszcze uroku jego królewskiej postawie.

– Milady... – mruknął i zgiął się w wyszukany ukłonie. – Przyszedłem ci pomóc w zejściu na dół, do salonu.

– Och... – wyjąkała Billie, nie wiadomo dlaczego zaskoczona.

Andrew przecież nie mógłby tego zrobić... a jej ojciec, który na pewno czekał już na dole, chyba nie był już tak silny jak dawniej.

– Jeżeli wolisz – powiedział George – możemy wezwać lokaja.

– Nie, nie, jasne że nie – odparła.

Lokaj... cóż, to by było bardzo krępujące. A George był w końcu jej znajomym. No i przecież już ją tutaj przyniósł.

Wszedł do pokoju, a kiedy już się znalazł przy niej, stanął obok, trzymając ręce za plecami.

– Jak tam twoja kostka?

– Nadal mocno obolała – zauważyła – ale owinęłam ją ciasno szeroką wstążką i to chyba trochę pomaga.

Wydał usta, a w oczach zamigotał mu lazurowy błysk rozbawienia.

– Wstążką?

Ku przerażeniu pokojówki Billie podciągnęła przydługą suknię i wysunęła stopę, ukazując kostkę, owiniętą rzeczywiście piękną, różową wstążką.

– Bardzo elegancko – zauważył George z uznaniem.

– Nie mogłam przecież podrzeć prześcieradła... a to jest równie dobre.

– Zawsze byłaś praktyczna...

– Miło mi, że tak myślisz – rzekła Billie; radosny ton jej głosu po chwili ustąpił miejsca marsowi na czole, kiedy się połapała, że być może to wcale nie był komplement. – No cóż – dodała, strzepując z rękawa niewidoczny pyłek – w końcu to wasze prześcieradła. Powinieneś mi być wdzięczny.

– Z pewnością jestem.

Oczy Billie zwięzły się.

– Tak – pospieszył z wyjaśnieniem. – Żartuję z ciebie. Ale tylko trochę.

Billie uniosła podbródek w górę – o dwa centymetry czy coś w tym rodzaju.

– No, skoro tylko trochę...

– Och, inaczej bym się nie odważył – zapewnił i pochylił się nad nią. – W każdym razie nie w twojej obecności!

Billie zerknęła na pokojówkę. Wyglądała na mocno zgorszona tą wymianą zdań.

– Ale mówiąc już zupełnie poważnie, Billie – rzekł George, dowodząc tym, że w jego piersi jednak bije współczujące serce – czy jesteś pewna, że czujesz się na tyle dobrze, by zejść na kolację?

Wpinała właśnie kolczyk do ucha. Zresztą... też kolczyk Mary.

– I tak muszę coś zjeść, więc co szkodzi, że zrobię to w miłym towarzystwie?

Uśmiechnął się do niej.

– Już naprawdę bardzo dawno nie zebraliśmy się wszyscy razem, w każdym razie w tyle osób, co dziś wieczór.

Skinęła głową, czując odrobinę tęsknoty. Kiedy była dzieckiem, obie rodziny, Rokesby i Bridgertonowie, jedli razem kolację nawet kilka razy w miesiącu. Przy dziewięciorgu dzieciach w obu rodzinach kolacje, lunche czy jakiegokolwiek inne święta, które te dzieci postanawiały obchodzić, stawały się nieodmiennie hałaśliwymi, rozwrzeszczanymi wydarzeniami.

Ale potem... Chłopcy jeden po drugim wyjeżdżali do Eton, najpierw George, potem Edward, wreszcie Andrew. Dwaj młodszy bracia Billie, Edmund i Hugo, byli tam teraz razem z najmłodszym Rokesbym, Nicholasem. Mary odnalazła miłość życia i zamieszkała w Sussex; zatem teraz jedynymi dziewczętami, które tu stale mieszkały, były Billie i jej młodsza siostra Georgiana, uroczą czternastolatka, która jednak nie była odpowiednią towarzyszką dla niej, dorosłej, bo już dwudziestotrzyletniej kobiety.

No i oczywiście był też George, który jednak jako kawaler, dżentelmen w wieku „poborowym” do małżeństwa dzielił czas pomiędzy Kent i Londyn.

– Dostanę pensa, jeżeli odgadnę twoje myśli? – rzekł George, podchodząc do pogrążonej w myślach Billie.

Potrząsnęła głową.

– Nie są warte nawet tyle... To wszystko jest właściwie żałośnie sentymentalne.

– Sentymentalna? Ty? Chyba powinienem o tym więcej wiedzieć...

Zerknęła na niego, po czym rzekła:

– Teraz jest nas o tyle mniej... A było kiedyś tak dużo!

– Nadal jest nas dużo – podkreślił.

– Wiem, ale tak rzadko jesteśmy razem! To mnie martwi.

Nie mogła uwierzyć, że rozmawia tak otwarcie właśnie z George’em, ale ten dzień był w ogóle jakiś taki... dziwny i męczący. Może przez to mniej się pilnowała.

– Niedługo znów będziemy wszyscy razem – powiedział ochoczo. – Jestem pewien.

Billie uniosła brew.

– Zostałeś wyznaczony do poprawiania mi humoru?

– Uhm... twoja mama mi obiecała trzy funciaki.

– Co takiego?

– Żartowałem.

Skrzywiła się, ale właściwie nie miała do niego pretensji.

– No, a teraz chodź. Zniosę cię na dół.

Schylił się, żeby ją wziąć w ramiona, ale kiedy się pochylił w prawo, ona zrobiła to samo w lewo – i w rezultacie zderzyli się głowami.

– Uff, przepraszam – wymamrotał.

– Nie... to moja wina.

– Więc... – Zrobił ruch, jakby chciał objąć rękami jej plecy i ująć pod kolana, ale zrobił to jakoś bardzo niezgrabnie; dziwne, bo przecież zaledwie dwie godziny temu niósł ją co najmniej ze dwa kilometry!

W końcu podniósł ją w górę, a pokojówka, która podczas całej ich rozmowy stała w pogotowiu, odskoczyła z drogi na widok nóg Billie, bujających się w powietrzu.

– Postaraj się mniej naciskać mi szyję, oczywiście jeżeli możesz – powiedział George.

– Och, wybacz! – Billie poprawiła pozycję. – Tak samo cię trzymałam dziś po południu.

Ruszył w stronę korytarza.

– Nie tak samo...

Billie się zastanowiła: może George miał rację. Czowała się tak swobodnie, kiedy ją niósł przez las. O wiele swobodniej, niż powinna się czuć kobieta w ramionach mężczyzny, który nie jest jej krewnym.

Teraz to było po prostu niewygodne. W tej chwili zdawała sobie bardzo wyraźnie sprawę z jego bliskości, z gorąca, jakie było od jego ciała przez ubranie... Kołnierz zakietu George'a był odpowiednio wysoki, ale kiedy oparła palec na wierzchu kołnierza, krótki lok jasnobrązowych włosów spłynął na jej dłoń.

– Coś nie w porządku? – spytał, kiedy już stanęli u szczytu schodów.

– Nie – zaprzeczyła szybko, po czym odchrząknęła. –  
Dlaczego tak myślisz?

– Od momentu, kiedy cię wziąłem na ręce, nie przestajesz się  
wiercić.

– Och... – Nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć. – To  
pewnie dlatego, że mnie ta stopa tak boli. – Najwyraźniej mogła  
coś wymyślić. Szkoda, że to było kompletnie bez związku...

Zamilkł i spojrzał na nią z zastanowieniem.

– Na pewno chcesz zejść na dół na kolację?

– Na pewno. – Stęknęła ciężko. – Na litość boską, skoro już  
jestem tutaj... byłoby śmieszne zamykać się, jak podczas  
kwarantanny, w pokoju Mary!

– To przecież nie żadna kwarantanna.

– Ale czułabym się, jak podczas kwarantanny... – mruknęła.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Nie lubisz być sama, co?

– Nie wtedy, kiedy inni dobrze się bawią beze mnie –  
odparowała.

Znowu zamilkł, po czym pokręcił głową, jakby chciał  
pokazać, że go to zaciekało.

– A w innych chwilach?

– Przepraszam...?

– No, kiedy nie ma wokół ciebie tych „innych” – wyjaśnił  
lekką protekcjonalnie. – Nie przeszkadza ci, kiedy jesteś sama?

Czuła, jak jej brwi się zbiegają. Spojrzała na niego. Do czego  
miało prowadzić to dociekanie?

– To chyba nietrudne pytanie – powiedział. Coś go  
sprowokowało, by zniżyć głosu do szeptu.

– Nie, jasne, że mi nie przeszkadza. – Zacisnęła wargi, trochę  
rozdrażniona. I zdenerwowana. Ale stawiał pytania, jakich nikt nie  
zadawał jej przedtem. Po chwili jednak, zanim się zastanowiła, co  
ma powiedzieć, usłyszała swój głos, mówiący:

– Nie lubię...

– Czego?

Potrząsnęła głową.

– Nieważne.  
– Nie, powiedz mi, proszę.  
Westchnęła. Okazuje się, że nie miał zamiaru zrezygnować.  
– Nie lubię być zamknięta. Mogę spędzić cały dzień samotnie, byle bym była na powietrzu. Albo nawet na dole, w salonie, gdzie są wielkie okna i dużo światła dziennego.  
Powoli pokiwał głową, jakby się z nią zgadzał.  
– Ach, więc i ty czujesz się podobnie? – spytała.  
– Bynajmniej – odparł.  
Cóż, to znaczyło, że opacznie zrozumiała jego gest.  
– Zupełnie dobrze się czuję we własnym towarzystwie – mówił dalej.  
– O, tego jestem pewna...  
Lekko się uśmiechnął.  
– Myślałem, że dziś wieczorem nie będziemy się wzajemnie obrażać.  
– A nie będziemy?  
– Znoszę cię teraz po schodach, więc dobrze byś zrobiła, będąc dla mnie grzeczna.  
– Zrozumiano – odparła.  
George okrążał właśnie półpiętro. Billie sądziła, że to już koniec rozmowy, kiedy się odezwał:  
– Któregoś dnia padało... przez cały dzień, bezustannie.  
Billie przechyliła głowę w bok. Wiedziała, o którym dniu mówił. To było okropne. Chciała pojechać na swojej kłaczce Argo, sprawdzić stan płotów na południowym krańcu posiadłości ojca. I może też zatrzymać się na chwilę przy kępce poziomek. Było wtedy jeszcze o wiele za wcześnie na owoce, ale zaczynały się pokazywać kwiatki, a Billie interesowało, ile ich będzie w tym roku.  
– Ja naturalnie zostałem w domu – ciągnął George. – Nie było sensu wychodzić na dwór.  
Nie całkiem pewna, do czego George zmierza, uznała jednak, że powinna spytać:  
– Czym się wtedy zajmowałeś?

– Czytałem książkę – odparł, zadowolony z siebie. – Siedziałem u siebie; przeczytałem całą książkę, od początku do końca, i to był chyba najprzyjemniejszy dzień, jaki pamiętam ostatnio.

– Powinieneś więcej przebywać na świeżym powietrzu – powiedziała odruchowo.

Pominał to milczeniem.

– Chciałem tylko powiedzieć, że spędziłem ten cały dzień w zamknięciu, jak mówisz, i że to było bardzo przyjemne.

– Właśnie. To tylko potwierdza mój punkt widzenia.

– Mówimy o jakichś punktach widzenia?

– Zawsze są jakieś punkty widzenia, George.

– I zawsze wygrywasz? – mruknął.

Zawsze.

Ale nie powiedziała tego głośno. To by wyglądało dziecinnie. I małostkowo. Tym gorzej, że naprawdę bardzo się starała, żeby taką nie być. Albo raczej, żeby być czymś, czym była, ale na co jej nie pozwalała sfera, w jakiej się urodziła.

On jednak był lordem Kennard, a ona panną Sybillą Bridgerton, i chociaż z uciechą codziennie przeciwstawiała swoją wewnętrzną siłę jego sile, nie była głupia. Wiedziała, jak funkcjonuje ten świat. Tu, w tym niewielkim zakątku hrabstwa Kent, była królową u siebie, ale poza swoim niewielkim zaciszem domowym wokół Crake i Aubrey Hall...

George Rokesby musiałby wygrać. Zawsze. A nawet gdyby nie, udawałby, że tak jest.

Nic na to nie mogła poradzić.

– Nagle ogromnie spoważniałaś – stwierdził, schodząc na wywoskowany parkiet korytarza na parterze.

– Myślałam o tobie – wyjaśniła, zresztą zgodnie z prawdą.

– To chyba prawdziwe wyzwanie, jeżeli kiedykolwiek jakieś słyszałem. – Otworzył drzwi salonu i przysunął usta do jej ucha. – W dodatku nie mam zamiaru go podjąć.

Dotknęła językiem czubka warg, przymierzając się do odpowiedzi, ale zanim zdołała powiedzieć słowo, George już był w



salonie.

– Dobry wieczór wszystkim – powiedział nieco wyniośle.

Jeśli Billie miała nadzieję, że wejdzie dyskretnie, to ta nadzieja znikła natychmiast, kiedy się zorientowała, że zjawili się tam jako ostatni. Matka Billie siedziała obok lady Manston na długiej kanapie; na najbliższym krzesełku przycupnęła Georgiana; wyglądała na znudzoną. Mężczyźni zgromadzili się przy oknie. Lordowie Bridgerton i Manston gawędzili z Andrew, który z wdzięcznością przyjmował właśnie z rąk ojca kieliszek brandy.

– Billie! – wykrzyknęła matka, zrywając się gwałtownie. – W twojej wiadomości napisałaś, że to tylko zwichnięcie.

– Bo to jest tylko zwichnięcie – odparła Billie. – Pod koniec tygodnia już nawet śladu nie będzie.

George parsknął, ale Billie udała, że tego nie słyszy.

– To nic takiego, mamó – zapewniła matkę Billie. – Naprawdę, bywało gorzej.

Tym razem parsknął Andrew. Też udała, że nie słyszy.

– Mogłaby zejść na dół o własnych siłach, gdyby miała łaskę – powiedział George, sadowiąc ją na kanapie – ale schodziłaby trzy razy dłużej, a nikt z nas nie jest aż tak cierpliwy!

Ojciec Billie, który dotychczas stał przy oknie z kieliszkiem brandy, roześmiał się serdecznie.

Billie obrzuciła ojca złym spojrzeniem, co tylko zwiększyło jego wesołość.

– Czy to jedna z sukien Mary? – spytała lady Bridgerton.

Billie przytaknęła.

– Byłam w bryczesach.

Matka westchnęła, ale powstrzymała się od komentarza.

Między matką a córką trwał bezustanny spór o stroje. W końcu nastąpiło między nimi zawieszenie broni, kiedy Billie obiecała, że na kolację będzie zawsze ubrana jak należy. Także, jeżeli będą goście. No i do kościoła.

Właściwie lista wydarzeń, podczas których powinna się stosować do zaleceń matki, była bardzo długa. Natomiast lady Bridgerton wyraziła zgodę na to, by Billie do objazdów posiadłości

wkładała bryczesy.

To było prawdziwe zwycięstwo Billie. Stale tłumaczyła matce, że po prostu musi mieć jej zgodę na wygodny strój, kiedy jeździ tam i z powrotem po polach. Dzierżawcy naturalnie określali ją bardziej dosadnym mianem, niż „ekscentryczna”, ale wiedziała, że ją lubią. I szanują.

Ich sympatia dla niej przyszła niejako w naturalny sposób: matka Billie twierdziła, że wyszła z jej łona uśmiechnięta i nawet już jako dziecko była faworytką dzierżawców.

Natomiast na ich szacunek musiała zarobić – i dlatego to był jej największy skarb.

Billie wiedziała, że pewnego dnia ich dom – Aubrey Hall i całą ziemię – odziedziczy jej młodszy brat, ale Edmund na razie był jeszcze dzieckiem, o siedem lat od niej młodszym. Przez większość roku uczył się w szkole w Eton. Ojciec robił się coraz starszy. Ktoś się musiał nauczyć, jak prawidłowo zarządzać tym wielkim majątkiem.

Tymczasem Billie umiała to z natury: wszyscy tak mówili.

Przez tyle lat była jedynaczką; pomiędzy nią a Edmundem przyszło na świat jeszcze dwoje dzieci, ale żadne z nich nie przetrwało pierwszego roku życia.

Przez te lata modlitw i nadziei oraz marzeń o dziedzicu tytułu, Billie się stała czymś w rodzaju maskotki dzierżawców: żywym i uśmiechniętym symbolem przyszłości Aubrey Hall.

W przeciwieństwie do innych wysoko urodzonych córek, Billie zawsze towarzyszyła rodzicom w zajęciach w posiadłości. Kiedy matka nosiła kosze jedzenia dla potrzebujących, ona też tam była – z jabłkami dla dzieci. Kiedy ojciec objeżdżał tereny, niemal zawsze można ją było zobaczyć u jego stóp, jak wykopywała robaki z ziemi, tłumacząc przy tym ojcu, dlaczego uważa, że na tym spragnionym słońca polu lepiej będzie posiać żyto niż jęczmień.

Początkowo była po prostu zabawna – ot, energiczna pięciolatka, namawiająca do mierzenia ziarna, kiedy zbierano czynsze. Ale w końcu stała się jakby częścią tego majątku. Teraz

zaś po prostu oczekiwano od niej, żeby dostrzegała wszystkie potrzeby posiadłości. Jeżeli jakiś dach we wsi przeciekał, to ona miała zapewnić, że zostanie naprawiony. Jeśli zbiory były słabe, to ona musiała się zastanowić dlaczego.

Stała się, praktycznie rzecz biorąc, najstarszym synem swego ojca.

Inne młode damy mogły czytywać poezje romantyczne i tragedie Szekspira. Billie czytała traktaty na temat zarządzania przedsiębiorstwem rolniczym.

I uwielbiała je. Naprawdę. Były dla niej najlepszą lekturą.

Trudno jej było sobie wyobrazić życie, jakie by jej bardziej odpowiadało; przyznawała jedynie, że byłoby jej o wiele łatwiej robić to wszystko... bez gorsetu.

Mimo że to bolało jej matkę.

– Wysłałam w pole, żeby sprawdzić nawadnianie – tłumaczyła teraz matce Billie. – W sukni byłoby to naprawdę niepraktyczne!

– Przecież nic nie mówiłam... – odpowiedziała lady Bridgerton, chociaż wszyscy wiedzieli, o czym myślała.

– Już nie mówiąc o tym, jak trudno jest włączyć na drzewo w długiej sukni – wtrącił Andrew.

To zainteresowało matkę Billie.

– Wchodziła na drzewo?

– Ratowała jakiegoś kotka – potwierdził Andrew.

– Należy przypuszczać – odezwał się George zdecydowanym głosem – że gdyby miała na sobie suknię, nie próbowałyby tam włączyć.

– A co się stało temu kotu? – spytała Georgiana.

Billie spojrzała na siostrę. Niemal zapomniała, że ona też tu jest. A już na pewno zapomniała o kocie.

– Nie mam pojęcia.

Georgiana pochyliła się do przodu, niecierpliwie patrząc swoimi błękitnymi oczyma.

– Jak to, przecież go uratowałaś?

– Jeżeli nawet – stwierdziła Billie – to zupełnie wbrew jego

chęciom.

– To było wyjątkowo niewdzięczne stworzenie – potwierdził George.

Ojciec Billie zachichotał na ten opis i klepnął George'a po męsku w plecy.

– George, chłopie, musisz się napić. Potrzebujesz tego: tyle się natrudziłeś!

Billie aż otworzyła usta.

– On się natrudził?

George uśmiechnął się z zadowoleniem; ale tylko ona to zobaczyła.

Cholerny facet.

– Ta suknia Mary wygląda na tobie bardzo dobrze – stwierdziła lady Bridgerton, kierując rozmowę na tory bardziej odpowiednie dla dam.

– Dziękuję – odparła Billie. – Lubię ten odcień zieleni. – Dotknęła palcami koronki obrzeżającej dekolt. Naprawdę, doskonale do niej pasowała.

Matka spojrzała na nią zdziwiona.

– Lubię ładne suknie – powiedziała dobitnie Billie. – Po prostu nie lubię ich nosić, kiedy to nie jest praktyczne.

– Kot! – przypomniała jej Georgiana.

Billie obrzuciła ją niecierpliwym spojrzeniem.

– Już ci powiedziałam, że nie wiem. Naprawdę to było wyjątkowo wstrętne stworzenie.

– Niezaprzeczalny fakt! – potwierdził George i podniósł w górę kieliszek.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że wznosicie toast za możliwą śmierć tego kotka – oburzyła się Georgiana.

– Ja tego nie robię – odparła Billie i rozejrzała się wokoło w nadziei, że ktoś jej zaoferuje coś do picia. – Ale bardzo bym chciała.

– W porządku, kochanie – mruknęła lady Bridgerton, rzucając młodszej córce pocieszający uśmiech. – Nie martw się tak.

Billie znów spojrzała na Georgianę. Gdyby to do niej matka przemówiła takim tonem, pomyślałaby, że z pewnością straciła zmysły. Ale Georgiana jako dziecko często chorowała i lady Bridgerton nigdy nie nauczyła się traktować jej inaczej niż z ciągłą troskliwością.

– Och, jestem pewna, że kot przeżył tę przeprawę – powiedziała do Georgiany Billie. – Wyglądał na bardzo pewnego siebie. Miał to w oczach.

Andrew obszedł pokój i pochylił się nad ramieniem Georgiany.

– Takie zwierzę zawsze spadnie na cztery łapy.

– Och, przestań! – zawołała dziewczynka, opędzając się od niego, ale było jasne, że się nie gniewa za ten żart. Nikt nie potrafił się gniewać na Andrew. W każdym razie nie na długo.

– Czy są jakieś wiadomości o Edwardzie? – spytała Billie, zwracając się do lady Manston.

Oczy lady Manston zaćmiły się. Potrząsnęła głową.

– Żadnych... od jego ostatniego listu. Tego, który dostaliśmy w zeszłym miesiącu.

– Jestem pewna, że nic mu nie jest – stwierdziła Billie. – To taki utalentowany żołnierz.

– Nie jestem pewien, na ile może się przydać talent, kiedy ktoś ci przystawia lufę do piersi – wtrącił ponuro George.

Billie odwróciła się do niego z błyskiem w oku.

– Proszę go nie słuchać – zwróciła się do lady Manston. – Nigdy nie był żołnierzem.

Lady Manston obdarzyła Billie uśmiechem, a jej twarz, wyrażała zarazem smutek, słodycz i miłość.

– Myślę, że może chciałby nim być – rzekła, patrząc na swojego najstarszego. – Nieprawdaż, George?

George z trudem przyoblekł twarz w maskę obojętności. Matka myślała prawidłowo, jak zawsze. Była jednak kobietą i nigdy nie potrafiłaby zrozumieć, co to znaczy walczyć za króla i ojczyznę. Nigdy też nie zrozumie, co dla niego znaczyło nie robić tego.

– Nieważne, czego chciałem – powiedział opryskliwie i wypił duży haust brandy. A po chwili kolejny. – Byłem potrzebny tutaj.

– I za to jestem ci wdzięczna – oświadczyła matka. Zwróciła się do pozostałych pań z szerokim uśmiechem, ale oczy jej niebezpiecznie błyszczały. – Nie muszę mieć wszystkich synów na wojnie. Oby Bóg dał, żeby ten bezsens się jak najszybciej skończył, zanim Nicholas dorośnie i będzie się musiał zgłaszać...

Początkowo nikt się nie odzywał. Lady Manston mówiła odrobinę za głośno, jej słowa były trochę zbyt ostre. Był to jeden z tych niewygodnych momentów, podczas których nikt nigdy nie wiedział, jak przerwać milczenie. Wreszcie George upił odrobinę brandy i powiedział cicho:

– Walki między mężczyznami zawsze były bezsensowne.

Jego słowa trochę rozproszyły wiszące w powietrzu napięcie, natomiast Billie spojrzała na niego, buntowniczo przechylając głowę.

– Gdyby kobiety mogły rządzić, na pewno robiłyby to o wiele lepiej.

Odpowiedział jej słabym uśmiechem. Próbowwała go sprowokować. On jednak nie chciał jej na to pozwolić.

Tymczasem ojciec Billie dał się złapać na haczyk.

– O, jestem przekonany, że ty byś mogła – powiedział przewrotnie, tak, żeby wszyscy wiedzieli, że wcale tak nie myśli.

– Mogłybyśmy wszystkie – upierała się Billie. – A na pewno nie byłoby tylu wojen!

– Chyba mógłbym się z nią zgodzić – rzekł Andrew i wyciągnął w jej kierunku kieliszek.

– To kwestia dyskusyjna – stwierdziła lady Manston. – Gdyby Pan Bóg chciał, żeby kobiety rządziły i walczyły, stworzyłby je dostatecznie silne, żeby dźwigać miecze i muszkiety.

– Ja umiem strzelać – oświadczyła Billie.

Lady Manston popatrzyła w jej stronę i mrugnęła.

– Taaak... – rzekła przeciągle, jakby rozpatrywała jakiś skomplikowany przypadek naukowy. – Ty... chyba umiesz.

– Zeszłej zimy Billie ubiła jelenia – zauważył lord Bridgerton i wzruszył ramionami, jakby to było coś najnormalniejszego w świecie.

– Naprawdę? – Andrew spojrzał na dziewczynę z podziwem. – Wspaniale!

Uśmiechnęła się.

– Tak, to było wspaniałe.

– Nie mogę uwierzyć, że pozwalasz jej polować – powiedziała lady Manston do lorda Bridgerton.

– Naprawdę myślisz, że byłbym w stanie ją powstrzymać?

– Nikt nie jest w stanie powstrzymać Billie – mruknął George pod nosem. Odwrócił się gwałtownie i poszedł w drugi koniec salonu nalać sobie kolejnego drinka.

Zapadło dłuższe milczenie. Niewygodne, ale George uznał, że tym razem nic go to nie będzie obchodziło.

– A jak tam Nicholas? – spytała lady Bridgerton.

George uśmiechnął się do swojego kieliszka. Ta dama zawsze wiedziała, w jaki sposób zakończyć rozmowę na niewygodne tematy. Pogodnym głosem dodała:

– Zachowuje się na pewno lepiej niż Edmund i Hugo.

– Na pewno nie – odparła lady Manston ze śmiechem.

– Nicholas by nie mógł... – zaczęła Georgiana.

Jej słowa zagłuszył głos Billie.

– Trudno sobie wyobrazić kogoś, kto byłby częściej odsyłany ze szkoły niż Andrew.

Andrew podniósł rękę.

– Ja tylko podtrzymuję tradycję.  
Oczy Georgiany rozszerzyły się.  
– Tradycję Rokesbych?  
– Wszystkich.  
– To nieprawda – wtrąciła Billie.  
– Ależ zapewniam cię, że tak jest! Jeżeli odszedłem ze szkoły za wcześnie, to miałem powód i ty o tym wiesz. Przypuszczam, że gdybym tam wpadł z wizytą, nie chcieliby mnie wypuścić z powrotem.

Billie z wdzięcznością przyjęła kieliszek czerwonego wina, który jej wreszcie podał lokaj, i odpowiedziała Andrew toastem.

– To by tylko oznaczało, że twojego wychowawcę należy pochwalić za zdrowy rozsądek.

– Andrew, daj już spokój tym przesadnym opowieściom – przerwała lady Manston i przewróciła oczyma w stronę lady Bridgerton. – Odsyłali go z Eton kilka razy, ale zapewniam, że nigdy nie został wyrzucony.

– Chociaż się o to bardzo starał – złośliwie zakończyła Billie.

George głośno odetchnął i podszedł do okna. Wpatrywał się chwilę w atramentową czerń nocy.

Może i był nieznośnym świętoszkiem – nieznośnym świętoszkiem, który przypadkiem nigdy nie był odsyłany z Eton ani z Cambridge – ale naprawdę nie miał ochoty słuchać tego niekończącego się przekomarzania Billie z Andrew.

Tak było zawsze. Billie bywała rozkosznie bystra i wtedy Andrew odgrywał rolę nieznośnego szelmy, po czym Billie mówiła coś kompletnie zbijającego z tropu, na co Andrew zaczynał się śmiać i mrugać, w końcu wszyscy się zaśmiewali i mrugali – i tak było zawsze! Ciągle te same głupoty!

Był już tym wszystkim mocno znudzony.

Rzucił okiem na Georgianę, która siedziała zasepiona na – jego zdaniem – najbardziej niewygodnym krzeselku w całym domu. Jak to możliwe, by nikt dotąd nie zauważył, że całkiem ją wyłączono z rozmowy? Billie i Andrew rozświetlali po prostu ten salon swoimi dowcipami i żywotnością, a biedna Georgiana nie



była w stanie wtrącić nawet słówka. Co nie znaczy, żeby próbowała: jak mogłaby z nimi konkurować teraz, kiedy miała tylko czternaście lat?

George przeszedł przez cały salon, stanął obok dziewczynki i pochylił się nad nią.

– Widziałem tego kota... – szepnął w gęstwinę jej rudawych włosów. – Uciekł do lasu.

To oczywiście nie była prawda. Nie miał pojęcia, co się stało z kotem. Jeżeli na świecie w ogóle istnieje sprawiedliwość, to trafił do piekielnego kotła z siarką.

Georgiana poruszyła się, po czym obdarzyła go szerokim uśmiechem, niepokojąco podobnym do uśmiechu jej siostry.

– Och, naprawdę? Bardzo, bardzo ci dziękuję, że mi powiedziałeś...

George, prostując się, spojrzał w kierunku Billie. Ona też go obserwowała z zainteresowaniem i milczącą pretensją, że tak brzydko skłamał. Odpowiedział równie wyniosłym wyrazem twarzy: jego uniesiona brew niemal ją namawiała, żeby zaprzeczyła jego wersji.

Ale nie zrobiła tego. Wzruszyła tylko jednym ramieniem – tak delikatnie, że chyba nikt poza nim tego nie dostrzegł. Następnie znów odwróciła się do Andrew ze swoim zwykłym błyskotliwym wdziękiem. George z powrotem przeniósł uwagę na Georgianę, która najwyraźniej była dziewczynką bystrzejszą, niż dotychczas przypuszczał; teraz obserwowała całą scenę z rosnącą ciekawością, a jej oczy biegały od jednego do drugiego, jakby przypatrując się placowi gry.

Wzruszył ramionami. Tym lepiej. Był zadowolony, że dziewczyna ma rozum. Będzie go potrzebowała, żyjąc z taką rodziną.

Pociągnął następny łyk brandy i zamyślił się do tego stopnia, że tocząca się wokół niego rozmowa docierała do jego świadomości tylko jako monotonne brzęczenie. Był dziś wieczorem wyjątkowo niespokojny. A przecież przebywał w otoczeniu znajomych, drogich mu od zawsze ludzi! Jedyne, czego

pragnął, to...

Nie wiedział, co by to mogło być.

W tym właśnie tkwił problem. Właśnie w tym. Nie wiedział, czego chce, poza tym, że tutaj tego nie było.

Zdał sobie sprawę, że jego życie osiągnęło kolejną głębię banalności.

– George! George?

Zamrugał powiekami. To matka go wołała.

– Lady Frederica Fortescue-Endicott zaręczyła się z hrabią Northwick – powiadomiła go matka. – Słyszałeś o tym?

Ach... więc o tym dzisiaj rozmawiają. Przełknął resztkę brandy.

– Nie słyszałem.

– To najstarsza córka księcia Westborough – mówiła matka do lady Bridgerton. – Wyjątkowo urocza młoda dama.

– Tak, oczywiście! Miła dziewczyna. Ma ciemne włosy, prawda?

– I takie piękne, błękitne oczy... A śpiewa jak ptaszek.

George powstrzymał westchnienie.

Ojciec poklepał go po plecach.

– Księżę dał jej piękny posag – stwierdził, od razu przechodząc do sedna sprawy. – Dwadzieścia tysięcy... i niezłą posiadłość.

– Ponieważ już przegapiłem swoją szansę – odezwał się George z dyplomatycznym, obojętnym uśmiechem – nie ma żadnego pożytku z wymieniania całej listy jej wielu przymiotów.

– Oczywiście, że nie – odparła matka. – Teraz już na to o wiele za późno. Ale gdybyś mnie posłuchał zeszłej wiosny...

Rozległ się gong wzywający na kolację (Bogu dzięki!) i matka najwidoczniej zdecydowała, że nie ma sensu dłużej ciągnąć sprawy kojarzenia małżeństw, gdyż jej następne słowa dotyczyły już tego, jakie będzie menu, a także braku naprawdę dobrych ryb na rynku w tym tygodniu.

George podszedł znów do Billie.

– Mogę...? – spytał cicho i wyciągnął do niej ramiona.

– Och... – wykrzyknęła cicho, chociaż nie potrafił sobie wyobrazić, co ją, u licha, tak zaskoczyło. Przecież w ciągu ostatniego kwadransa nic się nie zmieniło; kto inny miałby ją zanieść do jadalni?

– Jak to elegancko z twojej strony, George – pochwaliła go matka, biorąc pod rękę męża i pozwalając się prowadzić.

Uśmiechnął się sucho.

– Muszę wyznać, że mieć Billie Bridgerton na swojej łasce, to odurzające uczucie.

Lord Bridgerton zachichotał.

– Więc korzystaj, póki możesz, synu! Ta mała nie lubi nic tracić.

– A czy ktokolwiek to lubi? – odparowała Billie.

– Pewnie, że nie – odparł ojciec. – To raczej kwestia tego, z jakim wdziękiem ktoś to przyjmuje.

– Ja na pew...

George wziął ją na rękę.

– Jesteś pewna, że chcesz to zdanie powiedzieć do końca? – mruknął.

Przecież wszyscy wiedzieli, że Billie Bridgerton rzadko przyjmowała swoje klęski z wdziękiem.

Billie zacisnęła wargi.

– Dwa punkty za szczerość – powiedział George.

– A co mam zrobić, żeby zarobić trzy? – rzuciła w odpowiedzi.

Parsknął śmiechem.

– A poza tym – zwróciła się Billie do ojca, najwyraźniej nie mogąc zrezygnować z tego jednego punktu – ja nic nie straciłam.

– Straciłaś kotka – wtrąciła Georgiana.

– I godność – dodał Andrew.

– Teraz za to zarabia trzy punkty – poiedział George.

– Zwichnęłam kostkę!

– Wiemy, kochanie. – Lady Bridgerton poklepała córkę po ramieniu. – Ale już niedługo się lepiej poczujesz. Zresztą sama tak mówiłaś.

George już miał zamiar powiedzieć: „Cztery punkty”, ale Billie spiorunowała go wzrokiem.

– Ani się waż... – burknęła.

– Ale z tobą to takie łatwe...

– Co, żartujemy z Billie? – spytał Andrew, doganiając ich przy wyjściu na korytarz. – Jeżeli tak, to wiedzcie, że zranilibyście mnie do żywego, gdybyście zaczęli beze mnie.

– Andrew! – warknął George.

Andrew położył zdrową rękę na sercu z udaną obrazą.

– Zranilibyście mnie, zranili, zranili, powiadam!

– Czy możemy dzisiaj dać sobie spokój z żartami? – spytała z rozpaczą Billie. – Tylko na ten jeden wieczór?

– Chyba tak – zaczął Andrew – ale... George nie jest nawet w przybliżeniu taki śmieszny...

George już chciał odpowiedzieć, kiedy nagle dostrzegł coś w twarzy Billie. Była zmęczona. I obolała. To, co Andrew wziął za normalne przekomarzanie się, było w istocie błaganiem o pomoc.

Przysunął usta do jej ucha, zniżając głos do szeptu:

– Pewna jesteś, że chcesz być na kolacji?

– Naturalnie! – odparła, najwidoczniej zdenerwowana, że o to pyta. – Dobrze się czuję.

– Ale... nic ci nie jest?

Jej wargi się zacisnęły. A potem zadrżały.

George zwolnił kroku, przepuszczając Andrew przed sobą.

– Billie... to nie wstyd, że musisz odpocząć.

Spojrzała na niego ze smutkiem w oczach.

– Jestem głodna – wyznała.

Skinął głową.

– Wobec tego poproszę, żeby ci podstawili pod stół jakiś niski puf, to będziesz mogła ułożyć tę nogę wyżej.

Billie spojrzała na niego, zaskoczona; przez chwilę przysiągłby, że słyszy szmer jej oddechu.

– To byłoby wspaniałe – powiedziała. – Dziękuję ci.

– Zrobione – zapewnił. – I wiesz co... w tej sukni ci bardzo do twarzy.

– Co takiego?

George nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Sądząc z jej zdumionej miny, ona też nie.

Wzruszył ramionami; chciałby mieć w tej chwili wolną rękę, żeby poprawić halsztuk. Był najwyraźniej za ciasno związany. To przecież zrozumiałe, że powiedział coś miłego na temat jej stroju; chyba tak właśnie postępuje dżentelmen? Poza tym wyglądała tak, jakby potrzebowała niewielkiej zachęty. A ta suknia rzeczywiście wyglądała na niej doskonale.

– Śliczny kolor – zaryzykował. Nie potrafił być czarusem. – Ten kolor... hmm... podkreśla twoje oczy.

– Mam brązowe oczy.

– Wszystko jedno, bardzo je uwydatnia.

Wyglądała na lekko wystraszoną.

– Na miłość Boską, George! Czy kiedykolwiek przedtem mówiłeś damom komplementy?

– Czy kiedykolwiek ktoś je mówił tobie?

Za późno zdał sobie sprawę, jak idiotycznie to zabrzmiało i wymamrotał coś, co miało przypominać przeprosiny, ale Billie już się trzęsała ze śmiechu.

– Och, wybacz – wyjąkała, ocierając oczy ramieniem, ponieważ rękami obejmowała go za szyję. – Jejku, ależ to było śmieszne! Miałaś minę...

O dziwo, George mimo woli się uśmiechnął.

– Chciałem tylko zapytać, czy kiedykolwiek zaakceptowałaś czyjś komplement... – zmusił się do powiedzenia. I dodał: – Bo przecież to oczywiste, że ci je mówili.

– O tak, to oczywiste.

Potrząsnął głową.

– Naprawdę przepraszam.

– Ależ z ciebie dżentelmen – zakpiła.

– To cię dziwi?

– Bynajmniej. Myślę, że wolałbyś umrzeć, niż obrazić damę, nawet niechcący.

– Jestem przekonany, że musiałem cię kiedyś obrazić... przez

te wszystkie lata naszej znajomości.

Machnęła ręką.

– Chyba nie liczę takich rzeczy.

– Muszę przyznać, że dziś wieczorem wyglądasz o wiele bardziej jak dama niż kiedykolwiek.

Spojrzała przenikliwie.

– W tym musi się kryć afront...

– Albo komplement.

– Nie – odparła, udając, że się poważnie nad tym zastanawia – nie myślę, żeby tak było.

Zaśmiał się głośno, gardłowym śmiechem. Po chwili ta wesołość się ograniczyła do lekkiego parsknięcia: zdał sobie sprawę, że takie zachowanie jest mu właściwie obce. Już naprawdę od bardzo dawna nie śmiał się tak szczerze, tak, że aż czuł ten śmiech w całym ciele.

Jak bardzo ten śmiech różnił się od uprzejmych uśmiezków, z jakimi się spotykał w Londynie!

– Kiedyś rzeczywiście ktoś mnie obdarzył komplementem – stwierdziła Billie i dodała ciszej: – Ale wiem, że nie bardzo umiem je przyjmować. A już na pewno nie na temat barwy mojej sukni.

George ponownie zwolnił kroku, następnie skręcił; w głębi korytarza ukazały się drzwi jadalni.

– Nigdy nie przyjeżdżałaś na sezon do Londynu, prawda?

– Wiesz, że nie.

Był ciekaw dlaczego. Mary tam pojechała, a obie z Billie zwykle robiły wszystko razem. Jednak pytanie jej o to byłoby niegrzeczne, zresztą zaraz miała się zacząć kolacja.

– Nie chciałam – oznajmiła Billie.

Pewnie nie zaznaczył wyraźnie, że nie oczekiwał wyjaśnienia.

– Wypadłabym tam beznadziejnie.

– Byłabyś tam tchnieniem świeżego powietrza – skłamała.

Rzeczywiście wypadłaby fatalnie, a ponieważ on byłby pewnie jej opiekunem w towarzystwie, tak, żeby jej karneć był chociaż w połowie zapisany, musiałby bronić jej honoru za

każdym razem, kiedy jakiś bezmyślny młody lord by uznał, że Billie jest niemoralna, tylko dlatego, że zachowywała się nieco zbyt głośno i swobodnie...

To by było naprawdę męczące.

– Wybacz – mruknął i zatrzymał się na chwilę, by poprosić lokaja o znalezienie dla niej niskiego taboretu. – Mogę cię potrzymać, aż on wróci?

– Potrzymać mnie? – powtórzyła, jakby nagle zapomniała po angielsku.

– Coś nie tak? – spytała matka George'a, patrząc na nich z niekłamanym zdziwieniem przez otwarte drzwi. Ona, lady Bridgerton i Georgiana już zajęły miejsca przy stole, a panowie czekali tylko na Billie.

– Proszę – odezwał się George – siadajcie. Poprosiłem lokaja, żeby przyniósł dla Billie coś do ustawienia pod stołem. Tak, żeby mogła na tym oprzeć chorą nogę.

– Bardzo to miło z twojej strony, George – rzekła lady Bridgerton. – Sama powinnam była o tym pomyśleć.

– Kiedyś zdarzyło mi się skrócić kostkę – wyjaśnił, wnosząc Billie do pokoju.

– A mnie nie – odparła lady Bridgerton – chociaż można by pomyśleć, że już teraz znam się na tym doskonale. – Zerknęła w stronę Georgiany. – Chyba jesteś jedynym z moich dzieci, które jeszcze nie złamało sobie żadnej kości ani nie zwichnęło stawu.

– Cóż, taka już jestem – przyznała Georgiana.

– Muszę przyznać – stwierdziła lady Manston, przypatrując się George'owi i Billie ze zwodniczo łagodnym uśmiechem – że wy dwoje tworzycie całkiem ładną parę.

George przeszył matkę ostrym spojrzeniem.

Może i chciała, żeby się ożenił, ale nie powinna była próbować właśnie tego.

– Proszę tak nie żartować – odezwała się Billie; w jej głosie było akurat tyle czułego zwrócenia uwagi, żeby położyć kres takiemu myśleniu. – Kto inny mógłby mnie nieść prócz George'a?

– Niestety! Moja złamana kończyna... – jęknął cicho

Andrew.

– W jaki sposób ją złamałeś? – spytała z zaciekawieniem Georgiana.

Pochylił się do przodu; oczy mu zaślniły.

– Walka wręcz z rekinem...

Billie parsknęła.

– Nieprawda – zaprzeczyła Georgiana, nieprzejęta jego odpowiedzią. – Co naprawdę się wydarzyło?

Andrew wzruszył ramionami.

– Poślizgnąłem się.

Przez chwilę panowało milczenie. Nikt się nie spodziewał czegoś równie prozaicznego.

– Historia z rekinem jest lepsza – stwierdziła w końcu Georgiana.

– Pewnie, że tak! Prawda rzadko bywa tak atrakcyjna, jak byśmy tego chcieli.

– Myślałam, że chociaż spadłeś z masztu – wtrąciła Billie.

– Pokład był śliski – odparł rzeczowo Andrew. A kiedy każdy ze słuchaczy myślał o banalności tego wydarzenia, dodał: – Tak to już jest. Woda... wiecie.

Pojawił się lokaj z niskim, miękkim taboret. Puf nie był tak wysoki, jak chciał George, który jednak nic nie powiedział, uznając, że i tak będzie lepszy dla Billie, niż gdyby siedziała przez całą kolację ze stopą, bujającą się w powietrzu.

– Byłam zaskoczona, że admirał McClellan pozwolił ci się leczyć w domu – mówiła lady Manston, podczas gdy lokaj włożył pod stół, by ustawić taboret. – Co nie znaczy, żebym z tego powodu narzekała! Cudownie jest mieć cię znowu w Crake... to przecież twój dom.

Andrew obdarzył matkę krzywym uśmiechem.

– Wiele pożytku z jednorękiego marynarza to nie masz...

– A co z tymi wszystkimi piratami o drewnianych nogach? – rzuciła Billie, kiedy George sadowił ją na krześle. – Myślałam, że stracić kończynę na morzu to właściwie konieczność.

Andrew w zamyśleniu przechylił głowę na bok.



– Naszemu kucharzowi brakuje jednego ucha.  
– Andrew! – skarciła go matka.  
– Potworne! – stwierdziła Billie z oczyma lśnącymi zachwytem. – Byłeś tam, kiedy to się stało?  
– Billie! – skarciła ją z kolei matka.  
Billie odwróciła się w jej stronę i zaprotestowała:  
– Chyba nie przypuszczasz, że mogłabym słuchać opowieści o bezuchym marynarzu i o nic nie zapytać!  
– Niemniej to nie jest właściwa rozmowa podczas rodzinnej kolacji.

Spotkania Rokesbych z Bridgerstonami były zawsze uważane za „rodzinne”, niezależnie od tego, że nie było między nimi ani kropli wspólnej krwi. W każdym razie nie w ciągu ostatnich stu lat.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie taka rozmowa mogłaby być bardziej właściwa – rzekł Andrew – chyba że wszyscy się wybierzemy do najbliższej karczmy.

– Niestety! – odparła Billie. – Nie wolno mi... o tak późnej porze.

Andrew uśmiechnął się do niej szeroko.

– Oto siedemset trzydziesty ósmy powód, dla którego się cieszę, że się nie urodziłem kobietą.

Billie przewróciła oczyma.

– A w ciągu dnia ci wolno? – spytała ją Georgiana.

– Oczywiście – odparła Billie, choć George zauważył, że jej matka nie robiła w tym momencie wrażenia zadowolonej.

Ani Georgiana. Wyduła wargi i zmarszczyła brwi, a jej spoczywająca na stole ręka zaczęła niecierpliwie bębnić po obrusie.

– Pani Bucket robi naprawdę pyszny pasztet wieprzowy – rzekła Billie. – W każdy czwartek.

– Zapomniałem o tym – szepnął Andrew i aż się lekko wstrząsnął na wspomnienie tych rozkoszy podniebienia.

– Jak mogłeś zapomnieć, do diabła? To po prostu niebo w gębie!

– Zgoda. Musimy tam kiedyś razem zjeść kolację.  
Powiedzmy, w...

– Kobiety są cholernie krwiożercze! – wyrzuciła z siebie Georgiana.  
Lady Bridgerton aż upuściła widelec.  
Billie spojrzała na siostrę z wyrazem ostrożnego zaskoczenia.  
– Przepraszam...?  
– Kobiety... też potrafią być krwiożercze – powtórzyła Georgiana porywczo.  
Widać było, że Billie nie wie, co z tym zrobić. Normalnie George'a bawiłoby jej zmieszanie, ale rozmowa przybrała tak ostry zwrot w dziwacznym kierunku, że poczuł dla niej tylko współczucie.  
A także ulgę, że nie on jeden kwestionuje wypowiedź dziewczynki.  
– To, co powiedziałaś przedtem – wyjaśniała Georgiana – na temat kobiet, i o tym, że prowadziłybyśmy mniej wojen niż mężczyźni... Nie uważam, żeby to była prawda.  
– Och – odparła Billie, już trochę spokojniejsza. To prawda: George też poczuł ulgę. Bo każde inne wytłumaczenie słów, że „kobiety są cholernie krwiożercze” wymagało rozmowy, której nie chciałby prowadzić przy stole.  
A właściwie... nigdzie.  
– A co z królową Mary? – ciągnęła Georgiana. – Nikt nie nazwałby jej miłośniczką pokoju.  
– Nie nazwaliby jej „Krwawą Mary” bez powodu – poparł ją Andrew.  
– Właśnie! – przytaknęła Georgiana z entuzjazmem. – A królowa Elżbieta? Zatopiła całą flotę! Hiszpańską Armadę!  
– Ona tylko kazała swoim mężczyznom zatopić tę flotę – poprawiła ją lady Bridgerton.  
– Ale sama wydawała rozkazy – upierała się Georgiana.  
– Georgiana trafiła w sedno – stwierdził George, zadowolony, że może poprzeć dziewczynkę.  
Ta spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Istotnie – potwierdziła Billie z uśmiechem.

Georgiana była zachwycona.

– Nie miałam zamiaru powiedzieć, że kobiety nie mogą być gwałtowne – rzekła Billie, kiedy dyskusja na temat wyrażenia Georgiany już się zakończyła. – Naturalnie, że możemy takie być, pod warunkiem, że będziemy miały motyw.

– Drzę na samą myśl... – mruknął pod nosem Andrew.

– Gdyby ktoś, kogo kocham, był w niebezpieczeństwie – z naciskiem mówiła Billie – jestem całkiem pewna, że mogłabym zareagować bardzo gwałtownie.

George już od lat się zastanawiał, co by było w takiej chwili.

Coś się zmieniło. Coś się odwróciło. W powietrzu trzeszczała elektryczność, i każdy – wszyscy Rokesby i Bridgertonowie, siedzący przy tym stole – znaleźli się jakby zawieszeni w czasie, jakby czekali na coś, czego żadne z nich nie rozumiało.

Nawet Billie.

George uważnie obserwował jej twarz. Nietrudno było sobie ją wyobrazić jako wojownika, dzikiego, ale opiekuńczego dla tych, których kocha. Czy i on byłby w ich liczbie? Myślał, że raczej tak. Każdy z jego nazwiskiem musiałby być pod jej opieką.

Nikt się nie odezwał. Nikt nawet głośno nie odetchnął; dopiero jego matka roześmiała się – tak cicho, że ten śmiech przypominał westchnienie – a następnie stwierdziła:

– Bardzo przygnębiający temat...

– Nie zgadzam się – miękko zaprotestował George.

Matka chyba go nie dosłyszała. Ale Billie – tak. Rozchyliła wargi i spojrzała na niego z ciekawością i zaskoczeniem swoimi ciemnymi oczyma. Chyba nawet był w tym spojrzeniu cień wdzięczności.

– Nie rozumiem, czemu właściwie rozmawiamy o takich rzeczach – ciągnęła jego matka, absolutnie zdecydowana skierować wszystkich z powrotem na tory lekkiej i zabawnej konwersacji.

Bo to ważne, pomyślał George. Bo to coś znaczy. Bo od lat to nic nie znaczyło, w każdym razie nie dla tych, których za sobą

zostawił. Miał już dosyć bycia bezużytecznym, udawania, że jest cenniejszy od swoich braci... tylko dlatego, że się urodził jako pierwszy.

Utkwił wzrok w talerzu z zupą. Ale całkiem stracił apetyt.

I naturalnie właśnie wtedy lady Bridgerton musiała wyskoczyć z nowiną:

– Musimy urządzić przyjęcie!

*Przyjęcie?*

Billie dokładnie złożyła serwetkę i odłożyła ją na stół; w jej twarzy widać było strach.

– Mamo?

– Domowe przyjęcie – uściśliła jej matka, tak jakby Billie właśnie o to ją pytała.

– O tej porze roku? – zdziwił się ojciec; łyżka z zupą zawisła mu w połowie drogi do ust.

– A dlaczego nie o tej porze?

– Zwykle urządzamy przyjęcia jesienią.

Billie przewróciła oczami. Typowo męskie rozumowanie.

Co nie znaczy, żeby się z nim nie zgadzała. Domowe przyjęcie w Aubrey Hall było w tej chwili ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła. Wszyscy ci obcy ludzie kręcący się po domu... Już nie mówiąc o tym, ile czasu jej zajmie odgrywanie roli posłusznej córki gospodyni przyjęcia! Będzie musiała przez cały dzień chodzić, wciśnięta w niewygodne kiecki, zamiast się zająć tym, co naprawdę ważne, to znaczy zarządzaniem posiadłością.

Próbowała zwrócić na siebie uwagę ojca. Z pewnością zdawał sobie sprawę, że to bezsensowny pomysł, niezależnie od pory roku! Ale on w tej chwili poświęcał uwagę wyłącznie żonie.

No i oczywiście swojej zupie.

– Jesienią nie będzie tu Andrew – podkreśliła lady Bridgerton. – Więc powinniśmy urządzić to przyjęcie teraz.

– Uwielbiam przyjęcia – stwierdził Andrew.

Była to prawda, ale Billie wyczuła, że powiedział to tylko po to, żeby złagodzić napięcie przy stole. Bo takie napięcie istniało. I w dodatku – co czuła całkiem wyraźnie – nikt nie wiedział dlaczego.

– A więc postanowione – oznajmiła matka. – Urządzimy domowe przyjęcie. Takie... nieduże.

– Jak nieduże? – spytała Billie ostrożnie.

– Och, nie wiem. Może... tuzin gości? – zwróciła się lady Bridgerton do lady Manston. – Jak myślisz, Helen?

Nikt się nie zdziwił, kiedy lady Manston odpowiedziała:

– Uważam, że to cudowne. Ale trzeba działać szybko, zanim Andrew będzie musiał wracać na morze. Admirał wyraźnie nam powiedział, że może być w domu tylko podczas rekonwalescencji i ani chwili dłużej!

– Oczywiście... – mruknęła lady Bridgerton. – Powiedzmy... za tydzień?

– Za tydzień? – wykrzyknęła Billie. – Przecież w ciągu tygodnia nawet nie przygotuje się domu na przyjęcie!

– Och, głupstwo. Naturalnie, że się przygotowuje. – Matka rzuciła jej rozbawione, lekceważące spojrzenie. – Po prostu się urodziłam z talentem do takich rzeczy.

– To prawda, kochanie – poparł ją z uczuciem ojciec.

Nie, on mi na pewno nie pomoże, zrozumiała Billie. Jeżeli miała położyć kres temu szaleństwu, będzie to musiała zrobić sama.

– Ale... pomyśl o gościach, mamó – nalegała. – Z pewnością musisz im poświęcić więcej uwagi. A ludzie są zajęci... Mają jakieś swoje plany.

Matka tylko machnęła ręką, jakby to nie miało znaczenia.

– Przecież nie planuję wysyłania zaproszeń na drugi koniec kraju! Jest dość czasu, żeby zaprosić przyjaciół z sąsiednich hrabstw. Albo z Londynu.

– A kogo zaprosisz? – chciała wiedzieć lady Manston.

– Was, oczywiście. Powiedz, że przyjedziecie i że zostanieie z nami! Będzie o wiele zabawniej mieć wszystkich pod jednym dachem.

– To chyba nie jest potrzebne – powiedział z powątpiewaniem George.

– Jasne! – zgodziła się z nim Billie.

Na miłość boską... przecież mieszkają tylko o pięć kilometrów od nich!

George zerknął na nią.

– Och, proszę – powiedziała niecierpliwie. – Chyba się nie obraziliście?

– Ja mógłbym – rzekł Andrew z uśmiechem. – Chyba naprawdę to zrobię, po prostu dla zabawy.

– Poza tym będą Mary i Felix – ciągnęła lady Bridgerton. – Nie wyobrażam sobie przyjęcia bez nich.

– Będzie miło zobaczyć się z Mary – zauważyła Billie.

– A co z Westboroughami? – spytała lady Manston.

George aż jęknął.

– Przecież ten statek już odpłynął, mamó. Czy nie mówiłaś mi dzisiaj, że lady Frederica się zaręczyła?

– Słusznie – odparła matka i dodała po efektownej pauzie: – Ale ma młodszą siostrę...

Billie parsknęła śmiechem, po czym natychmiast z powagą zmarszczyła brwi, ponieważ George skrzywił się ze złością.

Uśmiech lady Manston stał się przerażający:

– ... i kuzynkę.

– Naturalnie, że je ma – mruknął George pod nosem.

Billie już miała wyrazić mu swoje współczucie, kiedy jej matka uznała, że powinna się teraz odezwać:

– Będziemy musieli zaprosić też kilku miłych młodych mężczyzn...

Oczy Billie otwarły się szeroko z przerażenia. Powinna była wiedzieć, że teraz nadchodzi jej kolej. Ostrzegła:

– Mamó, proszę cię, nie...

Ostrzegła? To był raczej rozkaz.

Co nie znaczy, żeby odniósł jakikolwiek skutek wobec entuzjazmu lady Bridgerton.

– Jeżeli tego nie zrobimy, nie będzie nas do pary – rzuciła energicznie. – Nie mówiąc już o tym, że nie młodniejesz.

Billie z zamkniętymi oczami liczyła do dziesięciu. Miała do wyboru: albo to, albo przegryźć matce gardło.

– Czy Felix nie ma czasem brata? – spytała lady Manston.

Billie ugryzła się w język. Lady Manston doskonale przecież

wiedziała, że Felix ma brata. Felix Maynard był mężem jej jedynej córki i lady Manston z pewnością znała zarówno imiona, jak wiek wszystkich jego braci, zanim na akcie ślubu córki wysechł atrament.

– George? – powtórzyła lady Manston. – Ma brata, czy nie ma?

Billie wpatrywała się w lady Manston, zafascynowana. Z podobnego zdecydowania mógłby być dumny każdy generał. Czy to było wrodzone? Czyżby kobiety już z łona matki wyskakiwały z potrzebą łączenia mężczyzn i kobiet w rozkoszne parki? A jeżeli tak, to czy jest możliwe, żeby ona tego uniknęła?

Bo Billie zupełnie nie była zainteresowana kojarzeniem małżeństw – ani dla siebie, ani dla nikogo innego. Jeśli to czyniło z niej jakieś dziwaczne, niekobiece dziwadło, proszę bardzo. Ona najchętniej spędzała czas na dworze, na koniu. Albo na łowieniu ryb w jeziorze. Albo na włożeniu na drzewa...

Albo w ogóle na czymkolwiek.

Nie po raz pierwszy się zastanowiła, co sobie myślał Ojciec Niebieski, kiedy się urodziła dziewczynką. Najwyraźniej najmniej dziewczęcą dziewczynką w historii Anglii. Dzięki Bogu rodzice nie zmuszali jej do debiutu na salonach Londynu, kiedy Mary tam pojechała. To by było żalosne. Ona byłaby tam po prostu... katastrofą.

Poza tym nikt by jej przecież nie chciał.

– George? – powtórzyła lady Manston; w jej głosie dało się odczuć zniecierpliwienie.

George drgnął i Billie zdała sobie sprawę, że właśnie patrzył na nią. Nie była w stanie sobie wyobrazić, co takiego widział w jej twarzy... co myślał, że w niej widzi!

– Tak, ma – potwierdził George, zwracając się do matki. – Ma na imię Henry. Jest o dwa lata młodszy od Felixa, ale on jest...

– Wspaniały! – wykrzyknęła Lady Manston, klaszcząc w dłonie.

– Ale on jest... co? – spytała Billie.

A może raczej skoczyła na niego. Mówili przecież w tej



chwili o jej ewentualnym... zawstydzeniu.

– ...prawie zaręczony – dokończył George. – W każdym razie tak słyszałem.

– O, to się nie liczy, zanim nie będzie oficjalnie ogłoszone – beztrąsko stwierdziła matka.

Billie spojrzała na nią z niedowierzaniem. Takie słowa w ustach kobiety, która planowała ślub córki już w momencie, kiedy Felix pierwszy raz ją pocałował w rękę?

– A więc? Henry Maynard? – spytała lady Bridgerton.

– Naturalnie! – zapewniła lady Manston.

– Myślałam, że ona nawet nie była pewna, czy Felix ma brata – mruknęła Billie pod nosem.

George parsknął śmiechem i Billie poczuła, że zbliża twarz do jej włosów.

– Zakładam się o dziesięć funtów, że znała każdy najmniejszy szczegół jego aktualnego flirtu, jeszcze zanim wymieniła jego nazwisko... – mruknął.

Usta Billie wygięły się w uśmiechu.

– Nie założyłabym się.

– Bystra dziewczynka.

– Jak zawsze.

George znów zachichotał, po czym nagle przerwał. Spojrzenie Billie powędrowało za jego wzrokiem, na drugą stronę stołu. Andrew przyglądał się im z dziwnym wyrazem twarzy, z głową przechyloną na bok i brwiami ściągniętymi w jedną, zamyśloną linię.

– O co chodzi? – spytała, podczas gdy obie matki snuły dalej swoje plany.

Andrew potrząsnął głową.

– Nic, nic.

Wykrzywiła się. Potrafiła w nim czytać jak w otwartej książce. Coś go zastanowiło.

– Nie podoba mi się wyraz jego twarzy – szepnęła.

– Mnie się nigdy nie podoba – zawtórował George.

Spojrzała na niego. Jakie to było dziwne... takie niemądre,

krótkie koleżeństwo z George'em... Zazwyczaj to właśnie z Andrew dzieliła się szeptem rozmaitymi uwagami. Albo z Edwardem. Ale z George'em... nie.

Z George'em – nigdy.

I chociaż przypuszczała, że to dobrze – nie było przecież powodu, żeby ona i George musieli na zawsze pozostać w niezgodzie – nadal jej się to wydawało dziwne. Jakby niewłaściwe.

Życie było lepsze, kiedy się toczyło bez zaskoczeń.  
Naprawdę lepsze.

Billie odwróciła się w stronę matki, zdecydowana uciec przed rosnącym poczuciem niepewności.

– Czy my naprawdę musimy urządzać to przyjęcie? Z pewnością Andrew poczuje się ugoszczony i podziwiany bez obiadu z dwunastu dań i strzelania z łuku na trawniku.

– Nie zapomnij o fajerwerkach i o paradzie – przypomniał jej Andrew. – Możliwe, że zechcę, żeby mnie niesiono w lektyce.

– Ty do tego zachęcasz? – spytała Billie z rozpaczą, wskazując na niego.

George parsknął prosto w zupę.

– Czy i ja będę mogła wziąć w tym udział? – spytała Georgiana.

– Na pewno nie wieczorem – odparła matka – ale może w niektórych zabawach po południu.

Georgiana usiadła z powrotem. Uśmiechała się, jak kot wylizujący śmietankę.

– Wobec tego myślę, że to doskonały pomysł.

– Georgie... – szepnęła do niej Billie.

– Billie... – przedrzeźniła ją siostra.

Billie rozchyliła usta, zaskoczona. Czyżby cały świat się obrócił dookoła własnej osi? Od kiedy to młodsza siostra odpowiada jej w taki sposób?

– To już ustalone, Billie – powiedziała matka tonem niedopuszczającym sprzeciwu. – Urządzamy przyjęcie, a ty na nim będziesz. W sukni.

– Mamo! – krzyknęła Billie.

– To chyba nie jest nierozsądne żądanie – odparła matka, rozglądając się po siedzących przy stole w oczekiwaniu na potwierdzenie.

– Przecież wiem, jak się zachować na domowym przyjęciu...

Boże drogi, co matka myśli? Że co ona zrobi? Usiądzie do stołu w butach do konnej jazdy pod suknią? Będzie biegła z psami myśliwskimi po salonie? Znała zasady. Znała je. I nawet jej one nie przeszkadzały... w odpowiednich warunkach. Ale to, że własna matka uważa ją za tak nieudolną... i że powiedziała to w obecności ludzi, na których Billie najbardziej zależało...

To zabolalo bardziej, niż sobie mogła wyobrazić.

Wtedy jednak zaszło coś najdziwniejszego.

Ręka George'a znalazła jej dłoń i uścisnęła ją. Pod stołem, tam, gdzie nikt tego nie mógł zobaczyć. Billie spojrzała – nie mogła się powstrzymać – ale on już odszedł i mówił coś do swojego ojca... coś o cenie francuskich koniaków.

Billie patrzyła w zupę.

Co za dzień!

Później, tego samego wieczora, kiedy panowie wyszli na swój kieliszek porto, a panie zebrały się w salonie, Billie wymknęła się do biblioteki; marzyła o ciszy i spokoju.

Chociaż nie była zupełnie pewna, że to było „wymknięcie się”. Musiała przecież prosić lokaja, żeby ją zaniósł.

Jednak zawsze lubiła bibliotekę w Crake House. Była mniejsza niż ta w Aubrey Hall i nie tak imponująca. Właściwie niemal przytulna. Lord Manston miał zwyczaj sypiać tu na miękkiej skórzanej kanapie, i teraz, kiedy Billie usadowiła się na poduszkach, zrozumiała go doskonale. Kiedy płonął ogień na kominku, a na kolanach miała zrobiony na drutach kocyk, to miejsce nadawało się idealnie do wypoczynku... zanim rodzice będą gotowi do powrotu do domu.

Nie była jednak śpiąca. Po prostu znużona. To był długi dzień; całe ciało bolało ją po upadku, a matka dziś się okazała szczególnie nieczuła. Nawet Andrew nie zauważył, że Billie się źle czuje, za to George – tak; potem Georgiana zachowała się tak, że

nie można jej było poznać... a potem...

A potem, a potem, a potem. Tyle było tych „potem” tego wieczora, że ich liczba aż przerażała.

– Billie?

Wydała lekki okrzyk i spróbowała się podnieść. W otwartych drzwiach stał George; nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy w słabym świetle świec.

– Przepraszam... – Mocno zacisnęła powieki i starała się złapać oddech. – Zaskoczyłeś mnie.

– Wybacz. Nie miałem takiego zamiaru. – Zajrzał do pokoju. – Dlaczego tu jesteś?

– Potrzebowałam trochę spokoju. – Nadal nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale doskonale sobie potrafiła wyobrazić jego zakłopotanie, zatem dodała: – Nawet ja czasem tego potrzebuję.

Uśmiechnął się blado.

– Nie czujesz się tu jak zamknięta w klatce?

– Wcale! – Pochyliła głowę, jakby potwierdzając odpowiedź.

Chwilę się zastanawiał, po czym rzekł:

– Chcesz, żebym cię tu zostawił w samotności?

– Nie, w porządku – odparła ku swojemu własnemu zaskoczeniu.

Obecność George’a była dziwnie uspokajająca, podczas gdy towarzystwo Andrew albo matki, czy kogokolwiek z pozostałych – na pewno nie.

– Boli cię – stwierdził, wchodząc wreszcie do pokoju.

Skąd wiedział? Nikt inny o tym nie pomyślał. Ale z kolei George był tak uważny, że to było aż niewygodne.

– Tak – odpowiedział sam sobie. Zresztą chyba nie mógł sądzić, że jest inaczej. – Bardzo?

– Nie. Ale więcej niż trochę.

– Powinnaś była dziś wieczorem leżeć.

– Możliwe. Ale dobrze się bawiłam... i chyba było warto.

Miło było widzieć twoją matkę w tak wesołym nastroju.

Przechylił głowę na bok.

– Myślisz, że była wesoła?

– A ty nie?  
– Możliwe, że widząc Andrew... ale jego obecność w jakiś sposób przypomina, że nie ma Edwarda.

– Chyba tak... to znaczy oczywiście wołałaby mieć dwóch synów w domu, ale radość z obecności Andrew z pewnością pomogła zmniejszyć zmartwienie z powodu nieobecności Edwarda.

Usta George'a się zacisnęły.

– Ma przecież dwóch synów w domu.

Billie patrzyła chwilę na niego, zanim...

– O Boże! Strasznie cię przepraszam. Oczywiście. Myślałam po prostu o tych synach, których zwykle nie ma w domu. Ja... dobry Boże, naprawdę, bardzo mi przykro! – Policzki jej płonęły. Dzięki Bogu, w słabym świetle świec nie było tego widać.

Wzruszył ramionami.

– Nie myśl o tym.

A jednak nie powinna była. Nie mogła nie myśleć, jak zraniła jego uczucia – chociaż udawał obojętność.

To było naprawdę szaleństwo: George Rokesby nie dbał o jej dobrą opinię nawet na tyle, żeby się przejmować czymkolwiek, co mówiła.

A jednak w jego wyrazie twarzy było coś...

– Martwi cię to? – spytała.

Wszedł głębiej do pokoju i stanął przy półce, na której stały karafki z dobrą brandy.

– Czy co mnie martwi?

– To, że cię tak zostawili. – Przygryzła wargę. Mogła to jakoś lepiej wyrazić. – No, że zostałeś w domu – uzupełniła – kiedy wszyscy inni się rozjechali.

– Ale ty tu jesteś – podkreślił.

– Tak, ale co ze mnie za pociecha! To znaczy... dla ciebie.

Zachichotał. No, właściwie niezupełnie, ale przez chwilę wciągał nosem powietrze i robił wrażenie rozbawionego.

– Nawet Mary wyjechała do Sussex – dodała Billie, sadowiąc się tak, żeby móc na niego patrzeć.

George nalał sobie kieliszek brandy i odstawił go na bok, żeby zamknąć karafkę.

– Nie mogę żałować własnej siostrze szczęśliwego małżeństwa. W dodatku z jednym z moich najlepszych przyjaciół.

– Oczywiście, że nie możesz. Ja też nie mogę. Ale mimo to za nią tęsknię. A ty jesteś teraz jedynym Rokesbym, który stale tu mieszka.

Przysunął kieliszek do ust, ale nie pił.

– Masz zwyczaj walić prawdę prosto z mostu, co?

Powstrzymała się od odpowiedzi.

– Czy ciebie to martwi? – spytał.

Nie udawała, że nie rozumie pytania.

– W każdym razie nie całe moje rodzeństwo wyjechało.

Georgiana jest nadal w domu.

– Jasne... a ty masz z nią tak wiele wspólnego... – stwierdził ironicznie.

– O, więcej, niż dawniej myślałam – zapewniła go.

To prawda. Georgiana była dawniej chorowitym dzieckiem, o które rodzice stale się martwili; tkwiła w domu, podczas gdy reszta dzieciaków szalała po łąkach.

Billie zawsze lubiła młodszą siostrę; równocześnie jednak nie uważała jej za szczególnie interesującą. Przeważnie zapominała nawet, że siostra jest tutaj. Była między nimi różnica siedmiu lat. Doprawdy, co właściwie mogły mieć ze sobą wspólnego?

Ale w pewnym momencie to wszystko zniknęło. Teraz Georgiana była już prawie dorosła i robiła się coraz bardziej interesująca.

George powinien był coś na to odpowiedzieć; wyglądało jednak, jakby nic nie zauważył, i pomiędzy nimi zaległa cisza, tak długa, że zaczęła być męcząca.

– George? – mruknęła Billie. Przypatrywał się jej w bardzo dziwny sposób. Tak, jakby była łamigłówką... Nie, to nie to. Jakby był głęboko zamyślony, a ona przypadkiem napatoczyła mu się przed oczy.

– George – powtórzyła. – Czy ty jesteś...

Nagle podniósł wzrok.

– Mogłabyś być dla niej miłsza. – A po chwili, jakby nigdy nic, sięgnął po karafkę. – Napijesz się?

– Tak – odparła Billie, chociaż dobrze wiedziała, że większość dam by mu odmówiła. – Co u diabła miałeś na myśli, mówiąc, że mogłabym być dla niej miłsza? Czy kiedykolwiek byłam niedobra?

– Nigdy – zgodził się, wlewając do kieliszka trochę trunku. – Ale po prostu ją ignorujesz.

– To nieprawda.

– Zapominasz o niej – poprawił się. – A to właściwie to samo.

– Och... a ty niby poświęcasz tyle uwagi Nicholasowi!

– Nicholas jest w Eton. Nie mogę mu przecież poświęcać uwagi... stąd.

Podał jej brandy. Zauważyła, że w jej kieliszku było o wiele mniej płynu niż w jego.

– Nie ignoruję jej – mruknęła Billie. Nie miała ochoty być karconą, zwłaszcza przez George'a Rokesby.

Zwłaszcza kiedy miał rację.

– W porządku – powiedział. Zaskoczyła ją ta nagła dobroć. – Jestem pewien, że jest inaczej, kiedy Andrew nie ma w domu.

– A co ma do tego Andrew?

Spojrzał na nią; robił wrażenie nieco zaskoczonego i rozbawionego.

– Naprawdę?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Szału można dostać.

George pociągnął długi łyk, po czym, nawet się nie odwracając w jej stronę, zdołał na nią spojrzeć protekcyjnie.

– Powinien się po prostu ożenić z tobą i byłby spokój.

– Co takiego?

Naprawdę była zdumiona. Co nie znaczy, że nie mogłaby wyjść za Andrew. Zawsze myślała, że pewnego dnia to nastąpi. Albo za Edwarda. Właściwie było jej wszystko jedno, za którego z

nich wyjdzie; to było dla niej to samo. Ale że George w tej chwili mówi o tym w taki sposób...

Wcale się jej to nie podobało.

– Z pewnością wiesz – zaczęła, szybko odzyskawszy równowagę – że Andrew i ja nigdy się nie porozumiemy.

Machnął ręką i przewrócił oczyma.

– Mogłabyś gorzej trafić.

– On też by mógł – odparowała.

Zachichotał.

– To prawda.

– Nie mam zamiaru wychodzić za Andrew – stwierdziła.

W każdym razie jeszcze nie. Ale gdyby poprosił... Pewnie powiedziałyby „tak”. Tego właśnie wszyscy oczekiwali.

George znowu wypił łyk, przyglądając się jej zagadkowo znad brzegu kieliszka.

– A ostatnią rzeczą, jaką chciałabym zrobić – ciągnęła Billie, nie będąc w stanie przerwać – to zaręczyć się z kimś, kto za chwilę się odwróci i odejdzie.

– No, nie wiem – George zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Wiele żon żołnierzy podąża za mężami. A ty jesteś bardziej spragniona przygód niż większość kobiet.

– Mnie się tu podoba.

– W bibliotece mojego ojca? – podchwycił żartobliwie.

– W hrabstwie Kent – uzupełniła. – I w Aubrey Hall. Jestem tutaj potrzebna.

Wydał protekcyjny śmiech.

– Tak, jestem!

– O, jestem pewien, że tak.

Wyprostowała plecy. Gdyby kostka jej tak nie dokuczała, pewnie skoczyłaby teraz na równe nogi.

– Nie masz pojęcia, ile ja tu robię!

– Proszę, nie opowiadaj.

– Czego?

Zrobił obronny ruch ręką.

– Masz takie spojrzenie...



– Jakie spoj...  
– Takie, które mówi, że zaraz wygłosisz dłuższe przemówienie.

Zacisnęła wargi ze złością. Ten protekcjonalizm, lekceważenie...

I wtedy zobaczyła jego twarz. Wyraźnie doskonale się bawił! Naturalnie. Chciał jej zaleźć za skórę. Jak igła. Tępa, zardzewiała igła.

– Och, na litość boską, Billie – odezwał się i oparł o półkę z książkami, po czym parsknął śmiechem. – Czy musisz się gniewać? Przecież wiem, że pomagasz ojcu od czasu do czasu.

Od czasu do czasu? Ona przecież zarządza tym całym cholernym majątkiem! Bez jej pomocy Aubrey Hall dawno by się rozpadło. Ojciec już tylko jej powierzał wszystkie rachunki, a zarządca stajen od dawna przestał protestować, że musi słuchać kobiety. Billie wychowywano tak, jakby była najstarszym synem. Tyle, że nie będzie mogła nic dziedziczyć. W końcu Edmund dorośnie i zajmie należne sobie miejsce. Zresztą jej młodszy brat nie był głupi: szybko się uczył. Wiadomo było, że kiedy dorośnie... pokaże wszystkim w Aubrey, jaki jest zdolny, i wszyscy odetchną z ulgą i powiedzą coś na temat nareszcie przywróconego naturalnego porządku rzeczy.

A Billie już będzie niepotrzebna.

Ktoś ją zastąpi.

Usuną jej sprzed nosa księgi rachunkowe. Nikt jej nie będzie prosił o inspekcję wiosek czy o załatwianie sporów. Edmund będzie lordem całego majątku, a ona? Tylko jego starszą siostrą, istotą, z której się żartuje i trochę żałuje.

O Boże... pewnie powinna jednak wyjść za Andrew.

– Jesteś pewna, że nic ci nie jest? – spytał George.

– Nic – odpowiedziała krótko.

Wzruszył ramionami.

– Nagle zaczęłaś mi wyglądać na chorą.

Bo też poczuła się chora. W końcu dostrzegła swoją przyszłość – i nie zobaczyła w niej nic, co byłoby jasne czy piękne.

Wysączyła resztę brandy.

– Uważaj z tym – ostrzegł ją George; niestety, już po chwili kaszlała, gardło miała nieprzyzwyczajone do mocnego alkoholu. – Lepiej popijać małymi łykami, powoli – dodał.

– Wiem – zdołała odpowiedzieć, świadoma, że to zabrzmiało idiotycznie.

– Naturalnie, wiesz – mruknął.

Nagle poczuła się lepiej.

George Rokesby to nadęty osioł. Wszystko wróciło do normy. Albo... prawie do normy.

Wystarczająco.

Lady Bridgerton rozpoczęła planowanie swojego ataku na sezon towarzyski już następnego ranka. Billie przykuśtykała do małej jadalni na śniadanie, w pełni przygotowana, że zaraz ją zapędzą do jakichś zajęć, ale ku jej wielkiej uldze, a przy tym zdumieniu, matka oznajmiła, że nie będzie potrzebowała pomocy Billie przy planowaniu. Poprosiła tylko, żeby Billie napisała do Mary i Feliksa kartkę z zaproszeniem na przyjęcie. Zgodziła się z wdzięcznością. To na pewno mogła zrobić.

– Georgiana zaofiarowała się mi z pomocą – rzekła lady Bridgerton, dając znak lokajowi, żeby szykował śniadanie. Billie dawała sobie nieźle radę, chodząc o kulach, nie mogłaby jednak przygotować sobie jedzenia przy bocznym kredensie, balansując na dwóch podporach.

Billie spojrzała na młodszą siostrę, wyraźnie zadowoloną z takiego obrotu rzeczy.

– To będzie świetna zabawa – oznajmiła Georgiana.

Billie miała już na końcu języka ciętą odpowiedź, ale się powstrzymała. Sama uważała, że taka zabawa wcale nie musi być świetna, ale nie było powodu, żeby to mówić siostrze i martwić ją. Skoro Georgiana chce spędzić całe popołudnie na wypisywaniu zaproszeń i planowaniu menu, proszę bardzo!

Lady Bridgerton przygotowała tymczasem Billie filiżankę herbaty.

– Jakie masz plany na dzisiaj?

– Nie jestem pewna – odparła Billie, dziękując lokajowi za talerz z jedzeniem. Tęsknie wyjrzała przez okno. Słońce dopiero zaczynało się przedzierać przez chmury; w ciągu godziny poranna mgła powinna już wyparować. Doskonała pogoda... na jazdę na koniu. Na rozmaite pożyteczne zajęcia.

A miała przecież tyle do zrobienia! Jeden z dzierżawców pokrywał dach domu nową strzechą, i chociaż sąsiedzi wiedzieli,

że powinni mu pomóc, Billie podejrzewała, że John i Harry Williamsonowie będą się chcieli od tego wykręcić. Ktoś powinien sprawdzić, czy bracia zrobili to, co obiecali, tak samo jak ktoś powinien się upewnić, czy pola po zachodniej stronie zostały dobrze obsiane i czy ogród różany został przycięty tak, jak sobie tego życzyła matka.

Ktoś powinien... a tymczasem Billie nie miała pojęcia, kto mógłby to zrobić oprócz niej.

Na razie była unieruchomiona tu, w domu, przez tę głupią spuchniętą kostkę – i to nawet nie była jej wina! Dobrze, może trochę... ale z pewnością była to przede wszystkim wina kota, a ta cholera bolała jak szatan – to znaczy stopa, nie kot. Billie była na tyle małostkowa, by mieć nadzieję, że to wredne małe stworzenie też mogłoby coś sobie uszkodzić i kuleć.

Zastanowiła się chwilę. Jeżeli o to idzie...

– Billie? – szepnęła matka, zerkając na nią znad porcelanowej filiżanki z herbatą.

– Chyba nie jestem specjalnie miłą osobą – zastanowiła się głośno Billie.

Lady Bridgerton zakrztusiła się tak, że herbata poszła jej nosem. Widok był niesamowity: Billie nie spodziewała się zobaczyć w życiu czegoś takiego!

– No, to mogłam ci też powiedzieć – rzekła Georgiana.

Billie spiorunowała siostrę wzrokiem i wykrzywiła się, co było – biorąc wszystko pod uwagę – raczej dziecinne.

– Sybillo Bridgerton – rzekła matka uroczyście, tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jesteś absolutnie miłą osobą!

Billie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć; co nie znaczy, żeby miała do powiedzenia coś wybitnie inteligentnego.

– Gdybyś taka nie była – ciągnęła matka, a jej głos podniósł się na wysokość „Nie-waż-się-nawet-myśleć-o-zaprzeczeniu-mi” – to by źle świadczyło o mnie, a ja sobie nie życzę, by ktoś mnie uważał za beznadziejną matkę!

– Naturalnie, że nie – szybko zgodziła się Billie. Bardzo szybko.

– I dlatego powtórzę pytanie – stwierdziła matka. Delikatnie upiła łyk herbaty, patrząc na starszą córkę z podziwu godną obojętnością. – Co masz zamiar dzisiaj robić?

– No... – zaczęła Billie wymijająco. Popatrzyła na siostrę, ale Georgiana najwidoczniej nie chciała jej pomóc. Uniosła tylko ramiona w geście bezradności, co mogło oznaczać wszystko, od „Nie-mam-pojęcia-co-jej-się-stało”, aż do „Twoje-zakłopotanie-bawi-mnie-ogromnie”.

Billie się skrzywiła. Czyż nie byłoby cudownie, gdyby ludzie mówili po prostu to, co myślą?

Odwróciła się do matki, która nadal ją obserwowała z pozornie pogodną miną.

– Cóż... – powiedziała Billie. – Może poczytam książkę.

– Książkę – powtórzyła matka. Delikatnie otarła usta serwetką. – Doskonale.

Billie spojrzała na nią ostrożnie. Przyszło jej na myśl mnóstwo sarkastycznych odpowiedzi, ale mimo pogodnego zachowania matki dostrzegła w jej oczach błysk, który sygnalizował, że lepiej zrobi, jeżeli będzie milczeć.

Lady Bridgerton sięgnęła po czajnik z herbatą. Zawsze na śniadanie wypijała więcej herbaty niż cała jej rodzina razem wzięta.

– Mogłabym ci coś doradzić, jeżeli chcesz – powiedziała.

Książek też czytała więcej niż cała jej rodzina razem wzięta.

– Nie trzeba – odparła Billie, kładąc kielbasę w plasterki. – Ojciec, kiedy w zeszłym miesiącu był w Londynie, kupił ostatni tom Encyklopedii rolnictwa Prescottta. Już powinnam go była zacząć czytać, ale pogoda była taka piękna, że nie miałam okazji.

– Mogłabyś czytać na dworze – zasugerowała Georgiana. – Możemy ci położyć koc na trawie. Albo wynieść krzesło.

Billie bezmyślnie kiwnęła głową, zajęta nabijaniem na widelec plasterka kielbasy.

– To byłoby lepiej, niż zostać w domu...

– Mogłabyś mi pomóc w planowaniu zabaw podczas domowego przyjęcia – zaproponowała Georgiana.

Billie rzuciła jej protekcjonalne spojrzenie.

– Chyba nie.

– Czemu nie, kochanie? – wtrąciła się lady Bridgerton. – To może być zabawne.

– Przecież dopiero co mi powiedziałaś, żebym nie brała udziału w planowaniu przyjęcia.

– Tylko dlatego, że myślałam, że nie masz na to ochoty.

– Bo nie mam.

– Naturalnie – stwierdziła łagodnie matka – ale mogłabyś spędzić trochę czasu z siostrą.

Do diabła. Matka była dobra. Billie przyozdobiła twarz uśmiechem.

– A czy Georgie i ja nie mogłybyśmy robić czegoś innego?

– Jeżeli zdołasz ją przekonać, żeby ci czytała przez ramię twój traktat o rolnictwie... – powiedziała matka, delikatnie poruszając ręką.

Delikatnie! Jak kula karabinowa, pomyślała Billie.

– Mogę pomóc w planowaniu niektórych zabaw – zgodziła się.

– O, to będzie cudowne! – zawołała Georgiana. – I bardzo mi pomoże. Masz przecież o wiele większe doświadczenie w tego rodzaju sprawach ode mnie.

– Właściwie nie – otwarcie przyznała Billie.

– No, ale bywałeś na takich domowych przyjęciach.

– Owszem, ale... – Billie nie zadała sobie trudu skończenia zdania. Georgiana robiła wrażenie tak szczęśliwej... Powiedzieć jej teraz, że zawsze nienawidziła, kiedy matka ją ciągnęła na domowe przyjęcia, to jakby kopnąć maleńkiego szczeniaczka. No, może „nienawidziła” to za mocne słowo, ale na pewno nie bawiła się tam dobrze. Naprawdę nie przepadała za podróżowaniem. Tyle to już o sobie wiedziała.

Poza tym nie lubiła towarzystwa ludzi, których nie znała. Nie była nieśmiała – co to, to nie! Po prostu wolała towarzystwo znajomych.

Ludzi, którzy znali ją.

Takie życie było o wiele prostsze.

– Spójrz na to w ten sposób – poradziła lady Bridgerton zadumanej Billie. – Nie masz ochoty na domowe przyjęcie. W ogóle nie lubisz takich przyjęć. Ale jestem twoją matką i postanowiłam takie przyjęcie urządzić. Dlaczego nie skorzystasz z okazji i nie zrobisz czegoś, żebyś się mogła naprawdę zabawić?

– Ale... ja nie mam zamiaru się na nim bawić.

– Cóż, z pewnością nie będziesz się bawić, skoro masz do tego taki stosunek.

Billie przez chwilę starała się opanować, a także powstrzymać przemożną chęć, żeby walczyć o swój punkt widzenia, bronić się i powiedzieć matce, że nie życzy sobie, żeby do niej mówiła jak do małego dziecka...

– Z przyjemnością pomogę Georgianie – powiedziała sztywno – bylebym miała trochę czasu na czytanie mojej książki.

– Ależ za nic bym nie pomyślała, że mogłabym cię oderwać od twojego Prescottta – mruknęła matka.

Billie spojrzała na nią ostro.

– Nie powinnaś z tego kpić. To przecież książka, która umożliwiła mi poprawienie produktywności Aubrey Hall o całe dziesięć procent! Że nie wspomnę o tym, jak ulepszyła plony na fermach dzierżawców! Teraz jedzą o wiele lepiej, odkąd...

Przerwała. Przełknęła ślinę. Właśnie przed chwilą zrobiła to, czego nie powinna.

Walczyła o swoje.

Broniła siebie.

I zachowywała się jak dziecko.

W ciągu pół minuty pochłonęła tyle jedzenia, ile tylko mogła, po czym wstała i sięgnęła po kule, oparte o stół.

– Gdyby ktoś mnie potrzebował, będę w bibliotece. – A zwracając się do Georgiany, dodała: – I daj mi znać, kiedy ziemia będzie na tyle sucha, żeby można było rozłożyć koc.

Siostra przytaknęła.

– Mamo! – powiedziała Billie do lady Bridgerton, skłaniając głowę zamiast normalnego dygnięcia przed matką po śniadaniu.

Nie mogła tego zrobić, opierając się na kulach.

– Billie! – pożegnała ją matka pojednawczym tonem. I może odrobinę smutnym. – Chciałabym, żebyś nie...

Billie chwilę czekała, aż matka skończy zdanie, jednak lady Bridgerton tylko potrząsnęła głową.

– Nieważne – stwierdziła.

Billie znowu skłoniła głowę i wbiła mocno kulę w podłogę, żeby utrzymać równowagę, opierając się na zdrowej stopie. Mocno stuknęła kulami, podparła się nimi i ruszyła, przerzucając ciężar ciała, aż dotarła do drzwi.

Okropnie trudno było wyjść z godnością... o kulach.

George nadal nie był pewny, jakim cudem Andrew go namówił do towarzyszenia mu w drodze do Aubrey Hall z ranną wizytą; a jednak był tutaj, stał w holu przy głównym wejściu i oddawał kapelusz majordomusowi nazwiskiem Thamesly, który służył u Bridgertonów jeszcze przed narodzinami George'a.

– Dobrze zrobiłeś, żeś się ze mną wybrał, stary – odezwał się Andrew, klepiąc go po ramieniu... o wiele za mocno, niż powinien.

– Nie nazywaj mnie „stary”.

O Boże, jak on tego nienawidził.

Ale Andrew tylko się roześmiał. Naturalnie.

– Bądź sobie kim chcesz, ale dobrze zrobiłeś. Billie pewnie wychodzi z siebie z nudów.

– Powinna się przyzwyczaić, że w życiu czasem się trzeba nudzić – mruknął George pod nosem.

– Masz rację – przyznał Andrew – ale myślałem o jej rodzinie. Bóg raczy wiedzieć, czym się im tak naraziła, że żadne z nich nie umie się nią zająć.

– Mówisz o niej, jakby była małym dzieckiem.

– Dzieckiem? – Andrew się odwrócił, żeby spojrzeć na brata. Jego twarz przybrała wyraz zagadkowo pogodny; George dobrze wiedział, jak bardzo to jest podejrzane. – Wcale nie.

– Panna Bridgerton jest w bibliotece – poinformował ich Thamesly. – Jeżeli panowie zaczekają w saloniku, powiadomię ją o



waszym przyjściu.

– Nie trzeba – odparł Andrew wesoło. – Pójdziemy do niej do biblioteki. Ostatnią rzeczą, jakiej byśmy chcieli, to zmuszać pannę Bridgerton do kuśtykania, jeżeli może tego uniknąć.

– To bardzo miło z pana strony, sir – pochwalił Thamesly.

– Czy bardzo ją boli? – chciał wiedzieć George.

– Trudno mi powiedzieć – odparł dyplomatycznie kamerdyner – ale pogoda jest dziś naprawdę piękna, a panna Bridgerton siedzi w bibliotece...

– To znaczy, że jest bardzo obolała.

– Myślę, że tak, milordzie.

George przypuszczał, że właśnie to było powodem, dla którego dał się Andrew wyciągnąć z cotygodniowego spotkania z zarządcą stajen ich ojca. Wiedział, że kostka Billie z pewnością jeszcze jej bardzo dokucza. Zeszłej nocy była okropnie spuchnięta, mimo że Billie ją obwiązała tą śmieszną różową wstążką. Takie urazy nie goją się w ciągu jednej doby.

A chociaż on i Billie nigdy nie byli w przyjaźni, czuł się odpowiedzialny za jej stan zdrowia, w każdym razie za to, co dotyczyło jej obecnej sytuacji.

Jak brzmiało to stare przysłowie chińskie? „Jeżeli ocalisz komuś życie, będziesz za nie już zawsze odpowiedzialny”? On oczywiście nie ocalił życia Billie, tylko tkwił z nią tam na dachu, i...

I, do diabła, nie miał pojęcia, co to wszystko znaczyło, tyle, że według niego powinien sprawdzić, czy ona się czuje chociaż troszkę lepiej. Mimo że była okropnie nieznośna, to jednak dobrze znosiła trudności... przynajmniej dwa razy lepiej niż inni ludzie.

To po prostu należało zrobić. I tyle.

– Och, Billie! – zawołał Andrew, idąc z bratem w głąb domu.  
– Przyszliśmy cię uratować...

George potrząsnął głową. Nigdy nie pojmie, jak jego brat wytrzymał w marynarce. W ciele Andrew nie było ani jednej poważnej cząsteczki.

– Billieeee!... – wołał dalej, wywodząc jakieś śmieszne trele.

– Gdzieeeee jeeeeesteeeś?

– Jest w bibliotece – przypomniał mu George.

– No pewnie – Andrew wyszczerzył zęby w oślepiającym uśmiechu – ale czy tak nie jest śmieszniej?

Jasne, że nie oczekiwał żadnej odpowiedzi.

– Billie! – zawołał znowu. – O Billiebilliebilliebill...

– Na litość boską! – Głowa Billie wychyliła się przez drzwi biblioteki. Orzechowe włosy miała luźno spuszczone na plecy: fryzura damy, nieplanującej dzisiaj życia towarzyskiego. – Wrzeszczysz tak, że obudziłbyś umarłego. Co tu robisz?

– Czy tak się wita starego przyjaciela?

– Przecież widziałam cię wczoraj wieczorem.

– To prawda, widziałas. – Andrew pochylił się i złożył na jej policzku braterski pocałunek. – Ale musiałaś się beze mnie obywać tak długo! Teraz to musisz nadrobić.

– W twoim towarzystwie? – spytała z powątpiewaniem.

Andrew poklepał ją po ramieniu.

– Naprawdę się ciesz, że masz taką okazję!

George pochylił się w prawo tak, że mógł ją widzieć zza pleców brata.

– Ja go mam udusić, czy ty to zrobisz?

Nagrodziła go chytrym uśmiechem.

– Och, to chyba trzeba zrobić wspólnym wysiłkiem, jak myślisz?

– Czy po to, żebyście mogli się podzielić winą? – spytał Andrew.

– Po to, żebyśmy mogli się podzielić uciechą – poprawiła go Billie.

– Ranisz mnie.

– Zapewniam cię, że z radością. – Skacząc na jednej nodze, przeszła w lewo i spojrzała na George'a. – A pana co tu sprowadza w taki przecudny ranek, lordzie Kennard?

Ten oficjalny tytuł trochę go zaskoczył. Bridgertonowie i Rokesby nigdy tego nie robili w gronie obu rodzin. Nawet teraz nikt nie zwrócił uwagi, że Billie rozmawia sama z dwoma

nieżonatymi panami w bibliotece. Tego rodzaju zachowanie nie byłoby jednak dopuszczalne na nadchodzącym domowym przyjęciu. Wszyscy dobrze wiedzieli, że swobodne maniere w szerszym towarzystwie byłyby naganne.

– Obawiam się, że ściągnął mnie tu mój brat – zauważył George. – Trochę też strach o bezpieczeństwo twojej rodziny.

Zmrużyła oczy.

– Naprawdę?

– No, no, Billie – rzekł Andrew. – Wszyscy wiemy, że nie lubisz siedzieć zamknięta w domu.

– Przyszedłem tu dla jego bezpieczeństwa – dodał George, wskazując głową Andrew. – Chociaż jestem pewien, że każda rana, jaką mogłabyś mu zadać, będzie całkowicie usprawiedliwiona.

Billie się zaśmiała, odrzucając głowę w tył.

– Proszę, wejdźcie do biblioteki. Muszę usiąść.

Podczas gdy George przychodził do siebie po niespodziewanie uroczym widoku rozweselonej Billie, ta wróciła, skacząc na jednej nodze, do najbliższego stolika, unosząc jasnoniebieską spódnicę ponad kostki, żeby jej było łatwiej się poruszać.

– Powinnaś używać kul – zwrócił jej uwagę.

– Nie warto przy takiej krótkiej trasie – odparła, sadowiąc się z powrotem w fotelu. – Poza tym upadły na podłogę... i teraz byłoby mi o wiele trudniej je pozbiierać.

George spojrzał: istotnie, kule leżały bezładnie na podłodze, jedna na drugiej. Schylił się i pozbiierał je, po czym ustawił, opierając o stolik.

– Jeżeli potrzebujesz pomocy – powiedział grzecznie – powinnaś o nią poprosić.

Zamrugła powiekami.

– Nie potrzebowałam pomocy.

Już chciał powiedzieć, żeby nie była taka defensywna, kiedy pojął, że nie o to chodzi. Po prostu stwierdziła fakt. Tak, jak ona to widziała.

Potrząsnął głową. Billie potrafiła być cholernie dosłowna.

– Co to było? – spytała.  
Wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.  
– Co mi chciałeś powiedzieć? – uściśliła.  
– Nic.  
Zacisnęła wargi.  
– Nieprawda. Najwyraźniej miałeś zamiar coś powiedzieć.  
Dosłowna i w dodatku nieustępliwa. Przerazające połączenie.  
– Dobrze spałaś? – spytał uprzejmie.  
– Oczywiście – odparła z lekkim uniesieniem brwi, jakby chciała mu powiedzieć, że doskonale wie, że George zmienił temat. – Mówiłam ci już wczoraj. Nigdy nie mam trudności ze spaniem.  
– Powiedziałaś, że nigdy nie masz trudności z zasypianiem – poprawił, sam zaskoczony, że zapamiętał tę różnicę.  
Wzruszyła ramionami.  
– To przecież to samo.  
– Ból cię nie budził?  
Przyjrzała się własnej stopie, jakby zapomniała, że ją ma.  
– Najwyraźniej nie.  
– Jeżeli wolno mi wam przerwać – odezwał się Andrew, składając Billie ukłon z zabawnym gestem – jesteśmy tu, by zaofiarować naszą pomoc oraz wsparcie w każdej sprawie, jaką uznasz za stosowną.  
Spojrzała na Andrew tak, jak George patrzył zwykle na małe, niezdolne dzieci.  
– Pewien jesteś, że chcecie mi złożyć taką poważną ofertę?  
George pochylił się tak, że jego usta znalazły się na wysokości jej ucha.  
– Pamiętaj, że on używa słowa „my” w sensie pluralis majestatis, a nie jako liczbę mnogą...  
Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.  
– Innymi słowy, nie chcesz w tym brać udziału?  
– W ogóle.  
– Obrażasz tę damę – włączył się Andrew bez cienia protestu w głosie. Wskoczył na jeden z pięknych foteli z wysokim oparciem

i wyciągnął długie nogi tak, że tylko obcaszki jego wysokich butów dotykały dywanu.

Billie obrzuciła go zrozpaczonym spojrzeniem, po czym znów zwróciła się do George'a:

– A ty? Dlaczego tu jesteś?

George usiadł przy stole naprzeciw niej.

– Dla tego samego co on, tylko bez tej hiperboli...

Pomyśleliśmy, że może potrzebujesz towarzystwa.

– Och... – Była wyraźnie zaskoczona jego bezpośredniością.

– Dziękuję. To bardzo ładnie z waszej strony.

– Dziękuję, to bardzo ładnie z waszej strony? – powtórzył

Andrew. – Co się z tobą stało?

– Czy powinnam teraz dygnąć? – spytała, zwrócona do niego twarzą.

– To byłoby urocze – odparł skromnie.

– Ale niemożliwe o kulach.

– No cóż, jeżeli to jakiś problem...

Billie zwróciła się do George'a.

– On jest najwyraźniej idiotą...

Uniósł bezradnie ręce.

– Nie będę się z tobą sprzeczał.

– Oto sytuacja młodszego syna... – westchnął zawiedziony

Andrew.

Billie przewróciła oczami i wskazując głową Andrew, zwróciła się do George'a:

– Nie zachęcaj go.

– Wszyscy zmawiają się przeciwko niemu – ciągnął smętnie Andrew – nie szanują...

George wyciągnął szyję, próbując odcyfrować tytuł czytanej przez Billie książki.

– Co czytasz?

– ...A poza tym – niewzruszenie kontynuował Andrew – najwyraźniej go ignorują.

Billie odwróciła książkę tak, żeby George mógł zobaczyć wypisany złotymi literami tytuł.

– To Encyklopedia rolnictwa Prescottta.  
– Tom czwarty – stwierdził z podziwem. W jego bibliotece były tylko trzy pierwsze tomy.  
– Tak, dopiero co wyszedł – potwierdziła.  
– Chyba rzeczywiście bardzo niedawno, inaczej kupiłbym go podczas ostatniego pobytu w Londynie.  
– Ojciec przywiózł go z ostatniego wyjazdu. Jeżeli chcesz, pożyczę ci, jak przeczytam.  
– O nie, wolę sobie kupić własny egzemplarz.  
– To dobry informator – powiedziała z uznaniem.  
– To chyba najnudniejsza rozmowa, jaką w życiu słyszałem – usłyszeli za sobą głos Andrew.

Nie zwrócili na to uwagi.

– Często czytasz takie książki? – spytał George, wskazując encyklopedię. Zawsze myślał, że damy wolą cieniutkie tomiki poezji albo teksty sztuk Szekspira czy Marlowe’a. W każdym razie jego siostra i matka właśnie to czytały najchętniej.

– Jasne – odpowiedziała i skrzywiła się, jakby już samo takie pytanie było dla niej obrazą.

– Billie pomaga ojcu zarządzać majątkiem – wyjaśnił Andrew, najwyraźniej znudzony kpunami. Podniósł się z fotela i spacerował wzdłuż półek z książkami; w końcu wybrał jedną, najwyraźniej przypadkową. Przejrzał kilka stron, zmarszczył brwi i odłożył książkę z powrotem na półkę.

– Tak... mówiłaś, że mu pomagasz – powiedział George, patrząc na Billie. – To naprawdę niezwykłe.

Billie zmrużyła oczy.

– Ależ wcale nie miałem zamiaru cię obrazić! – pospieszył, zanim zdążyła otworzyć usta i powiedzieć coś nieprzemyślanego.

– To po prostu taka... obserwacja.

Ale ona nie wyglądała na przekonaną.

– Zgodzisz się chyba – mówił dalej – że większość młodych dam nie pomaga swoim ojcom w taki sposób. Stąd twoja... niezwykłość.

– Słowo daję, George – wtrącił Andrew, podnosząc wzrok

znad przeglądanej akurat książki – nawet komplementy mówisz jak skończony osioł.

– Chyba go zabiję... – mruknął George pod nosem.

– Będziesz się musiał ustawić w kolejce – zauważyła Billie.

Ale po chwili ściszyła głos. – Chociaż... on chyba ma trochę racji.

Aż się cofnęła.

– Przepraszam?

– Powiedziałeś to trochę jak... – Machnęła ręką w powietrzu, jakby w ten sposób chciała zakończyć kwestię.

– Jak... osioł? – podpowiedział George.

– Nie! – Odpowiedź padła tak szybko i z takim przekonaniem, że musiał jej uwierzyć. – Po prostu trochę...

Czekał.

– O mnie mówicie? – spytał Andrew, zasiadając w fotelu z książką w dłoni.

– Nie – odpowiedzieli unisono.

– Jeżeli dobrze, to nie mam nic przeciw temu – oświadczył.

George nie zwracał na niego uwagi. Patrzył na Billie.

Zmarszczyła czoło. Między jej brwiami utworzyły się dwie niewielkie fałdki, wygięte w przeciwne strony, jak łuki klepsydry, a wargi miała ułożone w dziobek, niemal jak do pocałunku.

Zdał sobie sprawę, że nigdy jej nie obserwował, kiedy myśli.

A po chwili zrozumiał, że taka obserwacja jest niewiarygodnie ciekawa.

– To, co powiedziałaś, zabrzmiało, jakbyś był trochę... zrozumiaily – dokończyła wreszcie Billie. Mówiła cicho, jakby te słowa były przeznaczone tylko dla uszu ich dwojga. – Ale przypuszczam, że to zrozumiały?

Zrozumiały? Pochylił się naprzód.

– Dlaczego powiedziałaś to w formie pytania?

– Nie wiem.

Znowu usiadł i skrzyżował ręce na piersi, unosząc jedną brew, jakby czekał, że Billie jeszcze coś powie.

– No, dobrze – powiedziała już mniej łaskawie. – Jesteś najstarszym synem, dziedzicem. Jesteś błyskotliwy, przystojny...

aha, żebym nie zapomniała! – Przecież masz prawo do tytułu hrabiego Kennard.

George poczuł, że się uśmiecha.

– Uważasz, że jestem przystojny?

– Przecież właśnie to mówię!

– I błyskotliwy? – mruknął George. – Nie miałem o tym pojęcia.

– Wygłupiasz się jak Andrew – wymamrotała.

Nie wiadomo dlaczego jej słowa sprawiły, że zachichotał.

Oczy Billie zwęziły się i błysnęły.

Lekki uśmieszek George'a zmienił się w szeroki, radosny uśmiech. Na Boga, dokuczanie jej było naprawdę zabawne.

Pochyliła się do przodu – i w tym momencie George zdał sobie sprawę, jak wyraźnie ludzie potrafią mówić przez zaciśnięte zęby.

– Próbowałam być uprzejma – warknęła.

– Bardzo cię przepraszam – powiedział, nie zwlekając.

Zacisnęła wargi.

– Zadałeś mi pytanie. Próbowałam dać ci na nie uczciwą, przemyślaną odpowiedź. Myślałam, że na nią zasługujesz.

No tak... teraz poczuł się rzeczywiście jak osioł.

– Przepraszam – powtórzył; tym razem było to trochę więcej niż tylko wpojona mu od dzieciństwa uprzejmość.

Billie odetchnęła głęboko i lekko przygryzła dolną wargę. George się zorientował, że znowu myślała. To było niezwykle: obserwować, jak ktoś drugi myśli. Czy wszyscy tak wyraźnie ujawniają swoje myśli?

– Cóż, tak cię wychowano – powiedziała w końcu Billie. – Nie można cię bardziej potępiać, niż... – Znowu odetchnęła, ale George był cierpliwy. W końcu Billie znajdzie właściwe słowa.

Rzeczywiście, po kilku chwilach tak się stało.

– Wychowano cię na...

Tym razem przerwała zupełnie nagle.

– Na zarozumialca? – powiedział cicho.

– Na człowieka pewnego siebie – poprawiła; on jednak był



pewien, że jego stwierdzenie było o wiele bliższe tego, co chciała wyrazić. – Ale to nie twoja wina – dodała.

– No i kto teraz jest protekcjonalny?

Rzuciła mu słaby uśmiech.

– Jestem pewna, że ja. Ale to prawda. Nie możesz nic na to poradzić; nie więcej, niż ja nie mogę poradzić na to, że jestem...

Znowu machnęła ręką: to był najwyraźniej jej gest, stosowany w rozmaitych sytuacjach, kiedy chodziło o sprawy, o których się głośno nie mówi.

– ...Że jestem taka, jaka jestem – zakończyła wreszcie.

– Taka, jaka jesteś – powiedział cicho. Musiał to powiedzieć, choć nie wiedział dlaczego.

Podniosła na niego oczy. Siedziała ze spuszczoną głową, a on miał bardzo dziwne wrażenie, że jeżeli nie odwzajemni jej spojrzenia, jeżeli nie uwięzi go we własnych oczach – znowu zacznie patrzeć na swoje splecione dłonie i ta chwila przepadnie na zawsze.

– Czym ty jesteś? – wyszeptał.

Potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia.

– Może ktoś jest głodny? – spytał nagle Andrew.

George aż mrugnął, próbując wyrwać się z tego czegoś... czegoś, co nim owładnęło.

– Bo ja jestem – ciągnął Andrew. – Jak wilk. Wygłodniały. Dziś rano zjadłem tylko jedno śniadanie.

– Jedno śniadanie? – zaczęła Billie, ale Andrew już wstał i podszedł do niej.

Położył dłonie na stole, pochylił się i wymruczał:

– Miałem nadzieję, że zostanę zaproszony na herbatę.

– Naturalnie, że jesteś zaproszony – odparła, ale George czuł, że jest nadal wytrącona z równowagi. Ściągnęła brwi. – Chociaż jest jeszcze trochę za wcześnie...

– Na herbatę nigdy nie jest za wcześnie – oświadczył Andrew. – W każdym razie nie wtedy, kiedy twoja kucharka szykuje kruche ciasteczka. – Odwrócił się do George'a. – Nie

wiem, czego ona do nich używa, ale smakują bosko.

– Masło – wyjaśniła Billie. – Dużo masła.

Andrew przechylił głowę na bok.

– Taaak... to ma sens. Właściwie wszystko smakuje lepiej, jeżeli się do tego doda dużo masła...

– Powinniśmy poprosić Georgianę, żeby się do nas przyłączyła. – Billie sięgnęła po swoje kule. – Mam jej pomóc w planowaniu zabaw na to domowe przyjęcie. – Wywróciła oczyma.

– Rozkaz matki.

Andrew parsknął śmiechem.

– Czy twoja matka w ogóle cię zna?

Spojrzała na niego przez ramię, zirytowana.

– Poważnie, Billie-kózko, co nam każesz robić? Iść na południowe pole i siać jęczmień?

– Dosyć! – skarcił go George.

Andrew odwrócił się, zdziwiony.

– Co to było?

– Zostaw ją w spokoju!

Andrew spojrzał na niego i patrzył tak długo, że George zaczął się zastanawiać, czy naprawdę go zrozumiał.

– To przecież Billie – powiedział w końcu Andrew.

– Wiem. I masz ją zostawić w spokoju.

– George! Potrafię się sama obronić – wtrąciła Billie.

Obrzucił ją spojrzeniem.

– Naturalnie, że potrafisz.

Otworzyła usta, ale chyba nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Andrew patrzył to na nią, to na niego, po czym złożył Billie lekki ukłon.

– Proszę o wybaczenie.

Sztywno kiwnęła głową.

– Może mógłbym być pomocny w tym planowaniu? – zaproponował Andrew.

– W każdym razie na pewno zrobisz to lepiej niż ja – odparła.

– Co do tego nie ma wątpliwości.

Stuknęła go w nogę jedną z kul.

W tym momencie George zdał sobie sprawę, że wszystko wróciło do normy.

A może nie...?

W każdym razie nie dla niego.

*Cztery dni później*

To było po prostu niezwykle... albo nie, raczej inspirujące – uznała Billie – jak szybko się wyzwoliła z tych okropnych kul! Najwyraźniej wszystko to tkwiło tylko w jej mózgu.

Siła. Moc.

Determinacja.

Poza tym bardzo pomagała umiejętność niezwracania uwagi na ból.

Zresztą chyba nie bolało aż tak bardzo, zastanawiała się. Ot, takie strzykanie w kościach. A może raczej przypominało to gwóźdź, wbijany młotkiem w jej kostkę z każdym krokiem.

Nie, żeby to był jakiś wielki gwóźdź. Mały. Właściwie... szpilka.

Billie była zrobiona z dobrego materiału. Wszyscy to mówili.

W każdym razie ból w kostce nie był ani w połowie tak przykry jak otarcia pod pachami od kul. Zresztą na razie nie planowała wielokilometrowych wycieczek. Chciała tylko móc się poruszać po domu i okolicy na własnych, zdrowych nogach.

Niemniej, kiedy szła w stronę saloniku kilka godzin po śniadaniu, jej kroki były o wiele powolniejsze niż zazwyczaj. Czekał tam na nią Andrew – Thamesly ją o tym poinformował. Nie było w tym nic dziwnego: od dnia wypadku przychodził do niej codziennie.

Bardzo to było miłe z jego strony.

Budowali domki z kart; szczególnie perwersyjny wybór tej zabawy należał do Andrew, który przecież jeszcze ciągle miał prawą rękę na temblaku. Ale powiedział, że skoro przychodzi tu, żeby jej dotrzymywać towarzystwa, musi robić coś pożytecznego.

Billie natychmiast mu wytknęła, że budowanie domków z kart trudno zaliczyć do pożytecznych zajęć.

Mając tylko jedną sprawną rękę, potrzebował pomocy przy ustawianiu pierwszych kart, ale potem potrafił stawiać kolejne piętra tak dobrze jak każdy.

A nawet lepiej. Już zapomniała, z jaką pasją i jak doskonale budował domki z kart – i jak się do tego zapalał w trakcie roboty!

Wczorajszy dzień był najgorszy. Kiedy tylko ustawili pierwszy poziom, odsunął ją od budowania. A potem wyrzucił ją w ogóle poza teren „budowy”, skarżąc się, że Billie za mocno oddycha.

W tej sytuacji nie pozostało jej nic innego, jak... kichnąć.

Nastąpiła krótka chwila żalu, kiedy wszystko się rozpadło, jak podczas widowiskowego trzęsienia ziemi, ale wyraz twarzy Andrew był tego wart, nawet jeżeli natychmiast po tym pobiegł do domu.

To jednak było wczoraj, a znając Andrew, wiadomo było, że będzie chciał zacząć jeszcze raz, zbudować jeszcze większy dom... Wobec tego Billie musiała znów pokonać dwa piętra w drodze do salonu. Wystarczy, że Andrew doda jedną czy dwie nowe historyjki do swojego kolejnego mistrzowskiego gmachu.

– Dzień dobry – powiedziała, wchodząc do salonu.

Stał nad talerzem herbatników, jakie ktoś zostawił na stoliku za kanapą. Pewnie pokojówka. Jedna z tych głupszych. Zawsze chichotały, mówiąc o Andrew.

– Wyrzuciłaś kule! – stwierdził z uznaniem. – Gratuluję.

– Dziękuję. – Rozejrzała się po pokoju. Nie dostrzegła George'a. Po tym poranku w bibliotece nie odwiedził jej więcej. Co nie znaczy, żeby tego oczekiwała. Nie byli przecież przyjaciółmi.

Oczywiście, nie byli też wrogami. Ale i nie przyjaciółmi. Nigdy nimi nie byli. Chociaż może troszkę... ostatnio.

– Coś jest nie tak? – spytał Andrew.

Zamrugła.

– Nie, wszystko w porządku.

– Ale się skrzywiłaś.  
– Wcale się nie skrzywiłam.  
Zrobił minę pełną wyższości.  
– Chcesz zobaczyć własną twarz?  
– A przyszedłeś, żeby mnie podnieść na duchu? – zadrwiła.  
– Boże, nie... jestem tutaj wyłącznie dla tych ciasteczek. –  
Sięgnął ręką i wziął kilka kart. – No i może po to, żeby zbudować domek.  
– Nareszcie mówisz uczciwie.  
Roześmiał się i opadł na kanapę.  
– Rzadko ukrywam swoje chęci.  
Billie przyznała mu rację. Oczy jej zabłyśły. W ciągu paru ostatnich dni zjadł nieprawdopodobną ilość maślanych ciasteczek.  
– Byłabyś dla mnie lepsza – ciągnął – gdybyś wiedziała, jakie okropne jest jedzenie na statku.  
– W skali od jednego do dziesięciu?  
– Dwanaście!  
– Bardzo mi przykro – zapewniła. Wiedziała, jak Andrew uwielbia słodczyce.  
– No cóż... wiedziałem, w co się pakuję. – Przerwał i zmarszczył brwi. – Nie, właściwie to nie wiedziałem.  
– Nie poszedłbyś do marynarki, gdybyś wiedział, że tam nie będzie żadnych ciastek?  
Westchnął dramatycznie.  
– Czasem mężczyzna musi sobie ulepić własne ciastko.  
Kilka kart wyleciało jej z ręki.  
– Co takiego?  
– Przypuszczam, że mówiąc o ciastkach, miał na myśli własne przeznaczenie – odezwał się głos od drzwi.  
– George! – wykrzyknęła.  
Z zaskoczeniem? Z zachwytem? Co takiego było w jej głosie? I dlaczego właśnie ona nie mogła tego rozgryźć?  
– Billie... – szepnęła z uprzejmym ukłonem.  
Popatrzyła na niego.  
– Co ty tutaj robisz?

Usta George'a przybrały wyraz, którego w żaden sposób nie można by nazwać uśmiechem.

– Jak zawsze uprzejma...

– No cóż – schyliła się, by pozbierać upuszczone karty, starając się nie nadepnąć na brzeg sukni – nie było cię u nas od czterech dni.

Teraz dopiero się uśmiechnął.

– Czyli... tęskniłaś za mną.

– Nie! – Podniosła na niego oczy, szukając przy tym zgubionego waleta kier. Ten nieznośny mały drań schował się pod kanapą. – Nie bądź śmieszny. Thamesly nie powiedział mi, że tu będziesz. Mówił tylko o Andrew.

– Pilnowałem koni – wyjaśnił George.

Zwróciła spojrzenie na Andrew, zarumieniona ze zdziwienia.

– Przyjechałeś konno?

– No... próbowałem – przyznał.

– Jechaliśmy bardzo powoli – potwierdził George. Nagle oczy mu się zwężyły. – A gdzie twoje kule?

– Nie ma ich – odparła z dumnym uśmiechem.

– To widzę – odparł i skrzywił się. – Kto ci powiedział, że już możesz przestać ich używać?

– Nikt. – Nastroszyła się. Co on sobie myśli, u diabła? Że kim jest? Jej ojcem? Nie, z pewnością nie ojcem. To było zupełnie, jakby...

Uff!

– Wstałam z łóżka – powiedziała przesadnie spokojnie – zrobiłam krok i sama zdecydowałam.

George prychnął.

Cofnęła się.

– Co to miało znaczyć?

– Pozwól, że ci przetłumaczę – odezwał się Andrew z kanapy, na której leżał wyciągnięty jak długi.

– Ja wiem, co to miało znaczyć – przerwała mu Billie.

Odwróciła się do Andrew.

– Potrzebujesz wyjść na powietrze – powiedział.

Proszę, proszę! Jakby sama o tym nie wiedziała! Znowu spojrzała na George'a.

– Błagam, wybacz moją nieuprzejmość. Nie spodziewałam się ciebie.

Uniósł brwi, ale przyjął jej przeprosiny, a kiedy siadła, on usiadł także.

– Musimy go karmić – rzekła, wskazując głową Andrew.

– I poić też? – mruknął George, jakby Andrew był koniem.

– Ej, ja tu jestem! – zaprotestował Andrew.

George sięgnął po wczorajszy egzemplarz „London Timesa”, który, świeżo wygładzony, leżał na stoliku obok.

– Nie przeszkodzi wam, że będę czytał?

– Ależ nie – zapewniła.

Nie liczyła zupełnie na to, że przyszedł, żeby ją zabawiać. Nawet gdyby wpadł właśnie w tym celu. Pochyliła się i klepnęła Andrew po ramieniu.

– Chcesz, żebym zaczęła?

– Proszę – powiedział. – Tylko potem niczego nie ruszaj.

Spojrzała na George'a. Gazeta nadal leżała złożona na jego kolanach, a on sam przypatrywał się im z rozbawieniem i ciekawością.

– Na samym środku stołu – zarządził Andrew.

Zerknęła na niego.

– Despota, jak zawsze.

– Jestem artystą...

– Architektem – wtrącił George.

Andrew spojrzał na niego, jakby zapomniał, że brat jest tutaj.

– Tak – mruknął. – Właśnie tak.

Zsunęła się z krzesła i uklękła przy niskim stoliku, balansując tak, żeby niezbyt mocno obciążać chorą stopę. Wybrała dwie karty z kupki leżącej obok stolika i ustawiła je w kształt litery T.

Ostrożnie cofnęła rękę i zaczęła, żeby sprawdzić, czy są stabilne.

– Pięknie – zauważył George.

Uśmiechnęła się, nie wiadomo dlaczego uradowana z pochwały.



– Dziękuję.

Andrew przewrócił oczyma.

– Przysięgam, Andrew – rzekła, biorąc trzecią kartę i ustawiając kształt litery H zamiast T – kiedy to robisz, stajesz się okropnie irytujący.

– Ale wykonuję pracę do końca.

Billie usłyszała cichy chichot George'a, a następnie szelest otwieranej gazety i składania jej tak, żeby można było wygodnie czytać. Potrząsnęła głową, pewna, że Andrew naprawdę ma wielkie szczęście, że jest jej przyjacielem – i ustawiła następnych kilka kart.

– To ci wystarczy, żeby zacząć? – spytała.

– Tak, dziękuję. Uważaj na stolik, kiedy będziesz wstawiała.

– Czy to ci się właśnie podoba na morzu? – spytała, kuśtykając przez pokój po książkę, po czym usiadła. – To cud, że ktokolwiek z tobą wytrzymuje.

Andrew patrzył z przymrużonymi oczami – nie na nią, ale na budowlę z kart. Ustawił jedną z kart w odpowiednim miejscu.

– Ale wykonuję tę pracę do końca – powtórzył.

Spojrzała na George'a. Obserwował Andrew z dziwnym wyrazem twarzy. Ściągnął brwi, ale nie był zachmurzony. Miał na to zbyt błyszczące i zaciekawione oczy. Za każdym mrugnięciem jego rzęsy opadały w dół jak wachlarze, pełne wdzięku i...

– Billie?

O Boże... przyłapał ją, kiedy na niego patrzyła.

Chwila... właściwie dlaczego na niego patrzyła?

– Przepraszam... – wymamrotała cicho. – Zamyśliłam się.

– Mam nadzieję, że myślałaś o czymś ciekawym...

Zanim odpowiedziała, omal się nie zakrztusiła.

– Właściwie nie...

Poczuła się okropnie, jakby go obraziła, chociaż o tym nie wiedział.

A tego przecież nie chciała.

– On się wtedy staje kimś innym – rzekła, wskazując Andrew. – To dla mnie bardzo niepokojące.

– Nigdy przedtem go takim nie widziałaś?

– Może i tak... – Zastanawiała się, czy usiąść na fotelu, czy na kanapie. W końcu zdecydowała się na kanapę. Andrew siedział teraz na podłodze i nie wyglądało na to, żeby szybko oderwał wzrok od kart. Usiadła, oparła głowę o tył kanapy i wyciągnęła nogi przed siebie. Nie myśląc właściwie, co robi, sięgnęła po pled wiszący na oparciu i przykryła sobie nim stopy. – Ale i tak mnie to niepokoi.

– Jest dziwnie dokładny – stwierdził George.

Zastanowiła się.

– Dziwnie...?

George wzruszył ramionami i wskazał na brata.

– Kto by to o nim pomyślał?

Przez chwilę się zastanawiała, a w końcu uznała, że się z nim zgadza.

– Jest w tym jakiś sens.

– Ja wszystko słyszę, wiecie? – odezwał się Andrew. Ustawił już ponad tuzin kart i teraz odsunął się trochę, by obejrzeć budowlę z kilku stron.

– Przecież niczego nie ukrywaliśmy – powiedział spokojnie George.

Billie z uśmiechem wsunęła palec w ostatnio czytane miejsce książki. Był to jeden z tomów wyposażonych w zakładkę z tasiemki.

– Żebyście wiedzieli – powiedział Andrew, przesuwając się w drugą stronę stołu – że was zabiję, jeżeli mi to zniszczycie.

– Bracie! – zawołał George z przesadną powagą – Staram się prawie nie oddychać.

Billie stłumiła chichot. Rzadko widywała George'a w takim nastroju. Zwykle był tak zirytowany towarzystwem innych, że kompletnie tracił humor.

– To Prescott? – spytał George.

Spojrzała na niego przez ramię.

– Tak.

– Dużo już przeczytałaś.

– To mimo woli, zapewniam. W sumie bardzo nudna lektura. Andrew odezwał się, nie podnosząc wzroku:  
– Czytasz encyklopedię rolniczą i narzekasz, że jest nudna?  
– Och, ostatni tom był wspaniały – zaprotestowała. – Nie mogłam się oderwać.

Nawet nie widząc jego twarzy była pewna, że Andrew w tej chwili przewrócił oczyma. Z powrotem zwróciła się do George'a, który, trzeba przyznać, nieraz kpił z jej doboru lektur.

– To musi być sprawa tematu. Autor chyba był wtedy ogromnie zajęty kompostem.

– No tak, kompost to ważna rzecz – rzekł poważnie George, ale oczy mu błyszczały.

Ale Billie przyjęła to poważnie. Może tylko z lekkim drżeniem ust.

– Kompost to kompost.

– Boże! – jęknął Andrew. – Jeszcze chwila, a wy dwoje doprowadzicie do tego, że zacznę sobie wyrywać włosy z głowy...

Poklepała go po ramieniu.

– Ale nas kochasz.

– Nie drażnij mnie... – ostrzegł.

Spojrzała na George'a.

– Wiesz, on jest bardzo drażliwy...

– Słaby dowcip, Billie – mruknął Andrew.

Roześmiała się lekko i popatrzyła w książkę.

– Wobec tego wróćmy do kompostu...

Próbowała czytać. Naprawdę próbowała. Ale tym razem Prescott był jakiś nudny... w dodatku za każdym razem, kiedy George się poruszył, jego gazeta szeleściła, a wtedy Billie musiała na niego spojrzeć.

I on w końcu spojrzał na nią. A wtedy musiała udawać, że przygląda się temu, co robi Andrew. I rzeczywiście popatrzyła na Andrew, bo widok tego jednorękiego mężczyzny, budującego domek z kart, naprawdę przykuwał uwagę.

Wracaj do Prescottta, skarciła się w duchu. Choćby temat kompostu był nie wiem jak nudny, musi przez to przebrnąć. W

końcu jakoś się jej udało.

Minęła godzina w towarzyskim milczeniu: ona na kanapie z książką, George w fotelu z gazetą, wreszcie Andrew na podłodze, z domkiem z kart. Przebrnęła przez komposty ze słomy, potem przez komposty z torfu, ale kiedy doszła do kwaśnych kompostów, nie mogła już wytrzymać.

Westchnęła i powiedziała niezbyt elegancko:

– Strasznie się wynudziłam.

– Dokładnie tak właśnie należy mówić w towarzystwie – zakpił Andrew.

Spojrzała z ukosa.

– Ty się nie zaliczasz do towarzystwa.

– A George?

George podniósł oczy znad gazety.

Wzruszyła ramionami.

– Chyba też nie.

– Ależ zaliczam się – stwierdził.

Zamrugła. Nie przypuszczała, że ich w ogóle słuchał.

– Zaliczam się – powtórzył; i gdyby Billie nie patrzyła wtedy na niego, nie zauważyłaby... Ale dostrzegła w jego oczach ognisty błysk, gorący i silny: płonął niecałą sekundę, po czym zniknął i George znowu wrócił do gazety.

– Traktujesz Andrew jak brata – powiedział po chwili, przewracając stronę.

– A ciebie traktuję...

Spojrzał na nią.

– Nie jak brata.

Rozchyliła wargi. Nie potrafiła odwrócić od niego wzroku. Ale już po chwili musiała, bo czuła się bardzo dziwnie, więc uznała, że koniecznie musi wrócić do kwaśnych kompostów.

Wtedy jednak George coś powiedział; a może tylko westchnął? Nie mogła się powstrzymać, by znów na niego nie spojrzeć.

Uznała, że ma ładne włosy. Była zadowolona, że ich nie pudrował, w każdym razie nie codziennie. Były gęste, lekko

falujące; gdyby je zapuścił, pewnie by się kręciły. Chrząknęła. Czyż jej pokojówka nie uwielbiała takich włosów? Billie zazwyczaj związywała po prostu włosy z tyłu, czasem jednak chciała mieć bardziej wymyślną fryzurę. Wtedy próbowały na włosach Billie wszystkiego: gorących szczypiec, mokrych wstążek – ale i tak nie były w stanie zakręcić ich w loki.

Podobał się jej też kolor jego włosów. Był jak karmel: ciepły i słodki, przetkany pasemkami złota. Pomyślała, że pewnie czasem zapominał włożyć kapelusz na słońcu... Tak samo jak ona.

Ciekawe, że wszyscy Rokesby mieli dokładnie ten sam kolor oczu, ale włosy we wszystkich odcieniach brązu. Nikt nie był blondynem, nikt rudzielcem, ale chociaż wszyscy mieli włosy ciemne, każde były trochę innej barwy.

– Billie? – odezwał się George tonem pośrednim między rozbawieniem a zmieszaniem.

Do diabła! Znowu ją przyłapał, kiedy mu się przyglądała. Udała, że się uśmiecha.

– Myślałam właśnie, jak ty i Andrew jesteście do siebie podobni – rzekła.

Było w tym trochę prawdy.

Andrew podniósł wzrok znad kart.

– Naprawdę tak uważasz?

Nie, pomyślała, ale powiedziała:

– No... obaj macie niebieskie oczy.

– Tak samo jak połowa Anglików – stwierdził Andrew sucho. Wzruszył ramionami i wrócił do roboty, przygryzając język przed każdym następnym ruchem.

– Matka mówi zawsze, że mamy takie same uszy – zauważył George.

– Uszy? – Billie opadła szczęką. – Nigdy nie słyszałam o nikim, kto by porównywał uszy!

– O ile wiem, nikt tego nie robi... wyjąwszy moją matkę.

– Zwisające płatki – wtrącił Andrew. Nie patrzył na nią, ale dotknął zdrową ręką płatka swojego ucha. – Jej są przyrośnięte.

Billie dotknęła płatka swojego ucha. Nie mogła tego nie

zrobić.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest więcej niż jeden rodzaj...

– Twoje też są przyrośnięte – rzekł Andrew, nie patrząc na nią.

– Skąd wiesz?

– Zwracam uwagę na uszy – odparł obojętnie. – Nie potrafię się powstrzymać.

– Ani ja – zauważył George. – Ale winna jest nasza matka.

Billie kilka razy zamrugła, nadal trzymając w palcach płatek swojego ucha.

– Ja po prostu nie... – Zmarszczyła brwi i spuściła nogi z kanapy.

– Uważaj! – krzyknął Andrew.

Rzuciła mu zirytowane spojrzenie; nie chodziło mu przecież o nią! Nachyliła się do przodu.

Andrew powoli się odwrócił.

– Oglądasz moje uszy?

– Po prostu próbuję zobaczyć różnicę. Mówiłam ci, że nawet nie wiedziałam, że jest więcej niż jeden typ uszu.

Machnął ręką w stronę brata.

– Oglądaj sobie George'a, jeżeli już musisz. Tutaj jesteś za blisko stołu.

– Słowo daję, Andrew – powiedziała, cofając się ostrożnie, aż się znalazła pomiędzy kanapą a stołem – to jest prawdziwa choroba!

– Niektórzy mężczyźni zaczynają pić – odpowiedział ogólnikowo.

George wstał, widząc, że Billie stoi.

– Albo grać w karty – powiedział z półśmiechem.

Billie parsknęła śmiechem.

– Jak myślisz, ile piętér ułożył? – spytał George.

Billie pochyliła się w prawo, ponieważ Andrew zasłaniał jej widok. Jedno, dwa, trzy, cztery...

– Sześć – oznajmiła.

– To fantastyczne.  
Uśmiechnęła się złośliwie.  
– Czy to robi na tobie takie wrażenie?  
– Całkiem możliwe.  
– Przestańcie gadać – prychnął Andrew.  
– Poruszamy powietrze swoimi oddechami – wyjaśniła Billie z powagą, na którą to stwierdzenie bynajmniej nie zasługiwało.  
– Aha, rozumiem.  
– Wczoraj kichnęłam.  
George spojrział na nią z podziwem.  
– I dobrze zrobiłaś!  
– Potrzebuję więcej kart – oznajmił Andrew.  
Powolutku odsunął się od stołu, przeszedł po dywanie na czworakach, jak krab, aż był dostatecznie daleko, żeby wstać, nie ryzykując potrącenia swego dzieła.  
– Już więcej nie mam – powiedziała Billie. – To znaczy jestem pewna, że gdzieś są, ale nie mam pojęcia, gdzie ich szukać. Przyniosłam ci dwie ostatnie talie z pokoju do gry.  
– To nie wystarczy – mruknął Andrew.  
– Możesz poprosić Thamesly’ego – zaproponowała. – Jeżeli ktoś wie, gdzie są, to on.  
Powoli kiwnął głową, jakby sobie musiał to wszystko przemyśleć. Wreszcie powiedział:  
– Musisz się odsunąć.  
Nie zrozumiała.  
– Przepraszam?  
– Nie możesz tu stać. Jesteś za blisko.  
– Andrew – powiedziała spokojnie – chyba oszalałeś.  
– Możesz je strącić.  
– Idź już lepiej – powiedziała.  
– Jeżeli ty...  
– Idź! – huknęli razem ona i George.  
Andrew spojrział na nich złym okiem i wyszedł.  
Billie popatrzyła na George’a, a on na nią.  
I oboje wybuchnęli śmiechem.

– Nie wiem, jak ty – odezwała się wreszcie – ale ja przejdę w drugi koniec pokoju.

– Ale wtedy się przyznasz do przegranej.

Popatrzyła na niego przez ramię i odeszła.

– Wolę to nazwać „samoobroną”.

George zachichotał i poszedł za nią do okna.

– Co za ironia losu – powiedział – że Andrew fatalnie gra w karty.

– Naprawdę?

Zmarszczyła nos. To rzeczywiście było dziwne, ale nie pamiętała, żeby kiedykolwiek grała z Andrew w karty.

– To znaczy we wszystkie gry, w których decyduje los – ciągnął George. – Gdybyś kiedyś potrzebowała pieniędzy, będzie idealnym partnerem. W grze w karty, oczywiście – uzupełnił.

Czuła, że chciał powiedzieć coś śmiesznego, ale dla niej to zabrzmiało okropnie protekcyjnie. Skrzywiła się.

– Co przez to rozumiesz?

Spojrzał na nią, jakby trochę zaskoczony tym pytaniem.

– Tylko tyle, że całkiem szczęśliwie grasz cały czas swoim życiem.

Cofnęła się.

– To absurd.

– Billie, spadłaś z drzewa... i nic.

– Na dach.

Omal się nie roześmiał.

– Więc czy to przeczy temu, co powiedziałem?

– Mogłeś zrobić dokładnie to samo – upierała się. – I właściwie zrobiłeś.

– Och, naprawdę...

– Ja weszłam na drzewo, żeby ratować kota. – Szturchnęła go w ramię. – A ty wszedłeś, żeby ratować mnie.

– Przede wszystkim nie wchodziłem na żadne drzewo. A po drugie... czy ty i kot to to samo?

– Tak... Nie! – Po raz pierwszy była zadowolona, że ma chorą stopę. Inaczej pewnie by tupnęła.



– Co byś zrobiła, gdybym tamtędy nie przechodził? – spytał.  
– Powiedz prawdę, Billie. Co byś zrobiła?  
– Dałabym sobie radę.  
– O, tego jestem pewien. Masz diabelne szczęście. Ale twoja rodzina szalałaby z niepokoju i pewnie całe miasteczko pobiegłoby cię szukać.  
Miał rację, niech to licho! Ale to tylko pogarszało sprawę.  
– Myślisz, że o tym nie wiem? – rzuciła głosem przypominającym syk.  
Wpatrywał się w nią na tyle długo, że poczuła się niezręcznie.  
– Nie – powiedział – nie myślę.  
Głęboko wciągnęła powietrze.  
– Wszystko, co robię, robię dla tutejszych ludzi. Całe moje życie... wszystko. Nawet czytam tę cholerną encyklopedię rolniczą – wskazała leżącą obok książkę. – Tom czwarty. Kto inny by...  
Reszta słów utknęła jej w gardle, tak że dopiero po dłuższej chwili mogła przemówić.  
– Naprawdę uważasz mnie za tak mało opiekuńczą?  
– Nie. – Głos George'a był przerażająco niski i spokojny. – Uważam cię za mało myślącą.  
Cofnęła się.  
– Nie mogę uwierzyć, dlaczego sądziłam, że zaczynamy być przyjaciółmi.  
Nic nie powiedział.  
– Jesteś okropny, George Rokesby. Niecierpliwy, nietolerancyjny i...  
Chwycił ją za ramię.  
– Przestań.  
Szarpnęła się, ale palce George'a zbyt mocno ścisnęły jej rękę.  
– Właściwie dlaczego tu dzisiaj przyszedłeś? Widzisz we mnie wyłącznie wady.  
– Nie bądź niemądra – zganił ją.

– Ale to prawda! – odparowała. – Nie widzisz siebie, kiedy jesteś blisko mnie. Potrafisz się tylko marszczyć i krzywić... w ogóle. Twoje maniery, twój wyraz twarzy... strasznie jesteś krytyczny.

– Bo byłaś zabawna.

Potrząsnęła głową. Czuła się, jakby odkryła coś nowego.

– Krytykujesz wszystko, co mnie dotyczy.

Przysunął się bliżej, nadal trzymając ją za ramię.

– To jest tak dalekie od prawdy, że po prostu śmieszne.

Billie otworzyła usta i wtedy zdała sobie sprawę, że George wyglądał na tak samo zaskoczonego jak ona.

I że stoi bardzo blisko niej. Podniosła do góry podbródek i spojrzała mu w oczy.

Wstrzymała oddech.

– Billie... – wyszeptał i uniósł dłoń tak, że dotknął jej policzka.

*Prawie ją pocałował.*

Dobry Boże! O mało nie pocałował Billie Bridgerton.

Musi stąd wyjść, natychmiast!

– Późno już – mruknął.

– Co?

– Jest już późno. Muszę iść.

– Wcale nie jest późno – odparła, mrugając szybko.

Wyglądała na zmieszaną. – O czym ty mówisz?

Omam nie odpowiedział: „Nie wiem”.

I omam jej nie pocałował. Patrzył z bliska na jej usta i słyszał cichy oddech, a czuł się przy tym tak spragniony, tak pełen uczucia, taki...

Rozpalony.

Modlił się, żeby się nie zorientowała. Z pewnością nikt jej dotąd nie całował. Nie mogła wiedzieć, co się z nim działo.

Ale jej pragnął. Boże, jak bardzo jej pragnął! Uderzyło go to nagle, jak fala: podkradło się i już po chwili zalało tak szybko i silnie, że ledwie był w stanie jasno myśleć.

Nadal jej pragnął.

– George? – powiedziała. – Co ci jest?

Otworzył usta. Musiał nabrać tchu.

Wpatrywała się w niego z ostrożną ciekawością.

– Zbeształeś mnie – przypomniała mu.

Był niemal pewien, że jego umysł jeszcze nie zaczął z powrotem normalnie pracować. Zamrugął, starając się zrozumieć, co mówiła.

– Chcesz, żebym to dalej robił?

Powoli pokręciła głową.

– Niekoniecznie.

Przeczesał palcami czuprynę i spróbował się uśmiechnąć. Najlepsze, co mógł zrobić w tej sytuacji.

Zastanowiła się.

– Jesteś pewny, że nic ci nie jest? Błado wyglądasz.

Błado? Jemu się wydawało, że płonie!

– Przepraszam cię – powiedział. – Chyba jestem nieco...

Jaki? Zmęczony? Głodny? Odchrząknął i zdecydował się:

– Zakręciło mi się w głowie.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Zakręciło ci się w głowie?

– To przyszło tak nagle – powiedział, zresztą zgodnie z prawdą.

Sięgnęła do dzwonka.

– Może powinieneś coś zjeść? A może chcesz usiąść?

– Nie, nie – tłumaczył się głupio. – Już nic mi nie jest.

– Już nic ci nie jest... – powtórzyła, ale brak wiary w to stwierdzenie rzucał się w oczy.

Kiwnął głową.

– I koniec zawrotów głowy.

– Absolutnie.

Przyjrzała mu się w obawie, że zwariował. To było zupełnie możliwe. Ale nie mógł wymyślić innego tłumaczenia.

– Muszę już iść – powiedział. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

Nie zdołał jednak wyjść dostatecznie szybko.

– George, zaczekaj!

Tak blisko... ale się zatrzymał. Musiał.

Nie mógł przecież wyjść z pokoju, kiedy zawołała go dama: to gorzej niż plunąć w twarz królowi! Dobre wychowanie miał we krwi.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że podeszła o parę kroków bliżej.

– Czy nie powinieneś poczekać na Andrew? – spytała.

Odetchnął. Andrew. Naturalnie.

– Przecież będzie potrzebował pomocy, prawda? Żeby wsiąść na konia?

Do jasnej cholery.

Znowu odetchnął.

– Zaczekam.

Billie przygryzła lekko dolną wargę. Z prawej strony. Zdał sobie sprawę, że zawsze przygryzała prawą stronę.

– Nie mam pojęcia, co go zatrzymało tak długo – powiedziała, patrząc na drzwi.

Wzruszył ramionami.

– Może nie mógł odszukać starego Thamesly...

George znowu wzruszył ramionami.

– A może zatrzymała go moja matka? Potrafi być uciążliwa...

Już miał wzruszyć ramionami trzeci raz, ale zdał sobie sprawę, że wygląda to idiotycznie, więc zamiast tego wybrał uśmiech w rodzaju „kto-to-wie”.

– Tak – powiedziała Billie, już nic nie sugerując. – Hmmm...

George założył ręce do tyłu. Wyrzwał przez okno. Spojrzał na ścianę. Ale nie na Billie. Wszędzie, byle nie na Billie....

Nadal pragnął ją pocałować.

Chrząknęła. Udało mu się spojrzeć w stronę jej stóp.

To było krępujące.

Zwariowane.

– Mary i Felix przyjeżdżają za dwa dni – rzekła.

Spróbował uruchomić tę część mózgu, która wiedziała, jak prowadzić rozmowę.

– Przecież chyba wszyscy przyjeżdżają za dwa dni?

– Tak, oczywiście – odparła Billie z wyraźną ulgą, że może odpowiedzieć na normalne pytanie – ale zależy mi tylko na tych dwojgu.

Uśmiechnął się wbrew woli. Jakże to do niej podobne: urządzać przyjęcie i równocześnie nienawidzić każdej jego minuty! Chociaż co prawda nie miała specjalnego wyboru: wszyscy wiedzieli, że to domowe przyjęcie było pomysłem lady Bridgerton.

– Macie pełną listę gości? – spytał.

Oczywiście znał odpowiedź; lista gości była gotowa od paru dni, a zaproszenia wysłane specjalnymi gońcami, z poleceniem

zaczekania na odpowiedź.

Jednak tę ciszę należało czymś wypełnić. Billie już nie siedziała na kanapie z książką w ręku ani on na fotelu z gazetą... Mieli tylko siebie nawzajem – i za każdym razem, kiedy na nią spojrzął, widział jej wargi. Nic, dosłownie nic nie mogło być bardziej niestosownego.

Billie podeszła do biurka i uderzyła ręką w jego blat.

– Księżna Westborough ma być na przyjęciu – oznajmiła. – Matka jest uszczęśliwiona, że księżna przyjęła zaproszenie. Powiedziała, że to było mistrzowskie posunięcie.

– Księżna zawsze oznacza mistrzowskie posunięcie – przyznał niechętnie – i zwykle też wielki kłopot.

Spojrzała na niego.

– Znasz księżnę?

– Byliśmy sobie przedstawieni.

– Wyobrażam sobie, że zostałeś przedstawiony wszystkim ważnym osobom – stwierdziła ze smutkiem.

Chwilę myślał.

– Chyba tak – powiedział. – W każdym razie wszystkim, którzy bywają w Londynie.

Jak większość mężczyzn o jego pozycji, George spędzał co roku kilka miesięcy w stolicy. Właściwie to lubił. Odwiedzał przyjaciół, wiedział o wszystkich wydarzeniach w kraju... Ostatnio nawet oglądał ewentualne narzeczone; był to o wiele większy wysiłek, niż przypuszczał.

Billie znowu przygryzła wargę.

– Jest bardzo imponująca?

– Księżna?

Przytaknęła.

– Nie bardziej niż każda inna księżna.

– George! Wiesz, że nie o to pytam!

– Owszem – odparł, chcąc jej pomóc. – Rzeczywiście jest dość imponująca. Ale ty... – przerwał i spojrzął na Billie.

Naprawdę na nią spojrzął – i w końcu zrozumiał, dlaczego w jej oczach zabrakło w tej chwili zwykłych iskierek. – Denerwujesz

się?

Wyciągnęła chusteczkę z rękawa.

– Nie bądź śmieszny.

– Bo?

– Pewnie, że się denerwuję!

Zdziwiło go to. Denerwowała się? Ona? Billie?

– A o co ci chodzi? – dopytywała się, widząc jego niedowierzanie.

Potrząsnął głową. To było niepojęte... żeby Billie się przyznawała do zdenerwowania, po tym wszystkim, co zrobiła... czego dokonała z szalonym uśmiechem na ustach.

– Zeskoczyłaś z drzewa – powiedział w końcu.

– Nie zeskoczyłam, tylko spadłam – poprawiła go żywo. – Ale co to ma wspólnego z księżną Westborough?

– Nic – stwierdził – poza tym, że trudno mi sobie wyobrazić, żebyś się denerwowała z powodu... – Czuł, że powoli potrząsa głową, a jednocześnie rośnie w nim podziw. Była nieustraszona... Zawsze taka była. – Z powodu czegokolwiek – powiedział w końcu.

Zacisnęła wargi.

– Czy kiedyś tańczyłaś ze mną?

Spojrzał na nią, zdumiony.

– Co?

– Tańczyłaś kiedyś ze mną? – powtórzyła, trochę zniecierpliwiona.

– Bo co? – spytał niepewnie.

– Nie! – odparła. – Nigdy.

– To niemożliwe! – stwierdził. Z pewnością kiedyś z nią tańczył. Znał ją przecież przez całe życie.

Skrzyżowała ramiona.

– Nie umiesz tańczyć? – spytał.

Spojrzała z irytacją.

– Naturalnie, że umiem.

Miał szczerą ochotę ją zabić.

– Może nie tańczę doskonale – ciągnęła – ale całkiem nieźle.

Nie o to chodzi.

George był zupełnie pewien, że dotarli do tego, o co nie chodzi.

– Chodzi o to – ciągnęła – że nigdy ze mną nie tańczyłeś, bo ja nie bywam tam, gdzie się tańczy.

– Może powinnaś?

Skrzywiła się.

– Zwykle chodzę, a nie fruвам w powietrzu; nie umiem flirtować, a kiedy ostatnio próbowałam użyć wachlarza, wsadziłam go komuś w oko. – Skrzyżowała ręce na piersi. – Poza tym naprawdę nie mam pojęcia, jak sprawić, żeby dżentelmen czuł się mądry i silny, i lepszy niż ja.

Zachichotał.

– Jestem całkowicie przekonany, że księżna Westborough jest damą.

– George!

Cofnął się, zaskoczony. Naprawdę była przygnębiona.

– Wybacz – powiedział i przyjrzał się jej dokładnie.

Wyraźnie się wahała, nerwowo skubiąc fałdy spódnicy. Brwi miała zmarszczone. Nigdy przedtem jej takiej nie widział.

Chyba w ogóle nie znał dotąd tej dziewczyny.

– Nie czuję się dobrze w eleganckim towarzystwie – powiedziała cicho. – Nie... nie pasuję do niego.

Wiedział, że lepiej nie żartować, ale nie miał pojęcia, jakich słów powinien użyć. W jaki sposób ma opanować tę trąbę powietrzną? Jak uspokoić dziewczynę, która wszystko robiła dobrze, a potem nagle fatalnie, dla zabawy?

– Doskonale się zachowałam wtedy na kolacji w Crake – powiedział, chociaż wiedział dobrze, że nie o tym mówiła.

– To nieważne – powiedziała niecierpliwie.

– Kiedy jesteś w miasteczku...

– Naprawdę? Masz zamiar porównywać ludzi z miasteczka z księżną? Zresztą tych z miasteczka znam od dziecka. A oni znają mnie.

Odchrząknął.



– Billie, jesteś najbardziej godną zaufania i kompetentną kobietą, jaką znam.

– Ale doprowadzam cię do szału – rzekła po prostu.

– To prawda – przyznał, chociaż to szaleństwo ostatnio przybrało niepokojąco odmienny odcień. – Ale – ciągnął, starając się mówić jak najprecyzyjniej – ty jesteś panną Bridgerton. Córką wicehrabiego. Nie ma powodu, żebyś nie miała wysoko nosić głowy w każdym salonie w tym kraju.

Parsknęła lekceważąco.

– Nie rozumiesz.

– To mi wytłumacz. – Ku własnemu zaskoczeniu zrozumiał, że tak właśnie myśli.

Nie odpowiedziała od razu. Nawet na niego nie patrzyła. Nadal opierała się o stół i wpatrywała we własne dłonie. W końcu zerknęła na niego: wydało mu się, że próbuje ocenić, czy mówił szczerze.

To go oburzyło; ale po chwili dał spokój. Nie był przyzwyczajony, by kwestionowano jego szczerść, ale... to przecież była Billie. Mieli za sobą lata dokuczania sobie nawzajem, szukania w przeciwniku słabych punktów, mało znaczących i bezbronnych.

Ale teraz to się zaczęło zmieniać. Właściwie już się zmieniło, dosłownie w ciągu ostatniego tygodnia. Nie miał pojęcia dlaczego; przecież żadne z nich nie zmieniło się ani na jotę.

Coraz bardziej wzrastał w nim szacunek dla Billie. Och, nadal uważał, że jest strasznie uparta i nierozważna, ale pod tym wszystkim kryło się gorące serce.

Chyba zawsze o tym wiedział. Był tylko za bardzo zajęty tym, że go denerwowała, żeby to dostrzec.

– Billie? – odezwał się cicho, łagodnym głosem.

Podniosła na niego oczy; kącik ust miała żałośnie opuszczony.

– Tu nie chodzi o noszenie wysoko głowy...

Starając się nie okazywać zniecierpliwienia, powiedziała:

– Wiedziałaś, że byłam przedstawiona u dworu?

– Myślałem, że nie odbyłaś debiutu w Londynie...  
– Nie – odchrząknęła – nie po tym, co...  
Drgnął.  
– A co się stało?  
Unikając jego wzroku, odparła:  
– Spowodowałam, że czyjaś suknia stanęła w płomieniach.  
Omal się nie przewrócił.  
– Ty spowodowałaś, że czyjaś suknia stanęła w płomieniach?  
Odczekała przesadnie długą chwilę, jakby już kiedyś odbyła  
tę rozmowę i wiedziała dokładnie, jak długo ona jeszcze potrwa.  
Patrzył na nią, ogłupiały.  
– Spowodowałaś, że czyjaś suknia stanęła w płomieniach...  
– Nie naumyślnie – zapewniła go.  
– Całe szczęście – mówił, mimo woli przejęty. – Myślę, że  
jeżeli ktoś chce...  
– Nie mów tego! – przerwała mu.  
– Jakim cudem nic o tym nie wiedziałem? – dopytywał.  
– Och, płomienie były bardzo małe – powiedziała sztywno.  
– Ale jednak...  
– No i co z tego? – spytała gniewnie. – Podpaliłam czyjąś  
suknię, a dla ciebie najważniejsze, że cię ta plotka ominęła?  
– Wybacz – pospieszył z przeprosinami, ale nie mógł jej nie  
zapytać ostrożnie: – Czy chcesz, żebym zbadał, w jaki sposób  
podpaliłaś tę suknię?  
– Nie – odparła ze złością – nie dlatego ci o tym  
powiedziałam!  
Początkowo chciał z niej dalej żartować, ale wtedy  
westchnęła z takim smutkiem i znużeniem, że George natychmiast  
spoważniał.  
– Billie – powiedział serdecznie i współczująco – nie  
możesz...  
Nie dała mu dokończyć.  
– Nie pasuję do tego modelu, George.  
Istotnie, nie pasowała. Czy kilka dni temu nie myślał  
dokładnie tak samo? Gdyby Billie wyjechała wtedy z jego siostrą

na sezon do Londynu, byłaby to kompletna klęska. Wszystko to, co ją czyniło cudowną i silną, w świecie wyższego towarzystwa byłoby koszmarem.

Pewnie używaliby sobie na niej...

Nie wszyscy byli okrutni – ci lordowie i damy z wyższych sfer. Ale niektórzy... Ich bronią były słowa, których używali jak bagnetów.

– Dlaczego mi o tym powiedziałaś? – spytał nagle.

Otworzyła usta, a w jej oczach dostrzegł ból.

– To znaczy... dlaczego akurat mnie? – powiedział szybko, by nie myślała, że nie chciał tego usłyszeć. – Dlaczego nie Andrew?

Nie odpowiedziała. Nie od razu. A potem wyjaśniła:

– Nie wiem. Ja nie... nie rozmawiamy z Andrew o takich sprawach.

– Niedługo przyjedzie Mary – pocieszył ją.

– Na miłość boską, George – parsknęła – jeżeli nie chcesz ze mną rozmawiać, po prostu mi to powiedz!

– Ależ nie... – rzekł i ujął przegub jej ręki, zanim zdążyła się wyrwać. – Wcale tak nie myślałem. Naprawdę się cieszę, kiedy mogę z tobą rozmawiać – zapewnił. – I chcę cię słuchać. Myślałem tylko, że wolałabyś mieć kogoś innego, kto...

Czekała, aż skończy. Nie potrafił jednak wypowiedzieć słów, jakie miał na końcu języka.

Ktoś, komu zależy...

Bo to było bolesne. I nieważne. A przede wszystkim – prawdziwe.

Jemu naprawdę zależało.

Zależało... i to bardzo.

– Ja... – Słowo mu uciekło, zaginęło w burzy myśli; mógł tylko patrzeć na nią. Patrzeć, jak ona wpatruje się w niego, a on próbuje sobie przypomnieć, jak ma to powiedzieć w ojczystym języku, jak sobie próbuje wyobrazić, które słowa będą właściwe, które ją podniosą na duchu... Wyglądała na taką smutną. I zaniepokojoną. Bardzo mu się to nie podobało.

– Jeżeli chcesz – zaczął powoli, by zebrać myśli – będę na ciebie uważał.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Co masz na myśli?

– Chcę być pewny, że ty... – Tu machnął ręką w powietrzu; niestety żadne z nich nie zrozumiało, co to znaczy. – Że ty... jesteś... że dobrze się czujesz.

– Że się dobrze czuję? – powtórzyła.

– Nie, nie – rzekł, załamany tym, że nie potrafi odpowiednio wyrazić swoich myśli, a tym bardziej przełożyć ich na odpowiednie słowa. – To znaczy po prostu... gdybyś potrzebowała przyjaciela, ja tam będę.

Rozchyliła wargi; widział, jak jej gardło pulsuje, jak wszystkie jej słowa tkwią tam w pułapce... jak więzi tam swoje uczucia.

– Dziękuję ci – powiedziała w końcu. – To jest...

– Tylko nie mów, że to wyraz dobroci z mojej strony – poprosił.

– Dlaczego nie?

– Bo to żadna dobroć. To jest... nie mam pojęcia co – stwierdził w końcu. – Ale nie dobroć.

Uśmiechnęła się. Takim... figlarnym uśmiechem.

– Doskonale – powiedziała. – Nie bywasz dobry?

– Nigdy.

– Czy mogę cię nazwać samolubnym?

– To może byłoby za dużo...

– Zrozumiałym?

Podszedł do niej o krok.

– Kusisz los, Billie.

– Jesteś arogancki. – Ze śmiechem obiegła stół dookoła i znalazła się naprzeciw George'a. – No, George! Nie zaprzeczysz, że taki właśnie jesteś!

W George'u zbudziło się coś diabelskiego. Diabelskiego i gorącego.

– A ciebie? Jak mam cię nazwać?

– Błyskotliwą?  
Przysunął się bliżej.  
– A co byś powiedziała na „irytującą”?  
– Och, ale tylko w oczach obserwatora.  
– Lekkomyślną – poprawił.  
Zrobiła ruch w lewo, kiedy on odsunął się w prawo.  
– Jeżeli wiesz, co robisz, to nie jest lekkomyślność.  
– Spadłaś przecież na dach – przypomniał jej.  
Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.  
– Myślałam, że według ciebie zeskoczyłam!  
Udał, że ją goni, a Billie wołała:  
– Próbowalam ratować kota! Byłam szlachetna!  
– Ja ci pokażę „szlachetną”!  
Pisnęła i odskoczyła.  
Trafiając dokładnie w domek z kart.  
Nie można powiedzieć, żeby rozleciał się z wdziękiem.  
Prawdę mówiąc, Billie też nie. Kiedy kurz opadł, siedziała  
pośrodku stołu, a ruiny dzieła Andrew leżały rozsypane wokół niej,  
jak po wybuchu chińskiego fajerwerku. Podniosła oczy i  
powiedziała bardzo cichutko:  
– Boję się, że nie damy rady ustawić tego z powrotem...  
Potrzęsnała głową w milczeniu.  
Przełknęła ślinę.  
– Chyba sobie znowu uszkodziłam kostkę.  
– Bardzo?  
– Nie.  
– Wobec tego – powiedział – radziłbym ci mówić tylko o tej  
kostce, kiedy Andrew wróci.  
I oczywiście właśnie wtedy brat wszedł do pokoju.  
– Znowu zraniłam sobie kostkę! – jęknęła Billie. – Jak boli!  
George musiał się odwrócić. Był to jedyny sposób, żeby się  
nie roześmiać.  
Andrew stał i patrzył.  
– Znowu... – powiedział w końcu. – Znowu to zrobiłaś.  
– To był taki piękny dom... – powiedziała cicho.

– Trzeba mieć prawdziwy talent – stwierdził ponuro Andrew.  
– O, rzeczywiście! – zawołała radośnie. – Jesteś w tym świetny!

– Miałem na myśli ciebie.  
– Och... – Schowała dumę w kieszeń i uśmiechnęła się. – No dobrze. Nie ma sensu robić czegoś, jeżeli nie masz zamiaru tego zrobić jak najlepiej... zgodzisz się ze mną?

Andrew nic nie powiedział. George miał ochotę klasnąć mu przed nosem. Tylko po to, żeby się upewnić, że nie jest lunatykiem.

– Naprawdę mi przykro – rzekła Billie. – Naprawiłabym to dla ciebie... – Odsunęła się od stołu i wstała, kulejąc. – Chociaż nie wiem jak.

– To przeze mnie – wtrącił nagle George.  
Odwróciła się do niego.  
– Nie musisz brać winy na siebie.  
Podniósł ręce w błagalnym geście.  
– Przecież cię goniłem.  
To wyrwało Andrew z oszołomienia.  
– Ty... ją... goniłeś?  
Do diabła. Tego nie przemyślał.  
– Może nie dosłownie – odparł.  
Andrew zwrócił się do Billie.  
– Naprawdę cię gonił?  
Nie zaczerwieniła się, ale była onieśmielona.  
– Może go jakoś sprowokowałam?  
– Sprowokowałaś? – powtórzył George. – Ty?  
– Bo to naprawdę była wina kota – odparła. – Nigdy bym nie spadła, gdyby moja kostka nie była taka słaba. – Zmarszczyła brwi, zamyślona. – Od tej chwili mogę winić za wszystko to parszywe bydlę!

– Co się tutaj dzieje? – spytał Andrew, obserwując to jedno, to drugie. – Dlaczego się jeszcze nie pozabijaliście?  
– Jest problem: nie mamy szubienicy – mruknął George.  
– Nie mówiąc już o tym, że twoja matka byłaby bardzo

niezadowolona – dodała Billie.

Andrew gapił się na nich z otwartymi ustami.

– Wracam do domu – oświadczył.

Billie zachichotała.

A George'owi... zabrakło tchu.

Widział przecież przedtem, jak Billie chichocze. Widział to tysiąc razy. Ale tym razem było inaczej. Niby brzmiało tak samo, ale kiedy ten lekki śmieszek dotarł do jego uszu...

Był to najbardziej uroczy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał.

I chyba również najbardziej przerażający. Bo miał wrażenie, że wie, co znaczy.

A jeżeli na tym świecie była osoba, w której nie miał się zamiaru zakochać, to właśnie Billie Bridgerton.

Billie nie była pewna, co się stało z jej kostką, kiedy upadła na domek z kart, zbudowany przez Andrew, ale czuła się tylko trochę gorzej niż przedtem, zatem ostatniego dnia przez przyjęciem uznała, że się na tyle dobrze czuje, żeby pojechać konno tyle, że na damskim siodle.

Naprawdę nie miała innego wyboru. Kto, jak nie ona, miałby pojechać na inspekcję zasiewów jęczmienia na zachodnich polach? Tyle, że zsiadanie z konia sprawiało jej wielką trudność, zatem musiała zabrać ze sobą chłopca stajennego. Naturalnie, żadne z nich dwojga nie było z tego zadowolone. Stajenny bynajmniej nie miał ochoty na inspekcję jęczmienia, a Billie – na to, żeby ten chłopak obserwował ją podczas inspekcji.

Uzupełniając ten ponury triumwirat, klacz Billie też nie była w dobrym nastroju. Billie już od dawna nie używała damskiego siodła, którego Argo po prostu nie znosiła.

Zresztą Billie też.

Nie zapomniała co prawda, jak bardzo nie lubi jazdy po damsku, natomiast zupełnie wypadło jej z pamięci, jak okropnie się cierpi następnego dnia, zwłaszcza kiedy się wyjdzie z wprawy. Z każdym krokiem jej prawe biodro i udo przeszywał ostry ból. Zważywszy na kostkę, która nadal mocno dokuczała, prawdziwy cud, że chodząc, nie zataczała się jak pijany marynarz.

A może jednak tak było? Kiedy następnego ranka schodziła na śniadanie, służba przypatrywała się jej bardzo podejrzliwie.

Uznała, że to jednak szczęście w nieszczęściu, że była zanadto obolała, żeby dzisiaj usiąść w siodle. Matka zresztą jej to wyjaśniła, żądając, by Billie została przez cały dzień w Aubrey Hall. Obecnie w domu jest czworo Bridgertonów, stwierdziła, i cała ta czwórka ma stać przy wejściu i witać gości.

Billie stała zatem o pierwszej po południu pomiędzy matką a Georgianą, kiedy we wspnianym powozie, czwórką koni



nadjechała księżna Westborough w towarzystwie córek (jedna zaręczona, druga jeszcze nie) oraz siostrzenicy.

Billie stała także pomiędzy matką a Georgiana o wpół do drugiej, kiedy małą, szybką dwukółką nadjechał Henry Maynard z przyjacielem, sir Reginaldem McVie.

I nadal stała pomiędzy matką a Georgiana dwadzieścia po trzeciej, kiedy pojawili się Mary i Felix, razem ze swymi sąsiadami, Edwardem i Niallem Berbrooke, pochodzącymi z dobrej rodziny, którzy – zupełnie przypadkowo – byli w wieku odpowiednim do małżeństwa.

– Nareszcie! – mruknął lord Bridgerton, prostując kark, kiedy czekali całą czwórką, aż powóz Felixa i Mary się zatrzyma. – Nareszcie ktoś znajomy.

– Znasz Berbrooke'ów, tato? – spytała Georgiana, przechylając się przez stojące między nimi matkę i siostrę.

– Znam Felixa i Mary – wyjaśnił. Spojrzał na żonę. – A kiedy przyjadą Rokesby?

– Na godzinę przed kolacją – powiedziała, nie odwracając głowy. Powóz się zatrzymał i – mimo zmęczenia – wpatrzyła się w jego drzwi.

– A możesz mi przypomnieć, dlaczego mają u nas nocować? – spytał mąż.

– Bo tak będzie o wiele zabawniej.

Lord Bridgerton zmarszczył brwi, ale – bardzo mądrze – uznał, że nie warto dalej pytać.

Ale Billie nie okazała aż takiej wstrzemięźliwości.

– Ja na ich miejscu – odezwała się, obciągając rękawy kwiecistej bawełnianej sukni – wolałabym spać we własnym łóżku.

– Ale nie jesteś – zamknęła dyskusję matka – i przestań się wiercić.

– Nic na to nie poradzę. Ta suknia drapie.

– Ja uważam, że pięknie na tobie wygląda – wtrąciła Georgiana.

– Dziękuję ci – odparła Billie, przez chwilę zakłopotana. –

Nie jestem taka pewna, czy przód jest... – Tu spojrzała na stanik sukni, udrapowany na krzyż, jak szal. Nigdy dotąd nic takiego nie nosiła, ale matka ją zapewniła, że to bardzo stylowa moda od kilku lat.

Czy dekolt nie jest zbyt duży?

Sięgnęła do broszki, spinającej stanik w okolicach talii.

Miała wrażenie, że może to poprawić; wystarczy tylko trochę...

– Zostaw to! – syknęła matka.

Billie westchnęła.

Powóz się nareszcie zatrzymał. Pierwszy ukazał się Felix, z ręką wyciągniętą, by pomóc żonie. Mary Maynard (z domu Rokesby) miała na sobie płócienny podróżny żakiet oraz szal, o którym nawet Billie mogłaby powiedzieć, że był najświeższej mody. Wyglądał na niej naprawdę cudownie, uznała Billie. Mary wyglądała na zadowoloną i radosną, od ciemnoblonde loków aż po czubki elegancko obutych stóp.

– Mary! – zawołała lady Bridgerton, wybiegając jej naprzeciw z rozwartymi ramionami. – Rozkwitłaś!

Georgiana trąciła Billie łokciem.

– Czy to oznacza to, co myślę, że oznacza?

Billie spojrzała na nią zezem i wzruszyła ramionami, co oznaczało: „Nie-mam-pojęcia”. Czyżby Mary była w ciąży? A jeżeli nawet, to jakim cudem matka wiedziała o tym wcześniej niż ona?

Georgiana znowu się przysunęła i szepnęła kątem ust:

– Ona nie wygląda...

– No dobrze, nawet jeżeli jest – odszepnęła jej Billie – to nie od dawna.

– Billie! – wykrzyknęła Mary i podbiegła, by uściskać przyjaciółkę.

– Czy jest coś, co powinnaś mi powiedzieć? – szepnęła jej Billie.

Mary nawet nie siliła się udawać, że nie rozumie.

– Nie wiem, skąd twoja matka wie – odparła.

– A swojej matce powiedziałaś?

– Tak.

– No, więc masz odpowiedź.

Mary się roześmiała, a jej niebieskie oczy, oczy Rokesbych, zmrużyły się, zupełnie jak u George’a, kiedy...

Billie aż mrugnęła. Tylko jedna chwila... co się, u diabła, dzieje? Od kiedy to George zyskał sobie prawo zakłócania jej myśli? Być może te myśli stały się w pewien sposób lepsze niż ostatnio. Ale on nadal był w nich nieproszonym gościem.

Mary, przypomniała sobie. Rozmawiała z Mary. A raczej... to Mary mówiła coś do niej.

– Jak to dobrze, że cię widzę! – mówiła Mary, trzymając w dłoniach obie ręce Billie.

Billie poczuła ciepło i łzy w oczach. Wiedziała, że tęskni za Mary, ale aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy jak bardzo.

– Zgadzam się z tobą – przyznała, z trudem powstrzymując fale emocji w głosie. Nie powinna się zmieniać w fontannę na progu własnego domu.

W ogóle nie powinna się zmieniać w fontannę – kropka. Na Boga, matka posłałaby pewnie po doktora, zanim Billie uroniłaby pierwszą łzę! Bo Billie Bridgerton nie miała zwyczaju płakać.

Po prostu nigdy nie płakała. Co by jej z tego przyszło?

Przełknęła ślinę, co w pewien sposób pomogło jej odzyskać równowagę na tyle, że się uśmiechnęła do Mary i stwierdziła:

– Listy to jednak nie to samo.

Mary przewróciła oczami.

– Zwłaszcza, kiedy się koresponduje z tobą.

– Co takiego? – Billie aż otworzyła usta. – To nieprawda.

Piszę bardzo dobrze.

– O ile w ogóle piszesz – odpaliła Mary.

– Wysłałam do ciebie list co dwa...

– Co trzy.

– ... co trzy tygodnie – dokończyła Billie, starając się podkreślić oburzenie w głosie, by zamaskować fakt, że zmieniła swoje stwierdzenie. – Zawsze.

– Naprawdę powinnaś do nas przyjechać z wizytą –

stwierdziła Mary.

– Wiesz, że nie mogę – odparła Billie.

Mary zapraszała ją do siebie już ponad rok, ale Billie nie była w stanie się ruszyć. Zawsze było coś, co musiała zrobić w gospodarstwie. A poza tym... naprawdę, czy nie większy sens miałyby przyjazd Mary do Kent, gdzie już wszystkich знаła?

– Możesz – zaprzeczyła Mary – tylko po prostu nie chcesz.

– Może w zimie – rzekła Billie – kiedy nie będzie tak dużo do roboty w polu.

Mary uniosła brwi z powątpiewaniem.

– Powinam cię była odwiedzić zeszłej zimy – ciągnęła Billie – ale to nie miałyby sensu. Już wtedy przecież postanowiłam, że spędzisz Boże Narodzenie w rodzinnym domu.

Wyraz twarzy Mary wcale się nie zmienił; jeszcze raz uściśnęła rękę Billie i zwróciła się do Georgiany.

– Na Boga! – zawołała. – Chyba jesteś wyższa co najmniej o siedem centymetrów od czasu, kiedy cię widziałam ostatni raz.

– To niemożliwe – odparła Georgiana z uśmiechem. – Byłaś tu przecież w grudniu.

Mary przypatrzyła się obu siostram.

– Chyba będziesz wyższa od Billie.

– Nie mów tak! – oburzyła się Billie.

– Kiedy to prawda – roześmiała się Mary, którą rozbawiła skrzywiona mina Billie. – Wszyscy będziemy wyżsi od ciebie.

Tu zwróciła się do męża, który właśnie przedstawiał państwu Bridgerton braci Berbrooke.

– Kochanie! – zawołała – czy nie uważasz, że Georgiana ogromnie urosła od czasu, kiedy ją ostatni raz widzieliśmy?

Billie powstrzymała uśmiech, widząc, jak oblicze Feliksa przybiera wyraz kompletnego niezrozumienia; po chwili jednak dokładnie uporządkował mimikę i przybrał pobłażliwy uśmiech.

– Nie mam pojęcia – powiedział – ale skoro tak mówisz, to tak musi być.

Tym razem Billie już nie kryła uśmiechu.

– Billie – zagadnął Felix, podchodząc, żeby się przywitać – i

Georgiana... jak miło was znów widzieć.

Billie dygnęła.

– Pozwól, że ci przedstawię: pan Niall Berbrooke i pan Edward Berbrooke – ciągnął Felix, wskazując stojących przy nim dwóch dżentelmenów o włosach barwy piasku. – Mieszkają niedaleko od nas, w Sussex. Niall, Ned! Oto panna Sybilla Bridgerton i panna Georgiana Bridgerton, przyjaciółki Mary z dzieciństwa.

– Panno Bridgerton... – odezwał się jeden z braci, pochylając się nad jej ręką. – Panno Georgiano...

Drugi z braci Berbrooke powtórzył powitanie, po czym się wyprostował i bardzo serdecznie uśmiechnął. Billie uznała, że przypomina jej szczeniaka, który zawsze bez troski cieszy się życiem.

– Moi rodzice już są? – spytała Mary.

– Jeszcze nie – odparła lady Bridgerton. – Spodziewamy się ich tuż przed kolacją. Twoja matka woli się ubrać w domu.

– A moi bracia?

– Przyjadą razem z rodzicami.

– Tak, to chyba logiczne – rzekła Mary, nieco zawiedziona. – Ale chyba Andrew mógłby przyjechać przed nimi, chociażby po to, żeby się przywitać. Nie widziałam go całe wieki.

– O, on teraz mało jeździ konno – wtrąciła Billie. – Wiesz... jego ręka.

– Musi go to denerwować do szaleństwa!

– Może powinno, gdyby nie wykorzystywał swojego kalectwa najlepiej, jak się da.

Mary się zaśmiała i wyciągnęła do Billie rękę.

– Chodźmy do środka! Ojej... ty kulejesz!

– Taki głupi wypadek – machnęła ręką Billie. – Już prawie wyleczony.

– No, musisz mieć mi mnóstwo do opowiedzenia...

– Właściwie nie – odparła Billie, kiedy wchodziły na schodki. – Nic się tu nie zmieniło. Naprawdę.

Mary rzuciła jej zaciekawione spojrzenie.

– Nic?

– Poza tym, że Andrew jest w domu, wszystko zostało po staremu – wzruszyła ramionami Billie i zastanowiła się, czy powinna być tym rozczarowana. No, może spędziła trochę więcej czasu z George’em, ale trudno by to było zaliczyć do wydarzeń.

– Matka nie próbuje wydać cię za mąż za nowego pastora? – zażartowała Mary.

– Nie mamy nowego pastora, a matka zdaje się chce mnie wydać za brata Feliksa. – Podniosła głowę. – Albo za jednego z tych Berbrooke’ów.

– Henry jest właściwie zaręczony – rzekła Mary zdecydowanie – a ty nie chciałabyś wyjść za któregoś z braci Berbrooke. Zaufaj mi.

Billie zerknęła na przyjaciółkę z ukosa.

– No, no... ciekawe.

– Daruj sobie – skarciła ją Mary. – Nie ma w tym nic nieprzyzwoitego. Ani nawet ciekawego. Obaj są czarujący, ale nudni jak kołki w płocie.

– Chodźmy na górę, do mojego pokoju – zaproponowała Billie i ruszyła w kierunku głównej klatki schodowej. – A wiesz co – dodała przekornie – niektóre kołki bywają naprawdę bardzo ostro zakończone.

– Ale nie bracia Berbrooke.

– To dlaczego ich tu przywiozłaś?

– Bo twoja matka o to błagała! Przesłała mi list na trzy strony.

– Moja matka? – powtórzyła Billie jak echo.

– Tak... Z postscriptum od mojej.

Billie się skrzywiła. Wspólny list od obu dam... tego nie można było zignorować.

– Potrzebowała więcej panów – ciągnęła Mary. – Nie myślę, żeby przewidziała, że księżna Westborough przywiezie swoje dwie córki i jeszcze do tego siostrzenicę. Zresztą obaj, Niall i Ned, są bardzo łagodnego usposobienia. Na pewno będą dla kogoś doskonałymi mężami. – Zerknęła na Billie. – Ale nie dla ciebie.

Billie uznała, że nie ma sensu się obrażać.

– Uważasz, że nie powinnam wyjść za mąż za kogoś o łagodnym usposobieniu?

– Uważam, że nie powinnaś wychodzić za mąż za kogoś, kto ledwie się potrafi podpisać...

– Dajże spokój!

– No dobrze. Może przesadzam. Ale to przecież ważne. –

Mary stanęła na środku korytarza na piętrze, tak że i Billie musiała się zatrzymać. – Przecież wiesz, że cię znam lepiej niż ktokolwiek.

Billie czekała; tymczasem Mary patrzyła na nią poważnie.

Mary lubiła dawać rady. Billie niespecjalnie lubiła je dostawać, ale nie widziała przyjaciółki już od tak dawna! Tę jedną radę mogła jeszcze wytrzymać. A nawet przyjąć.

– Słuchaj, Billie – rzekła Mary energicznie. – Nie możesz traktować tak lekceważąco swojej przyszłości. W końcu przecież wybierzesz sobie męża, a zwariujesz, jeżeli nie wyjdiesz za mężczyznę co najmniej równie inteligentnego jak ty.

– Co oznacza, że nie wyjdę za nikogo.

Ponieważ (co prawda tego już nie dodała) naprawdę nie miała wielkiego wyboru.

Mary aż się cofnęła.

– Nie mów takich rzeczy! Oczywiście, że wyjdiesz za mąż. Musisz tylko znaleźć dla siebie odpowiedniego dżentelmena.

Billie przewróciła oczami. Mary już dawno uległa chorobie, która dotyka chyba wszystkie świeżo upieczone mężatki: gorączkowo pragnęła, żeby wszyscy w jej otoczeniu byli szczęśliwi – i połączeni w pary.

– Może po prostu wyjdę za Andrew – powiedziała, wzruszając ramionami. – Albo za Edwarda.

Mary spojrzała ze zdziwieniem.

– O co chodzi? – spytała w końcu Billie.

– Jeżeli możesz o tym mówić w ten sposób – rzekła Mary bez przekonania – jeżeli ci wszystko jedno, z którym Rokesby staniesz przed ołtarzem, to nie ma sensu wychodzić za żadnego z nich.

– No cóż... mnie wszystko jedno. Obu ich kocham.  
– Jak braci! Do licha, jeżeli masz zamiar tak do tego podchodzić, to mogłabyś równie dobrze wyjść za George'a.  
Billie przerwała jej.  
– Nie bądź niemądra.  
Ona miałyby poślubić George'a? Śmieszne.  
– Szczerze mówiąc, Mary – powiedziała cicho – to nawet nie jest coś, z czego można żartować.  
– Sama przecież powiedziałaś, że każdy z braci Rokesby byłby równie dobry...  
– Nie, to ty tak powiedziałaś. Ja mówiłam, że albo Edward, albo Andrew.

Naprawdę nie mogła zrozumieć, czemu Mary się tak tym zmartwiła. Przecież małżeństwo z którymś z jej braci będzie dla niej miało taki sam skutek. Billie wejdzie do rodziny Rokesby, a wtedy ona i Mary staną się prawdziwymi siostrami. Billie uważała, że to brzmi całkiem miło.

Mary uderzyła się ręką w czoło i jęknęła:  
– Jakaż ty jesteś nieromantyczna!  
– Moim zdaniem to wcale nie musi być wada.  
– Akurat – burknęła Mary. – Twoim zdaniem może i nie...  
To zabrzmiało jak krytyka, ale Billie tylko się zaśmiała.  
– Niektórzy z nas muszą patrzeć na świat od praktycznej strony.

– Ale nie za cenę szczęścia!  
Dłuższą chwilę Billie milczała. Z przechyloną głową i zmrużonymi oczami obserwowała Mary. Mary chciała dla niej jak najlepiej: to pewne.

Ale Mary nie wiedziała. Skąd mogła wiedzieć?  
– Kim ty jesteś – powiedziała wreszcie łagodnie – żeby decydować, co dla kogoś innego stanowi szczęście? – Starła się mówić grzecznie i przyjaznym tonem. Nie chciała, by Mary czuła, że Billie ją atakuje; nie było w tym wrogości. Ale chciała, żeby Mary się nad tym zastanowiła, żeby spróbowała zrozumieć, że mimo najgłębszej przyjaźni obie są od siebie kompletnie różne.



Mary spojrzała na nią, rozżalona.

– Ja nie chciałam...

– Wiem, że nie – zapewniła ją Billie.

Mary zawsze marzyła o miłości i małżeństwie. Wzdychała do Feliksa od chwili, kiedy go pierwszy raz spotkała – w wieku dwunastu lat! Kiedy Billie była dwunastolatką, zajmowały ją takie sprawy, jak nowy miot szczeniąt w stajni albo czy jej się uda wspiąć na stary dąb szybciej, niż to robi Andrew.

Prawdę powiedziawszy, nadal ją to interesowało. Gdyby mu się udało wejść na najwyższą gałąź przed nią – byłby to straszny cios. Co nie znaczy, żeby mieli znowu to wypróbować w najbliższym czasie... nie z jego ręką i jej kostką! Ale te sprawy były dla niej nadal ważne.

Co nie oznacza, żeby były kiedykolwiek ważne dla Mary.

– Przepraszam cię – odezwała się Mary, a jej uśmiech był odrobinę sztywny. – Nie powinnam poruszać tak poważnych rzeczy zaraz po przyjeździe!

Billie o mały włos nie spytała jej, czy to znaczy, że Mary ma jakieś plany na dalszy ciąg wizyty. Ale tego nie powiedziała.

Co za opanowanie! Kiedy osiągnęła taki stopień dojrzałości?

– Czemu się uśmiechasz? – spytała Mary.

– Co? Nie uśmiecham się.

– Ależ tak.

Ponieważ jednak Mary była jej najlepszą przyjaciółką, nawet kiedy ją pouczała, jak ma sobie urządzić życie, Billie objęła ją ze śmiechem.

– Jeżeli już musisz wiedzieć – rzekła – to gratulowałam sobie, że nie odpowiedziałam ci jakimś dowcipnym komentarzem.

– Co za opanowanie... – mruknęła Mary, powtarzając dokładnie myśl Billie.

– Wiem. To do mnie niepodobne. – Billie wskazała głową korytarz. – Pójdziemy do mnie? Stopa mnie boli.

– Naturalnie. W jaki sposób się zraniłaś?

Billie uśmiechnęła się krzywo i ruszyła dalej.

– Nigdy nie uwierzysz, kto w końcu został moim

bohaterem...

Tego wieczoru przy kolacji George szybko się zorientował, że jedna ze stron stołu jest „zabawna”.

On po tej stronie nie siedział.

Po lewej miał lady Frederikę Fortescue-Endicott, bezustannie opowiadającą o swoim nowym narzeczonym, hrabim Northwick. Po prawej zaś – młodszą siostrę lady Frederiki, lady Alexandrę.

Która równie bezustannie mówiła o hrabim Northwick.

George nie był właściwie pewien, co ma z tym zrobić. Dla dobra lady Alexandry miał nadzieję, że Northwick ma brata.

Billie siedziała dokładnie naprzeciw George’a, co nie znaczy, że mógł ją widzieć poprzez pięknie ułożone piramidy z owoców, dekorujące środek stołu. Mógł jednak słyszeć jej śmiech, dźwięczny i głęboki, który był niewątpliwie spowodowany dowcipami Andrew, a potem jakiś głupi bon mot, wypowiedziany przez tego idiotycznie przystojnego sir Reginalda McVie.

Sir Reggie, jak polecał się wszystkim tytułować.

George go po prostu nie znosił.

Nieważne, że zostali sobie przedstawieni zaledwie godzinę temu; czasami taka godzina w zupełności wystarczy. A w tym wypadku wystarczyła nawet minuta. Sir Reggie podszedł powoli do George’a i Billie, którzy akurat zaśmiewali się z czegoś kompletnie błahego (choć osobistego) – i po prostu oślepił ich swoim uśmiechem.

Zęby tego gościa były tak równe, jakby je umieszczono w szczęce przy użyciu miarki. Doprawdy... kto ma takie zęby? To było po prostu nienaturalne.

A potem ten typek ujął rękę Billie i pocałował ją jak jakiś francuski hrabia, gładząc coś o jej urodzie, przewyższającej morza, pustynie, gwiazdy i niebiosa (oczywiście po francusku, zresztą kompletnie wbrew aliteracji).

To już przewyższało wszystko: George był przekonany, że

Billie zaraz wybuchnie śmiechem. A tymczasem się zarumieniła.  
Ona się zarumieniła!

A potem zaczęła trzepotać rękami. To była bodaj ostatnia rzecz, jakiej mógł się spodziewać po Billie Bridgerton.

A wszystko z powodu tych okropnie równych zębów. W dodatku ona nawet nie знаła francuskiego!

Oczywiście, przy kolacji siedzieli obok siebie. Kiedy szło o możliwości ewentualnego małżeństwa starszej córki, lady Bridgerton miała sokoli wzrok; George nie wątpił, że zauważyła flirt sir Reggiego z Billie już w parę sekund po jego pierwszym, perłowobiałym uśmiechu. Gdyby Billie nie siedziała obok niego wcześniej, to z chwilą, kiedy zabrzmiał gong wzywający na kolację, musiała to zrobić.

A ponieważ po drugiej stronie Billie siedział Andrew, nic jej nie mogło powstrzymać. Kiedy tamta strona stołu jadła, piła i weseliła się, salwy śmiechu brzmiały jak dzwony kościelne.

Natomiast strona George'a nadal wychwalała pod niebiosa wszystkie cnoty hrabiego Northwick.

Mnóstwo, mnóstwo było tych cnót.

Kiedy sprzątnięto talerze po zupie, George był już gotów ogłosić tego człowieka świętym. Sądząc z tego, co usłyszał od pań Frederiki i Alexandry, wszystkie niższe tytuły byłyby niesprawiedliwością. Obie damy częstowały go nawet takimi nonsensami, jak opowiadanie o Northwiku i parasolu, który trzymał nad nimi dwiema w pewien szczególnie deszczowy dzień; George już miał wtrącić komentarz, że tego chyba za dużo, kiedy po przeciwnej stronie stołu rozległa się kolejna salwa śmiechu.

George spiorunował ich wzrokiem, czego jednak Billie nie mogła widzieć. Nie zobaczyłaby go nawet, gdyby pomiędzy nimi nie stała ta cholerna salatera z owocami. Była zanadto zajęta – była królową tego przyjęcia! Ta dziewczyna naprawdę lśniła jak gwiazda. Doprawdy, nie zdziwiłby się, gdyby zaczęła sypać iskry.

A on zaproponował, że się nią zaopiekuje!

Proszę bardzo! Sama doskonale dawała sobie radę.

– Jak pan sądzi, o czym oni rozmawiają? – zwróciła się do

George'a lady Alexandra po jakimś szczególnie głośnym wybuchu śmiechu.

– O zębach – wymamrotał George.

– Co pan powiedział?

Odwrócił się z bladym uśmiechem.

– Nie mam pojęcia.

– Wygląda na to, że świetnie się bawią – stwierdziła lady Frederica, marszcząc czoło w zamyśleniu.

George wzruszył ramionami.

– Northie jest takim cudownym rozmówcą – powiedziała.

– Doprawdy? – mruknął George, atakując kawałek rostbefu.

– O, tak. Zna pan go, prawda?

Bezmyślnie kiwnął głową. Lord Northwick był od niego o kilka lat starszy, ale zetknęli się ze sobą kilkakrotnie, tak w Eton, jak w Cambridge. George nie mógł go sobie dobrze przypomnieć; pamiętał tylko niezwykle jasne blond włosy.

– A zatem pan wie – orzekła lady Frederica z uśmiechem podziwu – że jest niebywale dowcipny.

– Absolutnie – zgodził się George.

Lady Alexandra pochyliła się do przodu.

– Czy mówicie państwo o lordzie Northwick?

– Hmm... tak – odparł.

– On jest uroczy na domowych przyjęciach – zgodziła się lady Alexandra. – Zastanawiam się, dlaczego go nie zaprosiliście.

– Mówiąc prawdę – przypomniał jej George – to nie ja przygotowywałem listę gości.

– Ach tak, oczywiście. Całkiem zapomniałam, że pan nie należy do rodziny. Wydaje się pan taki zadomowiony w Aubrey Hall!

– Rodziny Bridgertonów i Rokesbych były od lat dobrymi sąsiadami – objaśnił ją.

– Panna Sybilla jest praktycznie pańską siostrą – rzekła lady Frederica, pochylając się do przodu, żeby wziąć udział w rozmowie.

Billie? Jego siostrą? George zmarszczył brwi. To nie było w

porządku.

– Nie powiedziałbym... – zaczął.

Ale lady Alexandra mówiła dalej:

– Lady Mary tak powiedziała, przed kolacją. Ach, opowiadała takie zabawne historyjki. Doprawdy, podziwiam pańską siostrę.

George akurat miał pełne usta, kiwnął więc tylko głową w nadziei, że to będzie przyjęte jako podziękowanie.

Lady Alexandra znowu się wychyliła.

– Lady Mary mówiła, że wy wszyscy jako dzieci bawiliście się wspólnie. To brzmiało ogromnie podniecająco.

– Byłem trochę starszy – powiedział. – Rzadko...

– ...i wtedy to stworzenie zwiąło natychmiast! – zarechotał Andrew poprzez stół tak głośno, żeby przerwać (na szczęście) konwersację George'a z dwiema paniami Fortescue-Endicott.

Lady Frederica przyjrzała się im poprzez owocową dekorację.

– Jak pan sądzi, o czym oni mówią? – zagadnęła.

– O lordzie Northwick – powiedział George zdecydowanie.

Twarz jej się wydłużyła.

– Rzeczywiście?

– Ale przecież to, co pan Rokesby powiedział – zwróciła mu uwagę lady Alexandra – z pewnością się nie odnosiło do Northie!

– Na pewno źle pani usłyszała – skłamał. – Mój brat ogromnie podziwia lorda Northwick.

– Doprawdy? – Przechyliła się przez niego, żeby się zwrócić do siostry. – Frederiko, słyszałaś? Lord Kennard mówi, że jego brat podziwia lorda Northwick.

Lady Frederica uroczo się zarumieniła.

George miał ochotę schować twarz w talerzu z kartoflami.

– ...to niewdzięczne kocisko! – usłyszał dochodzący spoza półmiska z pasztetem głos Billie. Potem jeszcze raz parsknęła śmiechem i stwierdziła: – Byłam wściekła!

George westchnął. Nigdy nie myślał, że mógłby tęsknić za Billie Bridgerton; ale jej wzrok był radosny, a śmiech zaraźliwy, i

George był prawie pewny, że jeżeli jeszcze wytrzyma chwilę, siedząc pomiędzy paniami Frederiką i Alexandrą, mózg mu znacznie wyciekać uszami.

Billie musiała zauważyć, że jest pogrążony w czarnych myślach, bo trochę się przesunęła.

– Rozmawiamy o tamtym kocie – powiedziała.

– Tak... Zorientowałem się.

Uśmiechnęła się. Jej uśmiech był zachęcający i miły, ale miał taki skutek, że George poczuł się onieśmielony.

I niesympatyczny.

– Wie pan, co ona miała na myśli? – spytała lady Alexandra.

– Chyba mówiła coś o jakimś kocie.

– Northie uwielbia koty – stwierdziła lady Frederica.

– Ja ich nie mogę znieść – rzekł George przyjaźnie. To stwierdzenie może nie było zbyt prawdziwe, ale nie mógł sobie odmówić przyjemności wyrażenia odmiennego zdania.

Lady Frederica aż zamrugała powiekami, zaskoczona.

– Wszyscy lubią koty!

– Ale nie ja!

Obie siostry Fortescue-Endicott były w szoku. Nie mógł o to mieć do nich pretensji; ton, jakim to powiedział, był pełen humoru. A skoro wreszcie się zaczął dobrze bawić, uznał, że nie będzie się tym przejmował.

– Wolę psy – oznajmił.

– No tak, oczywiście wszyscy lubią psy – powiedziała lady Frederica. W jej głosie jednak wyczuł wahanie.

– I borsuki – dodał wesoło, wkładając do ust kawałek chleba.

– Borsuki... – powtórzyła.

– I krety. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. W tej chwili patrzyła już na niego z wyraźnym zakłopotaniem. George pogratulował sobie dobrze wykonanej pracy.

Jeszcze kilka minut takiej rozmowy, a z pewnością go uzna za wariata.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio się tak dobrze bawił na oficjalnej kolacji.

Spojrzał poprzez stół na Billie; nagle zapragnął jej opowiedzieć o swojej ostatniej rozmowie. Właśnie takie rzeczy go najbardziej bawiły. Mogliby się oboje naprawdę uśmieć!

Ale ona była zbyt zajęta sir Reginaldem, który w tej chwili patrzył na nią, jakby była jakimś rzadkim okazem.

Bo przecież nim była, pomyślał George porywczo. Po prostu nie była jego rzadkim okazem.

George nagle poczuł nieodpartą chęć przeskoczenia przez stół i poprzesztawiania równiutkich zębów sir Reggiego, zmienienia ich w coś o wiele bardziej abstrakcyjnego.

Na miłość boską, kto się rodzi z takimi zębami? Rodzice tego faceta z pewnością zaprzędali dusze diabłu.

– Ach, lordzie Kennard – zaszcebiotała lady Alexandra – czy planuje pan obejrzenie jutro zawodów pań w strzelaniu z łuku?

– Nie wiedziałem, że w ogóle coś podobnego się szykuje – odparł.

– Ależ tak! Frederica i ja chcemy wziąć w tym udział. Dużo ćwiczyliśmy ostatnio.

– Z lordem Northwick? – spytał. Po prostu nie mógł sobie tego odmówić.

– Naturalnie, że nie! – odrzekła. – Dlaczego, u licha, tak pan myślał?

Bezradnie wzruszył ramionami. Boże drogi, ile jeszcze ma trwać ta kolacja?

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Naprawdę mam nadzieję, że przyjdzie pan popatrzeć.

Spojrzał na tę rękę. Jak bardzo niestosownie wyglądała na jego rękawie! Okazało się jednak, że źle zrozumiała jego gest, bo tylko mocniej zacisnęła palce. Nie mógł się powstrzymać od zastanowienia, co też się stało z lordem Northwick. Niech go Bóg ma w swojej opiece, jeżeli w jej uczuciach zastąpił hrabiego.

Miał ochotę strząsnąć jej rękę z ramienia, ale na to nie pozwoliło mu dobre wychowanie; rzucił więc damie sztywny uśmiech i powiedział:

– Z pewnością przyjdę.



Lady Frederica też spojrzała na niego, rozpromieniona.  
– Lord Northwick też uwielbia oglądać strzelanie z łuku.  
– Z pewnością – mruknął pod nosem.  
– Powiedział pan coś? – spytała lady Alexandra.  
– Tylko tyle, że panna Bridgerton jest bardzo utalentowaną łuczniczką – odparł. To była prawda, nawet jeżeli tego nie powiedział. Znowu spojrzał przez stół na Billie, chcąc na nią wskazać, ale zauważył, że już patrzy w jego stronę z niemiłym wyrazem twarzy.

Przechylił się w prawo, żeby ją lepiej widzieć.

Zacisnęła usta.

Pokręcił głową.

Przewróciła oczami i wróciła do rozmowy z sir Reginaldem.

George zamrugął. O co jej szło, do diabła?

A prawdę mówiąc, dlaczego by to miało go obchodzić?

Billie bawiła się cudownie. Doprawdy nie wiadomo, czemu się przedtem tak denerwowała! Andrew zawsze był zabawnym towarzyszem przy stole, a sir Reggie okazał się naprawdę bardzo miły i przystojny; nie przeszkadzało jej nawet, kiedy podczas przedstawiania się zaczął mówić po francusku.

Nie zrozumiała ani słowa, ale przypuszczała, że musiał to być komplement, zatem skinęła głową z uśmiechem, a nawet kilkakrotnie zatrzepotała rękami w sposób, jaki podpatrzyła u innych dam, kiedy starały się zachować bardzo po kobiecemu.

Nikt nie mógłby powiedzieć, że ona się o to nie starała.

Jedyną łyżką dziegciu w przysłowiowej beczce miodu był George. A raczej jego kłopotliwe położenie. Naprawdę było jej go żal.

Lady Alexandra robiła wrażenie bardzo miłej damy, kiedy je sobie przedstawiono, ale z chwilą, kiedy weszła do salonu przed kolacją, ta czarownica rzuciła się na George'a jak harpia.

Billie była wstrząśnięta. Wiedziała, że George jest bogaty i przystojny i że będzie hrabią, ale czy ta mała dziwka musiała być aż tak natrętna?

Biedny George. Czy za każdym razem, kiedy jest w

Londynie, musi znosić podobne awanse? Może powinna była mu bardziej współczuć...

A już co najmniej powinna była zajrzeć do sali jadalnej, zanim zaczną tam wchodzić goście, i sprawdzić, kto koło kogo ma siedzieć! Mogłaby go wtedy uratować przed spędzeniem całego wieczoru w towarzystwie lady Alexandry For-coś tam-Endicott.

Psiakrew.

Mogła wymyślić coś lepszego niż to.

For-tel... For-tepian... For-malina!

No, dobrze. Nie potrafiła wymyślić nic lepszego. Ale rzeczywiście ta kobieta zachowywała się, jakby for-sowała for-tecę, kiedy się tak kleiła do George'a w salonie!

Przy kolacji było jeszcze gorzej. Billie było trudno dostrzec George'a po drugiej stronie stołu, bo widok zasłaniała jej ta koszmarna piramida z owoców, którą wymyśliła matka, za to doskonale widziała lady Alexandrę – i trzeba powiedzieć, że ta dama prezentowała wysoce nieprzyzwoicie wypiętą pierś.

Billie nie byłaby zdziwiona, gdyby miała tam schowany cały serwis do herbaty.

A potem... a potem... Trzymała rękę na ramieniu George'a, jakby to była jej własność. Nawet Billie nie odważyłaby się na równie poufale gest przy tak oficjalnej okazji. Przechyliła się na krześle, próbując zobaczyć twarz George'a. Nie mógł być tym zachwycony.

– Nic ci nie jest?

Odwróciła się. Andrew przyglądał jej się z wyrazem twarzy pośrednim pomiędzy podejrzliwością a namysłem.

– Zupełnie nic – odparła krótko. – Dlaczego?

– Jeszcze chwila, a upadłabyś mi na kolana.

Wyprostowała się.

– Nie mów głupstw.

– Czyżby sir Reginald zepsuł powietrze? – szepnął jej do ucha Andrew.

– Andrew!

Nie okazał bynajmniej skruchy.

– To musiało być właśnie to, albo odkryłaś w sobie głębokie uczucie do mnie.

Spojrzała na niego ostro.

– Bo ja naprawdę cię kocham, Billie – mówił przeciągle – ale... nie w ten sposób.

Przewróciła oczami, bo... Właśnie, bo.

Andrew był biedny. Zawsze był taki pechowy. I ona też go nie kochała „w ten sposób”.

Ale nie musiał być przecież tak obcesowy wobec niej.

– Co sądzisz o lady Alexandrze? – szepnęła mu do ucha.

– A która to?

– Ta, która tak się owija wokół twego brata – powiedziała niecierpliwie.

– Ach, tamta. – W głosie Andrew zabrzmiał śmiech.

– On wygląda bardzo nieszczęśliwie.

Andrew wyciągnął szyję, żeby móc zobaczyć brata.

Przeciwnie niż Billie nie miał przed sobą olbrzymiej piramidy z owoców.

– Nie wiem – zastanowił się. – Może nie wygląda tak, jak się czuje.

– Czy ty jesteś ślepy? – syknęła.

– Nic o tym nie wiem.

– On... Och, nieważne. Żadnego pożytku z ciebie.

Billie znów się pochyliła, tym razem w stronę sir Reggiego.

Rozmawiał z panią po swojej lewej ręce, więc chyba nic nie zauważył.

Dłoń lady Alexandry nadal spoczywała na ramieniu George'a.

Billie zacisnęła szczęki. On nie mógł być z tego zadowolony. George był bardzo zamknięty w sobie. Podniosła wzrok, starając się spojrzeć mu w twarz, ale coś akurat mówił do lady Alexandry, coś z pewnością bardzo miłego i grzecznego.

Nie wyglądał ani trochę na zakłopotanego.

Była wściekła.

Ale po chwili spojrzał na Billie. Musiał wyczuć, że na niego

patrzyła, bo pochylił się w prawo akurat na tyle, żeby jej spojrzeć w oczy.

Uniósł brwi.

Billie popatrzyła w sufit i zwróciła się z powrotem do sir Reggiego, mimo że ten nadal rozmawiał z siostrzenicą księżnej.

Chwilę czekała, ale że sir Reggie nie wykazywał chęci ponownego zwrócenia na nią uwagi, wzięła nóż i widelec i zajęła się krojnem mięsa na jak najmniejsze kawałeczki.

Czyżby George lubił lady Alexandrę? Może się nawet do niej zalecał... może się pobiorą i będą mieli całą armię małych Rokesbych, z niebieskimi oczyma i pyzatymi policzkami...

Jeżeli George właśnie tego chciał, powinien to zrobić.

Ale czemu jej się to wydało tak bardzo niewłaściwe? I dlaczego sama myśl o tym tak bardzo ją zabolęła?

Nazajutrz, koło pierwszej po południu, George usiłował sobie przypomnieć, dlaczego tak nie lubi domowych przyjęć. Albo raczej – przypominał sobie w ogóle, że ich nie lubi.

A może po prostu nie lubił tego właśnie przyjęcia? Tego, na którym został wciśnięty pomiędzy ogłupiałe z miłości do Northwicka panny Fortescue-Endicott, poznał lorda Reggie z jego śnieżnobiałymi zębami i Neda Berbrooke, który zeszłego wieczoru niechcący wylał Gerge'owi na buty całą szklankę porto?

George był gotów wracać do Crake House nawet na czworakach.

Dom był tylko o pięć kilometrów. Dałby radę.

Udało mu się uniknąć lunchu – to był jedyny sposób, żeby się uwolnić od lady Alexandry, która chyba uznała, że po lordzie Northwick George byłby dla niej najlepszym wyjściem – a teraz był w naprawdę fatalnym nastroju. Był głodny i zmęczony: dwa uczucia, które nawet dorosłego mężczyznę potrafią zmienić w niezdolnego trzylatka.

Ostatnią noc przespał...

Nienadzwyczajnie.

Tak, to chyba najbardziej właściwe słowo. Może niezbyt odpowiednie, ale właściwe.

Bridgertonowie ulokowali wszystkich Rokesbych w rodzinnym skrzydle, George zatem siedział w wyściełanym fotelu przy kominku, wsłuchany w rytmiczne, znane mu odgłosy kończącej dzień rodziny: pokojówek usługujących damom przy rozbieraniu, otwieranych i zamykanych drzwi...

To właściwie nie miało znaczenia. Takie same dźwięki słyszał przecież codziennie w Crake House. Ale w jakiś sposób tutaj, w Aubrey Hall robiły wrażenie zbyt intymnych, niemal jakby podsłuchiowanych.

Z każdym miękkim, sennym odgłosem wyobrażnia Georgea

zaczynała działać. Wiedział, że nie może stąd słyszeć krzątającej się Billie; jej sypialnia była po przeciwnej stronie korytarza, o trzy pokoje stąd. Ale czuł się tak, jakby ją słyszał. W ciszy nocnej miał wrażenie, że słyszy, jak jej stopy grzęzną w miękkim dywanie. Czuł szelest jej oddechu i to, jak zdmuchuje świecę. A kiedy układała się w łóżku, był pewien, że słyszy szelest pościeli.

Mówiła, że bardzo szybko zasypia – ale co potem? Czy spała niespokojnie? Czy się kręciła, rozkopywała pościel, czy spychała stopami kołdrę w nogi łóżka?

A może leżała cicho, słodko, na boku, z dłonią podłożoną pod policzek?

Założyłby się, że się w nocy kręci: w końcu to była Billie. Całe dzieciństwo spędziła w nieustannym ruchu. Dlaczego miałyby spać inaczej? A jeżeli dzieliła z kimś łóżko...

Kieliszek brandy, który zwykle wypijał przed snem, urósł do trzech kieliszków, a kiedy w końcu George przyłożył głowę do poduszki, minęły godziny, zanim zasnął. Zaś kiedy w końcu to mu się udało, śnił... o niej.

A ten sen... Och, co to za sen!

Zadygotał na samo wspomnienie. Jeżeli nawet kiedyś myślał o Billie jak o siostrze...

To z pewnością teraz już nie.

Zaczęło się w bibliotece, w ciemności, rozświetlonej tylko światłem księżyca; nie wiedział, co miała na sobie – w każdym razie nic takiego, w czym ją już przedtem oglądał. To chyba była jakaś nocna szata... biała i przejrzysta. Z każdym najmniejszym ruchem powietrza układała się na jej ciele, odsłaniając piękne linie, jakby stworzone dla jego rąk.

Nie było ważne, że to się działo w bibliotece, ani że nie było żadnej logicznej przyczyny, żeby powiewał tu wiaterek... To był jego sen, wietrzny sen; zresztą i tak nic nie miało znaczenia, bo kiedy wziął ją za rękę i mocno do siebie przyciągnął, okazało się nagle, że znajdują się w jego sypialni. Nie w tej w Aubrey Hall, ale u niego, w Crake House, gdzie stało jego mahoniowe łóżko z baldachimem i wielkim, kwadratowym materacem i gdzie było

dość miejsca dla wszelkiego rodzaju brawurowych szaleństw.

Nie odezwała się nawet słowem, co, jak uznał, zupełnie nie było do niej podobne... ale to przecież był sen! Za to kiedy się uśmiechnęła, była w pełni sobą – swobodną i radosną Billie – a kiedy ułożył ją na łóżku, spojrzała mu w oczy... było tak, jakby urodziła się po to, żeby przeżyć właśnie taką chwilę.

Jakby on też się po to właśnie urodził.

Rozchylił rękami fałdy jej szaty, a ona wygięła się w łuk, podsuwając mu swoje cudne piersi jakby w podarunku.

To był szal. Szaleństwo. Nie powinien w ogóle wiedzieć, jak wyglądają jej piersi. Nie powinien sobie tego nawet wyobrazić!

Cóż, kiedy tak właśnie było – i w tym swoim śnie je uwielbiał. Obejmował je, ścisnął, przyciągał do siebie, aż między nimi tworzył się ów upojny, tak bardzo kobiecy rowek... a potem się pochylił i ujął sutek zębami, drażniąc go i kusząc, aż zaczęła jęczeć z rozkoszy.

Na tym się jednak nie skończyło. Przesunął rękoma wzdłuż jej nóg, aż do miejsca, w którym się łączyły, do bioder... potem rozsunął jej uda i palcami sięgnął do wnętrza.

Potem zaczął ją pieścić... bliżej... bliżej... aż poczuł jej wilgotne gorąco – i już wiedział, że ich połączenie zbliża się nieuchronnie. Że ona będzie jego – i że to będzie wspaniałe. Zrzucił ubranie i już się układał tak, by dotrzeć do jej wnętrza...

I wtedy się obudził.

Cholera by to wzięła.

Obudził się.

Życie jest naprawdę niesprawiedliwe.

Następnego ranka odbywał się turniej pań w strzelaniu z łuku – i gdyby, obserwując go, George czuł choć odrobinę ironii, należałoby mu to wybaczyć. Patrzył na Billie, trzymającą sztywną, ostrą strzałę – i był tam też on, także z czymś sztywnym i ostrym – i trzeba przyznać, że jedynie jedno z nich odczuwało z tego tytułu jakąś przyjemność.

Potem całą godzinę musiał myśleć o czymś bardzo lodowatym, zanim był w stanie zmienić jedyną w tej sytuacji

pozycję (miał założoną nogę na nogę) i wstać z fotela, ustawionego na skraju pola gry. Przynajmniej co drugi dżentelmen od czasu do czasu wstawał, żeby sprawdzić cele, ale nie George. Uśmiechał się, a nawet śmiał, wymyślał też rozmaite głupie dowcipy na temat przyjemności korzystania ze słońca... co było po prostu śmieszne, jako że jedyny widoczny fragment błękitnego nieba był mniej więcej wielkości paznokcia.

Rozpaczliwie marząc o chwili przebywania wyłącznie we własnym towarzystwie, natychmiast po zakończeniu turnieju pobiegł do biblioteki. Żaden z gości nie wyglądał na zapalonego czytelnika; tam z pewnością znajdzie spokój i ciszę...

Istotnie tak było, tyle że już po dziesięciu minutach weszli tam Billie i Andrew, głośno rozmawiając.

– George! – zawołała Billie, kuśtykając w jego stronę. Wyglądała na zadowoloną i wypoczętą.

Tak, ona nigdy nie miała kłopotów z zasypianiem, pomyślał George z irytacją. I pewnie śniła o różach i tęczy...

– Właśnie ciebie miałam nadzieję tu znaleźć – powiedziała z uśmiechem.

– Słowa, które budzą grozę w sercu... – przeciągle wygłosił Andrew.

Wielka prawda, pomyślał George, choć z zupełnie innych powodów, niż Andrew przypuszczał.

– Przestań – skarciła go Billie i zwróciła się do George'a. – Potrzebujemy cię w pewnej sprawie.

– Jeżeli chodzi o to, kto szybciej wchodzi na drzewo, to powiem, że Billie – powiedział George, uchylając się przed kuksańcem brata. – A jeżeli o to, kto celniej strzela, to Andrew.

– Ani jedno, ani drugie – rzekła Billie, lekko zachmurzona. – Chodzi o grę w krokietą.

– Wobec tego niech Bóg nas strzeże – mruknął George, wstając i kierując się do drzwi.

Grywał już w krokietą z Andrew i Billie: był to trudny, krwiożerczy sport, wymagający drewnianych kul, ciężkich młotków i stałego zagrożenia urazem głowy. Z pewnością nic



odpowiedniego na eleganckim przyjęciu lady Bridgerton.

– Andrew mnie oskarżył, że oszukuję – doniosła Billie.

– Kiedy? – spytał George, naprawdę zakłopotany. O ile wiedział, cały ranek zajęty był turniejem pań w strzelaniu z łuku (Billie wygrała, czym nikt o nazwisku Rokesby lub Bridgerton nie był zaskoczony).

– Rok temu w kwietniu – powiedziała.

– I teraz się o to spieracie?

– Chodzi nam o zasadę – wyjaśnił Andrew.

George spojrział uważnie na Billie.

– Oszukiwałaś?

– Jasne, że nie! Nie muszę oszukiwać, żeby go pobić! Może Edwarda – dodała z błyskiem w oku – ale nie Andrew.

– Niestosowny komentarz, Billie – prychnął Andrew.

– Ale prawdziwy – odpaliła.

– Wychodzę – oznajmił George.

Żadne z nich go nie słuchało, ale uważał za stosowne poinformować ich o swoim wyjściu. Poza tym przebywanie z Billie w jednym pokoju sprawiało mu kłopot. Puls zaczął mu znow stopniowo przyspieszać: wiedział, że jej bliskość to jeszcze pogłębia.

Jego umysł aż krzyczał: „Ta droga wiedzie ku ruinie”. Jakimś cudem nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa, tak że podszedł do drzwi, zanim Billie powiedziała:

– Och, nie odchodź. Teraz właśnie zaczyna być ciekawie.

Zmusił się do nieśmiałego, ale jakże wyczerpującego go uśmiechu.

– Z tobą zawsze musi być ciekawie.

– Tak uważasz? – spytała z zadowoleniem.

Andrew rzucił jej niedowierzające spojrzenie.

– To nie był komplement, Billie.

Spojrzała na George'a.

– Nie mam pojęcia, co to było – przyznał.

Billie tylko zachichotała, po czym wskazała głową Andrew.

– Wobec tego go wyzywam.

George wiedział lepiej – z pewnością wiedział lepiej – ale nie mógł się powstrzymać, żeby się co chwila nie odwracać, żeby na nią spojrzeć.

– Wyzywasz... mnie? – powtórzył Andrew.

– Na partię krokieta o świcie – powiedziała beztrzesko i wzruszyła ramionami. – Albo dziś po południu. Wolałabym nie wstawać za wcześnie, a ty?

Andrew uniósł jedną brew.

– Wyzywasz jednorękiego człowieka na partię krokieta?

– Wyzywam ciebie.

Przysunął się do niej, oczy mu lśniły.

– I tak cię pobiję, wiesz o tym.

– George! – krzyknęła Billie.

Niech to diabli. Już prawie udało mu się uciec.

– Tak? – mruknął, wsuwając głowę przez drzwi.

– Potrzebujemy cię.

– Nieprawda. Potrzeba wam niańki. Ledwie umiecie chodzić.

– Potrafię doskonale! – Zrobiła parę kroków, niestety kuśtykając. – Widzisz? Nawet nic nie czuję.

George spojrział na Andrew, co nie znaczy, by oczekiwał od niego czegoś choćby w najmniejszym stopniu sensownego.

– Ja mam złamaną rękę – rzekł Andrew, co George odebrał jako coś w rodzaju wyjaśnienia. A może tłumaczenia...

– Ależ z was idioci... oboje.

– Idioci, którzy potrzebują więcej graczy – powiedziała Billie. – Nas dwoje nie wystarczy.

Pod względem technicznym miała rację. Zestaw do gry w krokieta zakładał sześciu graczy, a minimalnie musiało być ich trzech. Ale George grał już w to wcześniej; wszyscy pozostali uczestnicy byli tylko pionkami w stosunku do głównych graczy, czyli Andrew i Billie. Tym dwojgu w grze nie tyle szło o zwycięstwo, ile o to, żeby nie wygrał ten drugi. W ich utarczce George miałby okazję zaledwie kilka razy popchnąć piłkę.

– I tak nie ma ich dosyć – powiedział.

– Georgiana! – zawołała Billie.

– Georgiana? – powtórzył Andrew. – Wiesz przecież, że matka nie pozwala jej grać.

– Na miłość boską, nie choruje już od lat. Najwyższy czas, żeby przestać się nad nią trząść.

Georgiana wyszła zza rogu, ślizgając się na trawie.

– Przestań się wydzierać, Bill! Przyprawisz mamę o palpitanie serca, a wtedy to ja będę miała z nią do czynienia.

– Gramy w krokieta – poinformowała ją Billie.

– Och... to świetnie. Ja bym... – Georgiana przerwała nagle i szeroko otworzyła swoje orzechowe oczy. – Czekaście... więc ja też mam grać?

– Naturalnie – oświadczyła Billie niemal lekceważąco. – Nie nazywasz się Bridgerton, czy co?

– Och, cudownie! – Georgiana omal nie skoczyła pod niebo.

– Czy mogę być pomarańczowa?... Albo nie, zielona! Chcę być zielona!

– Jaki tylko kolor sobie wybierzesz – usłużnie powiedział Andrew.

Georgiana zwróciła się do George'a:

– Ty też grasz?

– Chyba muszę – odpowiedział.

– Oj, nie bądź taki zrezygnowany! – zawołała Billie. – Będziesz się doskonale bawił. Wiesz, że tak!

– Ale i tak trzeba jeszcze więcej graczy – stwierdził Andrew.

– Może sir Reggie? – zaproponowała Georgiana.

– Nie! – zaprotestował natychmiast George.

Trzy głowy zwróciły się w jego stronę.

Jak się zastanowić, wyraził swoje obiekcje trochę zbyt obcesowo.

– Nie wydaje mi się rodzajem dżentelmena, który by lubił taką ostrą i gwałtowną grę – powiedział z obojętnym wzruszeniem ramion. Spojrzał na swoje paznokcie, bo nie był w stanie patrzeć żadnemu z nich w oczy, i powiedział: – No, wiecie... jego zęby.

– Zęby? – powtórzyła zdumiona Billie.

Nie musiał widzieć jej twarzy, by wiedzieć, że na niego

patrzy, jakby się bała, że stracił rozum.

– Mnie się wydaje, że ma bardzo elegancki uśmiech – powiedziała Billie, najwyraźniej gotowa uznać jego punkt widzenia. – Pamiętam, że któregoś lata wybiliśmy ząb Edwardowi. – Spojrzała na Andrew. – Pamiętasz? Chyba miał wtedy sześć lat.

– Dokładnie – potwierdził George, chociaż, prawdę mówiąc, nie przypominał sobie tego wydarzenia. Ząb musiał być mleczny; Edward nie był co prawda Reginaldem McVie, ale, o ile George pamiętał, jego brat był znany z uroczego uśmiechu.

– Nie możemy też poprosić Mary – zastanawiała się dalej Billie. – Cały ranek spędziła schylona nad nocnikiem.

– Naprawdę, nie musiałaś nam tego mówić – skrzywił się Andrew.

Billie nie zwróciła na niego uwagi.

– Zresztą Felix nigdy by jej na to nie pozwolił.

– Więc może poprosimy Felixa? – zasugerował George.

– To by było nieładnie w stosunku do Mary.

Andrew przewrócił oczyma.

– A kogo to obchodzi?

Billie skrzyżowała ramiona.

– Jeżeli ona nie może grać, to i on nie powinien.

– Lady Frederica poszła do miasteczka z matką i kuzynką – rzekła Georgiana. – Ale w salonie widziałam lady Alexandrę. Chyba się tam nie zajmowała niczym ważnym...

George nie marzył bynajmniej o spędzeniu popołudnia na wysłuchiowaniu nowych opowiadań o lordzie Northwick, ale po tak gwałtownym proteście w sprawie sir Reginalda nie sądził, żeby wnoszenie kolejnych obiekcji było rozsądne.

– Lady Alexandra mogłaby być miłym uzupełnieniem gry – stwierdził dyplomatycznie. – Oczywiście zakładając, że ma ochotę grać.

– O, na pewno – powiedziała Billie złowieszczo.

Georgiana wyglądała na zmieszaną.

Billie popatrzyła na siostrę, ale głową wskazała George'a.

– Powiedz jej, że pośród grających będzie lord Kennard.

Przybiegnie tu na skrzydłach!

– Och, na litość Boga, Billie... – wymamrotał George.

– Rozmawiała z tobą przez cały wieczór! – krzyknęła z irytacją.

– Siedziała przecież obok mnie – rzucił w odpowiedzi. – Z kim innym miałyby rozmawiać?

– To nieprawda. Po jej lewej ręce siedział brat Feliksa. Jest doskonałym rozmówcą. Mogłaby z nim rozmawiać na mnóstwo tematów.

Andrew stanął pomiędzy nimi.

– Czy wy dwoje macie zamiar kłócić się jak zazdrośni kochankowie, czy będziemy w końcu grali?

Billie rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

George rzucił mu piorunujące spojrzenie.

Andrew robił wrażenie całkiem z siebie zadowolonego.

– Dureń z ciebie – parsknęła Billie, po czym zwróciła się znów do Georgiana. – Myślę, że to będzie musiała być lady Alexandra. Przyprowadź tu ją i kogo tam jeszcze zdołasz wynaleźć. Najlepiej mężczyznę, żeby nas było do pary.

George przytaknął.

– Byle nie sir Reginalda.

– George się zanadto niepokoi o jego zęby.

Andrew parsknął zduszonym śmiechem.

Który się jednak urwał z chwilą, gdy George trącił go łokciem w żebra.

– Spotkamy się tutaj? – spytała Georgiana.

Billie zastanowiła się chwilę, po czym powiedziała:

– Nie, będzie szybciej, jeżeli spotkamy się na zachodnim trawniku. – Odwróciła się do George'a i Andrew. – Dopilnuję, żeby wyjęli przyrzady ze schowka.

Odeszły obie, pozostawiając George'a samego z młodszym bratem.

– Jego zęby... co? – mruknął Andrew.

George znów obrzucił go złym wzrokiem.

Andrew wolał pozostać na tyle daleko, by móc go dalej

drażnić.

– Założyłbym się, że bardzo dba o jamę ustną.

– Zamknij się!

Andrew się roześmiał, po czym podszedł bliżej z wyrazem twarzy, mającym oznaczać zainteresowanie.

– Coś ci się tu chyba zrobiło... – wskazał na zęby George'a.

Tamten przewrócił oczyma i odepchnął go.

Andrew podskoczył, dogonił go, a potem wyprzedził i wchodząc do domu, rzucił przez ramię z szerokim uśmiechem:

– Damy naprawdę uwielbiają olśniewające uśmiechy...

Idący za nim George uznał, że jednak chyba ukatrupi swojego braciszka. I użyje do tego drewnianego młotka do krokietu.

W dziesięć minut później George, Andrew i Billie stali na trawniku, obserwując lokaja, który szedł w ich stronę z zestawem przyborów do krokieta.

– Uwielbiam tę grę – oznajmiła Billie, zacierając ręce w chłodnym popołudniowym powietrzu. – To był znakomity pomysł.

– To był twój pomysł – przypomniał jej George.

– Jasne, że mój – odparła wesoło. – O, patrz, tam idzie Georgiana.

George przysłonił oczy ręką, wpatrując się w oddalony koniec trawnika. Naturalnie, Georgiana prowadziła lady Alexandrę. A także – o ile się nie mylił – jednego z braci Berbrooke.

– Dziękuję, Williamie – powiedziała Billie, podczas gdy lokaj ustawiał przybory na miejscu.

Uklonił się.

– Milady...

– Zaraz, zaraz! – wtrącił się Andrew. – Czy w zeszłym roku nie złamaliśmy jednego młotka?

– Ojciec zamówił nowy zestaw – wyjaśniła go Billie.

– W tych samych kolorach?

Potrząsnęła głową.

– Tym razem nie ma czerwonego.

George odwrócił się w jej stronę.

– Dlaczego?

– No ... – zająknęła się, trochę zakłopotana – ten czerwony... przynosił straszego pecha. Piłki wpadały nam nawet do jeziora.

– I myślisz, że inny kolor pomoże się pozbyć tego problemu?

– Nie – odparła – ale mam nadzieję, że żółty będzie lepiej widać.

Po paru chwilach Georgiana i jej orszak pojawili się na

scenie. George instynktownie zbliżył się do Billie, był jednak zbyt powolny. Lady Alexandra już go trzymała za rękaw.

– Lordzie Kennard! – wołała. – Cóż to będzie za przyjemność grać z panem w krokieta! Dziękuję, że mnie pan zaprosił!

– Właściwie to... panna Georgiana – sprostował.

Uśmiechnęła się domyślnie.

– Na pańską osobistą prośbę... jestem pewna!

Billie spojrzała na nią groźnie, jakby ją chciała zakneblować.

– Ach, jest i porucznik Rokesby – ciągnęła lady Alexandra, która nawet patrząc na Andrew, trzymała ramię George'a jak w kleszczach. – Wczoraj wieczorem mieliśmy niewiele okazji do rozmowy!

Andrew uklonił się z właściwą sobie galanterią.

– Poruczniku, czy miał pan okazję poznać lorda Northwick?  
– spytała.

George starał się rozpaczliwie ściągnąć na siebie wzrok brata. To nie był kierunek, w jakim powinna się potoczyć konwersacja i żadne z nich sobie tego nie życzyło.

Szczęśliwie dla wszystkich lokaj właśnie ściągnął pokrowiec z zestawu przyborów do krokieta – i Billie sprawnie objęła rządy nad całością.

– Tu mamy wszystko – rzekła, wydobywając jeden z młotków. – Andrew obiecał już Georgianie zielony, więc zobaczmy: pan Berbrooke będzie grał niebieskim, lady Alexandra może wziąć różowy, ja – żółty; porucznik Rokesby fioletowy, a lord Kennard czarny.

– Czy nie mogłabym wziąć fioletowego? – spytała lady Alexandra.

Billie popatrzyła na nią, jakby ta prosiła o wprowadzenie poprawek do Magna Carta<sup>[5]</sup>.

– Lubię fiolet – oświadczyła chłodno lady Alexandra.

Billie wyprostowała się.

– Proszę załatwić zamianę z porucznikiem Rokesby. Mnie wszystko jedno.



Andrew spojrział na Billie ciekawie, po czym z wytwornym ukłonem wręczył swój młotek lady Alexandrze.

– Życzenie damy...

Lady Alexandra skinęła wdzięcznie główką.

– Doskonale – rzekła Billie i pociągnęła nosem. – Zatem Georgiana jest zielona, pan Berbrooke niebieski, porucznik Rokesby różowy, ja żółta, lord Kennard czarny, a lady Alexandra – tu spojrziała zezem – śliwkowa.

George'owi przyszło na myśl, że Billie naprawdę nie lubi lady Alexandry.

– Nigdy jeszcze w to nie grałem – powiedział pan Berbrooke. Machnął kilka razy swoim młotkiem, o mały włos nie trafiając przy tym w nogę George'a. – Wygląda na to, że będzie dobra zabawa.

– Zgadza się – potwierdziła radośnie Billie. – Zasady są bardzo proste. Wygrywa ten, kto pierwszy przepchnie piłkę przez wszystkie bramki w odpowiedniej kolejności.

Lady Alexandra przypatrywała się kolekcji bramek, na razie leżących na kupce.

– A skąd będziemy wiedzieć, jaka jest odpowiednia kolejność?

– Proszę po prostu spytać mnie – poradziła Billie. – Albo porucznika Rokesby. Robiliśmy to chyba z milion razy.

– A które z was zazwyczaj wygrywa? – spytał pan Berbrooke.

– Ja! – odpowiedzieli równocześnie.

– Żadne – wtrącił zdecydowanie George. – Rzadko im się udawało w ogóle skończyć grę. A państwu radzę uważać na stopy. Mogą być w niebezpieczeństwie.

– Nie mogę się doczekać – stwierdziła Georgiana, przestępując z nogi na nogę z przejęcia. Zwróciła się do lady Alexandry: – A na samym końcu musi pani uderzyć w słupek. Billie o tym nie powiedziała.

– Ona lubi tak czasem opuścić jakieś przepisy – zauważył Andrew. – Po to, żeby mogła potem nałożyć karę, gdyby pani

wygrywała.

– To nieprawda! – broniła się Billie. – Przynajmniej połowę swoich wygranych miałam bez oszukiwania.

– Gdyby pani kiedykolwiek miała znowu grać w krokieta – poradził George lady Alexandrze – poprosiłbym na pani miejscu o wyrecytowanie mi pełnego regulaminu. Nic z tego, czego się pani tu nauczy, się nie przyda.

– Grałam w to już wcześniej, wie pan – wyznała lady Alexandra. – Lord Northwick ma cały zestaw.

Georgiana spojrzała ze zdziwieniem na lady Alexandrę.

– Myślałam, że lord Northwick jest zaręczony z pani siostrą!

– Jest – potwierdziła lady Alexandra.

– Och, zdawało mi się... – Georgiana przerwała; kilka razy otwierała i zamykała usta, wreszcie powiedziała: – Pani tak często o nim mówi.

– Lord nie ma własnych sióstr – oschle wyjaśniła lady Alexandra – zatem to naturalne, że staliśmy się sobie dosyć bliscy...

– Ja mam siostrę – włączył się nagle pan Berbrooke.

To oświadczenie spotkało się z głuchym milczeniem, które w końcu przerwała Georgiana, mówiąc:

– To cudownie...

– Ma na imię Nellie – dodał. – Zdrobnienie od Eleonory. Jest bardzo wysoka.

Wyglądało na to, że nikt nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– No cóż... – zaczął Andrew, przerywając tę zdecydowanie niewygodną ciszę – Chyba czas poustawić bramki.

– Czy lokaj nie może tego zrobić? – zdziwiła się lady Alexandra.

Billie i Andrew zgodnie spojrzeli na nią jak na osobę niespełna rozumu.

George'owi zrobiło się jej żal. Podeszedł bliżej i szepnął:

– Mogą je ustawić w jakiś specjalny sposób.

Lady Alexandra podniosła podbródek.

– Lord Northwick zawsze mówi, że bramki powinny być

ustawione w kształt krzyża.

– Ale tutaj nie ma lorda Northwick! – prychnęła Billie.

Lady Alexandra aż jęknęła.

– No, przecież nie ma go tutaj – mówiła dalej Billie, rozglądając się po pozostałych i szukając u nich potwierdzenia.

George zmrużył oczy – co było delikatną formą rąbnienia łokciem pod żebra – tak że Billie musiała się zorientować, że przekroczyła pewną granicę; granicę być może absurdalną, ale jednak granicę. Była tu gospodynią, wiedziała o tym i powinna się odpowiednio zachowywać.

A jednak obserwowanie jej było fascynujące. Billie była urodzoną zawodniczką – i nigdy nie uważano jej za osobę odznaczającą się nadmierną cierpliwością. A już z pewnością nie miała zamiaru przyjąć sugestii lady Alexandry. Teraz stanęła wyprostowana i zwróciła się do swego gościa z prawie sympatycznym uśmiechem na ustach:

– Myślę, że taki układ się pani spodoba – powiedziała po prostu. – A jeżeli nie, może pani o tym wszystkim opowiedzieć lordowi Northwick, wtedy już będzie pani na pewno wiedziała, że jego układ jest najlepszy.

George prychnął.

Billie nie zwróciła na to uwagi.

– Bramki! – przypomniał wszystkim Andrew.

– George robi to ze mną – zarządziła Billie, wyjmując je z wyciągniętych rąk Andrew.

George spojrział na nią z zadowoleniem.

– Jasne, zrobimy to.

– Lordzie Kennard – rzuciła przez zaciśnięte zęby – czy będzie pan tak dobry i pomoże mi ustawiać bramki?

Zerknął na jej nadwyrężoną kostkę.

– Myśli pani... to dlatego, że nie może pani chodzić?

Rzuciła mu przesłodki uśmiech.

– Bo uwielbiam pańskie towarzystwo.

Omal się nie roześmiał.

– Andrew nie może tego zrobić – mówiła dalej – a nikt inny

nie wie, gdzie mają stać.

– Gdybyśmy grali w kształcie krzyża – powiedziała lady Alexandra do pana Berbrooke – każde z nas mogłoby ustawiać bramki.

Pan Berbrooke poważnie skinął głową.

– Zaczęlibyśmy wtedy od nawy – instruowała go lady Alexandra – a potem przeszlibyśmy do transeptu, i w końcu do ołtarza.

Pan Berbrooke spojrział na swój młotek i zmarszczył brwi.

– Ta gra nie wygląda na zbyt kościelną.

– Ale mogłaby – zapewniła go lady Alexandra.

– Ale my nie chcemy, żeby taka była – wtrąciła ostro Billie. George złapał ją za ramię.

– Bramki! – powiedział, odciągając ją, zanim obie damy przeszły do rękoczynów.

– Ja naprawdę nie cierpię tej baby – burknęła, kiedy już reszta graczy nie mogła ich słyszeć.

– Naprawdę? – odszepnął George. – A nigdy bym nie powiedział...

– Pomóż mi tylko przy bramkach – zarządziła, idąc w kierunku wielkiego dębu na skraju polany. – Chodź za mną.

Obserwował ją przez chwilę. Nadal utykała, ale jakoś inaczej. Bardziej niezręcznie.

– Co, znowu coś sobie zrobiłaś?

– Hmm... a, to! – prychnęła z irytacją. – To przez to damskie siodło.

– Przepraszam...?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mogę włożyć tej chorej stopy w strzemień. Dlatego musiałam jeździć po damsku.

– A musiałaś jeździć konno, bo...

Spojrzała na niego jak na głupka. A przecież George był całkowicie pewien, że nim nie jest.

– Billie – powiedział, biorąc ją za przegub dłoni tak, że oboje musieli się zatrzymać – Co było aż tak ważne, że musiałaś z tą

zranioną kostką jeździć konno?

– Jęczmień – wyjaśniła.

Chyba się przesłyszał.

– Co takiego?

– Ktoś musiał sprawdzić, czy go dobrze posiano – mówiła, usiłując wyrwać rękę z uścisku.

Myślał, że ją zaraz zabije. Albo raczej, że mógłby zabić, tyle, że pewnie sama by to przedtem zrobiła. Odetchnął głęboko i spytał tak spokojnie, jak tylko potrafił:

– Czy tym nie zajmuje się twój zarządca?

Ściągnęła brwi.

– Nie wiem, czy wiesz, co robię przez cały dzień – oczywiście, kiedy się nie bawię na domowych przyjęciach – ale wiedz, że jestem bardzo zajęta osobą. – W jej wyrazie twarzy coś się zmieniło; George nie potrafił określić, co to było. Wtedy powiedziała: – Jestem osobą pożyteczną.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł myśleć inaczej – odparł, chociaż w duchu przyznawał, że właśnie on myślał inaczej, i to jeszcze bardzo niedawno.

– Co u diabła tam robicie, wy dwoje? – wrzeszczał Andrew z daleka.

– Zrobię z niego marmoladę – wściekle prychnęła Billie.

– Bramki – przypomniał George. – Mów po prostu, gdzie je chcesz ustawić.

Billie wyjęła jedną z całego pęku i podała mu.

– Tam. Pod tym drzewem, ale nad korzeniem. Postaraj się, żeby stała równo nad korzeniem. Inaczej będzie za łatwo.

George miał ochotę jej pogratulować.

Kiedy wrócił, była już daleko, po drugiej stronie pola i wtykała w ziemię kolejną bramkę. Resztę bramek zostawiła; leżały złożone w stertę, zatem je wziął do rąk.

Podniosła wzrok znad ustawianej bramki.

– Co ty masz przeciwko sir Reginaldowi?

George niemal zazgrzytał zębami. Powinien był wiedzieć, że Billie tak łatwo nie zrezygnuje.

– Nic – skłamał. – Po prostu nie sądziłem, żeby chciał z nami zagrać.

Wstała.

– Tego nie mogłeś przecież wiedzieć!

– Cały turniej łuczniczy spędził, jedząc śniadanie na trawie i narzekając na upał.

– Ty też się nie podniosłeś z trawnika.

– Ale ja lubię słońce.

Wcale nie było słonecznie... nie mógł jej jednak przecież zdradzić powodu, dla którego cały turniej przesiedział na krześle!

– Bardzo dobrze – przyznała Billie. – Sir Reginald rzeczywiście nie jest może najlepszym kandydatem do krokietu. Jednak nadal utrzymuję, że mogliśmy wybrać kogoś lepszego niż ta lady Alexandra.

– Zgoda.

– Ona... – tu Billie zamrugła powiekami – rozumiesz?

– Naturalnie. Musiałem przecież spędzić cały zeszły wieczór na rozmowie z nią, co mi zresztą już zdążyłaś wypomnieć.

Billie wyglądała, jakby za chwilę miała wyrzucić ręce w górę w geście rozpaczki.

– Więc dlaczego nic nie powiedziałeś, kiedy Georgiana ją zaproponowała?

– On nie jest zła... najwyżej denerwująca.

Billie mruknęła coś ze złością pod nosem.

George nie był w stanie się powstrzymać: na jego twarzy pojawił się uśmiech rozbawienia.

– Ty chyba jej naprawdę nie lubisz, co?

– Naprawdę jej nie znoszę!

Zachichotał.

– Przestań!

– Mam przestać się śmiać?

Wbiła bramkę w grunt.

– Jesteś tak samo niedobry jak ja. Opowiadałeś o sir Reginaldzie w taki sposób, że niejeden mógłby pomyśleć, że on popełnił jakieś okropne przestępstwo, zdradę albo coś w tym

rodzaju.

Opowiadał?

George oparł ręce na biodrach.

– Jest zupełnie inaczej.

Podniosła oczy znad bramek.

– A jak?

– To po prostu bufon.

Billie parsknęła śmiechem. Nie było to szczególnie kobiece, ale w jej wykonaniu doprawdy czarujące. Pochyliła się ku niemu wyzywająco.

– Myślę, że jesteś zazdrosny.

George poczuł ssanie w żołądku. Z pewnością sobie nie zdawała sprawy... Nie. To, jak o niej myślał... to chwilowy obłęd z powodu jej bliskości. To musiało być to. W zeszłym tygodniu spędził z nią więcej czasu, niż przedtem w ciągu wielu lat.

– Nie bądź śmieszna – odparł lekko pogardliwie.

– No, nie wiem – drażniła się z nim. – Wszystkie damy się do niego kleiły. Ty sam powiedziałeś, że ma ładny uśmiech.

– Ja powiedziałem... – zaczął George, zanim sobie zdał sprawę, że właściwie nie pamięta dokładnie, co wtedy powiedział. Na szczęście Billie już mu zdążyła przerwać.

– Jedyńą damą, która nie padła ofiarą jego uroku, jest znakomita lady Alexandra. – Spojrzała na niego przez ramię. – Pewnie dlatego, że była zanadto zajęta pozyskiwaniem twoich łask...

– Czyżbyś była zazdrosna? – odciął się.

– Proszę cię! – parsknęła, przechodząc do kolejnego miejsca ustawienia bramki.

Szedł o krok za nią.

– Nie powiedziałaś, że nie...

– Nie! – rzuciła nerwowo. – Jasne, że nie jestem zazdrosna. Zupełnie szczerze myślę, że ona ma coś nie w porządku z głową.

– Dlatego, że próbowała „pozyskać moje łaski”? – Nie wytrzymał.

Wyciągnęła rękę po kolejną bramkę.

– Jasne, że nie dlatego. To chyba najrozsądniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła.

Chwilę milczał, zanim powiedział:

– Więc dlaczego to zabrzmiało jak zniewaga?

– Żadna zniewaga – zapewniła Billie. – Nie mogłabym być taka... dwulicowa.

– Nie, to była zniewaga – mruknął. – Mówisz zupełnie przejrzyście.

Przewróciła oczyma, po czym wróciła znów do tematu lady Alexandry.

– Mówiłam o jej obsesji na temat lorda Northwick. Przecież, na Boga, on jest zaręczony z jej siostrą!

– Ach, o to ci chodzi...

– Ach, o to mi właśnie chodzi! – przedrzeźniła go, ustawiając następną bramkę. – Co z nią jest?

Na szczęście Andrew wybawił George'a od odpowiedzi: zaczął wołać ich oboje i poganiać, żeby wracali.

Billie parsknęła.

– Nie wierzę, żeby sądził, że zdoła mnie pobić z tą złamaną ręką.

– Chyba sobie zdajesz sprawę, że jeżeli wygrasz...

– Kiedy wygram – poprawiła go.

– Ale czy powinnaś wygrać? Będziesz wtedy wyglądała jak najgorszego rodzaju czempion, który wykorzystuje słabe strony innych.

Spojrzała na niego niewinnymi, szeroko otwartymi oczyma.

– Przecież ja sama ledwo chodzę...

– Ty, panno Bridgerton, masz bardzo wygodne pojęcie o rzeczywistości.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Wygodne dla mnie... tak.

Potrząsnął głową, mimo woli uśmiechnięty.

– Więc teraz – zaczęła, zniżając głos, mimo że nikt ich nie mógł słyszeć – grasz już w mojej drużynie, prawda?

George zmrużył oczy.



– Od kiedy są tu jakieś drużyny?  
– Od dzisiaj. – Przysunęła się bliżej. – Musimy zmiażdżyć Andrew.

– Zaczynasz mnie przerażać, Billie!  
– Nie bądź głupi... jesteś tak samo zawodnikiem jak ja.  
– A wiesz co? Nie wydaje mi się, że nim jestem.  
– Ależ oczywiście, że jesteś. Tylko okazujesz to w inny sposób.

Pomyślał, że mogłaby to wyjaśnić, ale naturalnie nie zrobiła nic takiego.

– Nie chcesz, żeby Andrew wygrał, prawda? – spytała.  
– Nie jestem przekonany, czy to mnie w ogóle obchodzi.  
Cofnęła się.

Zachichotał. Nie mógł się pohamować. Wyglądała na taką obrażoną!

– Naturalnie, że nie chcę, żeby wygrał – pospieszył z odpowiedzią. – To mój brat. Ale równocześnie chyba nie czuję potrzeby szpiegowania, żeby być pewnym wyniku.

Spojrzała na niego z rozczarowaniem.

– No, już dobrze – poddał się. – Zatem... kto jest w drużynie Andrew?

Natychmiast się rozjaśniła.

– Nikt. To jest właśnie cały urok. On się nie dowie o naszym sojuszu.

– Nie ma mowy, żeby to się mogło dobrze skończyć – stwierdził, stosując te słowa do całej sytuacji.

Był jednak w pełni przekonany, że nikt go w tej chwili nie słucha.

Billie ustawiła ostatnią bramkę.

– Ta jest groźna – poinformowała go. – Strzelisz trochę za mocno... i wylądujesz w krzakach róż.

– Wezmę to pod uwagę.

– I słusznie. – Uśmiechnęła się tak, że zabrakło mu tchu. Nikt się nie uśmiechał tak jak Billie. Nikt, nigdy. Wiedział o tym już od lat, a mimo to... dopiero teraz...

Zaklął w duchu. To musiało być najbardziej niewygodne zauroczenie w historii ludzkości. Billie Bridgerton... na Boga! Była tym wszystkim, czego nigdy nie pragnął w kobiecie. Nieustępliwa, niemądrze brawurowa, a jeśli nawet kiedykolwiek w życiu zachowała się tajemniczo, po kobiecemu, to on nigdy nie był świadkiem czegoś takiego.

A jednak...

Przełknął ślinę.

Pragnął jej. Pragnął jej tak bardzo, jak nigdy dotąd niczego. Pragnął jej uśmiechu... ale pragnął go wyłącznie dla siebie. Pragnął trzymać ją w ramionach, czuć ją pod sobą... bo w jakiś niewytłumaczony sposób był przekonany, że w jego łóżku Billie zachowałyby się właśnie całkiem tajemniczo... po kobiecemu.

Przy tym wiedział też, że każda z tych rozkosznych czynności wymagałaby wzięcia Billie za żonę, to zaś było tak całkowicie niedorzeczne, że...

– Och, na litość boską... – mruknęła Billie.

George wrócił do rzeczywistości.

– Andrew tu idzie – oznajmiła. – Trzymaj konie na wodzy! Przysięgam – odezwała się do George'a – że nie znam nikogo równie niecierpliwego!

– Powiedział...

– „Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli”! – zawołała.

Ruszyła z powrotem do pierwszej bramki. Szła tak szybko, jak tylko mogła, ale naprawdę wyglądała śmiesznie z tym swoim „podwójnym” utykaniem.

Zaczekał chwilę, szeroko uśmiechnięty.

– Pewna jesteś, że potrzebujesz czarnego młotka?

– Nienawidzę cię! – odkrzyknęła.

Nie mógł się nie uśmiechać. To była chyba najweselsza deklaracja nienawiści, jaką słyszał kiedykolwiek.

– Ja też cię nienawidzę – mruknął.

Ale... chyba jednak tak nie myślał.

Kiedy Billie zbliżała się do miejsca, w którym zaczynało się grę w krokieta, nuciła już całkiem beztrąsko pod nosem. Biorąc wszystko pod uwagę, była w nadzwyczaj pogodnym nastroju. Andrew nadal był obrzydliwie niecierpliwy, a lady Alexandra nadal najwstrętniejszą osobą w historii świata, ale się jakoś tym nie przejmowała.

Zerknęła przez ramię na George'a. Szedł nadal za nią, kwitując jej obelgi wilczym uśmiechem.

– Z czego się tak cieszysz? – napadł na nią Andrew.

Uśmiechnęła się tajemniczo. Niech się trochę pomęczy. Poza tym właściwie nie była pewna, co ją tak cieszy. Po prostu cieszyło – i już.

– Kto gra pierwszy? – spytała lady Alexandra.

Billie już otwierała usta, by odpowiedzieć, ale Andrew ją uprzedził.

– Zwykle gramy od najmłodszego do najstarszego – powiedział – ale to może się wydawać trochę niegrzeczne... dopytywać się...

– Wobec tego ja! Ja na pewno jestem pierwsza – oznajmiła Georgiana, ustawiając zieloną piłkę w pobliżu startowego palika. – To chyba nie ulega kwestii!

– Mam wrażenie, że ja powinnam grać jako druga – rzekła lady Alexandra, posyłając Billie spojrzenie pełne żalu.

Billie nie zwróciła na to uwagi.

– Panie Berbrooke, możemy pana spytać o wiek?

– Co? Och... mam dwadzieścia pięć lat – odparł z szerokim uśmiechem, jak zwykle. – Ćwierć wieku... wie pani.

– Doskonale – podsumowała Billie. – Więc kolejność gry będzie taka: Georgiana, lady Alexandra... jak przypuszczam, Andrew, ja, pan Berbrooke i George.

– Chciała pani powiedzieć: lord Kennard? – spytała lady

Alexandra.

– Nie; z pewnością chciałam powiedzieć „George” – ucięła Billie.

Dobry Boże! Ależ ta kobieta ją irytowała!

– Chętnie zagram czarnym młotkiem – stwierdził George, zgrabnie zmieniając temat. Ale Billie patrzyła na niego uważnie; nie była pewna, ale wydało jej się, że ukrywał uśmiech.

Dobrze.

– Och, to taki męski kolor – stwierdziła lady Alexandra.

Billie chętnie by ją zakneblowała.

– To kolor śmierci – wygłosił Andrew i przewrócił oczami.

– Młotek Śmierci... – zamyślił się George. Machnął nim kilka razy tam i z powrotem jak makabrycznym wahadłem. – Istotnie, to interesujące.

Andrew parsknął.

– Śmiejesz się – powiedział George – ale wiesz dobrze, że tego chcesz.

Billie zaśmiała się dźwięcznie i chichotała coraz głośniej, aż Andrew rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Och, Andrew, daj spokój! Wiesz przecież, że to prawda – odparła.

Georgiana patrzyła na nich ze swojego miejsca przy słupku startowym.

– Kto chciałby mieć Młotek Peonii, kiedy mógłby mieć Młotek Śmierci? – spytała, wskazując na różowy zestaw Andrew.

Billie uśmiechnęła się z uznaniem. Od kiedy to jej siostra jest taka dowcipna?

– Ale moje peonie zatriumfują! – rzucił Andrew, groźnie ruszając brwiami. – Patrzcie tylko.

– Twoim peoniom brakuje najważniejszego płatka – odparła Billie, wskazując na jego zranioną rękę.

– Chyba nie rozumiem, o czym mówimy – zauważył pan Berbrooke.

– Och, to po prostu takie niemądre żarty – pouczyła go Georgiana, szykując się do pierwszego uderzenia. – Billie i

Andrew uwielbiają sobie nawzajem dokuczać. Zawsze to robią. – Uderzyła młotkiem piłkę, która przeleciała przez dwie początkowe bramki. Nie potoczyła się dalej, ale dziewczynka zdawała się tym nie przejmować.

Lady Alexandra wystąpiła naprzód, ustawiając swoją piłkę na miejscu.

– Po mnie gra porucznik Rokesby, prawda? – stwierdziła. Przyjrzała się Billie ze zwodniczo uroczą minką. – Nie wiedziałam, że pani jest od niego starsza, panno Bridgerton.

– O, jestem starsza od bardzo wielu ludzi – odrzekła Billie chłodno.

Lady Alexandra pociągnęła nosem i uderzyła młotkiem piłkę, która potoczyła się daleko po trawniku.

– Świetnie! – ucieszył się pan Berbrooke. – Z pewnością pani już w to grała.

– Przecież wspominałam, że lord Northwick ma cały zestaw – odparła lady Alexandra skromnie.

– Aha... i gra w kształcie świętego krzyża – powiedziała Billie pod nosem.

George trącił ją łokciem.

– Moja kolej – zaanonsował Andrew.

– Ahoj, peonie! – zawołała Billie żywo.

Usłyszała obok siebie chichot George'a. Jakoś ją dziwnie satysfakcjonowało, że to dzięki niej się śmiał.

Andrew kompletnie nie zwracał na nią uwagi. Rzucił różową piłeczkę na ziemię i ustawił ją na miejscu, popychając nogą.

– Nadal nie rozumiem, jak masz zamiar grać z tą złamaną ręką – odezwała się Georgiana.

– Patrz i ucz się, drogie dziecię! – mruknął. A po kilku próbnym ruchach młotkiem (jeden wykonał z obrotem wokół własnej osi) wybił zgrabnie swoją piłkę przez pierwsze bramki i dalej przez trawnik.

– Prawie tak daleko jak lady Alexandra – z podziwem stwierdziła Georgiana.

– Bo mam złamaną rękę – powiedział skromnie.

Billie podeszła do punktu startowego i ustawiła piłkę.  
– Jak to się stało? – spytała niewinnie.  
– Atak rekina – powiedział, uderzając starannie.  
– Nie! – krzyknęła lady Alexandra.  
– Rekin? – spytał pan Berbrooke. – Czy to nie jedna z tych zębatach ryb?  
– Niezwykłe zębatach – potwierdził Andrew.  
– Nie chciałbym takiemu stanąć na drodze... – wzdrygnął się pan Berbrooke.  
– Czy lord Northwick został kiedyś ugryziony przez rekina?  
– słodko spytała Billie.  
George wydał dźwięk przypominający kaszel.  
Oczy lady Alexandry zwęziły się.  
– Nie potrafię powiedzieć, czy tak było.  
– Szkoda. – Billie uderzyła młotkiem w piłkę z siłą huraganu. Piłka przefrunęła nad trawnikiem, wyprzedzając wszystkie pozostałe.  
– Doskonale! – wykrzyknął znowu pan Berbrooke. – Ależ pani jest w tym mistrzynią, panno Bridgerton!  
Nie sposób było nie zareagować wobec jego nieustająco dobrego humoru. Billie obdarzyła go przyjacielskim uśmiechem i rzekła:  
– W ciągu ostatnich lat trochę w to grałam...  
– Ona często oszukuje – powiedział Andrew mimochodem.  
– Tylko kiedy gram z tobą.  
– Myślę, że lepiej będzie, jeżeli teraz ja zagram – powiedział pan Berbrooke, kucając, by ustawić niebieską piłkę przy paliku startowym.  
George na wszelki wypadek cofnął się o krok.  
Pan Berbrooke ze zmarszczonym czołem patrzył na piłkę, kilka razy wypróbował młotek, zanim zrobił zamach. Piłka poleciała, niestety – razem z nią także jedna z bramek.  
– Och! Najgorzej przepraszam – zawołał.  
– Żaden kłopot – oświadczył George. – Zaraz wstawimy bramkę na miejsce.

Bramkę wstawiono; teraz przyszła kolej George'a. Jego czarna piłka wylądowała gdzieś pomiędzy lady Alexandrą i Billie.

– Istotnie Młotek Śmierci – zakpił Andrew.

– To rodzaj strategicznego zamachu – odparł George z tajemniczym uśmiechem. – Staram się patrzeć przyszłościowo.

– Moja kolej! – zawołała Georgiana. Do swojej piłki nie musiała biec daleko. Tym razem uderzyła o wiele silniej, piłka przeleciała przez pole w kierunku następnej bramki i zatrzymała się o niecałe pięć metrów przed celem.

– Bardzo dobrze! – wykrzyknął pan Berbrooke.

Georgiana się rozjaśniła.

– Dziękuję... Naprawdę uważam, że się zaczynam w tym orientować.

– Pod koniec gry będziesz pokonywała nas wszystkich – obiecał.

Lady Alexandra już stała na stanowisku przy fioletowej piłce. Ustawianie się do celu zajęło jej prawie minutę, wreszcie ostrożnie uderzyła. Piłka się potoczyła do przodu i zatrzymała się dokładnie przed bramką.

Billie wydała jakiś gardłowy dźwięk. Lady Alexandra naprawdę grała z talentem.

– To ty tak burknęłaś? – spytał George.

Omali nie podskoczyła. Nie zdawała sobie sprawy, że stał tak blisko niej. A ponieważ znajdował się niemal dokładnie za jej plecami, nie mogła go widzieć, chyba że oderwałaby wzrok od gry.

Czuła go jednak. Mógł jej nie dotykać, ale był tak blisko... Poczowała mrowienie w skórze i poczuła nagle, że serce jej bije w piersi mocno, głęboko i natrętnie.

– Chciałbym spytać – szepnęła, a jego głos, tak blisko jej ucha, odurzył Billie – w jaki dokładnie sposób mamy działać jako jedna drużyna?

– Nie jestem pewna – zauważyła, obserwując grę Andrew. – Ale się spodziewam, że to się później stanie oczywiste.

– Billie, twoja kolej – zawołał Andrew.

– Przepraszam – rzuciła Billie George'owi, nagle chcąc

zwiększyć dzielącą ich przestrzeń. Kiedy stał tak blisko, zaczynała niemal mieć zawroty głowy.

– Co teraz będziesz robiła, Billie? – z ciekawością spytała Georgiana, kiedy Billie już się zbliżyła do swojej piłki.

Siostra zmarszczyła brwi. Nie była daleko od bramki, niestety – fioletowa piłka lady Alexandry leżała jej na drodze.

– Trudy strzał – przyznał Andrew.

– Zamknij się.

– Mogłabyś zastosować sposób „na siłę”.- Spojrzał na otoczenie. – To jej zwykły *modus operandi*<sup>[6]</sup>. – Zniżył głos do poufalego szeptu. – W krokiecie i w życiu.

Billie przez krótką chwilę rozważała możliwość wycofania się z gry tu i teraz i strzelenia piłką w nogi Andrew.

– A czy przez to piłka Lady Alexandry przeleci przez bramkę? – pytała Georgiana.

Andrew wzruszył ramionami, jakby mówił: *c'est la vie*<sup>[7]</sup>.

Billie skupiła uwagę na swojej piłce.

– Albo... może okazać cierpliwość – ciągnął Andrew – i poczekać w kolejce na bramkę po lady Alexandrze. Ale wszyscy wiemy, że to nie w jej stylu.

Billie wydała głośny dźwięk. Tym razem to niewątpliwie było warknięcie.

– A trzecia możliwość...

– Andrew! – huknęła na niego.

Wyszczrzył do niej zęby w uśmiechu.

Billie ustawiła młotek. Nie było sposobu przepchnięcia piłki przez bramkę, nie uderzając piłki lady Alexandry, ale jeżeli ją uderzy bokiem...

Pozwoli jej przelecieć.

Żółta piłka Billie potoczyła się bokiem w kierunku bramki i wybiła fioletową, leżącą pośrodku przed bramką. Wszyscy patrzyli, jak piłka lady Alexandry toczy się w prawo i zatrzymuje pod takim kątem, że właścicielka nie mogła mieć nadziei na przetoczenie jej przez bramkę przy następnym uderzeniu.

Zaś piłka Billie leżała teraz dokładnie tam, gdzie przedtem



piłka lady Alexandry.

– Zrobiła to pani umyślnie! – zawołała lady Alexandra oskarżycielsko.

– Oczywiście! – Billie spojrzała na nią lekceważąco. Czego ona się spodziewała? – Tak się przecież gra.

– Ja tak nie gram.

– No cóż, nie gramy w kształcie krzyża – prychnęła Billie, tracąc cierpliwość. Do diabła, ta baba była okropna!

Ktoś obok niej zakaszłał.

– Co to miało oznaczać? – spytała ostro lady Alexandra.

– Ja sędzę – wtrącił w zamyśleniu pan Berbrooke – że panna Bridgerton ma na myśli, że grałaby bardziej pobożnie, gdyby gra miała pewien aspekt religijny. Ale nie sędzę, żeby ta była taka.

Billie podziękowała mu spojrzeniem. Może ten gość był bystrzejszy, niż się wydawał...

– Lordzie Kennard – zwróciła się do George'a lady Alexandra – Pan z pewnością nie pochwała takich podstępnych taktyk.

George wzruszył ramionami.

– Cóż, obawiam się, że oni po prostu tak grają.

– Ale pan tak nie gra – nalegała lady Alexandra.

Billie rzuciła George'owi zaciekawione spojrzenie; czekała, co odpowie.

Nie rozczarował jej.

– Kiedy gram z nimi, robię to samo co oni.

Lady Alexandra odsunęła się o krok, zirytowana.

– Niech się pani nie martwi! – wtrąciła Georgiana. – Szybko się pani w tym połapie.

– To nie leży w mojej naturze – pociągnęła wyniośle nosem lady Alexandra.

– To leży w naturze każdego! – zaprotestował Andrew. – Czyja teraz kolej?

Pan Berbrooke się zerwał.

– Och, chyba moja. – Podszedł do piłki. – Czy mam prawo celować w pannę Bridgerton?

– Absolutnie! – potwierdził Andrew. – Ale może chciałby pan...

Pan Berbrooke uderzył piłkę, nie czekając, aż Andrew skończy instrukcję, w której z pewnością by radził, żeby nie trafiać dokładnie w jej piłkę; tymczasem on właśnie to zrobił.

Żółta piłka Billie przeleciała przez bramkę i poza nią o jakiś metr, aż wreszcie się zatrzymała. Niebieska piłka też się przetoczyła przez bramkę, ale ponieważ przekazała swoją siłę żółtej piłce, zatrzymała się tuż za bramką.

– Świetny strzał, panie Berbrooke! – zawołała Billie radośnie.

Odwrócił się z uśmiechem.

– Dziękuję pani!

– Och, na litość boską! – zdenerwowała się lady Alexandra. – Ona wcale tak nie myśli. Po prostu się cieszy, że pan przepchnął jej piłkę przez bramkę.

– Wycofuję wszystko, co mówiłam – szepnęła Billie do George'a. – Zapomnijmy o Andrew. To ją musimy zmiążdżyć!

Pan Berbrooke zaapelował do wszystkich:

– Panna Bridgerton tak czy owak przeszłaby przez tę bramkę przy następnym strzale, zgadzają się państwo ze mną?

– Przeszłabym – przyznała Billie. – Naprawdę nie prześcignęłam pana tak bardzo.

– A pan też przecież przepchnął piłkę przez bramkę – dodała Georgiana. – Jest pan na drugim miejscu.

– Zgadza się, prawda? – powiedział pan Berbrooke, niezmiernie zadowolony z takiego obrotu sprawy.

– A poza tym – dodała Billie błyskotliwie – niech pan zobaczy, jak pan zablokował wszystkich pozostałych! Naprawdę, brawo.

Lady Alexandra głośno fuknęła.

– Czyja teraz kolej?

– Chyba moja – gładko powiedział George.

Billie uśmiechnęła się do siebie. Uwielbiała sposób, w jaki potrafił tak wiele wypowiedzieć, posługując się wyłącznie

uprzejmym, cichym mruknięciem. Lady Alexandra słyszała w tym tylko obojętną uwagę dżentelmena; ale Billie znała go lepiej. Znała go lepiej, niż kiedykolwiek mogłaby go poznać ta nadęta książęca córeczka!

W słowach George'a słyszała jego uśmiech. Bawiła go ta wymiana słów, nawet, jeżeli był zbyt dobrze wychowany, żeby to po sobie pokazać.

Usłyszała też pochwałę. Wygrała tę rundę, a on jej pogratulował.

Słyszała też, że ją ostrzegł. Radził, żeby się nie posuwała za daleko.

Bo pewnie by to zrobiła. Znał ją tak dokładnie, tak dobrze, jak ona znała jego.

– Twoja kolej, George – potwierdził Andrew.

Billie patrzyła, jak George występuje naprzód i szykuje się do strzału. Celując, mrużył oczy. To było urocze...

Co za pomysł! George Rokesby uroczy? Co za niemądra, śmieszna myśl!

Cicho zachichotała, kiedy George uderzył w piłkę. Strzał był dobry: piłka wylądowała dokładnie przed bramką.

– O, do licha – powiedziała Georgiana, mrużąc oczy. – Teraz to już nigdy się nie przedostaniemy!

Miała rację. Piłki – czarna i niebieska – leżały w odległości paru centymetrów od siebie, obsadzając obie strony bramki.

Każdy, kto by próbował do niej trafić, tylko by powiększył tłok.

George cofnął się w kierunku Billie, robiąc miejsce następnym graczom. Przysunął usta do jej ucha.

– Ze mnie się śmiałaś? – wyszeptał.

– Tylko troszkę – odparła, patrząc, jak Georgiana obmyśla kolejny strzał.

– Dlaczego?

Otworzyła usta, zanim zdała sobie sprawę, że chyba nie będzie mu mogła dać uczciwej odpowiedzi. Odwróciła się do niego... i znowu był bliżej, niż przypuszczała, bliżej, niż powinien się odważyć...

Nagle coś sobie uświadomiła...  
Jego oddech, gorący, na jej skórze.  
Jego oczy, tak błękitne i tak magnetycznie utkwione w jej oczach.

Jego wargi – pełne, piękne, z lekkim grymasem wesołości.  
I on sam. Po prostu – on sam.  
Wyszeptała jego imię.  
Przechylił głowę na bok w jej stronę, a ona zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dlaczego go wezwała, chociaż... było to po prostu coś tak naturalnego, kiedy stała tu z nim – i kiedy tak na nią patrzył, jakby myślał, że jest niezwykła. I poczuła się niezwykła.

Poczuła, że jest piękna.  
Wiedziała, że to nie może być prawdą, bo on przecież nigdy tak o niej nie myślał. Ona zresztą wcale tego nie chciała...

A może?

Aż jęknęła.

– Coś nie tak? – szepnął.

Potrząsnęła głową. Wszystko było „nie tak”.

– Billie?

Miała ochotę go pocałować.

Chciała pocałować George’a. Doszła do wieku dwudziestu trzech lat, nawet nie próbując flirtu z mężczyzną, a teraz pragnęła George’a Rokesby?

Nie, coś było nie tak. Bardzo, bardzo nie tak. Powodowało panikę, to był koniec świata, serce od tego stawało. Nie tak!

– Billie, czy coś jest nie tak?

Błyskawicznie uruchomiła uwagę i zaraz potem sobie przypomniała, jak się oddycha.

– Nic – odpowiedziała, chyba zbyt pogodnie. – Nic w ogóle.

Ale co on miałby zrobić? Jak miałby zareagować, gdyby do niego podeszła, objęła za szyję i przycisnęła usta do jego ust?

Powiedziałby jej, że chyba oszalała, tak, na pewno by tak zareagował. Nie mówiąc już o czwórce pozostałych graczy w krokieta, stojących raptem o piętnaście metrów od nich.

Ale... gdyby tu nie było nikogo innego? Gdyby cała reszta świata gdzieś przepadła i nie byłoby żadnego świadka jej szaleństwa? Czy by to zrobiła?

I... czy on oddałby jej pocałunek?

– Billie? Billie!

Odwróciła się trochę nieprzytomnie w kierunku, skąd dobiegał jego głos.

– Billie, co z tobą?

Mrugała powiekami, starając się skupić. Wydawał się zaniepokojony. Omal się nie roześmiała. Powinien być zaniepokojony.

– Billie...

– Nic mi nie jest – powiedziała czym prędzej. – Naprawdę. To... ach... czy tobie też tak gorąco? – Zaczęła się wachlować dłonią. – Bo mnie bardzo.

Nie odpowiedział. Nie musiał. Wcale nie było gorąco.

– Chyba teraz moja kolej! – zawołała.

Nie miała pojęcia, czy rzeczywiście.

– Nie – odpowiedział George. – Najpierw Andrew. Muszę powiedzieć, że lady Alexandra jest w kłopotcie...

– Naprawdę...? – szepnęła, nadal myśląc o swoim wyimaginowanym pocałunku.

– Do licha, Billie! Teraz już wiem, że na pewno coś jest nie w porządku! – skrzywił się. – Myślałem, że chcesz ją zmiążdżyć.

– Bo chcę – odparła, powoli wracając do rzeczywistości.

O nieba, nie może sobie pozwolić na taką utratę równowagi! George nie jest głupi. Jeżeli będzie wpadała w zakłopotanie za każdym razem, kiedy na nią spojrzy, on dojdzie do wniosku, że coś jest nie w porządku. A gdyby sobie zdał sprawę, że ona jest po prostu trochę zadurzona...

Nie. Nie powinien o tym wiedzieć. Nigdy.

– Twoja kolej, Billie! – wrzasnął Andrew.

– Dobrze – powiedziała. – Dobrze, dobrze, dobrze! –

Zerknęła na George'a, właściwie na niego nie patrząc. – Wybacz.

Pobiegła do swojej piłki, sprawdziła w biegu pole i strzeliła

do kolejnej bramki.

– Wydaje mi się, że pani strzeliła za daleko – zauważyła lady Alexandra, idąc koło niej.

Billie zmusiła się do uśmiechu, starając się wyglądać tajemniczo.

– Uważaj! – krzyknął ktoś.

Zdażyła odskoczyć w tył, zanim niebieska piłka wylądowała tuż pod jej stopami. Lady Alexandra była równie zwinna – i obie patrzyły, jak piłka pana Berbrooke ląduje o metr od bramki.

– Przypuszczam, że byłoby najlepiej, gdyby ten idiota wygrał – stwierdziła lady Alexandra.

Billie spojrzała na nią, zdumiona. Przerzucać się z nią obelgami, to było jedno: z pewnością mogła je zarówno dostawać, jak rozdawać. Ale dyskredytować pana Berbrooke, który był chyba najbardziej dobrodusznym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała...

Nie, doprawdy... ta kobieta to potwór.

Billie znowu oceniła sytuację. Fioletowa piłka nadal tkwiła za pierwszą bramką.

– Zaraz będzie pani kolej – rzekła słodko.

Lady Alexandra zmrużyła oczy i wydała wyjątkowo nieprzyjemny dźwięk, po czym odmaszerowała.

– Coś ty jej powiedziała? – spytał George po chwili. Był już po kolejnym strzale, ustawiony dogodnie do pokonania drugiej bramki.

– To straszna kobieta – wymamrotała Billie.

– Nie o to pytałem – przerwał jej George, patrząc w stronę lady – ale ta odpowiedź mi chyba wystarczy.

– Ona... och, nieważne. – Billie potrząsnęła głową. – Nie jest warta jednego mojego słówka.

– Z pewnością – zgodził się z nią George.

Serce Billie zabiło szybciej na ten komplement i odwróciła się.

– George, czy ty...

Nagle zmarszczyła czoło i przechyliła głowę na bok.

– Czy to Felix do nas idzie?

George przysłonił ręką oczy i spojrzał w stronę, w którą patrzyła.

– Chyba tak.

– Idzie bardzo szybko. Mam nadzieję, że nic złego...

Widzieli, jak Felix zbliżył się do Andrew, który stał bliżej niż oni. Chwilę rozmawiali, po czym Andrew pędem ruszył do domu.

– Jednak coś złego – ocenił George. Z młotkiem w ręku ruszył w stronę Felixa, idąc coraz szybciej.

Billie pobiegła za nim, jak tylko mogła najprędzej, trochę utykając, trochę skacząc na jednej nodze; reszta przyborów do krokieta została zapomniana na trawie.

Zawstydzona, że nie może iść szybciej, uniosła spódnicę i niemal biegła, mimo bólu. Dognała George'a w chwilę po tym, kiedy podszedł do Felixa.

– Goniec przyjechał – mówił akurat Felix.

George przyjrzał się jego twarzy.

– Edward...?

Billie zakryła usta ręką. Nie Edward... och, proszę, tylko nie Edward...

Felix smutno skinął głową.

– Zaginął.

George był w połowie drogi do Aubrey Hall, kiedy zdał sobie sprawę, że Billie biegnie obok, starając się dotrzymać kroku jego długim, szybkim susom.

Biegła. Ona biegła!

Na tej chorej stopie.

Zatrzymał się.

– Co ty ro...

Ale w tej chwili zrozumiał. Taka właśnie była Billie. Naturalnie, że postanowiła biec, mimo chorej kostki! Była uparta jak muł. I brawurowa.

Jej zależało.

Nie powiedział już ani słowa. Po prostu wziął ją na ręce i nadal szedł w stronę domu, tylko nieco wolniej niż przedtem.

– Nie musiałeś mnie nieść – odezwała się.

W jej głosie słyszał ból.

– Ależ tak – powiedział. – Musiałem.

– Dziękuję – wyszeptała mu w koszulę.

Nie umiał odpowiedzieć. Nie mógł znaleźć słów, w każdym razie innych niż bezmyślne frazesy. Ale nie musiał nic mówić Billie – i tak wiedziała, że ją usłyszał. Zrozumiała. Wiedziała, że głowę ma teraz zajęta czymś innym, czymś o wiele ważniejszym od „proszę”, czy „ależ to nic takiego”.

– Są w małym saloniku – powiedział Felix, kiedy weszli do domu. George zorientował się, że Felix miał na myśli resztę jego rodziny. I może także Bridgertonów.

Bo oni też byli rodziną. Zawsze byli rodziną.

Widok, jaki zastał w saloniku, mógł sprawić, że każdy dorosły mężczyzna by zbladł. Jego matka siedziała na kanapie i szlochała w ramionach lady Bridgerton. Andrew wyglądał jak w szoku. A ojciec...

Ich ojciec płakał.



Lord Manston stał z dala od reszty, nie przodem, ale i nie tyłem do nich. Ramiona miał sztywno opuszczone na boki, oczy mocno zamknięte, jakby próbował powstrzymać łzy, spływające mu po policzkach. Jakby chciał sobie wmówić, że skoro nie może widzieć otaczającego go świata, nic takiego nie mogło się wydarzyć.

George nigdy nie widział ojca płaczącego. Nawet nie wyobrażał sobie, że to możliwe. Starał się nie patrzeć, ale widok był tak porażający, tak szarpiący duszę, że nie mógł się od niego oderwać.

Ojciec to hrabia Manston, silny i pewnie stojący na ziemi. Od kiedy George był dzieckiem, ojciec kierował całą rodziną Rokesby silną, ale szlachetną ręką. Był filarem; był uosobieniem siły. I niewątpliwie nimi rządził. Swoje dzieci traktował z całkowitą uczciwością, co czasami znaczyło, że żadne nie było zadowolone z jego ocen, ale wszyscy go słuchali.

W ojcu George widział to, co uosabiało kierowanie rodziną. A we łzach ojca ujrzał... swoją własną przyszłość.

Wkrótce nadejdzie pora, kiedy to George będzie musiał wszystkim kierować.

– Boże kochany! – krzyknęła lady Bridgerton, która w końcu zauważyła ich w drzwiach. – Co się stało Billie?

George przez chwilę patrzył, nie rozumiejąc. Zupełnie zapomniał, że trzyma Billie na rękach.

– Siadaj – powiedział i usadowił ją obok matki. Rozejrzał się po pokoju. Nie wiedział, do kogo powinien się zwrócić po informacje. Gdzie ten posłaniec? Czy w ogóle jeszcze tutaj jest?

– George – usłyszał głos Felixa. Podniósł oczy i ujrzał, że przyjaciel podaje mu jakiś papier. Wziął go bez słowa.

*Do Hrabiego Manston:*

*Z przykrością informuję pana, że Kapitan, Szan. Edward Rokesby zaginął 22 marca 1779 roku w Kolonii Connecticut.*

*Czynimy wysiłki, by go bezpiecznie odnaleźć.*

*Niech Bóg Pana błogosławi*

*Brygadier General Geb. Garth*

– Zaginął... – szepnął George, rozglądając się bezradnie po pokoju. – Co to może znaczyć?

Nikt mu nie odpowiedział.

George patrzył na trzymany w rękach list, badał go dokładnie, do najmniejszego przecinka. Pismo przekazywało zadziwiająco mało informacji. Skąd Edward się wziął w Kolonii Connecticut? Ostatnio słyszeli, że był w mieście Nowy Jork, zakwaterowany w zajezdzie prowadzonym przez Lojalistów:<sup>[8]</sup> jego zadaniem było obserwowanie wojsk Jerzego Waszyngtona po przeciwnej stronie rzeki Hudson.

– Jeżeli zaginął... – powtórzył, głośno myśląc. – Oni muszą wiedzieć...

– Wiedzieć? Co? – spytała Billie. Przyglądała mu się z kanapy i była prawdopodobnie jedyną osobą, siedzącą dostatecznie blisko, by usłyszeć jego słowa.

Potrząsnął głową, nadal próbując znaleźć w tym sens. Z tych (trzeba przyznać, nielicznych) słów listu można było wnioskować, że armia jest przekonana, iż Edward nadal żyje. A to znaczyło, że generał musiał mieć przynajmniej jakieś pojęcie, gdzie on się znalazł.

Ale skoro tak było, to dlaczego nic o tym nie napisał?

Przegarnął palcami włosy i potarł ręką czoło.

– W jaki sposób odznaczony żołnierz mógł zaginąć? – spytał znowu, zwracając się do pozostałych. – Czy został porwany? Czy to właśnie próbują nam powiedzieć?

– Nie jestem pewien, czy wiedzą – odezwał się cicho Felix.

– O, wiedzą, cholernie dobrze wiedzą! – wybuchnął George.

– Tylko nie chcą...

Andrew mu przerwał.

– To nie jest tak – powiedział głuchym, ponurym głosem.

George spojrzał w jego stronę z irytacją.

– Ja to wiem, ale co...

– To nie tak – powtórzył Andrew, tym razem z rosnącym gniewem. – Tam wszystkie miejscowości są położone daleko jedna od drugiej. A farmy nawet ze sobą nie graniczą. Są tam ogromne

połacie ładu, które nie należą do nikogo.

Wszyscy wpatrywali się w niego.

– I są tam... dzicy – dokończył Andrew.

George podszedł bliżej, próbując osłonić matkę przed widokiem udręczonej twarzy Andrew.

– Nie czas na to – powiedział chrapliwym szeptem. Jego brat mógł być w szoku, ale reszta obecnych również. Teraz był czas na to, żeby Andrew nareszcie się poczuł dorosły i by, do cholery, starał się pohamować własne nerwy, zanim nie zniweczy do końca tych resztek równowagi duchowej, jakie jeszcze pozostały w tym pokoju.

Ale długi język Andrew nadal pracował.

– Z pewnością łatwo tam zaginać.

– Nie byłeś tam – uciał George.

– Ale słyszałem.

– Słyszałeś...!

– Dosyć – powiedział ktoś. – Przestańcie!

Bracia stali teraz niemal oko w oko.

– Na moim statku byli ludzie, którzy walczyli w koloniach – uciał Andrew.

– Tak? I to twoim zdaniem ma nam pomóc odzyskać Edwarda – warknął George.

– W każdym razie wiem o tym więcej niż ty.

George się wzdrygnął. Nienawidził tego. Tak bardzo tego nienawidził! Swojej bezsilności. Braku wartości. Grał w tego idiotycznego krokieta na trawniku, podczas gdy jego brat zaginął w jakiejś dzicy, zapomnianej przez Boga i ludzi!

– Tak czy owak, jestem twoim starszym bratem – syknął – i zostanę głową tej rodziny...

– No, jeszcze nią nie jesteś.

Ale równie dobrze mógł być. George zerknął w stronę ojca, który jednak nie odezwał się ani słowem.

– No, to było bardzo subtelne... – zakpił Andrew.

– Zamknij się! Po prostu się...

– Dosyć!

Czyjeś ręce silnie odsunęły ich od siebie, a kiedy George w końcu spojrzął, okazało się, że to Billie.

– To nic nie pomoże – stwierdziła, siłą popychając Andrew na fotel.

George zamrugał, starając się odzyskać równowagę. Nie wiedział, dlaczego tak naskoczył na Andrew. Przyjrzał się Billie, która nadal stała pomiędzy nimi jak malutki wojownik.

– Nie powinnaś stawać na tej stopie – stwierdził.

Rozchyliła usta.

– Tylko tyle chcesz mi powiedzieć?

– Pewnie ją znowu uraziłaś.

Nadal patrzyła na niego. George wiedział, że to głupio zabrzmiało, ale jej kostka była w tej chwili jedyną cholerną rzeczą, w sprawie której mógł coś zrobić.

– A ty powinieneś usiąść – rzekła cicho.

Potrząsnął głową. Nie miał ochoty siadać. Chciał działać. Coś zrobić, cokolwiek, byleby to sprowadziło jego brata z powrotem do domu! Ale był uwięzany tutaj, zawsze był uwięzany: do tej ziemi i do tych ludzi.

– Ja mogę pojechać – odezwał się Andrew.

Wszyscy obecni zwrócili teraz wzrok w jego kierunku. Nadal siedział w fotelu, w który go Billie siłą wtłoczyła. Wyglądał okropnie. George zrozumiał, że brat jest jakby rażony piorunem; zresztą on też się czuł podobnie.

Jednak między nimi istniała ogromna różnica. Andrew w każdym razie wierzył, że mógłby pomóc.

– Pojechać? Dokąd? – spytał ktoś w końcu.

– Do kolonii. – Andrew podniósł wzrok: ponura desperacja stopniowo ustępowała na jego twarzy miejsca twardej decyzji. – Poproszę, żeby mnie przydzielono na inny statek. Chyba jest taki, który odpływa w przyszłym miesiącu.

– Nie! – krzyknęła lady Manston. Jej głos przypominał jęk rannego zwierzęcia. George nigdy nie słyszał nic podobnego.

Andrew się zerwał.

– Mamo...

– Nie! – powtórzyła, tym razem z wielką mocą i wydobyła się z opiekuńczych ramion lady Bridgerton. – Nie pozwolę na to. Nie stracę kolejnego syna!

Andrew stał nieruchomo; wyglądał teraz bardziej po żołniersku niż kiedykolwiek.

– To nie jest wcale bardziej niebezpieczne, niż to, co robię teraz.

George zamknął oczy. Andrew nie powinien był tego mówić...

– Nie możesz – powiedziała lady Manston, wstając. – Nie wolno ci!

Głos znowu zaczął jej się łamać, George w duchu przeklinał brata za brak delikatności. Wysunął się naprzód.

– Mamo...

– On nie może – wydusiła: jej udręczone oczy spoczęły na twarzy George'a. – Musisz mu powiedzieć... musisz... że mu nie wolno.

George czule objął matkę ramionami. Spojrzał sponad jej ramienia w oczy Andrew, po czym wymamrotał:

– Porozmawiamy o tym później.

– Przecież już to powiedziałeś.

– Uważam, że powinien się położyć.

– Powinniśmy już jechać do domu – ocknął się lord Manston.

Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Odezwał się pierwszy raz po otrzymaniu tego nieszczęsnego pisma.

– Musimy być teraz w domu – powtórzył.

Tym razem to Billie pierwsza zaczęła działać.

– Oczywiście! – rzekła i podeszła do niego. – Tam się na pewno poczujecie lepiej. – Zerknęła na George'a. – To przyjęcie, to ostatnia rzecz, której wam teraz potrzeba.

George omal nie jęknął. Zapomniał zupełnie o pozostałych gościach. Sama myśl o konieczności konwersacji z którymkolwiek z nich rozdzierała mu w tej chwili serce. Nastąpiłyby pytania, wyrazy współczucia, niezależnie od tego, że nikt z nich nie wiedział absolutnie nic o Edwardzie.

Boże, to wszystko było takie bez znaczenia! To całe przyjęcie. Wszystko... z wyjątkiem ludzi w tym pokoju.

Spojrzał na Billie. Nadal go obserwowała: każdy rys jej twarzy wyrażał troskę.

– Czy ktoś już powiedział Mary? – spytała.

– Zaraz jej powiem – odparł Felix. – Dołączymy do was w Crake, jeżeli ona zechce. A jestem pewien, że będzie chciała być teraz ze swoją rodziną. Nie musimy od razu wracać do Sussex.

– To co zrobimy? – spytała lady Manston, zagubiona.

George patrzył na ojca. Teraz on powinien podjąć decyzję.

Ale hrabia też wyglądał na zagubionego. Powiedział przedtem, że powinni wracać do domu i najwidoczniej tylko na to go było stać.

George odwrócił się do pozostałych.

– Zaczekajmy chwilę – rzekł rozkazująco. – Spróbujmy zebrać myśli i postanowić, jakie działanie będzie tu najlepsze.

Andrew otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, ale George miał tego dość. Z ostrym spojrzeniem dodał:

– Wiem, że tu najważniejszy jest czas, ale znajdujemy się za daleko od terenu wojny, żeby jeden dzień miał stanowić różnicę.

– On ma rację – przytaknęła Billie.

Kilka par oczu spojrzało na nią ze zdziwieniem; w tym także George.

– Nikt z nas nie jest w tej chwili w stanie podjąć właściwej decyzji. – ciągnęła. Następnie zwróciła się do George'a. – Jedź do domu. Bądź ze swoją rodziną. Przyjadę do was jutro zobaczyć, czy będę mogła wam być pomocna.

– Ale... co ty byś mogła zrobić? – zapytała lady Bridgerton.

Billie spojrzała na matkę ze spokojnym wdziękiem.

– Wszystko, co będzie trzeba.

George przełknął ślinę, zaskoczony natłokiem uczuć, jaki wyczuwał w jej wzroku. Jego brat zaginął, jego ojciec był kompletnie przybity, a teraz on miałby płakać?

Powinien jej powiedzieć, że nie potrzebuje pomocy i że jej propozycja jest doceniana... ale niepotrzebna.

To właśnie powinien powiedzieć, tak byłoby grzecznie; i tak by się zachował przy każdej innej osobie.

Ale jej powiedział tylko:

– Dziękuję.

Następnego dnia Billie wyruszyła do Crake House zwykłym, jednokonnym powozikiem. Nie miała pojęcia, jak matce się to udało, ale domowe przyjęcie zostało przerwane i wszyscy albo wyjechali, albo planowali zrobić to następnego ranka.

To po prostu śmieszne, ile czasu zajęła Billie decyzja, w co się powinna ubrać. Naturalnie, bryczesy były wykluczone. Niezależnie od tego, co o tym myślała matka, Billie doskonale wiedziała, jak i kiedy powinna być odpowiednio ubrana – i nigdy nie włożyłaby roboczego stroju na towarzyską wizytę.

To jednak nie była zwyczajna wizyta towarzyska. Jaskrawe kolory nie były wskazane. Ale nie mogła też się ubrać na czarno. Ani na szaro, ani nawet na fioletowo! Jej suknia nie powinna nasuwać myśli o żałobie. Edward nie umarł, powtarzała sobie zawzięcie.

W końcu zdecydowała się na wygodną dzienną suknię, którą nosiła poprzedniego dnia. Matka obmyśliła wzór: wiosenny, kwiatowy, z zielonymi, różowymi i pomarańczowymi akcentami na kremowym muślinowym tle. Billie od razu pokochała tę suknię. Nasuwała jej myśl o ogrodzie w lekko pochmurny dzień, co w pewien sposób wydawało się doskonale pasować do dzisiejszej wizyty u Rokesbych.

Kiedy przyjechała, w Crake House panowała cisza. Nie podobało się jej to. Dom był ogromny; podobnie jak w Aubrey Hall teoretycznie każdy mógł przez wiele dni nawet nie spotkać innych członków rodziny. Ale mimo to ten dom zawsze robił wrażenie tętniącego życiem. Zawsze się tu kręcił ten czy inny Rokesby, z reguły radosny, przeważnie czymś zajęty...

Crake House mógł sobie być ogromny, ale to był prawdziwy rodzinny dom.

Jednak teraz czuło się tu przygnębienie. Nawet służący, którzy zwykle pracowali pilnie i dyskretnie, zachowywali się dziś

spokojniej niż zwykle. Nikt się nie uśmiechał, nikt się nie odzywał.

Serce się łamało.

Skierowano Billie do gabinetu, ale zanim wyszła z korytarza, pojawił się George, którego na pewno zawiadomiono o jej przybyciu.

– Billie – powiedział i pochylił głowę, witając gościa. – Naprawdę miło mi cię widzieć.

Pierwszym impulsem Billie było spytać, czy są może jakieś nowe wieści, ale naturalnie nie mogło ich być. Żaden, nawet najszybszy goniec nie dotarłby tu z Londynu z raportem. Edward był o wiele, ale to o wiele za daleko. Pewnie minęły miesiące, zanim się dowiedzieli o jego losie.

– Jak się ma twoja matka? – spytała.

Uśmiechnął się smutno.

– Na tyle dobrze, na ile można się tego spodziewać.

Kiwnęła głową i poszła za nim do gabinetu.

– A twój ojciec?

Milczał przez chwilę, nie odwracając się do niej twarzą.

– Siedzi w swoim studiu i wpatruje się w okno.

Billie przełknęła ślinę; serce jej się łamało na widok zgnębionej postawy George'a. Nie musiała widzieć jego twarzy, żeby wiedzieć, że cierpi. Kochał Edwarda, tak samo jak ona. Po prostu jak wszyscy.

– Jest do niczego – powiedział wreszcie.

Wargi Billie rozchyliły się ze zdziwienia na tak ostre słowa, ale po chwili sobie zdała sprawę, że George nie mówił tego z pogardą.

– Po prostu nie jest w stanie działać – wyjaśnił. – Ten żal...

– Chyba nikt z nas nie wie, jak zareaguje na taką sytuację... aż do momentu, kiedy się w niej znajdzie.

Odwrócił się do niej: jeden kącik ust miał uniesiony.

– Od kiedy to zrobiłaś się taka mądra?

– Powtarzanie frazesów to nie mądrość.

– Ale wiedzieć, które warto powtarzać, to prawdziwa mądrość!



Ku swojemu zdumieniu Billie poczuła unoszące się w piersi bąbelki wesołości.

– Chyba jednak postanowiłeś mówić mi komplementy!

– To jedyny cholernie jasny moment w tym dniu – mruknął.

W normalnej sytuacji serce Billie zaczęłoby łomotać, ale – podobnie jak wszyscy tutaj – była zbyt owładnięta bólem i niepokojem. Edward zaginał, a George cierpi...

Odetchnęła głęboko. Tu nie szło o George'a. George był w porządku. Stał tu przed nią, zdrow i cały.

Nie, to nie chodziło o George'a.

Nie mogło chodzić o George'a.

Chyba, że... ostatnio jakoś się wydawało, że zawsze chodzi tylko o George'a. Bez przerwy myślała o nim, i – o nieba! – właśnie poprzedniego dnia, wtedy, kiedy grali w krokieta, prawie go pocałowała!

Chciała to zrobić. Boże drogi, chciała! I gdyby wykazał jakiegokolwiek zainteresowanie – i gdyby w pobliżu nie było czterech innych osób, gapiących się na nich z młotkami do krokieta w rękach – zrobiłaby to. Nigdy dotąd nikogo nie całowała, ale kto by ją mógł powstrzymać?

Pierwszy raz przeskoczyła przez płot, kiedy miała sześć lat. Przedtem przeskakiwała najwyżej przez krzaki, ale wystarczyło, że raz spojrzała na ten wysoki na półtora metra płot, żeby wiedzieć, że zdoła go pokonać. Wtedy po prostu wsiadła na swoją klacz i przeskoczyła. Dlatego, że chciała.

A także dlatego, że sprowokował ją Edward. Ale gdyby nie czuła, że potrafi, nawet by nie spróbowała.

Poza tym wiedziała, że to uwielbia.

Wiedziała już nawet wtedy, że jest inna niż pozostałe dziewczynki. Nie chciała grać na fortepianie ani dziobać igłą, wyszywając czy haftując. Chciała przebywać na wolnym powietrzu, pruć przestrzeń, siedząc na końskim grzbiecie, czuć słońce tańczące na jej skórze i bicie serca w rytm powiewów wiatru...

Pragnęła latać w powietrzu.

Nadal tego chciała.

Gdyby pocałowała George'a... gdyby on ją pocałował... to czy czułaby się tak samo?

Przesunęła czubkami palców po brzegu kanapy, starając się wyczuć tę chwilę leniwym ruchem. Ale wtedy popełniła błąd: podniosła wzrok w górę...

George patrzył na nią; w jego oczach dostrzegła zawziętość i zaciekawienie i... jeszcze coś, czego nie potrafiła nazwać dokładnie.

Ale cokolwiek to było... wyczuła to. Serce zabiło jej gwałtownie, oddech przyspieszył i zdała sobie sprawę, że czuje się dokładnie tak, jak jeżdżąc na swojej klaczy. Bez tchu, zdecydowana, dzika... wszystko to w niej tkwiło, wszystko chciało się wyrwać na wolność!

A wszystko dlatego, że na nią patrzył.

Dobry Boże, gdyby on ją naprawdę pocałował, po prostu rozsypałaby się na kawałki...

Nadal nerwowo stukała palcami w oparcie kanapy, a w końcu wskazała (całkiem bez sensu) fotel.

– Chciałabym usiąść.

– Skoro tak...

Jednak nawet nie poruszyła stopą.

– Chyba nie wiem, co mam ze sobą zrobić – zauważyła.

– Witaj w klubie – mruknął.

– Och, George...

– Napijesz się czegoś? – spytał nagle.

– Teraz?

Było raptem parę minut po jedenastej.

Wzruszył ramionami dość zuchwale. Billie mogła się tylko domyślać, ile George już wypił.

Nie sięgnął jednak po karafkę z brandy. Stał przy oknie i patrzył w ogród. Zaczęło padać; na razie to była tylko lekka mgiełka, wypełniająca powietrze szarą wilgocią.

Chwilę czekała, ale się nie odwracał. Ręce miał założone do tyłu – klasyczna postawa dżentelmena. W jego pozie była pewna

szorstkość, a w ramionach napięcie, którego dotychczas u niego nie zauważała.

Był w tej chwili słaby. I załamany.

– Co teraz zrobisz? – Zmusiła się w końcu do pytania. Bała się, że już dłużej nie zniesie tego milczenia.

Zmienił postawę – może tylko trochę, po prostu poruszył głową, po czym ją odwrócił. Ale nie na tyle, żeby móc na nią spojrzeć. Zamiast tego mogła podziwiać jego profil, kiedy mówił:

– Pewnie pojedę do Londynu.

– Do Londynu? – powtórzyła.

– Nic więcej nie mogę zrobić – parsknął.

– A nie chcesz jechać do kolonii i szukać go?

– Pewnie, że bym chciał – odparł i obrócił się twarzą do niej.

– Ale tego nie zrobię!

Billie otworzyła usta, ale jedynym dźwiękiem, jaki usłyszała, była krew, pulsująca w jej żyłach. Jego wybuch był niespodziewany. Niespotykany.

Widywała już przedtem George'a, kiedy wpadał w gniew. Nie mogło być inaczej, skoro rosła w towarzystwie jego młodszych braci. Ale czegoś takiego nigdy nie widziała.

W jego głosie nie brakło pogardy, skierowana była jednak całkowicie do wewnątrz.

– George – powiedziała, starając się zachować spokój i rozsądek – jeżeli chcesz...

Zrobił krok do przodu: twarz miał zaciętą i złą.

– Nie mów mi, że mogę robić, co chcę, bo jeśli tak uważasz, jesteś równie naiwna jak reszta.

– Nie miałam zamiaru...

Cóż, równie dobrze mógłby jej przerwać kpina, bo chciała powiedzieć właśnie dokładnie to – i dopiero w tym momencie zrozumiała, jak śmiesznie by to zabrzmiało. Nie mógł ot, tak sobie wyjechać do kolonii, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Nigdy nie miał tyle swobody, co jego bracia. Zabezpieczała to kolejność ich narodzin. George miał odziedziczyć tytuł, dom, ziemię, a także większą część majątku. Ale za tym przywilejem

szła też odpowiedzialność. Był jakby uwiązany do tego miejsca. Miał je we krwi, podobnie jak ona – Aubrey Hall.

Miała ochotę go spytać, czy mu na tym zależy. Czy, gdyby miał taką możliwość, zamieniłby się miejscami z Andrew albo z Edwardem?

Zamiast tego jednak spytała:

– Co będziesz robił w Londynie?

Nigdy nie mogłaby go spytać o to, co tak naprawdę chciałyby wiedzieć. Zwłaszcza teraz, kiedy los Edwarda wisiał na włosku.

Wzruszył ramionami i pokręcił głową. Potem spojrzał na nią.

– Będę rozmawiał z ludźmi. Zadawał im pytania. – Zaśmiał się z goryczą. – Musisz wiedzieć, że jestem bardzo dobry w rozmawianiu z ludźmi i w zadawaniu pytań.

– Wiesz, jak to załatwiać – przyznała.

– Wiem, jak skłaniać innych ludzi, żeby to załatwili – powiedział drwiąco.

Zacisnęła usta, zanim wymknęło jej się jakieś zdanie w rodzaju „To cenna zdolność”. Bo to przecież była cenna zdolność, której jednak Billie nigdy nie posiadała. Nigdy nie zostawiała nic do załatwienia zarządcy ojca; był to chyba najbardziej przepłacany pracownik posiadłości. Nie mogłaby też znieść, żeby ktoś inny wykonywał zadanie, które sama potrafiłaby zrobić lepiej.

I na ogół rzeczywiście umiała.

– Muszę się napić – mruknął nagle George.

Billie po raz drugi nie odważyła mu się zwrócić uwagi, że chyba trochę za wcześnie na alkohol.

Podszedł do stołu i nalał sobie brandy z karafki. Pociągnął łyk. Długi.

– Napijesz się?

Potrząsnęła głową.

– Dziwne... – mruknął pod nosem.

W jego głosie była szorstkość. Coś nieprzyjemnego.

Wyprostowała plecy.

– Proszę...?

Ale George się tylko zaśmiał, a brwi wygięły mu się w

kpiarskim wyrazie uznania.

– Och, daj spokój, Billie. Musisz się przyzwyczaić. Nie uwierzyłbym, gdybyś przyjęła brandy...

Zgrzytnęła zębami, ale w porę sobie przypomniała, że George w tym momencie nie był sobą.

– Jeszcze nie ma południa.

Wzruszył ramionami i wlał do gardła resztę brandy.

– Nie powinieneś pić.

– Nie powinnaś mi mówić, co mam robić!

Milczała tak długo, by zrozumiał, że tym właśnie wyraża swoją dezaprobatę. W końcu, ponieważ powinna być równie słaba jak on, spojrzała na niego chłodno i rzekła:

– Lady Alexandra przesyła pozdrowienia.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Dzisiaj wyjeżdża.

– Jak to miło z twojej strony, że przekazujesz mi pozdrowienia od niej!

Miała ochotę na ostrą odpowiedź, ale w ostatniej chwili rzuciła:

– To po prostu śmieszne. Nie mam zamiaru stać tutaj i pleść głupstw. Przyjechałam, żeby wam pomóc.

– Nie możesz pomóc – zaprotestował.

– O, na pewno nie, jeżeli ty się tak zachowujesz – odparła.

Trzasnął kieliszkiem o stolik i ruszył ku niej.

– Coś ty powiedziała? – spytał ostro. Oczy miał dzikie, takie, że omal się cofnęła.

– Ile już wypiteś?

– Nie jestem pijany – powiedział. – Ten... tamten – poprawił się i machnął ręką w kierunku kieliszka – to był mój pierwszy i jedyny drink dzisiaj.

Billie miała wrażenie, że powinna go przeprosić, ale się jakoś nie mogła na to zdobyć.

– Chciałbym być pijany – powiedział i podszedł do niej bliżej z gracją dzikiego kota.

– Wcale tak nie myślisz.

– Dlaczego nie? – roześmiał się ostro. – Gdybym był pijany, mógłbym nie pamiętać, że mój brat zaginął gdzieś w zapomnianej od Boga i ludzi głuszy, gdzie miejscowi nie mają zamiaru przepuścić nikomu, kto nosi czerwoną kurtkę!<sup>[9]</sup>.

– George... – zaczęła, ale nie mogła go powstrzymać.

– Pijany – ciągnął dalej – mógłbym nie widzieć, że moja matka spędziła cały ranek, płacząc w swoim łóżku. No i co najlepsze – oparł się rękami o stolik i spojrzał na nią z wściekłą rozpaczą – gdybym był pijany, mógłbym jakoś zapomnieć, że jestem na łasce reszty tego cholernego świata! Jeżeli Edward się odnajdzie...

– Kiedy się odnajdzie – poprawiła go Billie gwałtownie.

– W każdym razie nie będzie to moją zasługą.

– Więc co chcesz zrobić? – spytała spokojnie. Odniosła wrażenie, że George sam tego nie wie. Powiedział, że chciałby pojechać do kolonii, ale chyba mu nie uwierzyła. Raczej nie pozwoliłby sobie na myśl, że mógłby zrobić coś takiego. Jego możliwości były tak ograniczone, że nie mógł sobie nawet w pełni zdawać sprawy, co tak naprawdę czuł.

– Co chcesz zrobić? – powtórzył. Patrzył na nią... nie zaskoczony, ale jakby osłupiały. – Chcę... chcę... – zamrugał, po czym spojrzał jej w oczy. – Chcę... ciebie.

Billie zatkało.

– Chcę ciebie – powtórzył i nagle cały pokój zakręcił się wokół niego. Już nie patrzył nieprzytomnie; jego wzrok stał się ostry.

Drapieżny.

Billie nie była w stanie się odezwać. Mogła tylko patrzeć, jak podchodzi coraz bliżej, a przestrzeń pomiędzy nimi dosłownie płonęła!

– Nie chcesz tego zrobić – powiedziała.

– O, chcę. Naprawdę chcę.

Ale nie chciał. Wiedziała, że tego nie chciał – i czuła, że serce jej pęka, ponieważ ona... chciała. Chciała, żeby ją całował, jakby była jedyną kobietą, o której pocałunkach marzył, jakby

mógł umrzeć, jeżeli nie dotknie jej warg swoimi.

Chciała go całować i zależało jej na tym.

– Nie wiesz, co robisz – powiedziała, odsuwając się.

– Czy o tym teraz myślisz? – mruknął.

– Piłeś...

– Akurat tyle, żeby to zrobić doskonale.

Zamrugła powiekami, nie wiedząc, o co mu właściwie chodzi.

– Daj spokój, Billie – powiedział lekko. – Czemu się tak wahasz? To nie w twoim stylu.

– W twoim też nie – odcięła się.

– Nie masz pojęcia...

Przysunął się jeszcze bliżej, w oczach miał wyraz jakiegoś nie odważała się określić. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, tylko jednym palcem, ale to wystarczyło, żeby zadrżała.

– Czy kiedykolwiek cofałaś się przed czymś?

Czuła bicie serca i motyle w brzuchu, ale nadal stała wyprostowana.

– Nigdy – odparła i spojrzała mu prosto w oczy.

Uśmiechnął się, jego wzrok aż parzył.

– Moja dziewczyna – wymamrotał.

– Nie jestem...

– Ale będziesz – burknął; i zanim zdołała powiedzieć słowo, jego usta nakryły jej wargi w gorącym pocałunku.

Całował ją.

To było prawdziwe szaleństwo.

Całował Billie Bridgerton, ostatnią kobietę na świecie, której mógłby pragnąć, ale – na Boga! – kiedy tak na niego spojrzała, a jej podbródek drżał, widział już tylko jej wargi, wyczuwał tylko jej zapach.

Czuł gorąco jej ciała pod palcami – i pragnął więcej. Jeszcze więcej.

Więcej... jej.

Objął ją pospiesznie drugą ręką, nie myśląc... nie mógł teraz myśleć. Przyciągnął ją tylko do siebie i całował.

Chciałby ją pochłonać.

Posiąść na własność.

Chciałby ją wziąć w ramiona, przytulić i całować, aż w końcu by zrozumiała, przestała robić różne szalone rzeczy, przestałaby ryzykować i zaczęła się zachowywać jak prawdziwa kobieta, nadal przy tym będąc sobą, i...

Nie mógł myśleć dalej. Myśli plątały się w głowie i rozsypywały w kawałki w żarze tej chwili.

Więcej... błagał umysł. Więcej... To była jedyna rzecz, jaka w tej chwili miała dla niego sens. Więcej tego... więcej Billie.

Ujął w dłonie jej twarz, nadal tuląc Billie do siebie. Ale ona nie czekała nieruchomo. Jej wargi drżały na jego ustach, oddając mu pocałunki z temperamentem, charakterystycznym dla Billie. Jeździła konno z pasją, w krokieta grała z pasją, z pasją też – na Boga! – potrafiła całować, jakby to był jej triumf, jakby chciała w ten sposób zyskać sławę.

To wszystko było tak szalone, tak kompletnie niewłaściwe, a jednocześnie słodkie i cudowne. Wrażenie jedyne na świecie, skupione wokół jednej kobiety – a chciał więcej.

Ale w tym momencie, w tym pokoju – nie mógł mieć więcej.



Dłoń George'a powędrowała na jej ramię, potem na plecy: przycisnął ją mocno do swoich bioder. Była nieduża, ale silna i zaokrąglona wszędzie tam, gdzie powinna.

George nie był mnichem. Całował już przedtem kobiety, i to takie kobiety, które wiedziały, jak oddawać pocałunki. Ale nigdy nie pragnął żadnej z nich tak bardzo, jak teraz pragnął Billie. Nigdy nie pragnął niczego bardziej niż tego pocałunku.

Pocałunku... i wszystkiego, co powinno nastąpić po nim.

– Billie... – jęknął. – Billie!

Wydała cichy dźwięk. Może to było jego imię...? W każdym razie tak mu się wydawało.

Na miły Bóg! Nagle wrócił mu rozsądek. Umysł się zbudził, powrócił zdrowy rozum i George się cofnął, a przelatujące między nimi iskry elektryczne znikły.

Co tu się przed chwilą stało, do diabła?

Odetchnął. A właściwie... spróbował odetchnąć. A to coś zupełnie innego.

Pytała go ostatnio, czego chciał...

Odpowiedział jej przecież. Chciał jej. Nie musiał nawet o tym myśleć.

Jasne, że nie musiał myśleć, bo gdyby myślał, to by tego nie zrobił.

Przeczesał włosy palcami. Potem jeszcze raz. A potem po prostu zrezygnował i ścisnął dłońmi głowę tak mocno, że aż jęknął z bólu.

– Pocałowałaś mnie – powiedziała, a on już na tyle odzyskał przytomność umysłu, żeby jej nie przypominać, że oddała mu pocałunek. W końcu to on zaczął. On zaczął, i oboje wiedzieli, że nigdy nie powinien był tego robić.

Potrząsnął głową, co i tak się na nic nie przydało, nie rozjaśniło mu umysłu.

– Przepraszam... – rzekł sztywno. – To nie było... ja nie miałem...

Zaklął. Nie to chciał powiedzieć.

– Pocałowałaś mnie – powtórzyła, tym razem z

podejrzliwością w głosie. – Dlaczego to zro...

– Nie wiem – uciął.

Znowu zaklął, przegarniając palcami włosy, i odwrócił się od niej.

Do diabła. Do diabła, do diabła, do diabła!

Przełknął ślinę.

– To był błąd – powiedział w końcu.

– Co?

Tylko jedno słowo. Dla George'a to było o wiele za mało, żeby rozszyfrować ton jej głosu. Pewnie był i tak miłszy, niż powinien. Odwrócił się znowu, zmuszając się do spojrzenia na nią – i równocześnie zabraniając sobie widzieć...

Nie chciał oglądać jej reakcji. Nie chciał wiedzieć, co Billie o nim myśli.

– To był błąd – powtórzył, bo musiał to powiedzieć. – Czy ty mnie rozumiesz?

Zmrużyła oczy, a rysy jej twarzy zeszywniały.

– Doskonale.

– Na miłość boską, Billie, tylko się, proszę, nie obrażaj...

– Mam się nie obrażać? Ja mam się nie obrażać? Ty...

Przerwała nagle, zerknęła w stronę otwartych drzwi i zniżyła głos do wściekłego syku.

– To nie ja zaczęłam.

– Dobrze o tym wiem.

– Co ty sobie właściwie myślałeś?

– Właściwie nic – przyznał.

Szeroko otworzyła oczy, płonące bólem, i odwróciła się, obejmując się rękami w pasie.

George zaś w końcu zrozumiał, co naprawdę znaczą wyrzuty sumienia. Odetchnął niespokojnie i znowu przeczesał włosy palcami.

– Wybacz mi, proszę – powiedział już drugi raz w ciągu paru minut. – Ożenię się z tobą, oczywiście.

– Co? – Obróciła się na pięcie. – Nic z tego.

George zeszywniał. Poczul się tak, jakby ktoś wziął żelazny

pręt i wbił mu w plecy.

– Proszę?

– Nie bądź niemądry, George. Wcale nie chcesz się ze mną ożenić.

Była to prawda, ale nie był aż tak głupi, żeby to powiedzieć głośno.

– Ty też zresztą dobrze wiesz, że ja nie chcę wyjść za ciebie...

– ...jak to niezwykle jasno wyraziłaś.

– Pocałowałeś mnie tylko dlatego, że byłeś przygnębiony.

To już zupełnie była prawda, ale i tym razem powstrzymał się od komentarza.

– Wobec tego przyjmuję twoje przeprosiny – uniosła podbródek. – I nie będziemy więcej o tym mówili.

– Zgoda.

Stali tak przez chwilę, jak nieruchoma para, usztywniona bólem. A on powinien przecież skakać z radości! Zaś każda inna młoda dama powinna wykrzykiwać pod niebiosa! Albo wzywać ojca. I pastora.

Ale nie Billie. Nie, Billie tylko popatrzyła na niego z niemal przesadną wyższością i rzekła:

– Mam nadzieję, że i ty przyjmiesz moje przeprosiny.

– Twoje...?

Co takiego? Szczęka mu opadła. Cóż ona takiego, u diabła, zrobiła, za co musiałaby teraz przeproszać? A może po prostu próbuje być lepsza od niego? Zawsze wiedziała, jak go zdenerwować...

– To nie znaczy, żebym miała udawać, że nie oddawałam ci... eee... – Przełknęła ślinę, a on przez chwilę poczuł przyjemną satysfakcję, że się zarumieniła, zanim skończyła zdanie. – Tych... no...

Teraz czuł przyjemną satysfakcję, że nie potrafiła skończyć tego zdania.

– Podobało ci się to – rzekł z uśmiechem.

Prowokowanie jej w tym momencie było doprawdy w

najwyższym stopniu niemądre, ale cóż, kiedy się nie mógł powstrzymać.

Przestąpiła z nogi na nogę.

– Każdy kiedyś musi przeżyć swój pierwszy pocałunek...

– Wobec tego jestem zaszczycony – stwierdził z ukłonem.

Otworzyła usta, zaskoczona, może nawet skonsternowana...

To dobrze. Pokrzyżował jej plany.

– Oczywiście nie spodziewałam się, że to będziesz ty – stwierdziła.

Powstrzymał irytację i zamiast tego mruknął:

– Pewnie miałaś nadzieję, że zrobi to ktoś inny?

Lekko wzruszyła ramionami.

– Nie myślałam o nikim konkretnym.

Postanowił nie analizować wybuchu radości, jaka w nim wezbrała wobec jej stwierdzenia.

– Chyba zawsze myślałam, że to będzie jeden z twoich braci – ciągnęła. – Może Andrew...

– Nie Andrew! – uciął.

– No tak, raczej nie – zgodziła się i przechyliła głowę, jakby to rozważała. – Ale to się wydawało prawdopodobne.

Obserwował ją z rosnącą irytacją. Co prawda nie była tak całkiem obojętna na tę sytuację, ale też z pewnością nie była nią aż tak przejęta, jak jego zdaniem być powinna!

– To nie byłoby to samo – usłyszał własne słowa.

Mrugnęła.

– Proszę...?

– To znaczy... gdybyś pocałowała kogoś innego. – Podszedł do niej, usiłując nie zwracać uwagi, jak na samą myśl o tym krew mu się burzy. – To nie byłoby to samo.

– Cóż...

Wydała mu się podniecona... cudownie podniecona.

– Nie spodziewałabym się – powiedziała w końcu. – To znaczy... żeby inni...

– Zupełnie inni – zgodził się.

Otworzyła usta, ale minęło dobrych kilka sekund, zanim

powiedziała:

- Nie wiem, z kim się porównujesz.
- Z każdym. – Przysunął się jeszcze bliżej. – Ze wszystkimi.
- George? – Patrzyła na niego wielkimi oczami, ale nie

protestowała.

- Chcesz mnie znów pocałować? – spytał.
- Jasne, że nie! – zawołała chyba zbyt szybko.
- Jesteś tego pewna?

Przełknęła ślinę.

- Ty byliby bardzo zły pomysł.
- Owszem, na pewno – przytaknął.
- Więc... nie powinniśmy?

Dotknął jej policzka i szepnął:

- A czy ty chcesz mnie znów pocałować?

Poruszyła głową... lekko. Nie mógłby z całą pewnością stwierdzić, czy to był ruch na „tak”, czy na „nie”. Miał wrażenie, że sama po prostu tego nie wiedziała.

– Billie...? – mruknął, zbliżając się do niej tak bardzo, że czuła jego oddech na skórze.

Odetchnęła, po czym rzekła:

- Powiedziałam, że za ciebie nie wyjdę.
- Powiedziałas.
- No i jeszcze powiedziałam, że nie musisz się ze mną żenić.

Przytaknął.

- To nadal byłaby prawda...
- ...gdybym cię znów pocałował?

Skinęła głową.

- A więc to nic nie znaczy?
- Nie...

Poczuł w piersi miłe ciepło. To jednak coś znaczyło. I ona o tym wiedziała.

– To po prostu znaczy... – przełknęła ślinę, mocno zacisnęła drżące usta – ...że nie będzie to miało żadnych konsekwencji...

Przesunął wargami po jej policzku.

- Żadnych konsekwencji – powtórzył.

- Żadnych.
- Więc mogę cię znów pocałować...

Przesunął rękę w dół, w miejsce wcięcia w okolicy talii, i lekko, bardzo lekko przycisnął. W każdej chwili mogła się odsunąć. Mogła się wydostać z jego objęć, przejść przez pokój i wyjść. Chciał, żeby o tym wiedziała. I chciał też wiedzieć, że ona o tym wie. Żeby nie było żadnych wzajemnych oskarżeń, żadnego mówienia sobie, że została porwana jego namiętnością...

Gdyby miała być porwana jakąś namiętnością, to swoją.  
Dotknął ustami jej ucha.

- Mogę cię znów pocałować – powtórzył.
- Leciutko skinęła głową. Leciuteńko. Ale wyczuł to.
- Znowu... – wyszeptała.

Zęby George'a odnalazły płatek jej ucha i lekko przygryzły.

- ...i znowu...
- Myślę...
- O czym myślisz?

Uśmiechnął się z ustami przy jej twarzy. Niemal nie potrafił uwierzyć, jakie to było cudowne. Wiedział, co to są namiętne pocałunki, pocałunki płynące z pragnienia i obezwładniającej żądz. Tak, tutaj było to wszystko, ale też jeszcze coś.

Coś radosnego.

– Myślę... – zająknęła się – myślę, że powinienesz mnie znów pocałować. – Podniosła w górę wzrok, niezmiernie jasny. – I myślę, że powinienesz przedtem zamknąć drzwi.

Chyba nigdy w życiu nie ruszał się szybciej. Na wpół instynktownie podsunął pod klamkę krzesło, żeby te cholerne drzwi były naprawdę solidnie zamknięte.

– To i tak nic nie znaczy – odezwała się, kiedy ją objął ramionami.

- Absolutnie nic.
- Bez konsekwencji...
- Żadnych.
- I nie musisz się ze mną żenić.
- Nie muszę, oczywiście.

Ale... mógłby. Ta myśl przemknęła mu przez głowę i aż go zaskoczyła. Mógł ją poślubić. No bo... dlaczego nie?

Może... gdyby nie jego zdrowy rozsądek. Ale miał wrażenie, że go stracił w chwili, kiedy wargami dotknął jej ust.

Stała na palcach i przysunęła usta do jego twarzy.

– Skoro mój pierwszy pocałunek przeżyłam z tobą – powiedziała, figlarnie wydymając wargi – mogę równie dobrze przeżyć drugi.

– A może i trzeci... – powiedział, biorąc we władanie jej usta.

– Ważne, żeby to wiedzieć... – wyszeptała te słowa pomiędzy pocałunkami.

– Wiedzieć? – Przesunął usta na jej szyję, na co wygięła się wręcz prowokująco w jego ramionach.

Skinęła głową, po czym wydała cichy okrzyk, kiedy przesunął rękami po jej piersi.

– Wiedzieć... jak całować – wyjaśniła. – To pewna umiejętność.

Uśmiechnął się.

– A tobie się podoba, kiedy całuje ktoś... wykwalifikowany.

– Właśnie.

Całował jej szyję, potem kark, dziękując Bogu za obecną modę, zgodnie z którą staniki musiały być głęboko wycięte i odsłaniać kremowe ciało od ramion aż po wgłębienie pomiędzy piersiami.

– Przepowiadam ci mocne wrażenia.

Jedyną odpowiedzią Billie był okrzyk zdziwienia. Co było tego powodem, George nie wiedział; może jego język, którym wodził po jej delikatnej skórze wzdłuż obrzeżonego koronką dekoltu? A może zęby, którymi lekko skubał jej szyję?

Nie odważył się jej położyć na fotelu; aż tak bardzo sam sobie nie ufał. Ale pchnął lekko, aż się oparła o kanapę, po czym uniósł ją nieco w górę, żeby siadła na jej oparciu.

I – Bogu dzięki! – Billie instynktownie wiedziała, co ma robić.

Lekko rozstawiła nogi, a kiedy uniósł jej spódnicę, owinęła się wokół niego. Może zrobiła to po prostu, żeby nie stracić równowagi, ale nie przeszkodziło jej, kiedy się do niej mocno przycisnął. Nadal była pomiędzy nimi jej spódnica i jego spodnie – ale mimo to ją czuł. Był w tej chwili twardy i przyciskał się do niej: jego ciało wiedziało dobrze, dokąd ma dążyć. Billie była wiejską dziewczyną; musiała wiedzieć, co to oznacza, była jednak ogarnięta taką samą namiętnością i przyciągała go do siebie coraz bliżej, a jej nogi ciasno obejmowały biodra George'a.

Boże drogi! Zanosilo się na to, że za chwilę przeżyje orgazm... sam, jak niedojrzały chłopak...

Odetchnął głęboko.

– To za wiele – wydyszał, z trudem odrywając się od niej.

– Nie! – powiedziała tylko tyle i sięgnęła rękami do jego głowy, tak że mógł ją całować mimo pewnej odległości pomiędzy nimi.

Więc całował. Całował bez końca. Całował ostrożnie, balansując na skraju własnego pożądania, aż nadto świadomy, jak blisko jest utraty rozsądku.

I całował ją z czułością, bo to przecież była Billie, a on w pewien sposób wiedział, że nikt dotąd nie okazywał jej czułych uczuć.

– George... – jęknęła.

Oderwał się od jej ust, tylko na chwilę, na jeden oddech.

– Hmm...

– Musimy... musimy przestać.

– Dobrze... – zgodził się.

Ale nie przestawał. Teraz już nie był opętany namiętnością: wziął się w garść. Tyle, że nie chciał przestać.

– George – powtórzyła. – Słyszę, że ktoś idzie.

Cofnął się i słuchał.

Zaklął.

– Otwórz drzwi! – syknęła Billie.

Zrobił to chętnie. Nic tak nie budzi podejrzeń, jak zamknięte drzwi. Spojrzał na Billie.



– Może... – Odchrząknął i dotknął własnej głowy. – Może byś chciała...

Nie był specjalistą od damskich fryzur, ale miał prawie pewność, że jej włosy w tej chwili nie wyglądały tak, jak powinny.

Billie zbladła i gwałtownie wygładziła fryzurę, zwinnymi palcami chwytając szpilki i wsuwając je na miejsce.

– Lepiej?

Skrzywił się. Za jej prawym uchem dostrzegł miejsce, gdzie kasztanowy lok sterczał poziomo.

Ktoś na korytarzu zawołał:

– George?

Jego matka. Dobry Boże!

– George!

– Jestem w saloniku, mam – zawołał, kierując się w stronę drzwi. Mógłby ją chociaż na kilka sekund zatrzymać na korytarzu. Odwrócił się do Billie i rzucił jej ponagląjące spojrzenie. Opuściła ręce i wyciągnęła je przed siebie, jakby pytała: „Co teraz?”.

Musiało tak być.

– Mam – powiedział George, wychodząc na korytarz. – Wstałaś!

Podsunęła mu policzek do pocałunku, co też sumiennie wykonał.

– Nie mogłam wiecznie tkwić u siebie w pokoju.

– To prawda, chociaż na pewno miałaś czas, żeby...

– ...cierpieć? – dokończyła. – Nie mam zamiaru cierpieć.

Przynajmniej do czasu otrzymania bardziej pewnych wieści.

– Chciałem powiedzieć „odpocząć” – poprawił się.

– Już odpoczęłam.

Doskonale, lady Manston, pomyślał. Zabawne, jak jego matka zawsze potrafiła go zaskoczyć swoją odpornością.

– Myślałam – zaczęła matka, wchodząc za nim do saloniku. – Och, Billie, jak się masz! Nie wiedziałam, że tu jesteś.

– Lady Manston... – dygnęła Billie. – Miałam nadzieję, że może się na coś przydam.

– To naprawdę miło z twojej strony. Nie jestem pewna, co

miałabyś robić, ale twoje towarzystwo jest zawsze mile widziane.  
– Lady Manston przechyliła głowę na bok. – Bardzo wietrznie dzisiaj?

– Co takiego? – Ręka Billie odruchowo sięgnęła do włosów.  
– O tak, trochę. Zapomniałam kapelusza.

Wszyscy spojrzeli na jej kapelusz, który najspokojniej leżał sobie na stole.

– To znaczy... chciałam powiedzieć, że zapomniałam go włożyć – tłumaczyła Billie z nerwowym chichotem, podczas gdy George miał nadzieję, że matka nic nie wykryła. – A raczej, prawdę mówiąc, nie zapomniałam... tylko powietrze było naprawdę cudowne.

– Nic nie powiem twojej matce – obiecała lady Manston z pobłażliwym uśmiechem.

Billie skinęła głową, dziękując – i na chwilę w pokoju zapanowała krępująca cisza. A może nawet niezbyt krępująca. Może tylko George myślał, że taka jest, bo wiedział, że Billie tak myśli, a on wiedział, o czym sam myśli... i wydawało mu się niemożliwe, żeby matka mogła w tej chwili myśleć o czymkolwiek innym.

Ale najwyraźniej tak było, bo spojrzała na niego z uśmiechem, o którym wiedział, że jest wymuszony – i spytała:

– Myślałeś może o swoim wyjeździe do Londynu?

– Trochę – odparł. – Znam kilku ludzi w Ministerstwie Wojny.

– George planował wyjazd do Londynu, żeby zacząć poszukiwania – powiedziała lady Manston do Billie.

– Tak, mówił mi. To świetny pomysł.

Lady Manston lekko kiwnęła głową i odwróciła się z powrotem do George'a.

– Twój ojciec też zna różnych ludzi, ale...

– Ależ mogę pojechać – powiedział szybko, ratując matkę przed niemiłym opisem obecnego stanu męża.

– Pewnie znacie tych samych ludzi – wtrąciła Billie.

George zerknął na nią.

– Właśnie tak.

– Chyba pojedę z tobą – odezwała się matka.

– Mamo, nie, ty powinnaś zostać w domu – zaprotestował natychmiast George. – Ojciec będzie cię potrzebował, a mnie będzie łatwiej, wiedząc, co sam muszę załatwić.

– Nie bądź niemądry. Twój ojciec naprawdę potrzebuje tylko wiadomości o losie swego syna, a ja stąd nie będę w stanie posunąć spraw do przodu.

– A w Londynie będziesz w stanie?

– Może też nie – przyznała – ale przynajmniej jest jakaś szansa.

– Nie zdołam nic załatwić, jeżeli się mam o ciebie martwić! Matka uniosła pięknie wygiętą brew.

– Więc się nie martw.

Aż zgrzytnął zębami. Kiedy była w takim nastroju, nie sposób było się z nią spierać, a tak naprawdę nawet nie był pewien, dlaczego nie chciał, by matka z nim jechała. Po prostu miał dziwne, natrętne uczucie, że niektóre rzeczy najlepiej załatwić samemu.

– Wszystko się uda – zapewniła Billie, starając się złagodzić napięcie pomiędzy matką a synem. George spojrział na nią z wdzięcznością, ale nie sądził, żeby tak uważała. Była bardziej podobna do swojej własnej matki, niż się wydawało. Starła się wszystko złagodzić na swój własny, oryginalny sposób.

Patrzył, jak bierze dłoń jego matki w swoje ręce.

– Wiem, że Edward do nas wróci – powiedziała, lekko ściskając jej dłoń.

Przebiegło go ciepłe, niemal braterskie poczucie dumy. Przysięgłby, że czuje jej dotyk, uścisk jej ręki.

– Kochana jesteś, Billie – rzekła matka. – Ty i Edward zawsze byliście sobie tak bliscy!

– To mój najlepszy przyjaciel – potwierdziła Billie. – Oczywiście oprócz Mary.

George skrzyżował ręce na piersi.

– Nie zapominaj o Andrew.

Zmarszczyła brwi.

Lady Manston pochyliła się i ucałowała Billie w policzek.

– Wiele bym dała dała, żeby tylko jeszcze kiedyś zobaczyć razem ciebie i Edwarda.

– I zobaczy pani – rzekła Billie zdecydowanie. – Wróci do domu... jeżeli nawet nieprędko, to w każdym razie w końcu wróci.

– Rzuciła lady Manston pokrzepiający uśmiech. – Znowu będziemy razem, zobaczy pani!

– Znowu wszyscy będziemy razem – poprawił ją nerwowo George.

Zmarszczyła brwi, tym razem z większą pretensją.

– Ciągłe widzę jego twarz – szepnęła matka. – Za każdym razem, kiedy zamknę oczy.

– Ja tak samo – przyznała Billie.

George'owi zrobiło się czerwono przed oczami. Dopiero co, do cholery, ją całował – i był zupełnie pewny, że miała wtedy zamknięte oczy.

– George – odezwała się matka.

– Co takiego? – rzucił.

– Co to za odgłosy...?

– Odchrząknąłem – skłamał.

Czyżby Billie, kiedy ją całował, myślała o Edwardzie? Nie, nie zrobiłaby tego! A może...? Skąd mógł wiedzieć? I... czy mógłby ją za to potępiać? Gdyby myślała o Edwardzie, nie zrobiłaby tego naumyślnie.

Ale to chyba było jeszcze gorsze.

Patrzył, jak Billie spokojnie rozmawia z jego matką. Czyżby była zakochana w Edwardzie? Nie, to niemożliwe. Bo, gdyby tak było, Edward nie byłby aż tak głupi, żeby nie odwzajemnić jej uczucia. I zapewne byliby już dziś mężem i żoną.

Zresztą Billie przecież mówiła, że nikt jej nigdy nie całował.

A Billie nie kłamie. Edward jest dżentelmenem – może nawet w większym stopniu niż George, po dzisiejszych wydarzeniach – ale gdyby był zakochany w Billie, z całą pewnością nie wyjechałby do Ameryki, nie pocałowałby jej przedtem.

– George?

Podniósł wzrok. Matka patrzyła na niego z zastanowieniem.

– Nie wyglądasz najlepiej – skonstatowała.

– Nie czuję się dobrze – odparł krótko.

Matka odchyliła się leciutko w tył, na tyle, by okazać zaskoczenie.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek z nas się dobrze czuł – rzekła.

– Chciałabym pojechać do Londynu – oświadczyła nagle Billie.

To zaskoczyło George’a.

– Żartujesz?

Dobry Boże, to by była kompletna tragedia. Skoro się bał, że obecność matki rozpraszałaby jego uwagę...

Billie cofnęła się, wyraźnie obrażona.

– Czemu miałabym żartować?

– Przecież nie cierpisz Londynu!

– Byłam tam tylko raz – odparła sztywno.

– Co? – wykrzyknęła lady Manston. – Jak to możliwe?

Wiem, że nie odbyłaś debiutu w czasie sezonu, ale... to przecież zaledwie dzień drogi!

Billie odchrząknęła.

– Moja matka się wahała... po tym, co się wydarzyło podczas prezentacji na dworze.

Lady Manston przez chwilę wyglądała na zażenowaną, jednak już po chwili odzyskała kontenans i oświadczyła pogodnie:

– Cóż, było – minęło. Zdecydowałam. Nie można żyć przeszłością.

George popatrzył na matkę z odrobiną lęku.

– Co właściwie zdecydowałaś?

– Billie musi pojechać do Londynu.

*I* oto w niecały tydzień później Billie stała rozebrana do bielizny, podczas gdy dwie szwaczki, terkoczące po francusku, kłuły ją co chwila szpilkami i igłami.

– Przecież mogłam włożyć jedną z sukien, jakie mam w domu – przekonywała Billie nieugiętą lady Manston już chyba piąty raz.

Lady Manston nawet nie podniosła oczu znad żurnala.

– Nie, nie mogłaś.

Billie westchnęła, patrząc na obwieszone bogatymi brokatami ściany modnego magazynu krawieckiego, który tu w Londynie stał się jej drugim domem. Powiedziano jej, że ten salon jest wyjątkowo ekskluzywny; dyskretny napis nad drzwiami głosił tylko „Mme Delacroix, krawcowa”, ale lady Manston nazywała to małe francuskie „dynamo” imieniem Crossy i kazała Billie mówić do niej tak samo.

Zazwyczaj, jak mówiła lady Manston, Crossy i jej dziewczęta przychodziły do nich, ale teraz było za mało czasu, żeby odpowiednio dopasować i wyposażyć Billie i dlatego praktyczniej było pójść do magazynu.

Billie próbowała protestować. Nie przyjechała przecież do Londynu na sezon. Zresztą to nawet nie była odpowiednia pora roku. To znaczy... niedługo sezon się zacznie, ale jeszcze nie teraz. A oni wszyscy przecież nie przyjechali do Londynu, żeby bywać na przyjęciach czy balach! Prawdę powiedziawszy, Billie nie była tak zupełnie pewna, dlaczego się tu znalazła. Poczowała szok, kiedy lady Manston ogłosiła jej wyjazd; zresztą widać to było po jej twarzy.

– Przecież powiedziałaś, że chcesz jechać! – powiedziała wtedy lady Manston. – A muszę przyznać, że nie jestem w tym przypadku tak zupełnie niesamolubna. Bo ja też chcę pojechać i muszę mieć towarzyszkę.

George protestował, co w obecnej sytuacji Billie uznała zarówno za słuszne, jak i za obraźliwe; matka jednak nie ustąpiła.

– Mary zabrać nie mogę – powiedziała zdecydowanie. – Ona źle się czuje, poza tym wątpię, czy Felix by na to pozwolił. – Tu spojrzała na Billie. – Jest bardzo opiekuńczy.

– Na pewno... – wymamrotała Billie, raczej niemądrze, jak jej się wydało.

Nie potrafiła jednak wymyślić nic innego. Szczerze mówiąc, nigdy nie czuła się mniej pewna siebie niż wobec tej niezłomnej damy z towarzystwa, chociaż ją znała od urodzenia. Lady Manston była przede wszystkim jej ukochaną sąsiadką, ale od czasu do czasu również gwiazdą wyższego towarzystwa, wydającą rozkazy i kierującą ludźmi, a przede wszystkim znającą się na wszystkim. Billie nie miała pojęcia, jak się wobec niej zachować. Zresztą to samo było w wypadku jej własnej matki.

Ale wówczas George zachował się rozsądnie i po prostu ją obraził.

– Wybacz, Billie – powiedział patrząc przy tym na matkę. – Ona mnie będzie rozpraszać.

– Mile widziane urozmaicenie – rzuciła lady Manston.

– Nie dla mnie.

– George Rokesby! – Matka natychmiast wpadła w furję. – Natychmiast ją przeprosisz!

– Ona wie, co miałem na myśli – wyjaśnił.

W tym momencie Billie nie wytrzymała.

– Czyżby?

George zwrócił się do niej z pewną irytacją. I z wyraźną wyższością.

– Przecież wcale nie chcesz jechać do Londynu.

– Edward był moim przyjacielem – zaznaczyła.

– Tu nie ma mowy o słowie „był” – poprawił ją.

Miała ochotę go trzepnąć. Naumyślnie udawał, że jej nie rozumie.

– Och, na Boga, George, wiesz tak samo dobrze jak ja, co miałam na myśli.

– Czyżby? – zakpił.

– Co się tu dzieje, u licha? – wybuchnęła lady Manston. –  
Wiem, że wy dwoje nigdy nie byliście z sobą szczególnie  
zaprzyjaźnieni, ale chyba nie ma powodu do tego rodzaju  
zachowań! Na miły Bóg, ktoś mógłby pomyśleć, że macie po trzy  
latka!

Oboje, Billie i George zamilkli, zawstydzeni, zaś lady  
Manston udała się do swojego pokoju, napisać liścik do lady  
Bridgerton z informacją, że Billie zgodziła się jej towarzyszyć w  
podróży do miasta.

Naturalnie lady Bridgerton uznała ten pomysł za doskonały.

Billie początkowo myślała, że będzie spędzała dużo czasu na  
zwiedzaniu, może w teatrach... ale już następnego dnia po  
przyjeździe lady Manston otrzymała zaproszenie na bal, wydany  
przez jej najdroższą przyjaciółkę – i ku ogromnemu zaskoczeniu  
Billie postanowiła, że tam pójdzie.

– Jest pani pewna, że da pani radę to znieść? – spytała wtedy  
Billie.

W tamtym momencie nie myślała, że i ona ma być włączona  
do tej zabawy, zatem trzeba przyznać, że jej motywy były czysto  
altruistyczne.

– Przecież mój syn żyje! – rzekła lady Manston z  
obcesowością, która aż zaskoczyła Billie. – Nie mam zamiaru  
zachowywać się tak, jakby już nie żył.

– No, oczywiście że nie, ale...

– A poza tym – dodała lady Manston, jakby w ogóle nie  
słyszała Billie – Ghislaine jest moją najdroższą przyjaciółką;  
byłoby niegrzecznie jej odmówić!

Billie zmarszczyła brwi i zerknęła na sporych rozmiarów  
stosik zaproszeń, jakie w tajemniczy sposób pojawiły się w  
naczyniu z delikatnej porcelany w kształcie muszli, stojącym na  
biurku lady Manston.

– Skąd się dowiedziała, że pani jest w Londynie?

Lady Manston wzruszyła ramionami, przeglądając pozostałe  
zaproszenia, i zauważyła:



– Przypuszczam, że od George’a.

Billie się tylko uśmiechnęła. George przyjechał do Londynu na dwa dni przed nimi. Całą drogę przebył konno, szczęściarz! Niestety od chwili przyjazdu widziała go dokładnie trzy razy. Raz przy kolacji, raz przy śniadaniu i raz w saloniku, do którego wszedł napić się brandy, podczas gdy ona czytała książkę.

Był cały czas niesłychanie uprzejmy, ale nieco zdystansowany. To jeszcze można mu było wybaczyć, zwłaszcza że wiedziała, jak jest zajęty próbami zdobycia wiadomości o Edwardzie, a z pewnością nie chciała go odciągać od celu przyjazdu. Jednak nie myślała, żeby określenie „bez konsekwencji” oznaczało: „Och, przepraszam, to ty tu siedzisz na kanapie?”.

Nie wierzyła też, żeby ich pocałunek nie zrobił na nim wrażenia. Co prawda nie miała wielkiego – no dobrze, żadnego – doświadczenia z mężczyznami, ale знаła przecież George’a i wiedziała, że jej pragnął, dokładnie tak samo, jak ona pragnęła jego.

A pragnęła go tak bardzo!

Teraz też.

Wystarczyło, by zamknęła oczy, żeby zobaczyć jego twarz; a już zupełnie zwariowane było to, że wcale nie pocałunek sobie bez przerwy przypominała, tylko chwilę tuż przed nim, kiedy serce się w niej tłukło jak mały ptaszek, a oddech pragnął się zmieszać z jego oddechem. Sam pocałunek był oczywiście cudowny, ale ta chwila tuż przedtem, ta sekunda, kiedy już wiedziała...

Była jakby przeistoczona.

George zbudził w niej coś, o czym nawet nie wiedziała, że istnieje: coś dzikiego, samolubnego... Pragnęła tego... i jeszcze więcej.

Problem polegał na tym, że nie miała pojęcia, jak to osiągnąć. Gdyby był czas na zastawianie damskich sideł, ale... w Londynie była całkowicie poza swoim środowiskiem. Tam, w Kent, wiedziałyby, co robić. Może nie była dla swojej matki idealnym przykładem kobiecości, ale kiedy była w domu, w

Aubrey czy w Crake, po prostu wiedziała, kim jest. Nawet gdyby powiedziała coś dziwnego albo zrobiła coś niewłaściwego, nie miałyby to znaczenia. Była przecież Billie Bridgerton i wszyscy wiedzieli, co to oznacza.

I ona też wiedziała.

Ale tutaj, w tym sztywnym miejskim domu, z nieznanymi służącymi i przychodzącymi z wizytą matronami o pogardliwie wyдутych ustach, była na straconej pozycji. Musiała dwa razy rozważać każde słowo.

A teraz lady Manston chciała iść na bal.

– Córka Ghislaine ma chyba osiemnaście lat – zastanawiała się, oglądając zaproszenie ze wszystkich stron. – A może dziewiętnaście... W każdym razie na pewno już jest w takim wieku, że może wyjść za mąż.

Billie ugryzła się w język.

– Uroczą dziewczyną. Taka ładna... i wytworna. – Lady Manston podniosła wzrok i uśmiechnęła się szeroko, a przy tym podstępnie. – Może powinnam nalegać, żeby George był moją eskortą na tym balu? Najwyższy czas, żeby się zaczął rozglądać za żoną.

– O, na pewno będzie zachwycony – powiedziała Billie dyplomatycznie. Ale w głowie miała już obraz pięknej córki Ghislaine... z rogami i widłami.

– I ty też pójdziesz na ten bal.

Billie spojrzała na nią z przerażeniem.

– Och, nie sądzę ...

– Musimy ci uszyć suknię.

– Naprawdę nie...

– I chyba też kupić nowe pantofle.

– Ale, lady Manston, ja...

– Ciekawa jestem, czy możemy tam pójść bez peruk... Może być trudno o odpowiednie, zwłaszcza że nie przywykłaś do nich.

– Naprawdę nie chcę nosić peruki – oświadczyła Billie.

– Ależ wcale nie musisz – oświadczyła lady Manston, i w tym momencie Billie zorientowała się, jak bardzo została

zmanipulowana.

To było dwa dni temu... Dwa dni i pięć przymiarek. A właściwie sześć, licząc tę obecną.

– Billie, wstrzymaj na chwilę oddech – zawołała z daleka lady Manston.

Billie nie dosłyszała.

– Co takiego?

Było jej okropnie trudno skupić się na czymkolwiek innym niż na tych dwóch szwaczkach, kręcących się koło niej. Słyszała, że większość krawcowych udaje francuski akcent, bo to brzmi bardziej wytwornie, ale te dwie chyba były prawdziwymi Francuzkami. Billie nie mogła zrozumieć ani słowa z ich rozmowy.

– Ona nie mówi po francusku – wyjaśniła lady Manston pannie Crossy. – Nie mam pojęcia, o czym myślała jej matka... – Znowu rzuciła okiem na Billie. – Oddech, kochanie! Muszą ci mocniej ściągnąć gorset!

Billie patrzyła na dwie pomocnice Crossy, czekające cierpliwie za nią z taśmami od gorsetu w rękach.

– To do tego trzeba aż dwóch osób?

– To doskonały gorset – oświadczyła lady Manston.

– Naalepsi – przyświadczyła Crossy.

Billie westchnęła.

– Nie, do środka – pouczała ją lady Manston. – Wciągnij powietrze!

Billie usłuchała, wciągając brzuch tak, że obie szwaczki mogły wykonać coś w rodzaju ewolucji tanecznych wokół niej: plecy Billie wygięły się w zupełnie dla niej nowy sposób. Biodra wysunęły się do przodu, a głowa zadziwiająco daleko do tyłu. Nie była pewna, czy w ogóle będzie w stanie się poruszać.

– To nie jest zbyt wygodne! – zawołała.

– Nie jest. – Lady Manston nie wydawała się tym przejęta. – I nie będzie.

Jedna z kobiet powiedziała coś po francusku, po czym pchnęła ramiona Billie do przodu, a brzuch do tyłu.

– Meilleur?<sup>[10]</sup> – spytała.

Billie przechyliła głowę w bok, po czym pokręciła w obie strony plecami. Było lepiej. Oto jeszcze jeden aspekt wytwornej kobiecości, z którym nie umiała sobie poradzić: noszenie gorsetu. Albo raczej noszenie „dobrego” gorsetu. Najwyraźniej te, które nosiła dotychczas, były o wiele za wygodne.

– Dziękuję – zwróciła się do szwaczek i odchrząknęła. – Hmm... merci.

– Dla pani korset nie będzie sbytnie wygodny – mówiła Crossy, podchodząc, by obejrzeć swoje dzieło. – Pani brzuch jest ładny i płaski. Problem mamy z pani piersi.

Billie spojrzała, zaskoczona.

– Moje...

– Barso mało mięska na nich. – Tu Crossy smutno pokręciła głową.

Omawianie czyichś piersi, jakby to były kurze skrzydełka, było już i tak dostatecznie krępujące... ale w tym momencie Crossy po prostu ją za nie złapała! I spojrzała na lady Manston.

– Muszimy je trochę podnieść, nie myśli madame?

Po czym zademonstrowała jak. Billie myślała, że się zapadnie pod ziemię.

– Hmm? – Lady Manston zmrużyła oczy, zastanawiając się nad umiejscowieniem piersi Billie. – Ach, tak... chyba masz rację. Podniesione wyglądają o wiele lepiej.

– Pewna jestem, że to niekonieczne... – zaczęła Billie, ale po chwili zrezygnowała. Nie miała tu żadnej władzy.

Crossy powiedziała coś po francusku szybko jak katarynka swoim szwaczkom, i zanim Billie się zorientowała, co się dzieje, już została rozsznurowana i zasznurowana na nowo, a kiedy spojrzała w dół, jej biust znajdował się zupełnie gdzie indziej niż przed paroma minutami.

– O wiele lepiej – stwierdziła Crossy.

– Boże mój – mruknęła Billie.

Gdyby kiwnęła głową, z pewnością dotknęłaby podbródkiem piersi!

– On nie potrafić się pani oprzeć – oświadczyła marząco Crossy, mrugając do niej poufale.

– Kto?

Billie próbowała nie myśleć o George'u, ale jej się nie udało. Chciała czy nie, to on był dla niej tym „kimś”.

Podczas gdy Billie próbowała nie myśleć o George'u, on próbował nie myśleć o rybach.

Ściśle mówiąc, o śledziach.

Większość tygodnia spędził w Ministerstwie Wojny, starając się uzyskać jakieś informacje o Edwardzie. To wymagało kilku posiłków z lordem Arbuthnot, który, zanim jego podagra się rozwinęła, był zasłużonym generałem w armii Jego Królewskiej Mości. Podagra dokuczała mu cholernie (było to pierwsze słowa, jakie powiedział), ale dzięki niej znalazł się z powrotem na angielskiej ziemi, gdzie w końcu mężczyzna może codziennie zjeść porządne śniadanie.

Lord Arbuthnot najwyraźniej nadal starał się sobie powetować lata owych nieporządných śniadań, bo kiedy George jadł z nim kolację, stół był zastawiony potrawami, jakie zazwyczaj podaje się rano. Jajka na trzy sposoby, bekon, grzanki. I śledzie. Mnóstwo, ale to mnóstwo śledzi!

Biorąc wszystko pod uwagę, lord Arbuthnot pochłaniał naprawdę dużo tych ryb.

George widział dawniej tego starego żołnierza zaledwie raz, ale lord Arbuthnot chodził do Eton razem z ojcem George'a, a George z jego synem, więc jaka koneksja mogłaby być bardziej skuteczna w poszukiwaniu prawdy?

– Pytałem więc – zaczął Arbuthnot, odkrawając sobie płat szynki z wigorem osoby, która lubi przebywać na powietrzu i dlatego ma rumianą twarz – ale nie mogłem się wiele dowiedzieć o twoim bracie.

– Ale z pewnością ktoś musi wiedzieć, gdzie on jest.

– W Kolonii Connecticut. Tyle wiadomo.

George zacisnął pięści pod stołem.

– On nie powinien być w Connecticut.

Arbuthnot powoli przeżuwał jedzenie, po czym przenikliwie spojrzał na George'a.

– Nigdy nie byłeś żołnierzem, co?

– Ku mojemu wielkiemu żalowi, nie.

Arbuthnot kiwnął głową. Odpowiedź George'a zasłużyła na jego uznanie.

– Żołnierze rzadko bywają tam, gdzie powinni być – oświadczył. – W każdym razie nie tacy, jak twój brat.

George zacisnął wargi, starając się zachować równowagę.

– Obawiam się, że nie zrozumiałem...

Arbuthnot wyprostował się na krześle i stukał szczupłymi palcami po stole, patrząc na George'a z uwagą zmrużonymi oczami.

– Twój brat nie był zwerbowany do wojska, lordzie Kennard.

– Ale jako kapitan musi przecież wykonywać rozkazy.

– I iść tam, dokąd mu każą? – spytał Arbuthnot. – Naturalnie.

Ale to jeszcze nie znaczy, że w końcu znajdzie się tam, gdzie powinien być.

George chwilę się zastanawiał, po czym powiedział z niedowierzaniem:

– Próbuje mi pan powiedzieć, że Edward jest szpiegiem?

Niepojęte. Szpiegostwo to brudny interes. Tacy ludzie, jak Edward, z dumą nosili swoje czerwone kurtki!

Arbuthnot potrząsnął głową.

– Nie. W każdym razie nie myślę, żeby tak było. Cholernie podejrzana rzecz, to całe szpiegostwo. Twój brat by tego nie robił.

Z pewnością nie, pomyślał Geogre.

Milczenie.

– Tak czy owak, to by nie miało sensu – stwierdził z energią Arbuthnot. – Czy naprawdę myślisz, że twój brat mógłby udawać kogoś innego? On, porządny angielski dżentelmen? Wątpię, czy jakiś buntownik by uwierzył, że syn hrabiego miałby sympatyzować z ich sprawą.

Arbuthnot wytarł usta serwetką i sięgnął po śledzie.

– Myślę, że twój brat to zwiadowca.

– Zwiadowca... – powtórzył George.

Arbuthnot przytaknął i podał mu półmisek.

– Może jeszcze?

George potrząsnął głową, starając się nie krzywić.

– Nie, dziękuję.

Arbuthnot z cichym mruknięciem zsunął resztę ryb na swój talerz.

– Boże, jak ja uwielbiam śledzie – westchnął. – Na Karaibach ich nie dostaniesz. W każdym razie nie takie.

– Zwiadowca – powtórzył George, starając się wrócić do tematu. – Dlaczego pan tak sądzi?

– No cóż... nikt mi nie powiedział za wiele; i mówiąc otwarcie, nie wiem, czy ktokolwiek tutaj zna całą historię, ale kiedy się wszystko poskłada do kupy... chyba pasuje. – Arbuthnot wsadził kawałek śledzia do ust. – Nie lubię się zakładać, ale gdybym to zrobił, powiedziałbym, że twojego brata wysłano w pole, żeby ocenił położenie terenu. W Connecticut nie dzieje się zbyt wiele, w każdym razie od tego, co się stało z tym Arnoldem Jak-mu-tam... w Ridgefield, w siedemdziesiątym siódmym.

George nie znał żadnego Arnolda Jak-mu-tam ani nie wiedział, gdzie leży Ridgefield.

– Na tamtym wybrzeżu jest parę cholernie fajnych portów – ciągnął Arbuthnot i zabrał się z powrotem do poważnej roboty, czyli krajania mięsa. – Nie zdziwiłbym się, gdyby buntownicy zaczęli ich używać. I nie zdziwiłbym się, gdyby kapitan Rokesby został wysłany, żeby to zbadać. – Podniósł głowę: kiedy się marszczył, krzaczaste brwi opadały mu na oczy. – Czy twój brat ma jakieś zdolności do rysowania map?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Arbuthnot wzruszył ramionami.

– To nieważne, ma czy nie ma. Nie zwracaliby uwagi na takie szczegóły.

– Ale wobec tego co się zdarzyło?

Stary generał potrząsnął głową.

– Obawiam się, że nie wiem, drogi chłopcze. Skłamałbym,

gdybym powiedział, że znam kogoś, kto wie.

George nie oczekiwał odpowiedzi, ale jednak był rozczarowany.

– Do Kolonii trzeba cholernie długo jechać, synu – stwierdził lord Arbuthnot zaskakująco łagodnym głosem. – Wiadomości nigdy nie przychodzą tak szybko, jak byśmy chcieli.

George przytaknął powolnym skinieniem głowy. Planował poszukiwanie innej drogi śledztwa, chociaż nie wiedział, co to mogłoby być.

– A propos – dodał Arbuthnot aż za bardzo obojętnie. – Planujesz może wpaść jutro wieczorem na bal do lady Wintour?

– Planuję – potwierdził George.

Nie miał co prawda takiego zamiaru, ale jego matka już wymyśliła niezmiernie zawikłaną intrygę, kończącą się tym, że obecność George'a na tym balu jest absolutnie konieczna. Poza tym, prawdę mówiąc, nie miał serca jej odmówić. Nie teraz, kiedy tak się martwiła o Edwarda.

A poza tym była jeszcze Billie.

Ona też została przez matkę zobowiązana do pójścia na ten bal. George widział na twarzy Billie przerażenie, kiedy jego matka wprost od śniadania ciągnęła ją do krawcowej. Londyński bal będzie dla Billie Bridgerton na pewno prawdziwym piekłem, wobec czego nie mógł jej w żadnym wypadku opuścić właśnie wtedy, kiedy go będzie najbardziej potrzebowała.

– Znasz Roberta Tallywhite'a? – spytał lord Arbuthnot.

– Trochę.

Tallywhite był o kilka lat wyżej od niego w Eton. Spokojny facet, o ile George pamiętał, z jasnymi włosami barwy piasku i wysokim czołem. Maniak czytania.

– Jest bratankiem lady Wintour i na pewno będzie na balu. Zrobisz wielką przysługę ministerstwu, jeżeli przekażesz mu tę wiadomość.

George podniósł brwi ze zdziwieniem.

– Czy to ma znaczyć „tak”? – powiedział sucho lord.

George twierdząco kiwnął głową.



– Powiesz mu: „kipi kasza kipi groch”.

– Kipi kasza kipi groch...? – powtórzył George niepewnie. Arbuthnot ułamał sobie kawałek grzanki i umoczył ją w żółtku jajka.

– On zrozumie.

– Ale... co to znaczy?

– Koniecznie chcesz wiedzieć? – odparował lord. George usiadł i spojrzał spokojnie na Arbuthnota.

– Wolałbym wiedzieć.

Lord głośno się roześmiał.

– I dlatego, mój drogi chłopcze, byłbyś beznadziejnym żołnierzem. Powinieneś wykonywać rozkazy i o nic nie pytać.

– Nie wtedy, kiedy ktoś wydaje rozkazy mnie.

– Aż nadto prawdziwe – przyznał Arbuthnot z uśmiechem. Nie wyjaśnił jednak George’owi znaczenia wiadomości. Spojrzał tylko spokojnie i spytał – Możemy na ciebie liczyć?

To przecież było Ministerstwo Wojny, pomyślał George. Skoro miał przekazywać jakieś informacje, powinien przynajmniej wiedzieć, że przekazuje je właściwym ludziom.

Przynajmniej wiedział teraz, że coś robi.

Spojrzał Arbuthnotowi w oczy i powiedział:

– Możecie.

Kiedy George wrócił wieczorem do domu, w Manston House panowała cisza. W korytarzu paliły się świece w kandelabrach, ale pozostałe pokoje robiły wrażenie zamkniętych na całą noc. Zmarszczył brwi. Nie było jeszcze późno; z pewnością ktoś powinien być w domu.

– Ach, Temperley – powiedział na widok kamerdynera, który zbliżył się, by od niego odebrać płaszcz i kapelusz – czy matka wyszła gdzieś wieczorem?

– Lady Manston kazała sobie przynieść kolację na górę do pokoju, milordzie – odparł Temperley.

– A panna Bridgerton?

– Wydaje mi się, że zrobiła to samo.

– Aha...

George nie powinien być rozczarowany. W końcu większą część ostatnich paru dni spędzał, unikając towarzystwa obu wyżej wymienionych dam. Teraz one pewnie postanowiły odplącić mu się tym samym.

– Czy mam panu też zanieść kolację do pokoju, milordzie?

– Czemu nie? – odparł George po krótkim namyśle.

Wyglądało na to, że i tak nie będzie miał towarzystwa, a podczas posiłku z lordem Arbuthnot nie jadł wiele.

To pewnie z powodu tych śledzi. Naprawdę, ich zapach sprawiał, że nie był w stanie nic jeść.

– Napije się pan przedtem brandy w saloniku? – spytał Temperley.

– Nie, chyba pójdę od razu na górę. To był męczący dzień.

Temperley lekko skinął głową na swój charakterystyczny sposób.

– Dla nas wszystkich, milordzie.

George spojrział na kamerdynera i skrzywił się lekko.

– Czyżby moja matka tak cię umęczyła, Temperley?

– Broń Boże – zaprotestował kamerdyner z leciutkim, niemal niedostrzegalnym uśmiechem. – Mówiłem o damach. Pozwolę sobie zauważyć, oczywiście jeśli można, milordzie, że obie wydawały się raczej zmęczone, kiedy wróciły dzisiaj po południu. Zwłaszcza panna Bridgerton.

– Obawiam się, że moja matka zameczyła ją na śmierć – mruknął George z lekkim uśmiechem.

– Właśnie, milordzie. Lady Manston nigdy nie jest równie szczęśliwa, jak kiedy ma jakąś młodą damę, którą chce wydać za mąż.

George zamarł, po czym pokrył to, poświęcając niezwykle wiele uwagi zdejmowaniu rękawiczek.

– To by wyglądało dość odważnie, zważywszy, że panna Bridgerton nie planuje pozostać w Londynie na sezon.

Temperley odchrząknął.

– Przyniesiono bardzo dużo pakunków...

Był to jego sposób, by wyrazić, że każdy przedmiot, potrzebny młodej damie, by z sukcesem wpłynąć na jarmark małżeński w Londynie, został już zakupiony i dostarczony ze sklepu do domu.

– No, pewien jestem, że panna Bridgerton osiągnie prawdziwy sukces – powiedział George.

– Ta młoda dama jest naprawdę pełna życia – zgodził się Temperley.

George wyszedł ze sztywnym uśmiechem. Trudno było mu sobie wyobrazić, w jaki sposób Temperley mógł dojść do wniosku, że Billie jest pełna życia. Kiedy George kilka razy spotkał Billie w Manston House, była dziwnie przygaszona.

Przypuszczał, że może powinien się bardziej postarać, zabrać ją na przykład na lodowisko, czy coś innego, ale był zanadto zajęty polowaniem na jakąkolwiek informację w Ministerstwie Wojny. Czuł się cholernie dobrze, mogąc nareszcie – dla odmiany – coś zrobić, nawet jeżeli rezultat tych działań nie był zadowalający.

Ruszył w stronę schodów, zatrzymał się i zawrócił. Temperley się nie poruszył.

– Zawsze myślałem, że moja matka miała nadzieję ożenić Edwarda z panną Bridgerton – powiedział obojętnie George.

– Nie uważała za stosowne zwierzyć mi się z tego – ostrożnie zauważył Temperley.

– Nie, naturalnie że nie – odparł George. Lekko potrząsnął głową.

Co za upadek, plotkować z kamerdynerem!

– Dobranoc, Temperley.

Już stał przy schodach, już miał jedną nogę na stopniu, kiedy kamerdyner się odezwał:

– One... rozmawiały o nim.

George się odwrócił.

Temperley odchrząknął.

– Nie myślę, żeby to była niedyskrecja, jeżeli panu powiem, że rozmawiały o nim przy śniadaniu.

– Ależ nie – stwierdził George. – Na pewno nie.

Zapadła dłuższa cisza.

– Modlimy się wszyscy za panicza Edwarda – rzekł w końcu Temperley. – Bardzo za nim tęsknimy.

Była to prawda. Chociaż trzeba powiedzieć, że teraz, kiedy Edward zaginął, George bardziej za nim tęsknił niż dawniej, kiedy także był za oceanem.

Powoli wchodził na piętro. Manston House był o wiele mniejszy niż Crake: wszystkie osiem sypialni mieściło się na jednym piętrze. Billie umieszczono w drugim w kolejności pokoju gościnnym, co George uważał za niedorzeczne, ale jego matka zawsze się upierała, żeby najlepszy gościnny pokój pozostawał wolny, mówiąc: „Nigdy nie wiadomo, kto może nas niespodziewanie odwiedzić”.

George zawsze wówczas kpił: „Na przykład król wpadnie do nas na kawę”... Generalnie był temu przeciwny, krzywił się wtedy i uśmiechał. Matka miała poczucie humoru na ten temat – mimo to najlepszy pokój pozostawał pusty już od dobrych dwudziestu lat.

Zatrzymał się w połowie korytarza, niedokładnie przed drzwiami pokoju Billie, ale dość blisko nich. Spod drzwi widać

było światło świecy. Zastanowił się, co też ona teraz tam robi. Bo na sen było jeszcze o wiele za wcześnie.

Brakowało mu jej.

To uczucie owładnęło nim zupełnie nagle. Tęsknił do niej. Był tutaj, w tym samym domu, spał raptem o trzy pokoje od niej, ale mimo to tęsknił.

I to z własnej winy. Wiedział, że ostatnio jej unikał. Ale... co miał zrobić? Całował już przecież Billie, całował ją tak, że niemal tracił rozum, a teraz miałyby z nią prowadzić grzeczną rozmowę przy śniadaniu? W obecności swojej matki?

George nie był aż tak wyrobiony towarzysko.

Powinien się z nią ożenić. Myśl ta nie była mu niemiła, chociaż zaledwie miesiąc temu wydawałaby się szalona. Tam, w Crake, wiele o tym myślał. Billie powiedziała co prawda: „Nie musisz się ze mną żenić”, ale on pomyślał: „Ale mógłbym”.

Wtedy myślał o tym... przez chwilę. Nie zastanawiał się ani nie analizował, tylko czuł.

I to uczucie było wspaniałe. Ciepłe.

Jak wiosenna pogoda.

Ale wtedy pojawiła się na scenie jego matka i zaczęła mówić o tym, jaką cudowną parę tworzą Billie i Edward, i co by to było za doskonałe małżeństwo, i... już nie pamiętał, co jeszcze, ale to było tak przesłodzone, że zrobiło mu się niedobrze... a według tego, co mówił Temperley, obie doskonale się z tym czuły przy śniadaniu, zajadając grzanki z gorzką marmoladą pomarańczową.

Grzanki z marmoladą. Potrząsnął głową.

Był idiotą.

Zakochał się w Billie Bridgerton.

Tak było. Jasne jak słońce. Omal się nie roześmiał. Powinien się śmiać, skoro stał się ofiarą żartu.

Gdyby się zakochał w kimś innym – kimś nowym, czyja obecność nie wypełniałaby mu wspomnień – czy to byłoby aż tak jasne? W przypadku Billie to uczucie było zwrotem o 180 stopni, całkowitym odejściem od tyłu lat traktowania jej jak dokuczliwego „kamyka w bucie”. Nie mógł tego nie dostrzegać – to uczucie

jaśniało w nim jak gwiazdzista obietnica.

Czy Billie była zakochana w Edwardzie? Może... Matka George'a chyba tak sądziła. Nie mówiła za dużo, naturalnie, ale jej opinie były wszystkim znane, mimo że nie wypowiedziała ich wyraźnie.

To jednak wystarczyło, żeby się czuł piekielnie zazdrosny.  
Zakochany w Billie. Największa głupota w życiu.

Westchnął głęboko, po czym stłumił westchnienie i ruszył dalej w kierunku własnej sypialni. Musiał przejść obok jej pokoju, obok tego kuszącego światła świecy... Zwolnił kroku; nie mógł tego nie zrobić.

I wtedy drzwi się otworzyły.

– George?

Billie wyjrzała na korytarz. Była nadal w dziennej sukni, ale nie miała upiętych włosów, tylko przerzucony przez ramię gruby, długi warkocz.

– Zdawało mi się, że kogoś słyszałam – powiedziała.

Uklonił się i udało mu się uśmiechnąć z zaciśniętymi wargami.

– Jak widzisz, to ja.

– Jadłam kolację – wyjaśniła i cofnęła się do wnętrza pokoju.

– Twoja matka była zmęczona. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Ja też. Nie bardzo umiem robić zakupy. Nie miałam pojęcia, że to wymaga tak długiego stania bez ruchu.

– Stanie bez ruchu zawsze bardziej męczy niż chodzenie.

– O, tak! – przytaknęła żywo. – Zawsze to mówiłam!

George chciał coś powiedzieć, ale nagle przez myśl przebiegło mu wspomnienie. To było wtedy, kiedy niósł ją na rękach po tej całej awanturze z kotem na dachu. Próbował jej wtedy opisać to dziwne uczucie, kiedy komuś noga raptem słabnie i ugina się bez powodu.

Billie zrozumiała go wtedy doskonale.

Jak na ironię, jego noga bynajmniej nie słabła. Opowiadał o tym, żeby coś ukryć... Nie pamiętał nawet co.

Ale pamiętał tamtą chwilę. I to, że go tak dobrze rozumiała.

Pamiętał głównie to, jak na niego patrzyła, z lekkim uśmiechem, który mówiła, jak to miło, że ktoś ją rozumie.

Spojrzał na Billie. Na jej twarzy malował się wyraz oczekiwania. Teraz to on powinien coś powiedzieć, przypomniał sobie. A ponieważ nie potrafił dobrze wyrazić swoich myśli, uciekł się do oczywistej uwagi.

– Jesteś ciągle ubrana – zauważył.

Rzuciła okiem na swoją sukienkę. Była podobna do tej, którą nosiła, kiedy ją całował. Kwiatki pasowały do niej. Zawsze powinna nosić suknie w kwiaty.

– Myślałam, że może zejść jeszcze na dół po kolacji – wyjaśniła. – Na przykład... znaleźć sobie coś do czytania w bibliotece.

Przytaknął.

– Moja mama zawsze mówi, że kiedy już włoży się szlafrok, należy zostać w swojej sypialni.

Uśmiechnął się.

– Tak mówi?

– Och, ona mówi strasznie dużo rozmaitych rzeczy. Jestem pewna, że zapomniałam, czego nie powinnam ignorować...

George stał jak posąg; wiedział doskonale, że teraz powinien jej powiedzieć dobranoc, ale jakoś te słowa nie przechodziły mu przez gardło. Chwila była zanadto intymna, za bardzo doskonała w tym świetle świec... i cudowna.

– Jadłeś kolację? – spytała.

– Tak. To znaczy... nie. – Przypomniał sobie śledzie. – Właściwie nie.

Uniosła brwi.

– To brzmi intrygująco...

– Bynajmniej. Zaraz mi przyniosą tacę do pokoju. Nigdy nie lubiłem jeść sam na dole.

– Ja tak samo – przyznała. Po krótkim milczeniu odezwała się: – Na kolację jest zapiekanka z szynką. Bardzo dobra.

– Świetnie. – Odchrząknął. – No cóż, ja... powinienem już iść. Dobranoc, Billie.

Odwrócił się. Wcale tego nie chciał.

– George, zaczekaj!

Wstrzymał oddech. Nie znosił tego.

– George, to szaleństwo.

Znowu się odwrócił. Nadal stała w drzwiach swojego pokoju, z jedną ręką opartą o ramę drzwi. Twarz miała tak wyrazistą... Czy zawsze była taka?

Tak, pomyślał. Nigdy nie potrafiła ukrywać swoich uczuć pod maską obojętności. Była to jedna z rzeczy, które go w niej tak irytowały, kiedy oboje jeszcze nie byli dorośli. Po prostu nie pozwalała, żeby ją ignorować.

Ale to było wtedy. A teraz...

To coś zupełnie innego.

– Szaleństwo? – powtórzył. Nie bardzo wiedział, co miała na myśli. A nie chciał snuć domysłów.

Wargi Billie drżały w niepewnym uśmiechu.

– Jestem pewna, że możemy zostać przyjaciółmi.

Przyjaciółmi?

– To znaczy, wiem...

– ...że cię całowałem? – podsunął.

O mało nie krzyknęła, a po chwili syknęła:

– Nie chciałam tego wyrazić tak otwarcie. Na miłość boską, George, twoja matka jeszcze nie śpi...

Podczas gdy Billie nerwowo patrzyła w głąb korytarza, George odrzucił na bok swoje dobre wychowanie i wszedł do jej pokoju.

– George!

– Najwyraźniej ktoś tu potrafi szeptać i wrzeszczeć równocześnie – zauważył.

– Nie możesz tu zostać – rzuciła.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy zamykała drzwi.

– Pomyślałem, że nie zechcesz prowadzić tego rodzaju rozmowy na korytarzu.

Spojrzenie, jakie mu rzuciła, było przepelnione sarkazmem.

– Uważam, że są jeszcze dwa saloniki i biblioteka na dole.



– Przypomnij sobie, co się stało, kiedy ostatni raz byliśmy razem w saloniku...

Twarz Billie oblała się rumieńcem. Ale dziewczyna miała charakter wojownika – więc po chwili zgrzytania zębami uspokoiła się i spytała:

– Dowiedziałeś się czegoś o Edwardzie?

George natychmiast stracił humor.

– Nic konkretnego.

– Ale jednak... coś? – spytała z nadzieją w głosie.

Nie miał ochoty na rozmowę o Edwardzie dla bardzo wielu powodów. Billie jednak zasługiwała na odpowiedź, zatem rzekł:

– Tylko przypuszczenia emerytowanego generała.

– Przykro mi... To musi być strasznie frustrujące.

Chciałabym móc coś zrobić, żeby pomóc. – Oparła się o krawędź łóżka i spojrzała na niego poważnie. – To takie trudne... nie móc nic zrobić. Okropnie się z tym czuję.

Przymknął oczy i westchnął. Znowu się doskonale rozumieli.

– Czasem myślę, że powinnam była urodzić się chłopcem.

– Za nic! – Odpowiedź przyszła natychmiast i była stanowcza.

Zaśmiała się.

– To bardzo miłe z twojej strony. Myślę, że powinienesz być to powiedzieć po... no... wiesz...

Wiedział. Ale nie do końca.

– Bardzo bym chciała odziedziczyć Aubrey – mówiła tęsknie.

– Znam tam każdy kąt. Mogę wymienić każdą roślinę na każdym polu, znam imiona wszystkich dzierżawców, a nawet daty ich urodzin... no, powiedzmy, połowy.

Patrzył na nią z podziwem i szacunkiem. Okazywało się, że była kimś o wiele rozsądniejszym, niż kiedykolwiek pozwolił sobie sądzić.

– Mogłabym być doskonałym wicehrabią Bridgerton.

– Twój brat też znajdzie swoją drogę – cicho powiedział George. Usiadł na krześle przy biurku. Billie nie usiadła, a ponieważ był z nią sam za zamkniętymi drzwiami, pomyślał, że to

właściwie nie jest żadne naruszenie przyzwoitości...

– O, wiem, że znajdzie – powiedziała Billie. – Edmund jest naprawdę bystry... kiedy nie bywa denerwujący.

– On ma dopiero piętnaście lat, Billie. Musi być denerwujący.

Spojrzała na niego.

– O ile dobrze pamiętam, ciebie w jego wieku już uważano za ideał...

Powoli podniósł brew. W jej stwierdzeniach było bardzo wiele zaskakujących słów; puścił je jednak mimo uszu i po prostu radował się beztróskim koleżeństwem, jakie panowało w tej chwili między nimi.

– Jak ty to wytrzymujesz? – spytała.

– Wytrzymuję? Co?

– To. – Podniosła ręce w geście poddania. – Bezradność.

Wyprostował się na krześle i popatrzył na nią, mrużąc oczy.

– Czujesz coś takiego, prawda?

– Nie jestem pewien, czy cię dobrze rozumiem – mruknął.

Ale miał wrażenie, że jednak tak.

– Wiem, że chciałbyś też być w wojsku. Widzę to w twojej twarzy za każdym razem, kiedy o tym mówi któryś z twoich braci.

Czyżby to było aż tak oczywiste? Miał nadzieję, że nie. Ale równocześnie...

– George...?

Podniósł głowę.

– Jesteś bardzo milczący – stwierdziła.

– Myślałem właśnie...

Uśmiechnęła się pobłaźliwie, pozwalając mu myśleć głośno.

– Wcale nie chcę być w wojsku.

Cofnęła się, wyraźnie zaskoczona, i podbródkiem dotknęła szyi.

– Moje miejsce jest tutaj – oświadczył.

W oczach Billie załśniło coś jakby duma.

– Tak mówisz, jakbyś sobie właśnie teraz zdał z tego sprawę.

– Nie – zaprzeczył. – Zawsze to wiedziałem.

– Ale tego nie akceptowałeś – upierała się.

Parsknął śmiechem.

– Ależ nie, z pewnością akceptowałem. Myślę tylko, że nie mogłem sobie pozwolić... – Spojrzał prosto w jej piękne, brązowe oczy i przerwał na chwilę, przypominając sobie, co chciał powiedzieć. – Nie pozwalałem sobie tego lubić.

– A teraz?

Zdecydowanie przytaknął.

– Teraz lubię. Gdybym nie... – przerwał i poprawił się: – Gdybyśmy nie troszczyli się o ziemię i o ludzi na niej, to o co by walczyli Edward i Andrew?

– Skoro oni ryzykują życie dla króla i ojczyzny – powiedziała miękko – to my powinniśmy sprawić, żeby to był dobry król i dobra ojczyzna.

Spojrzeli sobie w oczy, a Billie się uśmiechnęła. Leciutko. I nic już nie mówili. Nie było takiej potrzeby. W końcu Billie rzekła:

– Zaraz powinni ci przynieść jedzenie na górę.

Uniósł brew.

– Próbujesz się mnie pozbyć?

– Próbuję chronić własną reputację – odparła. – Twoją zresztą też.

– Pamiętasz może, że cię poprosiłem o rękę.

– Nie, nie poprosiłeś – fuknęła. – Powiedziałeś „Naturalnie się z tobą ożenię” – rzekła tonem rozzłoszczonej czarownicy – a to zupełnie co innego!

Patrzył na nią, zamyślony.

– Mógłbym uklęknąć na jedno kolano.

– Przestań kpić, George. To bardzo nieładnie z twojej strony.

Głos jej się załamał, a George poczuł, że coś go ściska w piersiach. Otworzył usta, ale Billie oderwała się od łóżka i podeszła do okna: patrzyła w ciemność, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

– To nie jest temat do żartów – zaczęła, ale te słowa brzmiały dziwnie, głęboko, jakby wydostawały się z samego dna gardła.

Szybko się podniósł.

– Wybacz, Billie. Musisz wiedzieć, że ja nigdy...

– Powinieneś już iść.

Milczał.

– Powinieneś iść – powtórzyła, tym razem ostrzej. – Za chwilę będzie tu ktoś z twoją kolacją.

Była to odprawa – jasna i rozsądna. A także dobre intencje. Billie powstrzymała go od zrobienia z siebie głupca. Gdyby chciała, by się jej oświadczył, czy nie złapałaby tej przynęty, którą od niechcenia jej podsunął?

– Jak chcesz – powiedział i uklonił się uprzejmie, chociaż stała do niego bokiem. Zauważył jej skinienie głową i wyszedł z pokoju.

Boże drogi! Co też ona zrobiła?

Mógł się jej oświadczyć. Właśnie tu i teraz. George...

A ona go powstrzymała. Powstrzymała go, bo – do diabła, nie wiedziała dlaczego! Czy nie spędziła całego dnia jak w błękitnej mgle, zastanawiając się, dlaczego tak jej unika i co trzeba zrobić, żeby ją znowu pocałował?

A czyż małżeństwo nie oznaczało dalszych pocałunków? Czy to nie było dokładnie to, czego potrzebowała, żeby osiągnąć swoje (wyraźnie nieodpowiednie dla damy) cele?

Ale przecież siedział tutaj, rozparty na krześle przy biurku, jakby był u siebie (co przecież było prawdą), a ona nie potrafiła mu powiedzieć tego, co myśli. Czy się z nią drażnił? Bawił się? George nigdy nie był okrutny; nie potrafiłby umyślnie ranić jej uczuć, ale skoro myślał, że ona patrzy na to wszystko jak na żart, mógł uznać, że może to tak traktować...

Tak na pewno zrobiłby Andrew. Co nie znaczy, by Andrew ją kiedykolwiek pocałował, albo że by ona tego chciała, ale... gdyby z jakiegoś powodu żartowali na temat małżeństwa, z pewnością powiedziałby nagle coś śmiesznego, na przykład o tym klękaniu na jedno kolano.

Ale George... po prostu nie wiedziała, czy tak to rozumiał. A co, gdyby mu powiedziała „tak”? Co, gdyby wyznała, że go kocha i marzy, by przykląkł na jedno kolano i wyznał jej wieczną

miłość...

A potem odkryć, że żartował?

Na samą myśl o czymś podobnym twarz jej zapłonęła.

Nie myślała, że mógłby żartować z takich rzeczy. Ale znowu... to był George. Był najstarszym synem hrabiego Manston, szlachetnym i honorowym lordem Kennard. Gdyby zamierzał się oświadczyć jakiejś damie, nigdy nie zrobiłby tego byle jak. Miałby pierścionek, mówiłby poetycko, a już z pewnością nie prosiłby jej o zdecydowanie, czy ma to zrobić na kolanach!

A to znaczy, że tak nie myślał, prawda? George nigdy by nie był aż tak niepewny siebie.

Rzuciła się na łóżko, przyciskając obie ręce do piersi i próbując uspokoić łomoczące głośno serce. Dawniej nie cierpiała w George'u tej cechy, tej jego niezachwianej pewności. Kiedy byli dziećmi, zawsze wszystko wiedział najlepiej. O wszystkim. To było strasznie denerwujące, nawet kiedy teraz sobie zdała sprawę, że będąc starszy o pięć lat prawdopodobnie rzeczywiście wszystko wiedział najlepiej – o wszystkim. Nie było sposobu, żeby się mu sprzeciwić, aż do osiągnięcia dorosłości.

A teraz... teraz kochała tę jego spokojną pewność siebie. Nigdy nie był zuchwały, nie przechwalał się. Był po prostu... George'em.

I takiego kochała.

Kochała go, i – DOBRY BOŻE, WŁAŚNIE GO  
POWSTRZYMAŁA OD POPROSZENIA JEJ O RĘKĘ!

Co ona zrobiła najlepszego?

A, co ważniejsze, jak to teraz odkręcić?

George zawsze schodził na śniadanie jako pierwszy z całej rodziny, jednak kiedy wszedł następnego ranka do jadalni, zastał tam już swoją matkę, popijającą herbatę.

To nie mógł być przypadek.

– George – zwróciła się do syna – musimy porozmawiać.

– Mamo... – mruknął, podchodząc do bufetu, żeby sobie przygotować śniadanie.

Cokolwiek tak wyraźnie zdenerwowało matkę, on nie miał nastroju do rozmów. Czuł się zmęczony i rozdrażniony. Może tylko prawie się oświadczył Billie wczoraj wieczorem, ale z pewnością został odrzucony.

Nie takie miał marzenia. W dodatku źle spał tej nocy.

– Jak wiesz – zaczęła matka, przechodząc od razu do sedna – dziś wieczorem jest bal u lady Wintour.

Nałożył sobie na talerz jajka na miękko.

– Zapewniam cię, mamo, że ten fakt mi nie umknął.

Zacisnęła wargi, ale nie skarciła go za tę sarkastyczną uwagę. Zamiast tego odczekała chwilę, aż George znów usiądzie przy stole i rzekła:

– Tu chodzi o Billie.

Oczywiście.

– Bardzo się o nią troszczę.

Podobnie jak on, choć wątpił, żeby z tych samych powodów... Ozdobił twarz bladym uśmiechem.

– A na czym polega problem?

– Będzie potrzebowała dziś wieczorem prawdziwej pomocy.

– Nie bądź śmieszna, mamo – parsknął; wiedział jednak, o co chodziło. Billie nie pasowała do Londynu. Była do szpiku kości wiejską dziewczyną.

– Brak jej pewności siebie, George. Te sępy od razu to spostrzegą.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, dlaczego sobie właściwie wybieramy towarzystwo takich sępów?

– Bo połowa z nich, to w rzeczywistości białe gołębie.

– Białe gołębie? – Spojrzał na matkę z niedowierzaniem. Machnęła ręką.

– No, niech ci będzie... szare, pocztowe. Ale to akurat nie ma znaczenia.

– Nigdy nie miałem takiego szczęścia...

Spojrzała na syna ukosem, by mu uzmysłwić, że chociaż słyszała, co mówi, postanowiła to z wdziękiem zignorować.

– Sukces Billie leży teraz w twoich rękach.

Wiedział, że będzie żałował, jeżeli ją zachęci do dokładniejszych wyjaśnień, ale nie mógł się powstrzymać i rzucił:

– A o co tu chodzi...?

– Och, wiesz równie dobrze jak ja, że najpewniejszą drogą do zapewnienia debiutantce sukcesu... dla odpowiedniego dżentelmena, takiego jak ty, jest zwrócenie na nią uwagi. Nie wiadomo dlaczego George bardzo się zirytował.

– Od kiedy to Billie jest debiutantką?

Matka popatrzyła na niego, jakby był niespełna rozumu.

– A niby czemu ją przywiozłam do Londynu?

– O ile pamiętam, zapragnęłaś jej towarzystwa – odparł. Matka machnęła tylko ręką na taki nonsens.

– Dziewczyna wymagała pewnej oglądy – wyjaśniła. Nie, pomyślał George, nie wymagała! Wbił widelec w kiełbasę – o wiele za mocno.

– Jest doskonała taka, jaka jest.

– To bardzo ładnie, że tak mówisz, George – odparła, uważnie oglądając bułeczkę, zanim się zdecydowała na dołożenie jeszcze trochę masła, – ale zapewniam cię, że żadna dama nie chce być „doskonała taka, jaka jest”.

Twarz George’a wyrażała cierpliwość.

– Więc czego byś chciała, mamó?

– Tylko tyle, żebyś dzisiaj wieczorem dobrze odegrał swoją rolę. Musisz z nią tańczyć.

Powiedziała to tak, jakby taniec z Billie był ciężkim obowiązkiem.

– Oczywiście, że będę z nią tańczył.

To być może będzie bardzo denerwujące, biorąc wszystko pod uwagę, ale mimo to nie mógł nie oczekiwać tego wieczoru z niecierpliwością. Marzył o tańcu z Billie od tamtego ranka w Aubrey Hall, kiedy popatrzyła na niego, oparła ręce na biodrach i zapytała: „Czy kiedyś w ogóle ze mną tańczyłeś?”

Teraz trudno mu było uwierzyć, że nigdy tego nie robił. Po tylu latach sąsiedowania ze sobą, jak mógł dotąd z nią nie zatańczyć?

Teraz jednak nie mógł po prostu uwierzyć, że wtedy nawet o tym nie pomyślał. Gdyby wtedy tańczył z Billie, gdyby muzyka ich opływała, gdyby trzymał rękę na jej biodrze... nie, tego nie mógłby zapomnieć.

Poza tym chciał tego. Chciał trzymać jej rękę w swojej i tańczyć z nią: krok – ukłon... i widzieć jej wrodzony wdzięk. A jeszcze bardziej pragnął, żeby i ona go wyczuwała. Chciał, żeby wiedziała, że jest równie kobieca i elegancka jak reszta pań, że w jego oczach jest doskonała, a nie tylko po prostu „ładna”, i gdyby tylko mógł...

– George!

Ocknął się.

– Rzeczywiście, bardzo uważasz na to, co mówię...

– Wybacz mi – wymamrotał.

Nie miał pojęcia, jak długo był pogrążony we własnych myślach, chociaż dla jego matki nawet sekunda czy dwie odwrócenia uwagi od tego, co mówiła, było niewybaczalne.

– Mówiłam właśnie – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu – że musisz zatańczyć z Billie dwa razy.

– Załatwione.

Zmrużyła oczy; najwyraźniej zaskoczyła ją łatwość, z jaką jej posłuchał.

– Poza tym musisz pamiętać, żeby zachować przynajmniej dziewięćdziesiąt minut przerwy pomiędzy tańcami.



Przewrócił oczyma, nie starając się nawet tego ukryć.

– Skoro sobie życzysz...

Lady Manston wsypała sobie cukru do herbaty.

– Musisz wyglądać na zainteresowanego.

– Ale nie nazbyt zainteresowanego, prawda?

– Nie kpij ze mnie – ostrzegła go.

Odłożył widelec.

– Mamo, zapewniam, że mnie tak samo zależy na szczęściu Billie jak tobie.

To ją nieco udobruchało.

– Doskonale – powiedziała. – Cieszę się, że jesteśmy zgodni. Chcę się zjawić na balu o wpół do dziesiątej. Dzięki temu będziemy mieć odpowiednie „wejście”, a przy tym będzie jeszcze na tyle wcześnie, że bez trudności ją wprowadzimy. Jest wtedy straszny hałas.

George przytaknął.

– Myślę, że powinniśmy wyjechać o dziewiątej – przed Wintour House na pewno będzie długa kolejka powozów, a wiesz, ile to czasu zajmuje, więc może lepiej, żebyś był gotów już kwadrans przed dziewiątą...

– O nie, wybacz – przerwał George, myśląc o dziwnej informacji, którą miał przekazać Robertowi Tallywhite. – Nie mogę wam towarzyszyć. Przyjadę sam na ten bal.

– Nie bądź niemądry – stwierdziła kategorycznie. – Potrzebujemy cię jako eskorty.

– Chciałbym, ale nie mogę – odparł szczerze.

Nic by mu się bardziej nie podobało, niż wprowadzić Billie na bal, iść z nią pod rękę, ale teraz cały czas myślał o swoich planach na ten wieczór – i postanowił, że koniecznie musi tam przybyć sam. Gdyby przyjechał z damami, musiałby je praktycznie opuścić zaraz przy wejściu. A wiadomo, że takie zachowanie wywołałoby dokładne wypytywanie go przez matkę, o co chodzi.

Nie, będzie lepiej, jeżeli tam będzie wcześniej, zdąży się spotkać z Tallywhite'em i zająć się wszystkim, zanim panie się pojawią.

– A co może być ważniejszego niż towarzyszenie Billie i mnie? – chciała wiedzieć matka.

– Mam przedtem pewną sprawę do załatwienia – odparł, podnosząc do ust filiżankę herbaty. – I nie mogę tego uniknąć.

Wargi matki zacisnęły się, tworząc wąską linię.

– Jestem naprawdę bardzo zawiedziona.

– Wybacz, że cię rozczarowałem.

Ze zwiększoną energią zabrała się do picia herbaty.

– Wiesz, że mogę się kompletnie mylić... Ona może osiągnąć pełen sukces! Możemy być otoczone mnóstwem mężczyzn już od chwili przyjazdu.

– Z tonu twojego głosu można by przypuszczać, że uważasz to za coś złego – zauważył.

– Naturalnie, że nie! Ale ty nie będziesz mógł tego zobaczyć.

Prawdę powiedziawszy, była to ostatnia rzecz, jaką George chciałby oglądać. Billie, otoczona przez grono dżentelmenów, dostatecznie bystrych, żeby ocenić, jakim jest skarbem? To jakiś koszmar...

Ale też i kwestia dyskusyjna.

– Właściwie – wyjaśnił matce – będę w Wintour House jeszcze przed wami.

– Doskonale! Wobec tego nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś wrócić ze swojego spotkania i poprowadzić nas od powozu do wejścia.

Zwalczył pragnienie uszczyplenia się w nasadę nosa.

– Mamo, nie dam rady. Proszę, daj spokój. Na balu będę tańczył i okazywał Billie tyle uwagi, że wszyscy londyńscy dżentelmeni będą czekali w kolejce, żeby jej paść do stóp.

– Dzień dobry!

Oboje się odwrócili i zobaczyli stojącą w drzwiach Billie. George wstał, żeby się przywitać. Nie był pewny, ile słyszała z ich rozmowy – niezależnie od jego niewątpliwego sarkazmu – i bardzo się bał, że źle to zrozumiała.

– To bardzo ładnie, że masz zamiar towarzyszyć mi na balu – odezwała się tak słodko i miło, że trudno mu było ocenić stopień

jej szczerości. Poszła do bufetu po talerz. – Naprawdę mam nadzieję, że nie będę dla ciebie zbyt wielkim ciężarem.

Aha, więc słyszała.

– Wprost przeciwnie – odparł. – Naprawdę z radością oczekuję zajmowania się tobą.

– Ale nie aż tak bardzo, żeby pojechać razem z nami powozem – mruknęła matka.

– Przestań... – szepnął.

Billie się odwróciła: patrzyła teraz na oboje Rokesbych, to na jedno, to na drugie, z jawnym zainteresowaniem.

– Żałuję, ale muszę cię poinformować, że mam dziś wieczorem bardzo ważne zobowiązanie – wyjaśnił George. – To oznacza, że nie będę mógł pojechać do Wintour House razem z wami. Ale tam się spotkamy. I – mam nadzieję – zachowasz dla mnie dwa tańce.

– Naturalnie – mruknęła. Znowu nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

– A ponieważ nie możesz nas eskortować dziś wieczorem...  
– zaczęła lady Manston.

George o mało nie upuścił serwetki.

– ...to może uda ci się nam pomóc w inny sposób.

– Oczywiście! – zawołał. – Powiedz, jak mógłbym wam być pomocny.

Billie wydała dziwny dźwięk, mocno przypominający prychnięcie. Nie był tego tak zupełnie pewien. Ale przecież to było tak bardzo do niej podobne: bawić się jego gwałtownie słabnącą cierpliwością w stosunku do matki.

– Ty lepiej znasz tych młodych dżentelmenów niż ja – ciągnęła lady Manston. – Czy są też tacy, których powinniśmy unikać?

Wszyscy, chciał powiedzieć George.

– I czy są tacy, na których powinniśmy zwrócić szczególną uwagę? Tak, żeby Billie mogła zaplanować zarzucenie na nich sideł?

– Żeby mogła... co?

Billie musiała być naprawdę zdumiona, pomyślał George. Upuściła na podłogę trzy plasterki bekonu!

– Zrzucić siła, kochanie – wyjaśniła lady Manston. – To takie wyrażenie. Na pewno już je słyszałaś.

– Oczywiście, że słyszałam – rzekła Billie i pospiesznie postawiła talerz na stole. – Tylko nie rozumiem, jak to się ma do mnie... Nie przyjechałam przecież do Londynu, żeby sobie szukać męża.

– Zawsze należy szukać męża, Billie – stwierdziła lady Manston, po czym znowu zwróciła się do George'a. – A co z synem Ashbourne'a? Oczywiście nie mówię o najstarszym. Jest już żonaty, a osoba tak urocza jak ty – ostatnie słowa powiedziała przez ramię do nadal zaskoczonych Billie – chyba nie powinna polować na dziedzica książęcego tytułu.

– Jestem zupełnie pewna, że tego nie chcę – odrzekła Billie.

– Bardzo praktycznie z twojej strony, moja droga. Za dużo w tym parady.

– I to mówi żona hrabiego – zauważył George.

– To całkiem co innego – odparła matka. – Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Co myślisz o synu Ashbourne'a?

– Nie.

– Nie? – powtórzyła. – Nie, to znaczy, że nie masz o nim zdania?

– Nie, to znaczy nie. On nie jest dla Billie.

Która w tej chwili, jak zauważył George, obserwowała wymianę zdań matki z synem z mieszaniną ciekawości i strachu.

– Jest jakiś szczególny powód? – zapytała lady Manston.

– To gracz – skłamał George.

No, zresztą może to nawet nie było kłamstwo. Wszyscy dżentelmeni grali. Ale nie miał pojęcia, czy właśnie ten robi to w nadmiarze.

– A co myślisz o dziedzicu Billingtonów? Myślę, że on...

– Też nie.

Matka patrzyła na niego niewzruszenie.

– Za młody – powiedział George, mając nadzieję, że to

prawda.

– Naprawdę? – Zmarszczyła czoło. – Chyba rzeczywiście...  
Nie pamiętam dokładnie.

– Wydaje mi się, że i ja mam tu coś do powiedzenia –  
wtrąciła Billie.

– Naturalnie, że masz – potwierdziła lady Manston i  
poklepała ją po ręku. – Tylko jeszcze nie teraz.

Billie już otwierała usta, ale chyba nie bardzo wiedziała, co  
powiedzieć.

– Jak mogłabyś to ocenić – ciągnęła Lady Maanston – skoro  
nie znasz tu nikogo oprócz nas?

Billie włożyła do ust plasterek bekonu i zaczęła go  
gwałtownie żuć. George podejrzewał, że robiła to, żeby się  
powstrzymać od powiedzenia czegoś, czego by później żałowała.

– A więc nic się nie martw, moja droga – rzekła lady  
Manston.

George wypił łyk herbaty.

– Nie robi wrażenia zmartwionej – zauważył.

Billie rzuciła mu spojrzenie pełne wdzięczności.

Matka natomiast całkowicie to zignorowała.

– Już niedługo poznasz ich wszystkich, Billie. A wtedy  
będziesz mogła zdecydować, z którym chcesz zawrzeć znajomość.

– Chyba nie planuję aż tak długiego pobytu w Londynie,  
żeby sobie wyrobić jakąś opinię – rzekła Billie zadziwiająco  
(zdaniem George'a) spokojnym, równym głosem.

– Nonsens – powiedziała lekko lady Manston. – Po prostu  
zostaw wszystko mnie.

– Nie jesteś jej matką – przypomniał George.

Matka uniosła brwi:

– Ale mogłabym nią być.

Na jej słowa zarówno George, jak Billie zareagowali  
otwarcie ust ze zdumienia.

– Och, dajcie spokój oboje! – zawołała lady Manston. –  
Chyba to żadna niespodzianka, że od dawna mam nadzieję na  
alians rodzin Rokesbych i Bridgertonów.

– Alians? – powtórzyła Billie, a George mógł tylko pomyśleć, że to okropne słowo, zupełnie nie pasujące do tego, co czuł dla Billie.

– Och! No, związek, małżeństwo... nazwijcie to sobie jak chcecie – mówiła lady Manston. – Jesteśmy przecież w najserdeczniejszej przyjaźni. To chyba oczywiste, że powinna mnie traktować jak rodzinę.

– Jeżeli to ma jakieś znaczenie – wtrąciła Billie – to ja już uważam panią za rodzinę.

– Wiem o tym, kochanie. I ja czuję tak samo. Tylko zawsze myślę, jak by to było cudownie, gdyby tak się stało rzeczywiście. Ale to nieważne. Jest przecież jeszcze Georgiana.

Billie odchrząknęła.

– Ona jest jeszcze bardzo młoda.

Lady Manston uśmiechnęła się diabolicznie.

– Tak samo jak Nicholas.

Wyraz twarzy Billie tak bardzo przypominał przerażenie, że George omal się nie roześmiał. Pewnie by to zrobił, gdyby nie przekonanie, że on wygląda dokładnie tak samo.

– Widzę, że was zaszokowałam – zauważyła matka. – Ale każda matka wam powie, że nigdy nie jest za wcześnie snuć plany na przyszłość.

– Nie radziłbym wspominać o tym Nicholasowi – mruknął George.

– Ani Georgianie – zgodziła się matka, nalewając sobie kolejną filiżankę. – Napijesz się herbaty, Billie?

– Hmm... tak, dziękuję.

– Aha, jeszcze jedno – przypomniała sobie lady Manston, dolewając Billie mleka do herbaty. – Musimy przestać cię nazywać Billie.

Billie aż zamrugała oczami.

– Przepraszam...?

Lady Manston ujęła filiżankę ze słowami:

– Od dzisiaj będziemy cię nazywali twoim pełnym imieniem: Sybilla.

Billie na moment, ale dość długi moment opadła szczęka; po chwili rzekła:

– Matka mnie tak czasem nazywa, ale tylko wtedy, kiedy się gniewa.

– Wobec tego zaczniemy teraz nową, miłszą tradycję.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytał George.

– Wiem, że będzie trudno o tym pamiętać – mówiła lady Manston, stawiając w końcu filiżankę z herbatą przed Billie – ale myślę, że tak będzie najlepiej. Jako imię Billie jest... no... nie nazwałabym go może męskim, ale nie najlepiej przedstawia cię... tak, jak chcielibyśmy.

– Właśnie, że najdokładniej przedstawia ją taką, jaka jest – burknął George.

– O Boże! Nie miałam pojęcia, że się tak będziesz upierać – stwierdziła matka, zerkając na niego niewinnie. – Ale, naturalnie, to nie od ciebie zależy.

– Wolałabym, żeby mnie nazywano Billie – odezwała się Billie.

– Chyba to jednak i od ciebie nie zależy, kochanie.

Widlec George'a mocno stuknął o talerz.

– Wobec tego od kogo to ma zależeć, u diabła?

Matka spojrzała na niego, jakby zadał najgłupsze w świecie pytanie.

– Ode mnie.

– Od ciebie...

– Ja wiem, jak to działa. Wiesz, że już to przedtem robiłam.

– Czy Mary nie znalazła sobie męża w Kent? – przypomniał jej George.

– Ale dopiero po tym, kiedy się „przetarła” w Londynie.

Dobry Boże... Matka chyba zwariowała. To było jedyne wytłumaczenie. Mogła być nieustępliwa, mogła też być wymagająca, kiedy szło o etykietę i towarzystwo, ale nigdy nie wiązała ze sobą tych dwóch rzeczy tak zupełnie nieracjonalnie!

– Ale to z pewnością nie ma znaczenia – mówiła Billie. – Przecież i tak na ogół będą mnie nazywać „panną Bridgerton”.

– Oczywiście – zgodziła się lady Manston – ale będą słyszeli, jak z tobą rozmawiamy. Będą musieli poznać twoje imię.

– Ta rozmowa jest kompletnie bez sensu – mruknął George. Matka spiorunowała go spojrzeniem.

– Sybillo – powiedziała, zwracając się do Billie – wiem, że nie przyjechałaś do Londynu z zamiarem poszukiwania męża, ale widzisz przecież, jak się dobrze składa, że tu jesteś. W Kent nigdy nie zdołasz spotkać w jednym miejscu tylu interesujących dżentelmenów.

– No, nie wiem – mruknęła Billie znad herbaty. – Czy nie ma ich dość, kiedy wszyscy Rokesby są w domu?

George spojrział w górę, a w tym momencie matka wybuchnęła śmiechem.

– Aż nadto prawdziwe, Billie – stwierdziła z ciepłym uśmiechem (najwyraźniej zapomniawszy, że miała ją nazywać Sybillą) – ale niestety teraz mam tylko jednego z nich w domu.

– Dwóch – poprawił George, nie wierząc własnym uszom. Najwyraźniej, jeżeli jeden z synów nigdy nie wyjeżdżał, nie liczył się jako ktoś, kto jest w domu.

Matka uniosła brwi.

– Mówiłam o tobie, George.

Teraz poczuł się jak głupiec.

Wstał.

– Będę nazywał Billie tak, jak będzie chciała. I zobaczymy się w Wintour House, tak jak obiecałem, podczas balu. A teraz, jeżeli pozwolicie... mam dużo spraw do załatwienia.

Właściwie to nie była prawda, ale nie był już w stanie słuchać wynurzeń matki na temat debiutu Billie.

Im prędzej się skończy ten nieszczęsny dzień, tym lepiej.

Billie patrzyła za nim; nie miała zamiaru nic mówić, naprawdę nie miała, ale kiedy zanurzyła łyżkę w talerzu owsianki, usłyszała własny głos:

– Zaczekaj!

George zatrzymał się w drzwiach.

– Jedno słowo – powiedziała, nerwowo składając serwetkę.



Nie miała pojęcia, co to miało być za słowo, ale coś głęboko tkwiło w jej wnętrzu i musiało koniecznie się wydostać. Odwróciła się do lady Manston.

– Proszę mi wybaczyć. Za chwilę wrócę.

George wyszedł z małej jadalni na korytarz, bo tylko tam mogli być przez chwilę sami.

Billie odchrząknęła.

– Przepraszam.

– Za co?

Dobre pytanie. Nie miała za co przepraszać.

– Właściwie – rzekła – chciałam ci podziękować.

– Ty mnie? Podziękować? – powiedział cicho.

– Za to, że byłeś po mojej stronie – tłumaczyła. – Że chcesz mnie nazywać Billie.

Wargi George’a wygięły się w półuśmiechu.

– Chyba nie mógłbym cię nazywać Sybillą, nawet gdybym próbował.

Też się uśmiechnęła.

– Boję się, że nie odpowiedziałabym, gdyby tak mnie nazwał ktoś poza moją matką.

Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, wreszcie powiedział:

– Nie pozwól mojej matce zmienić cię w kogoś, kim nie jesteś.

– Och, nie myślę, żeby to było możliwe, już na to za późno. Jestem o wiele za mocno osadzona w swoim świecie.

– W poważnym wieku dwudziestu trzech lat?

– To bardzo poważny wiek, kiedy się jest panną – odpaliła.

Może nie powinna była tego mówić; w ich znajomości było za dużo niezupełnych oświadczeń. (Jedne, pomyślała Billie, to już za dużo. A dwukrotnie praktycznie robiły z niej wybryk natury).

Ale nie żałowała swoich słów. Nie mogłaby ich żałować. Co nie znaczy, żeby nie chciała zmienić jednych z tych niemal-oświadczeń w prawdziwe.

Chciała tego. Nie spała przez pół nocy – no, powiedzmy, przez dwadzieścia minut – przeklinając siebie, że właściwie to ona

sprawiła, że jej nie poprosił o rękę. Gdyby miała włosienicę (i jakiegokolwiek skłonności do bezużytecznych gestów), to by ją włożyła.

George zmarszczył brwi i naturalnie myśli Billie trzykrotnie przyspieszyły. Czy zastanawiał się, dlaczego zrobiła uwagę na temat swojego statusu niemal starej panny? Czy się zastanawiał nad odpowiedzią? A może się bał, że zwariowała?

– Ona mi naprawdę pomogła w uszyciu pięknej sukni na dzisiejszy wieczór – rzuciła nagle.

– Moja matka?

Billie przytaknęła, po czym żartobliwie się uśmiechnęła.

– Co prawda zabrałam jednak ze sobą do miasta parę bryczesów na wypadek, gdyby trzeba było ją zaszokować.

Parsknął śmiechem.

– Naprawdę?

– Nie – przyznała, czując się o wiele swobodniej, kiedy George się śmiał – ale już sam fakt, że się nad tym zastanawiałam, coś znaczy, nie sądzisz?

– Absolutnie!

Patrzył na nią z góry; w porannym świetle jego oczy były takie niebieskie...

Po chwili śmiech ustąpił miejsca powadze.

– Proszę, pozwól, że cię przeproszę za matkę. Nie mam pojęcia, co jej się stało.

– Myślę, że może czuje się... – tu Billie się chwilę zastanowiła nad słowem – ...winna?

– Winna? – spytał zaskoczony. – Czemu winna?

– Może temu, że żaden z twoich braci nigdy mi nie zaproponował...

Znowu zdanie, którego nie powinna była powiedzieć. Ale kiedy już się to stało, Billie naprawdę sądziła, że lady Manston tak to odczuwa.

A kiedy na twarzy George'a zamiast ciekawości pojawiło się coś, co można by określić jako zazdrość... cóż, Billie musiała przyznać, że była z tego zadowolona.

– Dlatego myślę, że próbuje mi to wynagrodzić – mówiła żywo. – To nie znaczy, że czekałam, aż któryś z nich mnie poprosi o rękę, ale może ona myśli, że tak było i teraz mnie chce wprowadzić...

– Dosyć – warknął nagle George.

– Przepraszam...?

Odchrząknął.

– Dosyć tego – powtórzył już o wiele spokojniej. – To śmieszne.

– To, że twoja matka tak czuje?

– To, że uważa za dobry pomysł wprowadzenie cię w towarzystwo tych bezużytecznych dandysów.

Billie poczuła prawdziwe zadowolenie, kiedy to powiedział. Po chwili odparła:

– Ona chce jak najlepiej.

George parsknął głośno.

– Naprawdę – upierała się, nie mogąc pohamować uśmiechu. – Po prostu chce tego, co uważa dla mnie za najlepsze.

– Co ona uważa.

– Zgadza się. Nie da się jej przekonać. Obawiam się, że to cecha Rokesbych.

– Właśnie przed chwilą mnie obraziłaś.

– Wcale nie – odparła, starając się zachować powagę.

– Ale pozwalałam ci na to.

– Pięknie z pana strony, sir.

Przewrócił oczyma na taką impertynencję – i Billie znów poczuła się swobodnie. Może to nie był taki flirt, jaki uprawiają bardziej wyrafinowane damy, ale ona tylko tak umiała.

I to chyba naprawdę działało. Co więcej, miała nawet pewność.

Może w końcu okazała choć odrobinę kobiecej intuicji...

*Później, wieczorem  
Na balu lady Wintour*

*Był tam już dziewięćdziesiąt minut – i ciągle ani śladu Tallywhite’a!*

George spróbował trochę rozluźnić halsztuk, który służący zawiązał mu dzisiaj o wiele ciaśniej niż zwykle. Na wiosennym wieczorze lady Wintour było tak samo jak zawsze: prawdę mówiąc, było tak zwyczajnie, że po prostu nudno, nie mógł się jednak otrząsnąć z dziwnego, przykrego wrażenia, które mu podchodziło aż do gardła. Gdziekolwiek się obrócił, czuł, że ktoś na niego dziwnie patrzy, że go obserwuje z o wiele większą ciekawością niż normalnie.

Jasne, że to wszystko było wytworem jego wyobraźni, co prowadziło do głównego punktu – że najwyraźniej nie nadawał się do takich zadań.

Dokładnie obliczył czas przybycia tutaj. Jeżeli przyjedzie za wcześnie, może ściągnąć na siebie niepotrzebną uwagę. Jak większość samotnych mężczyzn w jego wieku, zazwyczaj spędzał parę godzin w swoim klubie, zanim zaczynał wypełniać obowiązki towarzyskie. Gdyby przybył na bal punktualnie o ósmej, wyglądałoby to co najmniej dziwnie. (Poza tym musiałyby spędzić kolejne dwie godziny, rozmawiając ze swoją prawie głuchą ciotecznią babką, znaną zarówno z punktualności, jak i mocno pachnącego oddechu).

Ale tym razem nie chciał postępować zgodnie ze zwyczajem i dlatego pojawił się tam, kiedy bal trwał już od dobrej godziny. W tłumie trudno było zauważyć Tallywhite’a, a co gorsza, można go było nawet zgubić na dobre.

Zatem, po dokładnym rozważeniu sprawy, wszedł do sali balowej w domu lady Wintour mniej więcej w godzinę po terminie rozpoczęcia. Nadal było to za wcześnie, ale kręciło się tam już dostatecznie wiele osób, żeby wejście George'a do sali pozostało niezauważone.

Zastanowił się, nie po raz pierwszy zresztą, czy nie za wiele myśli o całej sprawie. Chyba za dużo czasu stracił na rozmyślanie o prostym zadaniu przekazania zwykłego powiedzonka z dziecinnych zabaw...

Sprawdził godzinę i zorientował się, że dochodzi dziesiąta, co znaczyło, że jeśli Billie dotychczas nie przyjechała, to przybędzie lada chwila. Matka planowała przyjście o wpół do dziesiątej, ale słyszał liczne narzekania gości na długą kolejkę powozów przed Wintour House. Billie i lady Manston z pewnością tkwią teraz w karecie ciągniętej przez czwórkę koni i czekają na swoją kolej.

Nie miał wiele czasu, jeżeli chciał załatwić swoją sprawę, zanim panie się pojawią.

Z nieco znudzonym wyrazem twarzy krążył po sali, witając się grzecznie z napotkanymi znajomymi. Lokaj podawał gościom szklaneczki z ponczem, wziął więc jedną i umoczył usta, patrząc na salę znad brzegu szklanki. Nie dostrzegł Tallywhite'a, za to... do diabła, czyżby to był lord Arbuthnot?

Dlaczego więc, do cholery, prosił George'a o przekazanie wiadomości, kiedy mógł doskonale zrobić to osobiście?

Ale... może były jakieś powody, dla których Arbuthnot nie powinien był być widziany w towarzystwie Tallywhite'a? Może był tutaj jeszcze ktoś, kto nie powinien wiedzieć, że ci dwaj pracują ze sobą? Albo może Tallywhite był tym nieznanym... Może nie wiedział, że Arbuthnot był osobą przekazującą wiadomość?

Albo...

Może Tallywhite wiedział, że to Arbuthnot jest jego kontaktem, a przyczyną całego planu było sprawdzenie George'a, czy ewentualnie można go będzie jeszcze potem użyć do innych

celów? Może George niechcący zaczął właśnie karierę szpiegowską?

Popatrzył na szklanę z ponczem. Chyba potrzebował... Nawet na pewno potrzebował teraz czegoś o wyższym stężeniu alkoholu.

– Gdzie to draństwo może być? – wymamrotał, odstawiając szklaneczkę.

I w tym momencie ją zobaczył.

Aż mu zaparło oddech.

– Billie?

Wyglądała jak zjawisko. Jej suknia była barwy bardzo głębokiego karmazynu – niezwykle wybór koloru jak na niezamężną damę, ale do Billie pasował doskonale. Cerę miała mleczną, oczy jej błyszczały, a usta... wiedział, że ich nie malowała; Billie nigdy nie miałyby cierpliwości, żeby robić coś takiego! Teraz jednak miały żywszą barwę, o dziwo, jakby zabrały trochę rubinowego koloru z jej sukni.

Całował już te wargi. Smakował je i podziwiał; a teraz chciałby ją wielbić w sposób, o jakim nawet nie marzyła.

Co dziwne, nie słyszał, żeby kamerdyner zapowiadał jej przybycie. Może stał za daleko od wejścia, a może po prostu był zbyt pochłonięty własnymi myślami. Była tu jednak: stała obok jego matki, piękna i promieniejąca jak żadna inna.

Nagle cała reszta świata stała się całkiem zbędna. Nie chciał być tutaj podczas tańca, w otoczeniu ludzi, z którymi nie miał ochoty rozmawiać i z wiadomościami, których bynajmniej nie chciał przekazywać. Nie pragnął tańczyć z nieznanymi damami, jak również prowadzić uprzejmych rozmów z ludźmi, których znał. Pragnął wyłącznie Billie – całej tylko dla siebie.

Zupełnie zapomniał o wiadomości dla Tallywhite'a. Zapomniał o kipiącej kaszy i grochu i ruszył przez środek sali z takim zdecydowaniem, że tłum się przed nim rozstępował.

Co zadziwiające, wszyscy pozostali jeszcze jej nie zauważyli. Była tak piękna, tak niezwykle pełna życia i prawdziwa w tej sali pełnej woskowych lalek. Z pewnością zaraz inni też to odkryją.

Jednak jeszcze nie teraz. Już za chwilę będzie musiał toczyć walki z tłumem chętnych młodych dżentelmenów, ale w tej chwili ciągle była tylko jego...

Jednak była zdenerwowana. To nie było oczywiste; był pewien, że tylko on jeden to zauważył. Trzeba było znać Billie. Stała dumnie wyprostowana, z podniesioną głową, ale oczyma przebiegała tłum tańczących.

Czyżby go szukała?

Wysunął się naprzód.

– George! – zawołała radośnie. – To znaczy... lordzie Kennard! Jakie to miłe i – tu uśmiechnęła się tajemniczo – oczywiste, że pana tu spotykam!

– Panno Bridgerton... – uklonił się i pochylił nad jej dłonią.

– George... – usłyszał głos matki. Skłoniła głowę, witając syna.

Pochylił się, żeby ucałować jej policzek.

– Mamo...

– Czyż Billie nie wygląda przepięknie?

Powoli przytaknął, nie mogąc oderwać oczu od dziewczyny.

– Tak – powiedział. – Naprawdę wygląda... pięknie.

To jednak wcale nie było właściwe słowo. Stanowczo zanadto prozaiczne. Bystra inteligencja, nadająca jej oczom głębię, czy kryjący się za uśmiechem figlarny błysk – to nie tylko piękno. Tak, była piękna, ale chodziło o coś więcej – i właśnie dlatego ją kochał.

– Mam nadzieję, że pierwszy taniec zarezerwowałaś dla mnie – rzekł.

Billie spojrzała na jego matkę, oczekując zgody.

– Tak, możesz ten pierwszy taniec zatańczyć z George’em – z pobłażliwym uśmiechem stwierdziła lady.

– Jest tyle rozmaitych przepisów... – westchnęła Billie. – Zupełnie nie pamiętam, dlaczego miałam zachować taniec z tobą na później.

– Od dawna tu jesteś? – spytała lady Manston.

– Mniej więcej od godziny – odparł. – Załatwienie sprawy

zajęło mi mniej czasu, niż myślałem.

– A więc była jakaś sprawa? – spytała. – Myślałam, że tylko spotkanie.

Gdyby George nie był tak oczarowany widokiem Billie, nie musiałby opanowywać gniewu. Jego matka najwyraźniej polowała na informacje, a przynajmniej próbowała go zbesztać – niestety, po czasie. On jednak po prostu nie mógł się tym przejmować. Nie teraz, kiedy Billie spoglądała na niego płonąącym wzrokiem!

– Naprawdę przepięknie wyglądasz – powtórzył.

– Dziękuję – odparła z niepewnym uśmiechem, a jego wzrok pobiegł ku jej rękom, nerwowo poprawiającym fałdy sukni. – Ty też wyglądasz bardzo elegancko.

Twarz lady Manston jaśniała zadowoleniem.

– Mogę cię prosić do tańca? – spytał szybko George.

– Teraz? – uśmiechnęła się uroczo. – A gdzie muzyka?

Nie było jej słychać. Wyraźnym dowodem tego, jak miłość go ogłupiła, był fakt, że się nawet nie zawstydził.

– Chociaż jedna tura dookoła sali – zaproponował. – Muzycy zaraz zaczną grać.

Billie spojrzała na lady Manston, która kiwnęła głową przyzwalająco i machnęła wachlarzem.

– Idźcie – rzekła. – Tylko żebym was mogła cały czas widzieć!

George wydobył się z oparów swoich marzeń na tyle, by móc obrzucić matkę lodowatym spojrzeniem.

– Z pewnością nie zrobiłbym nic, co mogłoby zaszkodzić jej opinii.

– Oczywiście, że nie – odparła lekko. – Chcę tylko być pewna, że Billie będzie widoczna. Jest tu dzisiaj niemało odpowiednich dżentelmenów... nawet więcej, niż się spodziewałam.

George wziął Billie pod ramię.

– Widziałam Billingtona, tego dziedzica tytułu – ciągnęła niewzruszenie lady Manston – i wiesz, nie uważam wcale, żeby był za młody.



Spojrzał na matkę z odrobiną lekceważenia.

– Nie sądzę, żeby ona chciała zostać Billie Billington, mamó.  
Billie stłumiła śmiech.

– Boże... nawet mi to nie przeszło przez myśl.

– Chwała Bogu.

– W każdym razie teraz ona jest Sybillą – oświadczyła matka, demonstrując umiejętność słyszenia wyłącznie tego, co chce. – A „Sybilla Billington” brzmi naprawdę miło.

George odparł, patrząc na Billie:

– Wcale nie.

Zacisnęła usta, rozbawiona.

– Jego nazwisko brzmi Wycombe – dodała lady Manston. – Pamiętaj.

George przewrócił oczyma. Matka naprawdę stanowiła zagrożenie. Podał Billie ramię.

– Idziemy, Billie?

Kiwnęła głową i odwróciła się, po czym oboje ruszyli na salę.

– Jeżeli zobaczycie syna Ashbourne’a...

Ale George już odciągnął Billie na bezpieczną odległość.

– Nie mam pojęcia, jak wygląda syn Ashbourne’a – zwróciła się do niego Billie. – A ty?

– Taki... grubas – skłamał George.

– Och... – Billie zmarszczyła brwi. – Wobec tego nie mam pojęcia, dlaczego twoja mama go dla mnie upatrzyła. Chyba wie, że lubię ruch, aktywność!

George wydał mruknięcie, mające oznaczać zgodę i dalej szedł z nią powoli wokół sali balowej, ciesząc się z dotknięcia jej ręki na swoim ramieniu.

– Przed wejściem była rzeczywiście kolejka powozów – opowiadała Billie. – W końcu powiedziałam twojej mamie, że powinniśmy po prostu wysiąść i pójść piechotą, zwłaszcza że pogoda była naprawdę ładna, ale nie chciała się zgodzić.

George zachichotał. Tylko Billie mogła zaproponować coś podobnego.

– Słowo daję – mruknęła – chyba nie myślałeś, że spytałam, czy nie mogłybyśmy się zatrzymać i wpaść po drodze na herbatkę do króla!

– Cóż, skoro pałac jest po drugiej stronie miasta... – zakpił.

Poczęstowała go łokciem pod żebra, co prawda lekko, żeby nikt tego nie zobaczył.

– Cieszę się, że nie włożyłaś peruki – powiedział. Włosy miała kunsztownie upięte według ostatniej mody, ale swoje własne, lekko tylko przypudrowane. Podobał mu się ich kasztanowy kolor, przebijający przez puder. To była Billie, bez żadnych sztuczek – najlepsze w niej było to, że nigdy nie była sztuczna.

Chciał, żeby się dobrze bawiła w Londynie, ale wolałby, żeby ten pobyt jej nie zmienił.

– To okropnie niemodne, wiem – powiedziała, dotykając długiego pasma wijących się włosów, spadającego jej na ramię. – Ale udało mi się przekonać twoją matkę, że w peruce mogłabym podejść za blisko kandelabru i sama się podpalić.

Gwałtownie odwrócił się do niej.

– Biorąc pod uwagę mój wypadek podczas prezentacji na dworze – wyjaśniła – to nie było tak pozbawione sensu, jakby się wydawało.

Próbował się nie roześmiać. Naprawdę próbował.

– Och, proszę, śmieję się – szepnęła. – Zajęło mi dużo czasu, zanim udało mi się to traktować jak żart. A teraz możemy się oboje tym bawić.

– A co się wtedy właściwie wydarzyło? – spytał. – Może nie powinienem się tym interesować?

– Ależ nie, możesz się dowiedzieć – rzekła Billie, patrząc w bok. – Uwierz mi. Naprawdę.

Milczał i czekał.

– Ale nie teraz – oświadczyła. – Kobieta musi mieć swoje tajemnice... w każdym razie tak twierdzi twoja matka.

– Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby podpalanie dworu Świętego Jakuba miało być rodzajem tajemnicy, jaką miała na myśli...

– Biorąc pod uwagę, z jaką pasją chce we mnie widzieć wdzięczną i wyrafinowaną młodą damę, mogła mieć właśnie to na myśli. – Spojrzała na niego z uniesionymi brwiami. – Lady Alexandra Fortescue-Endicott nigdy by przypadkiem nikogo nie podpaliła.

– Gdyby tak było, przypuszczam, że raczej zrobiłaby to naumyślnie.

Billie stłumiła śmiech.

– George Rokesby, co za okropne rzeczy wygadujesz! I pewnie nieprawdziwe.

– Tak sądzisz?

– Chociaż mi to sprawia ogromny ból... nie. Aż tak zła to ona nie jest. Ani tak bystra.

Po chwili milczenia spytał:

– To był wypadek, prawda?

Popatrzyła na niego bez słowa.

– Naturalnie, że wypadek – odpowiedział sam sobie, chociaż to nie zabrzmiało dostatecznie pewnie.

– Kennard!

Na dźwięk swojego nazwiska George niechętnie oderwał wzrok od Billie.

Przez tłum przepychali się do niego dwaj koledzy z uniwersytetu: sir John Willingham i Freddie Coventry. Obaj byli bardzo mili, w pełni godni szacunku – słowem, stanowili dokładnie ten gatunek dżentelmenów, jakich miał – zdaniem matki – przedstawić Billie.

George poczuł, że raczej wolałby walnąć w głowę jednego z nich. Nieważne którego. Wszystko jedno – byle dobrze wycelować w nos.

– Kennard – powtórzył sir John i podszedł do nich z szerokim uśmiechem. – Wieki minęły! Nie przypuszczałem, że jeszcze jesteś w mieście!

– Sprawa rodzinna – wyjaśnił krótko George.

Sir John i Freddie przytaknęli i powiedzieli coś w rodzaju „no właśnie”, po czym obaj spojrzeli na Billie, wyraźnie czegoś

oczekując.

George zmusił się do uśmiechu i zwrócił się do Billie:

– Chciałbym ci przedstawić sir Johna Willinghama i pana Fredericka Coventry. – Wokoło rozległy się szepty, a on dokończył: – Panowie, to panna Sybilla Bridgerton z Aubrey Hall w Kent.

– Powiedziałaś „Kent”?” – wykrzyknął Freddie. – Więc jesteście państwo sąsiadami?

– Rzeczywiście – przyznała Billie uprzejmie. – Lorda Kennard znam całe moje życie.

George omal się nie skrzywił. Wiedział, że w tym otoczeniu nie mogła go nazwać po imieniu, ale mimo to ten formalny tytuł aż kłuł w uszy.

– Naprawdę szczęściarz z ciebie – stwierdził Freddie – że masz kogoś tak uroczonego tak blisko domu...

George ukradkiem zerknął na Billie, by zobaczyć, czy ten przesłodzony komplement wstrząsnął nią tak samo, jak nim; ona jednak nadal grzecznie się uśmiechała, przypatrując się otoczeniu jak opanowana, łagodna debiutantka.

Prychnął. Opanowana? Łagodna? Billie? Gdyby tylko wiedzieli...

– Mówiłaś coś? – spytała.

Uśmiechnął się równie łagodnie jak ona.

– Tylko tyle, że naprawdę jestem szczęściarzem.

Uniosła brwi.

– Dziwne, że mogłam nie usłyszeć tak długiego zdania...

Spojrzał na nią z ukosa.

W odpowiedzi uśmiechnęła się tajemniczo.

Poczuł, że rodzi się w nim postanowienie. Znowu wszystko było w porządku. Przynajmniej w tej chwili. Świat był jednym wielkim bałaganem, ale tutaj, teraz właśnie, Billie się do niego tajemniczo uśmiechała...

Był zadowolony.

– Czy mogę się ubiegać o taniec z panią, panną Bridgerton?  
– spytał sir John.

– A zaraz potem ja – wtrącił natychmiast Freddie.  
– Oczywiście – odparła, znowu tak grzecznie, że George chętnie by ją zakneblował. Mówiła zupełnie innym tonem niż zazwyczaj.  
– Pierwszy taniec obiecała już mnie – wciął się w rozmowę.  
– A także taniec przed kolacją.

Popatrzyła na niego zdziwiona, ponieważ jako żywo nie przyrzekała mu żadnego tańca przed kolacją, ale nie zaprzeczyła.

– Na szczęście – stwierdził gładko Freddie – na balu są więcej niż dwa tańce.

– Byłabym szczęśliwa, mogąc zatańczyć z panami – odezwała się Billie. Rozejrzała się po sali, jakby czegoś szukała. – Chyba dzisiaj nie rozdają tu karnetów...

– Damy sobie radę bez karnetów – zapewnił Freddie. – Musimy tylko pamiętać, że po tańcu z lordem Kennard zatańczy pani ze mną.

Billie obdarzyła go przyjacielskim uśmiechem i królewskim skinieniem głowy.

– A po mnie będzie pani tańczyła z sir Johnem – podkreślił Freddie. – Ale ostrzegam, że to beznadziejny tancerz. Musi pani uważać na swoje stopy.

Billie się zaśmiała pełnym, gardłowym śmiechem – i po raz kolejny wydała mu się tak piękna, że George poczuł chęć narzucenia na nią zasłony – po prostu, żeby nikt inny jej nie zapragnął.

A przecież nie powinien jej żałować tej chwili radości. Wiedział o tym. Zasługiwała na to, żeby ją adorować i bawić, żeby przeżyła tak zasłużony sukces gwiazdy tego balu! Ale – na Boga – kiedy się tak uśmiechała do sir Johna czy do Freddiego, wyglądało na to, że robi to szczerze.

Bo czy taki uśmiech mógłby być nieszczerzy? Czy w ogóle miała pojęcie, dokąd taki uśmiech może prowadzić? Obaj ci dżentelmeni mogliby pomyśleć, że jest nimi zainteresowana. George nagle oczyma duszy ujrzał mnóstwo bukietów, wypełniających cały korytarz w Manston House i tłum młodych

dżentelmenów, stojących w kolejce i czekających na łaskawe pozwolenie ucałowania jej ręki.

– Coś nie tak? – spytała cicho. Sir John i Freddie już byli zajęci kolejną rozmową i odwrócili się, zatem mówiła tylko do George'a.

– Ależ nie – odparł, głosem jakoś bardziej spiętym niż zwykle.

Zmarszczyła brwi z zastanowieniem.

– Jesteś pewien? Bo...

– Doskonale się czuję – zapewnił.

Uniosła brew.

– Najwyraźniej.

Skrzywił się.

– Jeżeli nie masz ochoty ze mną tańczyć... – zaczęła.

– Więc myślisz, że o to chodzi?

– A więc jednak coś jest! – powiedziała triumfalnie; naprawdę, powinna w tej chwili trzymać w ręku młotek do krokiet: to by wspaniale uzupełniło jej wygląd.

– Na miłość boską, Billie – wyszeptał – to nie jest konkurs...

– Nie wiem nawet, co to oznacza.

– Nie powinnaś się tak uśmiechać do innych dżentelmenów – wyszeptał.

– Co ty powiesz? – Cofnęła się, nie wiadomo, czy z gniewu, czy z niedowierzania.

– Mogą odnieść niewłaściwe wrażenie.

– Myślałam, że jedynym celem mojej bytności tutaj jest przyciągać uwagę dżentelmenów – syknęła gniewnie.

A zatem gniew. I to niemały.

George miał dość rozsądku, żeby nie wybuchnąć jakimś efektownym, idiotycznym „Tak, ale nie za wiele uwagi”. Ostrzegł ją tylko:

– Nie bądź zdziwiona, jeżeli jutro cię przyjdą odwiedzić.

– Więc o to chodzi?

George nic nie odpowiedział. Na to nie było odpowiedzi. Był idiotą – to było jasne dla nich obojga.

Dobry Boże, czemu ich rozmowa poszła w tym kierunku?  
– Słuchaj, Billie – zaczął. – Ja po prostu...  
Zmarszczył czoło. Przez salę szedł w ich stronę lord  
Arbuthnot.  
– Ty po prostu... – powtórzyła.  
Potrząsnął głową; była na tyle bystra, by wiedzieć, że ten  
ruch nie był przeznaczony dla niej. Pobiegła wzrokiem tam, gdzie  
patrzył, w stronę Arbuthnota, ale stary dżentelmen zatrzymał się,  
by porozmawiać z kimś innym.  
– Na kogo patrzysz? – spytała.  
Odwrócił się i skupił całą uwagę na Billie.  
– Na nikogo – odpowiedział.  
Przewróciła oczyma na to oczywiste kłamstwo.  
– Kennard – odezwał się do niego Freddie Coventry, który  
wrócił, kiedy sir John się oddalił. – Widzę, że orkiestra zajmuje  
miejsca. Najlepiej zrobisz, jeżeli teraz poprowadzisz pannę  
Bridgerton na parkiet, inaczej będę cię musiał oskarżyć o jakieś  
niecne interesy. – Pochylił się w stronę Billie i powiedział ze  
sztuczną poufałością: – Nie powinien pani prosić o taniec, a potem  
trzymać ją tu, pomiędzy pietruszkującymi damami!  
Roześmiała się krótko; ten śmiech zabrzmiał w uszach  
George’a jakoś fałszywie.  
– Nigdy by tego nie zrobił – powiedziała – gdyby matka nie  
wzięła go za głowę.  
– Ho, ho! – zarechotał Freddie. – A więc tak to wygląda.  
George uśmiechnął się sztywno. Miał ochotę udusić Billie za  
to, że go tak skutecznie „wykastrowała” w oczach kolegów, ale  
nadal czuł obecność Arbuthnota, stojącego raptem o parę metrów  
od niego i najwyraźniej polującego na chwilę na osobności.  
Freddie zniżył głos do kpiącego szeptu:  
– Chyba nie ma zamiaru z panią zatańczyć...  
Billie popatrzyła na George’a, a kiedy ich oczy się spotkały,  
miał uczucie, jakby był panem świata. Ukłonił się i wyciągnął do  
niej rękę, bo – do diabła – czekał przecież na tę chwilę dosłownie  
całe lata.

Ale naturalnie właśnie wtedy podszedł do niego Arbuthnot.

– Kennard – powiedział, dokładnie tak, jak się można spodziewać po ojcu szkolnego kolegi. – Miło cię widzieć. Co cię sprowadza do miasta?

– Taniec z panną Bridgerton – odpowiedział przeciągle Freddie – ale jakoś jej nie może doprowadzić na parkiet.

Arbuthnot się roześmiał.

– O, jestem pewien, że w końcu to się uda.

George nie potrafił się zdecydować, którego z nich zabić najpierw.

– Może... powinnam teraz zatańczyć z panem – odezwała się nagle Billie do Freddiego.

Zapomnijmy o tych panach. Najpierw zabiłby Billie. Co ona sobie myśli, u diabła? To było za wiele nawet dla niej. Damy nie proszą dżentelmenów do tańca, zwłaszcza takich, których poznały przed pięcioma minutami.

– Oto dama, która mówi to, co myśli – wygłosił Freddie. – Co za cudowna świeżość! Teraz rozumiem, dlaczego lord Kennard wyraża się o pani z takim podziwem.

– Naprawdę? O mnie?

– Nie wobec niego – uciał George.

– Ale powinien – oświadczył Freddie, zalotnie unosząc brwi.

– Byłaby pani z pewnością o wiele ciekawszym tematem od naszej ostatniej rozmowy, bodaj na temat owsianki.

George był pewien, że to nieprawda, nie mógłby jednak zaprzeczyć: to byłoby dziecinne.

– Och, ja uważam, że owies to fascynujący temat – zaczęła Billie, a George omal się nie roześmiał: tylko on przecież wiedział, że Billie bynajmniej nie żartuje. Dowodziły tego sukcesy jej ojca po ostatnich żniwach.

– Naprawdę niezwykła kobieta – zachwycił się Freddie.

Orkiestra zaczęła wydawać jęśliwe dźwięki, które zawsze poprzedzają prawdziwą muzykę; Billie zerknęła na George'a, czekając, czy powtórzy ukłon i poprowadzi ją do tańca.

Zanim to jednak zrobił, usłyszał chrząknięcie lorda



Arbuthnota. George wiedział, co musi zrobić.

– Przekazuję ci panią, Coventry – powiedział z lekkim ukłonem – skoro tak jesteś spragniony jej towarzystwa...

Starał się unikać wzroku Billie, ale niezupełnie mu się to udało, a kiedy przemknął oczyma po jej twarzy, zobaczył, że jest w szoku. Że jest gniewna.

I... zraniona.

– Następny taniec będzie twój – przyrzekł Freddie wesoło, a serce George'a się ścisnęło, kiedy patrzył, jak odchodzili na parkiet.

– Przepraszam, że pozbawiłem cię towarzystwa uroczej panny Bridgerton – powiedział po chwili lord Arbuthnot – ale jestem pewien, że istnieje więcej powodów niż taniec, dla których przybyłeś do miasta.

Nikt ich nie słuchał od chwili, kiedy Billie odeszła z Freddiem Coventry na parkiet, ale Arbuthnotowi wyraźnie zależało na ostrożności, zatem George powiedział:

– To i tamto... Takie... rodzinne sprawy.

– Czy to nie jest zawsze powodem? – Nachylił głowę w stronę George'a. – To cholernie męczące być głową rodziny.

George'owi przyszedł na myśl ojciec.

– Mam to szczęście, że ten przywilej jeszcze mnie nie dotyczy.

– Prawda, prawda... – Arbuthnot pociągnął potężny łyk drinka, który wyglądał na o wiele solidniejszego niż ten śmieszny poncz, podany George'owi dziś wieczorem. – Ale już niedługo cię to czeka, a... rodziny się nie wybiera, prawda?

George zastanawiał się, czy Arbuthnot przypadkiem nie używa „podwójnego języka”. Jeżeli tak, to była kolejna wskazówka, że George nie będzie mógł się odciąć od tajemniczych informacji i tajnych spotkań. Postanowił potraktować dosłownie to, co powiedział.

– Gdyby było można, przypuszczam, że wybrałbym jednak swoją własną.

– No, to szczęściarz z ciebie.

– Tak myślę.

– A jak tam twój wieczór? Z sukcesem?

– To chyba zależy od tego, jaką miarą mierzy się sukces.

– Czyżby? – spytał Arbuthnot, trochę zirytowany.

George nie czuł współczucia. To stary lord zaczął przecież tę „wielowarstwową” rozmowę. Równie dobrze mógł pozwolić George’owi na odrobinę dobrej zabawy.

Spojrzał Arbuthnotowi w oczy i powiedział:

– Niestety, przyszliśmy tutaj w poszukiwaniu czegoś, prawda?

– Jak na wtorek, jesteś nastrojony zbyt filozoficznie.

– Zazwyczaj swoje wielkie myśli zachowuję na poniedziałek wieczór i na czwartkowe popołudnia – prychnął George.

Lord Arbuthnot popatrzył na niego, zaskoczony.

– Nie znalazłem tego, czego szukałem – powiedział George w końcu. Dobry Boże, ten podwójny język przyprawiał go o zawroty głowy.

Arbuthnot zmrużył oczy.

– Jesteś pewny?

– Na ile mogę. Tu jest prawdziwy tłum.

– To bardzo niedobrze.

– Ma pan rację.

– Może powinieneś zatańczyć z lady Weatherby – podsunął Arbuthnot cichym głosem.

George gwałtownie się odwrócił.

– Przepraszam...?

– Byłeś jej przedstawiony? Zaręczam ci, że to niezwykła kobieta.

– Poznaliśmy się – odparł George.

Znał Sally Weatherby, kiedy była jeszcze Sally Sanddwick, starszą siostrą jednego z jego kolegów. W międzyczasie wyszła za mąż i pochowała małżonka; dopiero niedawno zaczęła nosić półżalobę. Na szczęście dla niej, w lawendowym było jej do twarzy.

– Ten Weatherby to był porządny człowiek – stwierdził

Arbuthnot.

– Nie znałem go – odparł George.

Był na pewno dość stary, bo Sally była jego drugą żoną.

– Pracowałem z nim... czasami – mówił Arbuthnot. –

Porządny facet. Bardzo porządny.

– Już lata całe minęły od mojej ostatniej rozmowy z lady Weatherby – przyznał George. – Nie wiem, czy w ogóle miałbym jej coś do powiedzenia.

– O, przypuszczam, że coś wymyślisz.

– Mam nadzieję.

– Ach, widzę żonę... tam jest! – zawołał lord Arbuthnot. – Kręci głową tak, że albo potrzebuje mojej pomocy, albo ma zamiar umrzeć...

– Więc musi pan zaraz do niej iść – stwierdził George. – Na pewno!

– Pewnie jednak potrzebuje mojej pomocy... – wzruszył ramionami Arbuthnot. – Niech cię Bóg prowadzi, synu. Mam nadzieję, że wieczór będzie owocny.

George patrzył, jak lord Arbuthnot oddala się przez salę, po czym odwrócił się, by wypełnić zadanie: taniec z Sally Weatherby.

*Pan Coventry* był znakomitym tancerzem, ale Billie mogła mu poświęcić zaledwie cząstkę swojej uwagi, kiedy ją prowadził przez kolejne etapy kotyliona. George przestał już rozmawiać z tym starszym panem, a teraz pochylał się w ukłonie przed jakąś damą tak niewiarygodnej urody, że aż dziw, że ludzie nie zasłaniali oczu przed bijącym od niej blaskiem.

W Billie coś się zaczęło burzyć – i wieczór, dotychczas tak magiczny, stracił smak.

Billie wiedziała, że nie powinna była proponować panu Coventry tańca. Gdyby lady Manston przy tym była, z pewnością skończyłoby się atakiem apopleksji. Prawdopodobnie i tak go dostanie: plotki tak się szybko roznoszą! A już ta z pewnością. Billie mogła przez całe lata unikać Londynu, ale znała go wystarczająco, by wiedzieć, że sensacja obiegnie salę balową w ciągu paru minut.

A następnego ranka znać ją będzie całe miasto.

Przylepią jej etykietkę zbyt zuchwałej. Powiedzą, że poluje na pana Coventry, że jest zdesperowana z powodów, których nikt bliżej nie zna, ale że musi mieć jakąś niecną tajemnicę... inaczej dlaczego miałyby przełamywać wielowiekowe konwencje i prosić dżentelmena do tańca?

Wtedy na pewno ktoś sobie przypomni ów nieszczęsny wypadek na dworze sprzed kilku lat. I wszyscy zaczną kwakać: „Co za okropność! Suknia panny Philomeny Wren stanęła w ogniu!”. Natychmiast wszyscy się dowiedzą, co się wtedy stało: że mnóstwo młodych dam leżało bezradnie na podłodze, nie będąc w stanie się ruszyć z powodu ciężaru ich krynolin. A czyż panny Bridgerton tam nie było? Czyż nie leżała wtedy na pannie Wren?

Billie musiała zacisnąć zęby, żeby nie jęknąć. Gdyby leżała na pannie Wren, to najwyżej mogłaby zgasić ogień... ale wtedy nikt o tym nie myślał.

Dzięki Bogu fakt, że to Billie była przyczyną tego ognia, nadal pozostawał ściśle strzeżoną tajemnicą. Ale doprawdy, jak dama mogła się poruszać w tej oficjalnej dworskiej krynolinie? Protokół dworski wymagał krynolin o bocznych panierach o wiele szerszych niż jakiegokolwiek noszone przez panie na co dzień. Zazwyczaj Billie doskonale wiedziała, jaką przestrzeń zajmuje jej ciało: była naprawdę szczupła. Ale kto nie napotkałby na trudności, manewrując tymi urządzeniami, przyczepionymi do bioder i odstającymi co najmniej na metr z każdej strony? A tym bardziej – co za idiota wymyślił pozostawienie płonącej świecy w sali pełnej bezkształtnych dam?

Boki jej sukni były tak daleko od ciała, że Billie nawet nie poczuła, kiedy trąciła świecę. Panna Wren zresztą też nic nie poczuła, kiedy jej suknia się zatliła. Zresztą w ogóle nic się jej nie stało, pomyślała Billie z zadowoleniem, bo to ona zachowała tyle przytomności umysłu, że rzuciła się na tamtą dziewczynę i zgasiła płomień, zanim dotarł do jej ciała.

A jednak, kiedy już było po wszystkim, nikt nie pamiętał, że to Billie uratowała pannę Wren od śmierci lub blizn. Nie! Matka Billie była tak przerażona powstałą sytuacją, że zrezygnowała z planów debiutu Billie w Londynie. Co prawda dziewczyna bardzo się z tego cieszyła. Od lat walczyła, żeby nie jechać do Londynu na sezon.

Nie chciała jednak osiągnąć celu dlatego, że rodzice się jej wstydzili.

Z westchnieniem znów zajęła się kotylionem, tańczonym akurat z panem Coventry. Nie mogła sobie przypomnieć, jak się go tańczy, ale chyba odpowiednio stawiała kroki, bo nikomu nie deptała po nogach. Na szczęście nie musiała prowadzić dłuższej rozmowy: był to rodzaj tańca, w którym dama oddalała się od partnera równie często, jak się do niego zbliżała.

– Lady Weatherby... – szepnął pan Coventry, kiedy był tak blisko, że mógł coś powiedzieć.

Billie spojrzała na niego, zdumiona: była pewna, że pan Coventry zna jej nazwisko.

– Przepraszam...?  
Oddalili się już od siebie, ale po chwili znowu się zbliżyli.  
– Ta pani, z którą tańczy lord Kennard – wyjaśnił pan Coventry. – Wdowa po Weatherbym.  
– To jest wdowa?  
– Od niedawna – potwierdził. – Dopiero co zdjęła ciężką żałobę.

Billie zacisnęła zęby, starając się zachować miły wyraz twarzy. Piękna wdowa była bardzo młoda, starsza od Billie najwyżej o pięć lat. Znakomicie ubrana w strój według najświeższej mody; przy tym jej cera była doskonale alabastrowa; efekt, którego Billie nie zdołałaby osiągnąć bez kremu z arszenikiem.

Jeżeli słońce kiedykolwiek dotknęło swymi promieniami idealnych policzków lady Weatherby, Billie wyrośnie kaktus na dłoni!

– Ona musi znowu wyjść za mąż – ciągnął Coventry. – Nie dała następcy staremu Weatherby, więc teraz żyje z łaski nowego lorda Weatherby. A dokładniej...

Kotylion znów ich oddalił od siebie i Billie omal się nie rozpląkała ze zmartwienia. Dlaczego ludzie uważają za dobry pomysł prowadzenie ważnej rozmowy podczas tańca? Czy nikomu nie zależy na dzieleniu się w porę tak ważnymi informacjami?

Zrobiła parę kroków do przodu, by móc dalej rozmawiać, i rzekła:

– Co... dokładniej?  
Uśmiechnął się domyślnie.  
– Musi polegać na dobrej woli żony nowego lorda Weatherby.

– Z pewnością dobrze się bawi w towarzystwie lorda Kennard – dyplomatycznie stwierdziła Billie. To oczywiście nie oszukało pana Coventry: doskonale wiedział, że Billie umiera z zazdrości. Musiała jednak przynajmniej się starać, by okazać obojętność.

– Nie martwiłbym się o to – oświadczył.

– Martwił?

I znowu musiała czekać na odpowiedź. Delikatnie obiegła drobnymi kroczkami jakąś damę, cały czas w duchu przeklinając kotylion. Czy na kontynencie nie wynaleziono tego nowego tańca, przy którym dama i jej partner cały czas się trzymają razem? Co prawda ten taniec został okrzyknięty skandalicznym, ale czy nikt nie zauważył, ile w tym sensu?

– Kennard nie był zachwycony, zostawiając panią pod moją opieką – powiedział pan Coventry, kiedy już mógł. – Skoro zaprosił do tańca lady Weatherby, to po prostu chciał pani odpłacić pięknym za nadobne.

A jednak... to nie było w stylu George'a. Mógł mieć złośliwe poczucie humoru, ale zachowanie – nigdy! Nigdy by nie poprosił jakiejś damy do tańca tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość w innej. Mógł się zirytować, mógł nawet być wściekły na Billie za zawstydzenie go w obecności kolegów, ale skoro tańczył z lady Weatherby, to tylko dlatego, że chciał.

Billie nagle zrobiło się niedobrze. Nie powinna była wcześniej próbować manipulowania sytuacją, mówiąc wręcz, że powinna zatańczyć z panem Coventry. Ale była wtedy tak sfrustrowana! Wieczór zapowiadał się naprawdę pięknie. Kiedy ujrzała George'a, tak przystojnego w wieczorowym stroju, po prostu zatamowało jej oddech. Próbowwała sobie wmówić, że to przecież ten sam człowiek, którego знаła w Kent, w tym samym zakiecie i pantoflach, ale tutaj, w Londynie, wśród ludzi, którzy jeżdżą po całym kraju, a pewnie również po świecie, wyglądał zupełnie inaczej.

Pasował tutaj.

Otaczała go aura powagi, spokojnej pewności siebie i przekonania, że to właśnie jest jego miejsce. Przeżył tu kawał życia, o którym nie miała pojęcia, bywał na przyjęciach i balach, na spotkaniach w klubie White's... W końcu czeka go miejsce w parlamencie, podczas gdy ona na zawsze zostanie postrzeloną Billie Bridgerton. Tyle, że po iluś tam latach określenie „postrzelona” zastąpi „dziwaczka”. A potem będzie już tylko coraz

gorzej, aż do obłędu.

Nie, pomyślała zdecydowanie. Nic takiego się nie wydarzy. George ją lubi. Może nawet troszkę kocha? Widziała to w jego oczach, czuła w pocałunku... Lady Weatherby nigdy by nie...

W tym momencie szeroko otworzyła oczy. Gdzie jest lady Weatherby?

A, co najważniejsze, gdzie się podział George?

Pięć godzin później George wchodził na palcach przez drzwi Manston House. Był zmęczony, sfrustrowany, a przede wszystkim z przyjemnością udusiłby lorda Arbuthnot.

Kiedy generał kazał mu dostarczyć wiadomość, George pomyślał: „To będzie łatwe”. Już wtedy planował przyjście na Wintour Ball. A Robert Tallywhite był dokładnie typem mężczyzny, z którym można było prowadzić luźną rozmowę. Sprawa zajęłaby mu najwyżej dziesięć minut, i mógłby się położyć spać ze świadomością, że zdziałał coś dla króla i ojczyzny.

Nie przewidział, że wieczór skończy się pójściem z Sally Weatherby pod Łabędzia bez Szyi, podejrzanej knajpy po przeciwnej stronie miasta. Tam w końcu znalazł Roberta Tallywhite, który zabawiał się rzucaniem strzałkami do trójkątnego kapelusza, makabrycznie przybitego do ściany.

Z zawiązanymi oczami.

George przekazał mu wiadomość, której tekst wcale Tallywhite'a nie zaskoczył; kiedy jednak George spróbował wyjść, został zmuszony do wypicia kwarty piwa. Rzeczywiście został do tego zmuszony, mianowicie wciśnięty w krzesło przez dwóch przesadnie potężnych facetów, w tym jednego z okiem tak podbitym, że George niczego podobnego w życiu nie widział.

Ten siniec dowodził wyjątkowej odporności na ból, i George podejrzewał, że może się ona łączyć z wyjątkową umiejętnością zadawania bólu. Zatem kiedy Fiołkowe Oko kazał mu sięść i wypić do dna, George posłuchał.

Potem spędził kolejne dwie godziny na niezmiernie zawilej i idiotycznej rozmowie z Tallywhite'em i jego poplecznikami (Sally się ulotniła natychmiast po doprowadzeniu go do tego



nieszczęsnego bezszyjnego łabędzia). Mówili o pogodzie i o przepisach gry w krykieta oraz o względnych zaletach Trinity College w porównaniu z Trinity Hall w Cambridge. Następnie przeszli do dobroczynnych działań słonej wody, trudności ze zdobyciem lodu w lecie i tego, jak wysoka cena ananasów może wpłynąć na cenę pomarańczy i cytryn.

Kolo pierwszej nad ranem George podejrzewał, że Robert Tallywhite jest niespełna rozumu, a o drugiej był już tego pewny. O trzeciej w końcu udało mu się stamtąd wyjść, co prawda dopiero po otrzymaniu „przypadkowego” kuksańca w zębra od jednego z potężnych przyjaciół Roberta. Poza tym na lewym policzku miał zadrapanie, którego pochodzenia nie był w stanie sobie przypomnieć.

A co najgorsze, myślał, wchodząc po schodach na piętro w Manston House, niecznie opuścił Billie. A przecież wiedział, jak ważny był dla niej ten wieczór! Do diabła, był ważny także dla niego! A teraz... Bóg jeden wie, co sobie pomyślała o jego zachowaniu.

– George...

Zatrzymał się przed drzwiami swojej sypialni, kompletnie zaskoczony. Stała przed nim Billie.

W peniuarze.

Był tylko lekko przewiązany w talii, tak że George mógł dostrzec wyłaniający się spod niego morelowy jedwab jej nocnej koszuli. Wyglądał na cieniutki, niemal przezroczysty. Każdy mężczyzna marzyłby o wsunięciu rąk pod ten jedwab i wyczuciu gorąca, bijącego od jej ciała. Każdy też by pomyślał, że ma do tego prawo, skoro ona stoi zaledwie o dwa metry od jego łóżka.

– Co tu robisz? – spytał ostro.

Zacisnęła usta. Była rozgniewana. Właściwie można by powiedzieć, że była wściekła.

– Czekam na ciebie – odparła.

– To widzę – odparł, rozluźniając halsztuk. Jeżeli jej przeszkadza, że George się przy niej rozbiera, to jej problem, stwierdził. To ona wtargnęła bezprawnie do jego sypialni.

– Co się z tobą stało? – spytała. – W jednej chwili narzuciłeś moje towarzystwo temu biednemu panu Coventry...

– Nie żałowałbym go aż tak bardzo – przerwał. – Odebrał mi taniec.

– Nie, to ty mu oddałeś swój taniec.

George nadal pracował nad halsztukiem, w końcu uwolnił się od niego z westchnieniem ulgi.

– Chyba nie miałem wielkiego wyboru – powiedział, rzucając pas białego materiału na oparcie fotela.

– Co przez to rozumiesz?

Milczał, zadowolony, że stoi tyłem do niej. Myślał o lordzie Arbuthnot, ale naturalnie Billie nie wiedziała – nie mogła wiedzieć – o ich wspólnych działaniach.

– Nie mogłem zrobić inaczej – rzekł w końcu z oczyma wlepionymi w ścianę – skoro sama go poprosiłaś do tańca.

– Nie można powiedzieć, że go poprosiłam.

Zerknął na nią przez ramię.

– Nie dziel włosa na czworo, Billie.

– Doskonale – skrzyżowała ręce na piersi – ale i ja chyba nie miałam wielkiego wyboru. Muzyka już grała, a ty po prostu stałeś.

Nic by nie osiągnął, tłumacząc, że już miał iść z nią na parkiet, kiedy zjawił się lord Arbuthnot – wobec tego nic nie powiedział. Patrzyli na siebie dłuższą chwilę.

– Nie powinnaś była tu przychodzić – powiedział wreszcie George. Usiadł na krześle i zaczął ściągać buty.

– Nie wiedziałam, dokąd mam pójść.

Spojrzał na nią z napięciem. Co chciała przez to powiedzieć?

– Martwiłam się o ciebie – dodała.

– Potrafię o siebie zadbać.

– Ja też – odparła.

Skinął głową, jakby przyznawał jej rację, po czym zajął się mankietami koszuli: podciągnął rękawy zakończone piękną brukselską koronką i zaczął odpinać guziki.

– Co takiego się stało dziś w nocy? – usłyszał pytanie.

Przymknął oczy, dobrze wiedząc, że Billie nie może

zobaczyć ich wyrazu. Dlatego pozwolił sobie na westchnienie.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć.

– Najlepiej od początku.

Spojrzał na nią z krzywym uśmiechem. To było dokładnie w jej stylu. Potrząsnął jednak głową i powiedział zmęczonym głosem:

– Nie dzisiaj.

Znowu skrzyżowała ramiona.

– Na miłość boską, Billie! Jestem wykończony!

– Nic mnie to nie obchodzi.

To go wyprowadziło z równowagi i przez chwilę gapił się na nią szeroko otwartymi oczami, mrugając jak idiotyczna sowa.

– Gdzie byłeś? – rzuciła rozkazująco.

Ponieważ najłatwiej mu było powiedzieć prawdę, odparł:

– W knajpie.

Odrzuciła do tyłu głowę, zaskoczona, ale powiedziała spokojnie:

– Czuję to od ciebie.

Zasłużyła na to, żeby się roześmiał.

– Prawda?

– Ale dlaczego byłeś w tej knajpie? Co mogło być ważniejszego od... – przerwała nagle i zakryła usta ręką.

Ponieważ nie mógł jej odpowiedzieć, milczał. Przecież nic na świecie nie mogło być ważniejsze od niej! Natomiast były rzeczy ważniejsze niż taniec z nią – choć naprawdę bardzo pragnął, żeby było inaczej.

Zaginął jego brat. Możliwe, że absurdalna łązega tej nocy nie miała nic wspólnego z Edwardem. Do diabła... George był nawet pewien, że nie! Bo jakim cudem? Edward zaginął gdzieś w dzikich lasach Connecticut, natomiast on był tutaj, w Londynie, i wygłaszał dziecinne wyliczanki zwariowanemu facetowi.

Cóż, kiedy rząd zażądał od niego wykonania tego zadania, a co ważniejsze, George dał słowo, że je wykona.

Mógł nie mieć żadnych wyrzutów sumienia, odmawiając lordowi Arbuthnot pójścia na jakieś głupie spotkanie. Nie lubił

ślepo wykonywać rozkazów. Ale tym razem wyraził zgodę – musiał więc odpowiednio postępować.

Cisza w pokoju robiła się coraz bardziej gęsta, po czym Billie, odwrócona tyłem, obejmując się rękami, powiedziała cichutko:

– Chyba już pójdę do łóżka...

– Płaczesz? – spytał, zrywając się z krzesła.

– Nie! – odparła, z pewnością zbyt szybko.

Tego nie mógł znieść. Bezwiednie podszedł bliżej.

– Nie płacz... – poprosił.

– Nie płaczę! – wykrzyknęła.

– Dobrze... – zgodził się łagodnie. – Oczywiście, nie płaczesz.

Nieelegancko przeciągnęła wierzchem dłoni pod nosem.

– Nie płaczę – powtórzyła – a już na pewno nie przez ciebie!

– Billie... – zaczął, i zanim się zorientował, już była w jego ramionach. Tulił ją do serca i głaskał po plecach, podczas gdy z oczu Billie spływały łzy.

Płakała cicho i to było zupełnie niespodziewane. Billie przecież nigdy nie robiła nic połowicznie, więc skoro postanowiła płakać, powinna była szlochać solidnie i donośnie!

W tym momencie zrozumiał: mówiła prawdę. Ona niegdy nie płakała. Znał ją od dwudziestu trzech lat i nie pamiętał, by uroniła choćby jedną łzę. Nawet wtedy, kiedy zwichnęła kostkę i musiała sama schodzić po drabinie – nie płakała. Może przez chwilę mu się wydawało, że... Ale zaraz potem wyprostowała się, opanowała ból i zesła.

A teraz płakała.

I to on był tego przyczyną.

– Bardzo cię przepraszam – szeptał jej we włosy. Nie miał pojęcia, co mógłby zrobić, ale to chyba nie miało znaczenia. Płakała i każdy jej szloch sprawiał, że serce mu pękało.

– Proszę cię, nie płacz – powtarzał, bo nie wiedział, co mógłby innego powiedzieć. – Wszystko będzie dobrze... obiecuję ci, wszystko będzie dobrze.

Poczuł, że kiwnęła głową: był to leciutki ruch, który mu jednak zasygnalizował, że krytyczna chwila minęła.

– Widzisz? – mówił, dotykając jej podbródka i uśmiechnął się, kiedy wreszcie spojrzała mu w oczy. – Mówiłem przecież, że wszystko będzie dobrze.

– Martwiłam się o ciebie – zaczęła drżącym głosem.

– Martwiłaś się?

Nie chciał, żeby w jego głosie zabrzmiało zadowolenie, ale chyba mu się nie udało.

– I gniewałam – dodała.

– Wiem.

– Poszedłeś sobie – oświadczyła bez ogródek.

– Wiem...

Nie chciał wymyślać jakichś przeprosin. Zaslugiwała na coś lepszego.

– Ale dlaczego? – spytała. A kiedy nie odpowiadał, wysunęła mu się z objęć i powtórzyła: – Dlaczego wyszedłeś?

– Nie mogę ci powiedzieć – wyznał z żalem.

– Byłeś tam z nią?

Nie miał zamiaru jej oszukiwać.

– Tylko przez krótką chwilę.

W pokoju palił się tylko kandelabr z trzema świecami, ale było dostatecznie jasno, żeby George dostrzegł przelotne mgnienie bólu na twarzy Billie. Przełknęła ślinę tak mocno, że widział drganie jej szyi.

Ale sposób, w jaki stała, obejmując talię rękoma... Równie dobrze mogłaby nosić zbroję!

– Nie mam zamiaru kłamać – rzekł spokojnie. – Może nie jestem w stanie odpowiedzieć ci na wszystkie pytania, ale nie chcę mówić nieprawdy. – Podszedł do niej, patrząc poważnym wzrokiem. – Czy ty mnie rozumiesz? Nigdy nie będę kłamał przed tobą!

Skinęła głową, a on ujrzał w jej twarzy jakąś zmianę. Oczy patrzyły łagodniej, z większym zrozumieniem.

– Zraniłeś się – oświadczyła.

– Nie bardzo...

– A jednak... – Dotknęła jego twarzy, po czym cofnęła rękę o centymetr. – Ktoś cię uderzył?

Potrząsnął głową. Pewnie zarobił ten siniec, kiedy go zmuszano do wypicia kwarty piwa z Tallywhite'em.

– Uczciwie ci mówię, że nie pamiętam – powiedział. – To był naprawdę bardzo dziwny wieczór.

Rozchyliła wargi; już myślał, że chce go o coś jeszcze spytać, tymczasem szepnęła bardzo cicho:

– Nigdy ze mną nie tańczyłeś...

– Żałuję – odparł, patrząc jej w oczy.

– A ja tak chciałam... taką miałam nadzieję... – Zacisnęła wargi i przełknęła ślinę, a George zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech, czekając, co powie. – Nie myślę...

Cokolwiek to było, nie potrafiła tego wypowiedzieć; on zaś pomyślał, że chciałby być równie odważny jak ona.

– To była męczarnia – wyszeptał.

Podniosła wzrok, zaskoczona.

Ujął jej dłoń i pocałował.

– Masz pojęcie, jak trudno mi było powiedzieć Freddiemu Coventry, żeby z tobą zatańczył? Jak się czułem, widząc, że bierze cię za rękę i szepcze do ucha, jakby miał prawo być tak blisko ciebie?

– Tak – szepnęła. – Wiem doskonale.

I w tym momencie wszystko stało się jasne. Tylko to jedno mógł zrobić.

I zrobił – to, co mógł. Pocałował ją.

**Billie** nie była głupia. Kiedy postanowiła zaczekać na George'a w jego sypialni, dobrze wiedziała, co się może wydarzyć. Ale nie dlatego to zrobiła. Nie dlatego cichutko podreptała do jego pokoju i tak sprytnie obróciła gałkę w drzwiach, że otwały się bez najmniejszego hałasu. Nie dlatego siedziała w jego fotelu, nasłuchując, czy nie wraca – i nie dlatego cały czas się wpatrywała w jego łóżko z bolesną świadomością, że właśnie tutaj George śpi, że tu leży, spragniony miłości, że tutaj – jeżeli zostanie jego żoną – będą się kochali.

Nie, mówiła sobie, przyszła do jego pokoju, bo musiała się dowiedzieć, dokąd poszedł, dlaczego ją zostawił w Wintour House. I martwiła się o niego. Wiedziała, że nie zaśnie, dopóki George nie wróci.

Wiedziała jednak też, że to się może wydarzyć.

I właśnie się wydarzyło...

Musiała w końcu przyznać, że właśnie tego pragnęła od dawna.

Przyciągnął ją do siebie, a ona nie udała ani zaskoczenia, ani oburzenia. Byli wobec siebie zanadto uczciwi; zawsze tacy byli. Zarzuciła mu ramiona na szyję i namiętnie oddawała pocałunki.

Było podobnie jak wtedy, kiedy ją pierwszy raz całował, ale jeszcze bardziej... Jego ręce były dosłownie wszędzie, a jej nocna koszula cieńsza i bardziej jedwabista niż suknia. Kiedy objął dłońmi jej pośladki, czuła każdy palec, ściskający ją z takim przejęciem, że serce Billie po prostu śpiewało.

Nie traktował jej jak laleczkę z porcelany, ale jak kobietę – i uwielbiała to.

Przytulał się do niej mocno, a ona czuła, jak bardzo jest podniecony, jak twardy i natarczywy. Ona tego dokonała. Ona, Billie Bridgerton. Doprowadziła George'a Rokesby do dzikiego pożądania – to było pasjonujące. Była z tego bardzo dumna.

Miała ochotę skubnąć ustami jego ucho, zlizać słony pot ze skóry. Chciała słuchać, jak jego oddech przyspiesza, kiedy wygięła się w łuk; pragnęła poznać dokładnie kształt jego ust, nie patrząc, ale dotykając.

Pragnęła go całego, na wszelkie możliwe sposoby.

– George! – jęknęła.

Kochała dźwięk jego imienia w swoich ustach. Powtórzyła je, a potem jeszcze raz, całując go po każdym słowie. Jak mogła kiedykolwiek myśleć, że ten mężczyzna jest sztywny i nieustępliwy? Sposób, w jaki ją całował, był uosobieniem żaru. Jakby pragnął ją pożreć...

Posiąść.

I Billie, która nigdy nie lubiła, by ktokolwiek miał nad nią władzę, poczuła, że chce, żeby mu się to udało.

– Jesteś tak... niewiarygodnie... piękna – mówił, jakby nie potrafił złożyć sensownego zdania. Zresztą usta miał zbyt zajęte, żeby zdania wychodziły z nich gładkie i pełne. – Twoja suknia tego wieczoru... nie mogłem uwierzyć, że włożysz akurat czerwoną...

Patrzyła na niego, nie będąc w stanie powstrzymać uśmiechu, który wykwitł na jej ustach.

– Chyba nie jest mi dobrze w białym.

A po dzisiejszej nocy, pomyślała niegrzecznie, już nigdy nie będzie...

– Wyglądałaś jak bogini – szepnął chrapliwie. Potem zamilkł na chwilę i odsunął się, by się jej lepiej przyjrzeć. – Ale wiesz co – ciągnął z płonącymi oczyma – myślę, że jednak najlepiej ci w bryczesach.

– George! – Nie mogła pohamować śmiechu.

– Ciii... – ostrzegł, skubiąc wargami płatek jej ucha.

– Trudno mi być cicho.

Spojrzał na nią jak pirat.

– Wiem, jak cię uciszyć.

– O tak, pro...

Nie mogła skończyć zdania; chyba dlatego, że znów ją zaczął



całować, jeszcze gwałtowniej niż dotychczas. Czują jego palce na swojej talii, przesuwające się po jedwabnej szarfie, przewiązanej w pasie. Po chwili ją rozwiązał ... i peniuar z szelestem zsunął się na podłogę.

W chłodnym nocnym powietrzu na ramionach Billie wystąpiła gęsia skórka; nie czuła jednak zimna, jedynie świadomość, że oto zaczął pieścić jej ręce powoli, uważnie, od ramion do przegubów dłoni.

– Tu masz pieprzyk – mruzczał. – Dokładnie... – pochylił się i leciutko ucałował miejsce w pobliżu wnętrza jej łokcia – ...tu.

– Widziałeś go już przecież – szepnęła. To nie było wstydlive miejsce: często nosiła suknie z krótkimi rękawkami.

Zachichotał.

– Ale nigdy dotąd go nie potraktowałem jak należy.

– Naprawdę?

– Mmm...hmmm. – Podniósł jej ramię i przekręcił tak, by móc dobrze się przyjrzeć. – To najwyraźniej najpiękniejszy pieprzyk w całej Anglii.

Billie na przemian przeżywała cudowne uczucie gorąca i radości. Mimo że jej ciało płonęło, nie mogła przestać go zachęcać do dalszych słów zachwyty.

– Tylko w Anglii?

– No, raczej nie odbyłem wielu podróży za granicę...

– Naprawdę?

– I wiesz... – ściszył głos do głuchego szeptu. – Tu w tym pokoju może być mnóstwo innych pieprzyków. Możesz mieć jeden tutaj. – Wsunął palec pod stanik jej koszuli nocnej, po czym położył dłoń na jej biodrze. – Albo tutaj.

– Mogę mieć – przyznała.

– I pod kolanem – szeptał jej do ucha tak, że czuła jego gorący oddech. – Możesz mieć też jeden tutaj.

Kiwnęła głową. Nie była pewna, czy jest w stanie coś powiedzieć.

– Na jednym palcu u nogi – zasugerował. – Albo na plecach.

– Chyba powinieneś to sprawdzić... – odszepnęła.

Wziął głęboki, rozedrgany oddech, a Billie nagle zrozumiała, jak bardzo hamował swoją namiętność. Kiedy ona radośnie cieszyła się swobodą, on prowadził zacieklą walkę z własnym pożądaniami. I już wiedziała – w jakiś sposób – że słabszy mężczyzna nie miałby siły, by ją traktować z taką czułością.

– Chcę być twoja – szepnęła. Sama sobie dała przyzwolenie na wszystko. Teraz je dawała także i jemu.

Czuła, jak jego mięśnie tężeją; patrzył na nią chwilę, jakby z bólem.

– Nie powinienem...

– Powinieneś.

Palce George'a zacisnęły się na jej ciele.

– Nie będę w stanie przestać.

– Wcale tego nie chcę.

Odsunął się, szybko oddychając, o kilka centymetrów od jej twarzy. Dłońmi objął jej policzki i trzymał je tak w absolutnym milczeniu, z oczyma utkwionymi w jej oczach.

– Wyjdiesz za mnie – oświadczył.

Przytaknęła, myśląc tylko o tym, by się na to zgodzić jak najprędzej.

– Powiedz to – zażądał groźnie. – Powiedz te słowa!

– Wyjdę za ciebie – szepnęła. – Zostanę twoją żoną.

Obiecuje.

Sekundę stał jak skamieniały, a potem, zanim Billie zdążyła wyszeptać jego imię, wziął ją na ręce i po prostu zaniósł na łóżko.

– Jesteś moja – mruknął.

Oparła się na łokciu i wpatrywała w niego, kiedy podchodził bliżej, rozpinając guziki koszuli, wyciągając ją ze spodni i zdejmując przez głowę. Serce jej stanęło na widok jego ciała. Był piękny – chociaż to może dziwne, mówić tak o mężczyźnie. Piękny i doskonały. Wiedziała, że nie spędzał całych dni, tkwiąc na dachach czy orząc pola, ale musiał regularnie uprawiać ćwiczenia fizyczne, bo jego sylwetka nie miała ani odrobiny miękkości. Był szczupły i wygimnastykowany, a kiedy płomyk świecy oświetlał jego skórę, mogła widzieć grające pod nią mięśnie.

Usiadła na łóżku i wyciągnęła do niego ręce: jej palce pragnęły go dotykać, sprawdzić, czy ta skóra jest istotnie tak gładka i gorąca, jak wygląda; on jednak stał poza zasięgiem jej rąk, wpatrzony w nią głodnym wzrokiem.

– Jaka ty jesteś piękna – wyszeptał. Podsunął się bliżej, ale zanim zdołała go dotknąć, chwycił jej dłoń i ucałował. – Kiedy cię zobaczyłem dziś wieczorem, po prostu serce przestało mi bić.

– A jak jest teraz? – szepnęła.

Ujął jej rękę i przyłożył do swojej piersi. Czowała bicie jego serca pod skórą, niemal słyszała jego odgłos z głębi ciała. Był taki silny, taki potężny – i tak cudownie męski.

– Wiesz, co chciałem wtedy zrobić? – szepnął.

Potrząsnęła głową, zbyt oszołomiona żarem jego głosu, by coś powiedzieć.

– Chciałem cię obrócić w kółko i wypchnąć z powrotem przez drzwi, zanim ktokolwiek inny cię zobaczy. Nie chciałem się z nikim tobą dzielić. – Przesunął palcem po jej wargach. – I nadal nie chcę.

Uśmiechnął się, a jego palce sunęły po jej szyi, wzdłuż delikatnego wgłębienia przy obojczyku i zatrzymały się dopiero, kiedy dotarły do wstążki otaczającej dekolt koszuli. Nie odrywając od niej oczu pociągnął za wstążkę; rozwiązywał powoli kokardkę, pętelka robiła się coraz mniejsza i mniejsza, wreszcie wstążka była rozwiązana.

Billie obserwowała jego dłonie jak zahipnotyzowana, kiedy przesuwał nimi po jej ciele, trzymając dwoma palcami brzeg rozluźnionego już stanika. Jedwab zsunął się jej z ramienia, po czym powoli także z ręki. Była bliska odsłonięcia się przed nim... ale nie czuła wstydu, a tym bardziej strachu. Czowała tylko namiętność i nieustępliwą potrzebę przeżycia jej w pełni.

Spojrzała na niego, a on w tym samym momencie na nią, jakby się umówili. Jego wzrok zawierał pytanie... a Billie skinęła głową. Wiedziała, o co pytał. Wstrzymał oddech i uniósł jej koszulę powyżej piersi – materiał opadł w dół.

Bładobrzoskwiniowy jedwab falował teraz wokół jej talii, ale

Billie tego nie zauważała. George patrzył na nią z czcią, która jej wręcz tamowała oddech.

Drżącą ręką sięgnął i objął jej pierś: sutek otarł się rozkosznie o jego dłoń. Przeszedł ją dreszcz i jęknęła, zdziwiona, że takie dotknięcie powoduje ściskanie w dole brzucha. Czuła głód – nie jedzenia; a sekretne miejsce między udami tak zeszywniało, że pojęła, iż to musi właśnie być pożądanie.

Czy to właśnie się wtedy czuje? Tak jakby bez niego była czymś niekompletnym?

Patrzyła na rękę, którą ją pieścił. Wydała się jej taka duża, taka silna, tak porywająco męska na jej bladej skórze... Poruszał nią powoli – w przeciwieństwie do gwałtownych pocałunków, jakimi ją obsypywał parę minut wcześniej. Sprawiał, że czuła się jak dzieło sztuki, którego każdy fragment studiował dokładnie.

Przygryzła dolną wargę, a z jej ust wyrwał się cichy jęk rozkoszy, po czym George powoli odsunął rękę, tak że palcami dotykał już tylko sutka.

– Podoba ci się to... – stwierdził.

Kiwnęła głową.

Spojrzeli sobie w oczy.

– A potem polubisz to jeszcze bardziej – obiecał i nagle, aż krzyknęła zdziwiona, pochylił się i objął jej pierś ustami. Językiem drażnił sutek, który stwardniał jak mały pączek rośliny – coś, co zwykle czuła tylko podczas mroźnej zimy.

Tymczasem to uczucie było jak najdalsze od zimna.

To dotknięcie było jak prąd elektryczny. Całe jej ciało zeszywniało i wygięło się w łuk tak, że musiała oprzeć ręce o łóżko, żeby nie upaść.

– George! – jęknęła tak głośno, że ją znowu musiał uciszyć.

– Nigdy się nie nauczysz, co? – wymamrotał z ustami na jej ciele.

– To przez ciebie muszę krzyczeć...

– To nie był krzyk – powiedział z dumnym uśmiechem.

Spojrzała na niego ze strachem.

– To nie miało być wyzwanie...

Roześmiał się na to – chociaż nieco ciszej niż przed chwilą ona.

– Tylko planuję na przyszłość, kiedy już nie będzie problemu hałasu...

– George, a służba?

– Przecież pracują dla mnie.

– George!

– Kiedy będziemy małżeństwem – zaczął, splatając jej palce ze swoimi – będziemy mogli robić tak dużo albo tak mało hałasu, jak tylko zechcemy.

Twarz Billie nabrała barwy szkarłatu.

Ucałował ją żartobliwie w policzek.

– Czyżbym to ja spowodował ten rumieniec?

– Wiesz, że ty – mruknęła.

Znowu na nią spojrzął z uśmiechem.

– Pewnie nie powinienem być z tego taki dumny.

– Ale jesteś.

Podniósł do ust jej rękę.

– Jestem.

Spojrzała mu w twarz, czując, że mimo pragnienia z przyjemnością mu się przyglądała. Czubkami palców gładziła go po policzku, czując szorstkość zarostu na brodzie. Przesunęła palcami po brwiach George'a, podziwiając ich prostą, silną linię, która zmieniała się we władczy łuk, kiedy tego chciał. Dotknęła warg, nieprawdopodobnie gładkich i miękkich... Ileż to razy obserwowała te usta, kiedy mówił, nie wiedząc, że one mogą jej dać tyle rozkoszy...

– Co robisz? – spytał chrapliwie.

Zatrzepotała rzęsami, kiedy napotkała jego wzrok i dopiero kiedy to powiedziała, zdała sobie sprawę, że tak jest:

– Zapamiętuję ciebie.

George'owi zabrakło tchu – i już po chwili znowu ją całował; chwila wesołości ustąpiła miejsca pożądaniu. Ustami wodził po jej szyi, drażniąc i rozpalając. Leżała teraz na plecach na łóżku – i nagle on opadł na nią, ich gorące ciała się dotknęły. Szlafrok

zsunął się z jej nóg i oto była naga. Naga leżała pod nim, a mimo to nie czuła niepokoju. To był George, a ona mu wierzyła.

To był George – a ona go kochała.

Czuła, jak jego ręce rozpinają klapę bryczesów, usłyszała, jak zaklął pod nosem, kiedy musiał się obrócić, żeby (mówiąc jego słowami) „zrzucić z siebie to cholerstwo”. Nie mogła się powstrzymać od chichotu na tę profanację: chyba musiało mu być o wiele trudniej rozbierać się w tej pozycji niż normalnie.

– Śmiejesz się? – spytał, unosząc brwi w gniewny łuk.

– Powinieneś być zadowolony, że już nie mam na sobie sukni – powiedziała. – Trzydzieści sześć obszywanych guziczków na plecach!

Rzucił jej groźne spojrzenie.

– Nie przetrwałby ani jeden!

Kiedy Billie się śmiała, jeden z guzików spodni George’a w końcu odpadł – i ubranie spadło na podłogę.

Billie opadła szczęka.

Uśmiech George’a był niemal dziki, kiedy wdrapał się z powrotem na łóżko, a ona miała wrażenie, że przyjął jej zdumienie jako komplement.

Bo chyba to rzeczywiście był komplement... Z dużą dozą lęku.

– George – odezwała się ostrożnie – Wiem, że to się musi udać... przecież, na Boga, udawało się przez wieki, ale, muszę powiedzieć, to nie wydaje mi się wygodne... – tu przełknęła ślinę – dla mnie.

Ucałował kącik jej ust.

– Zaufaj mi.

– Ufam – potwierdziła. – Po prostu nie ufam temu. –

Przypomniała sobie widoki oglądane kiedyś w stajni. Żadna z klaczy nie robiła wtedy wrażenia zadowolonej...

Zaśmiał się i wślizgnął się na nią.

– Zaufaj mi – powtórzył. – Musimy tylko być pewni, że już jesteś gotowa.

Billie nie bardzo wiedziała, co to oznacza, ale trudno jej było

nawet o tym myśleć, bo George wyprawiał teraz jakieś dziwne rzeczy palcami, przez co zupełnie nie potrafiła skupić uwagi.

– Robiłeś to już przedtem – mruknęła.

– Parę razy – wyjaśnił – ale tym razem jest inaczej.

Spojrzała pytająco.

– Tak, naprawdę – potwierdził. Ucałował ją znów, ściskając równocześnie jej udo. – Jesteś taka silna – rzekł z podziwem. – Uwielbiam tę siłę...

Oddechnęła głęboko, cała rozdygotana. Teraz ręka George'a spoczywała na jej nodze, przesuwając się po całej jej długości, a kciuk znalazł się niebezpiecznie blisko jej środka...

– Zaufaj mi – wyszeptał jeszcze raz.

– Ciągle to powtarzasz.

Oparł się czołem o jej czoło; odniosła wrażenie, że wstrzymywał przy tym śmiech.

– Bo ciągle tak uważam. – Zaczął całować jej szyję, po czym zsunął usta niżej. – Odpręż się...

Billie nie wiedziała, czy jej się to uda, kiedy George, tuż przed tym, kiedy wziął do ust jej sutek, powiedział:

– Przestań myśleć...

Był to rozkaz, jaki wykonała bez żadnej trudności.

Było tak samo jak przedtem. Kiedy ją pieścił, straciła głowę, potem pożądanie ogarnęło jej całe ciało i już nie pamiętała, czego się tak przedtem obawiała. Nogi same się rozsunęły, a on się ułożył pomiędzy nimi i wtedy... o Boże... dotknął ją nim. Było to tak niesamowite, a przy tym po prostu boskie... aż zapragnęła jeszcze czegoś więcej.

Czuła głód, ale dziwny – głód czegoś, czego dotychczas nie знаła. Chciała, żeby był jeszcze bliżej niej, pragnęła go wchłonąć! Objęła go za ramiona i pociągnęła w dół.

– George – wydyszała – ja chcę...

– Czego ty chcesz? – mruczał, wsuwając palec do jej wnętrza.

O mało nie spadła z łóżka.

– Chcę... chcę... po prostu chcę.

– I ja też – szepnął i zaczął rozsuwać palce wewnątrz niej, dotykać warg, aż czuła ucisk przy wejściu do...

– Mówiono mi, że to może boleć – powiedział z żalem w głosie – ale tylko przez chwilę.

Kiwnęła tylko głową i już po chwili musiała napiąć całe ciało, bo George znów powtórzył:

– Odpręż się.

W jakiś sposób jej się to udało. Wtedy powoli wsunął się do środka. Nacisk był raczej dziwny niż silny – i nawet kiedy poczuła lekkie ukłucie bólu, była zbyt pochłonięta pragnieniem trzymania go blisko przy sobie, coraz bliżej, jeszcze bliżej...

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Przytaknęła.

Na pewno?

Znowu przytaknęła.

– Dzięki Bogu – jęknął i poruszył się do przodu, wchodząc w nią jeszcze głębiej.

Ale zauważyła, że się nagle wycofał.

Zaciskał tylko zęby i twardo się hamował: kiedy na niego spojrzała, mogłaby przysiąc, że czuł ból. Ale równocześnie szeptał jej imię, jakby była jakąś boginią, a to, co z nią robił swoim członkiem i palcami, ustami i słowami – było jak spalający ją ogień.

– George – jęknęła, kiedy ucisk wewnątrz niej stał się tak wielki, że dosłownie wywracał ją na nice. – Proszę...

Jego ruchy stały się teraz bardziej gwałtowne; cofnęła się, pragnąc jak najmocniej się do niego zbliżyć.

– Billie – szepnął – co ty ze mną robisz...

Wtedy, kiedy już była pewna, że więcej nie wytrzyma, stało się coś bardzo dziwnego. Zesztywniała, zadrzała, i w chwili, kiedy zrozumiała, że już dłużej nie może, rozsypała się na kawałki.

To było nie do opisanego. Cudowne.

Ruchy George'a stały się jeszcze szybsze, ukrył twarz w załomie jej szyi, tłumiąc jej krzyk swoim ciałem – i wreszcie, po raz ostatni, przesunął się w niej do przodu...



– Wróciłem do domu – szepnął z ustami na jej ciele, a ona  
pojęła, że to prawda.

– I ja... ja też wróciłam do domu.

Kiedy następnego ranka George zszedł do jadalni na śniadanie, Billie leżała jeszcze w łóżku.

Trudno uznać, myślała z pewnym zadowoleniem, że poprzedni wieczór był wypoczynkowy.

Kochali się jeszcze trzy razy, a George nie mógł opanować myśli o tym, czy jego nasienie dotarło do ukrytych wewnątrz jej ciała korzeni. Dziwne, ale nigdy przedtem nie poświęcał większej uwagi ewentualnym dzieciom. Oczywiście, wiedział, że będzie musiał je mieć. Pewnego dnia odziedziczy Manston i Crake, a zapewnienie hrabstwu dziedzica uważał za swój święty obowiązek.

Ale, nawet biorąc to wszystko pod uwagę, nigdy nie wyobrażał sobie własnych dzieci. Nawet kiedy trzymał na rękach czyjeś dziecko, nie widział siebie w roli ojca, uczącego syna czytać i pisać czy nawet jeździć konno i polować.

A może uczyć córkę jeździć konno i polować... Przy takiej matce jak Billie córki będą się z pewnością domagały, żeby tak samo jak w wypadku synów rozwijać ich umiejętności. I chociaż całe swoje dzieciństwo spędził na złościeniu się na Billie, która się upierała, żeby dorównać chłopcom, teraz, kiedy myślał o ich córkach...

Jeżeli będą chciały polować, łowić ryby czy strzelać z pistoletu jak strzelec wyborowy...

Będą za każdym razem trafiały w środek tarczy!

Co prawda, kiedy miał sześć lat, ani myślał o skakaniu konno przez krzaki. Nawet Billie nie zgodziłaby się teraz na coś tak jawnie absurdalnego.

Billie z pewnością będzie najlepszą matką, myślał, idąc korytarzem do małej jadalni. Dzieci nie będą jej widywały tylko raz dziennie, prowadzone za rączkę na inspekcję! Będzie je kochała tak, jak ją kochała jej własna matka, będzie się z nimi śmiała i drażniła je, uczyła i robiła miny... słowem, będą

szczęśliwe.

Wszyscy oni będą szczęśliwi.

George szeroko się uśmiechnął. On już się czuł szczęśliwy. A w przyszłości miało być tylko lepiej.

Kiedy wszedł do jadalni, matka siedziała już przy śniadaniu. Smarując grzanekę, jednym okiem zerknęła na gazetę.

– Dzień dobry, George.

Pochylił się i ucałował nadstawiony policzek.

– Mamo!

Spojrzała na niego znad filiżanki: jedna z jej wytwornych brwi wygięła się w doskonały łuk.

– Wydajesz się być dzisiaj w wyjątkowym humorze.

Spojrzał na nią pytająco.

– Kiedy wchodziłeś do jadalni, uśmiechałeś się – wyjaśniła.

– Och... – Wzruszył ramionami, starając się powstrzymać radość, pulsującą w nim tak mocno, że czuł się, jakby zeskoczył z gwiazd. – Boję się, że nie potrafię tego wytłumaczyć.

To była prawda. W każdym razie na pewno nie mógł tego wytłumaczyć matce.

Chwilę milczała, tylko spoglądała na niego w zamyśleniu.

– Nie przypuszczam, żeby to mogło mieć coś wspólnego z twoim tajemniczym zniknięciem zeszłej nocy z balu.

George przerwał na chwilę nakładanie sobie jajecznicy na talerz. Zapomniał na śmierć, że jego matka będzie się oczywiście dopominała o wytłumaczenie jego zniknięcia. Przecież tak go prosiła, żeby był obecny na balu w Wintour House!

– Tak mi zależało, żebyś był w Wintour House na balu! – powiedziała ostrym tonem.

– Proszę cię o wybaczenie, mamo – zaczął. Był w zbyt dobrym nastroju, żeby go sobie psuć sprzeczką. – To się już nigdy nie zdarzy.

– To nie mnie powinieneś prosić o wybaczenie.

– Niemniej – przyznał – z wielką przyjemnością to zrobiłem.

– No cóż – odparła, nieco zaskoczona jego niespodziewaną skruchą – to już będzie zależało od Billie. Nalegam, żebyś ją

przeprosił.

– Już to zrobiłem – odpowiedział bezmyślnie.

Zdumiała się.

– Kiedy?

Cholera.

Odetchnął, po czym znów zaczął sobie szykować śniadanie.

– Widziałem się z nią zeszłej nocy.

– Zeszłej nocy?

Wzruszył ramionami, udając, że go to nie interesuje.

– Kiedy wróciłem, jeszcze nie spała.

– O której mianowicie, jeśli można wiedzieć?

– Nie przypominam sobie dokładnie – zastanowił się George, po czym rzekł, ujmując kilka godzin: – O północy?

– Do pierwszej nie było nas w domu.

– Więc... to musiało być później – odparł spokojnie. To zadziwiające, jak dobry humor zwiększa cierpliwość. – Nie zwróciłem na to uwagi.

– A dlaczego Billie jeszcze nie spała?

Wrzucił cztery plastry bekonu na talerz i usiadł.

– Nie mam pojęcia.

Lady Manston wydeła gniewnie usta.

– Nie podoba mi się to, George. Powinna więcej dbać o swoją reputację.

– Jestem pewien, że jej nic nie grozi, mamó.

– W każdym razie – ciągnęła – ty powinieneś o tym lepiej wiedzieć.

Pora, by działać ostrożnie.

– Przepraszam...?

– Kiedy tylko ją zobaczyłeś, powinieneś być pójść do swojego pokoju!

– Pomyślałem, że to mój obowiązek, żeby ją wtedy przeprosić.

– Hmm... – Matka wyjątkowo nie znalazła na to gotowej odpowiedzi. – A jednak...

George się uśmiechnął i zabrał ochoczo do krajania mięsa. Po

paru chwilach usłyszał kroki, ale chyba zbyt ciężkie jak na Billie...

Istotnie, kiedy po chwili ta osoba stanęła w drzwiach, okazało się, że to kamerdyner.

– Przyszedł lord Arbuthnot i chce się widzieć z waszą lordowską mością, lordzie Kennard.

– Teraz rano, o tej porze? – zdumiała się lady Manston.

George odłożył serwetę i wściekle zacisnął szczęki. Przewidywał, że będzie musiał rozmawiać z Arbuthnotem o wydarzeniach zeszłej nocy, ale teraz?

O działaniach lorda Arbuthnot George wiedział tylko tyle, że były nieodłącznie związane z tajemnicami i niebezpieczeństwem. Było nie do pomyślenia, żeby wnosił swoje interesy do Manston House – i George był zdecydowany mu o tym powiedzieć.

– To przyjaciel ojca – powiedział, podnosząc się. – Zobaczę, czego chce.

– Mam pójść z tobą?

– Nie, nie. To z pewnością niekonieczne.

Kiedy George szedł do salonu, jego dobry nastrój z każdym krokiem robił się coraz czarniejszy. Pojawienie się Arbuthnota o tak wczesnej porze mogło oznaczać tylko jedną z dwóch rzeczy. Pierwsza, to że po jego wydostaniu się spod Łabędzia musiało się coś wydarzyć i teraz był w niebezpieczeństwie. Albo, co gorsza, jest za coś odpowiedzialny.

Najbardziej prawdopodobną przyczyną, pomyślał George ponuro, było, że Arbuthnot czegoś od niego chce. Może dostarczenia komuś kolejnej wiadomości?

– Kennard! – jowialnie zawołał stary lord. – Doskonale się wczoraj spisałeś!

– Dlaczego pan tu przyszedł? – spytał George z pretensją w głosie.

Nietakt młodzieńca sprawił, że Arbuthnot aż zamrugał powiekami.

– Musiałem z tobą porozmawiać. Czy nie dlatego jeden dzentelmen odwiedza drugiego?

– To jest mój dom – wysyczał George.

– Czyżbym nie był tu mile widziany?  
– Nie, jeżeli chce pan mówić o wydarzeniach zeszłej nocy.  
Na to nie czas ani miejsce.  
– Ach... Więc dobrze, nic nie powiem. Żadnych rozmów.  
Wszystko się wspaniale udało.  
George by tego tak nie opisał. Skrzyżował ręce na piersi i wbił wzrok w Arbuthnota, czekając, aż ten wyjawí swoje zamiary.  
Generał odchrząknął.  
– Przeszedłem ci podziękować – wyjaśnił. – I poprosić o pomoc w innej kwestii.  
– Mowy nie ma – zaprotestował George. Nie chciał nawet słyszeć o niczym więcej.  
Arbuthnot zachichotał.  
– Nawet nie wiesz...  
– Nie – powtórzył George; złość sprawiła, że mówił ostrym głosem, tnącym jak szkło. – Czy pan ma w ogóle pojęcie, co mi się wydarzyło zeszłej nocy?  
– Chyba wiem...  
– Pan... wie?  
Tego się nie spodziewał. Czego u diabła dowiedział się Arbuthnot na temat tej farsy pod Łabędziem bez Szyi?  
– To była próba, mój chłopcze! – Tu Arbuthnot poklepał George’a po ramieniu. – I przeszedłeś ją śpiewająco.  
– Próba... – powtórzył George. Gdyby Arbuthnot lepiej go znał, wiedziałby, że kompletny brak modulacji w głosie George’a nie jest dobrym znakiem.  
Ale Arbuthnot nie znał go dobrze i dlatego mówił dalej, chichocząc:  
– Chyba nie myślisz, że zaufamy każdemu, kto przychodzi z drażliwą informacją.  
– Myślę, że mnie pan wierzy... – rzekł George przeciągle.  
– Nie – odparł Arbuthnot z namaszczaniem. – Nawet tobie. A poza tym... – dodał, odzyskując animusz – „kipi kasza, kipi groch”? Odrobinę uznania, proszę! Mamy lepsze pomysły niż to!  
George zacisnął wargi, jakby szykując się do działania.

Korciło go, by rąbnąć starego w ucho, ale dobry byłby też dobrze wycelowany cios w szczękę.

– Ale to już przeszłość – zdecydował Arbuthnot. – Teraz chcemy, żebyś doręczył pewną paczkę...

– Myślę, że już pora, żeby pan wyszedł – zdecydowanie odezwał się George.

Arbuthnot aż się cofnął, zaskoczony.

– To bardzo ważne.

– Tak samo, jak ważna była kasza i groch – przypomniał mu George.

– Tak, tak – odparł pojednawczo generał – masz prawo czuć się wykorzystany, ale teraz, kiedy już wiemy, że możemy ci ufać, potrzebujemy twojej pomocy.

George znów skrzyżował ramiona.

– Zrób to dla brata, Kennard.

– Niech pan się nie waży wplątywać go w to wszystko – syknął George.

– Trochę za późno na ten wyniosły ton – rzucił w odpowiedzi Arbuthnot, który od razu przestał być przyjacielski. – Nie zapominaj, że to ty pierwszy do mnie przyszedłeś.

– A pan mógł mi odmówić pomocy.

– A jak myślisz, co robimy, żeby pokonać wroga? – groźnie odparł stary. – Uważasz, że to tylko lśniące mundury i marsze w zbrojnym szyku? Prawdziwą wojnę wygrywa się poza sceną, ale skoro jesteś aż takim tchórzem...

George błyskawicznie przygwoździł go do ściany.

– Uważaj – parsknął – nie popełnij błędu, myśląc, że możesz mnie poniżyć i robić ze mnie chłopca na posyłki! – Zaciśnął rękę na ramieniu starego, a potem gwałtownie go puścił.

– Myślałem, że chcesz coś zrobić dla ojczyzny – mruknął Arbuthnot, obciążając na sobie surdut.

George omal sobie nie przygryzł języka, hamując wybuch wściekłości. Chciał powiedzieć, jak ostatnie trzy lata pragnął być razem z braćmi, służyć krajowi mieczem i strzelbą, gotów oddać życie w obronie dobra Anglii...

Omiał nie powiedział, że przez to się czuł bezużyteczny i wstydził się, uznawał siebie za bardziej wartościowego od braci tylko z uwagi na starszeństwo.

Ale nagle pomyślał o Billie, o Crake i Aubrey Hall i o tych wszystkich ludziach, których losy zależą od nich obojga. Pomyślał o żniwach, o miasteczku, o swojej siostrze, która wkrótce da światu pierwsze dziecko z nowego pokolenia.

Przypomniął też sobie, co mówiła Billie zaledwie dwa dni temu.

Spojrzał lordowi Arbuthnot w oczy i powiedział:

– Skoro moi bracia ryzykują życiem dla króla i ojczyzny, to ja, na Boga, mam zamiar sprawić, żeby to był dobry król i dobra ojczyzna. Ale do tego nie jest potrzebne noszenie wiadomości nie wiadomo o jakim znaczeniu, przy tym ludziom, którym nie ufam!

– Więc mi nie ufasz? – ponuro stwierdził Arbuthnot.

– Wściekły jestem, że przyszedł pan do mojego domu.

– Jestem przyjacielem twojego ojca, lordzie Kennard. Moja obecność tutaj chyba nie wzbudza podejrzeń. Ale nie o to pytałem. Nie ufasz mi?

– Wie pan co, lordzie Arbuthnot? Nie uważam, żeby to miało jakieś znaczenie.

Istotnie nie miało. George nie wątpił, że Arbuthnot walczył, i nadal walczy, na swój sposób za kraj. George'a zdenerwowało to, że został poddany przez Ministerstwo Wojny czemuś w rodzaju inicjacji, ale wiedział, że skoro Arbuthnot prosi go o coś, to jego prośba jest prawnie uzasadniona.

Ale wiedział też – teraz nareszcie wiedział – że nie jest właściwym człowiekiem do takiej pracy. Może mógłby być dobrym żołnierzem, ale na pewno będzie lepszym zarządcą majątku. A z Billie przy boku – będzie z pewnością najlepszy!

Miał zamiar jak najprędzej się ożenić. Bardzo prędko, jeżeli o to chodzi. Nie miał żadnego interesu w krążeniu po świecie jako coś w rodzaju szpiega i ryzykowaniu własnym życiem, nie wiedząc właściwie dlaczego.

– Będę służył ojczyźnie na swój własny sposób – oświadczył



Arbuthnotowi.

Stary generał westchnął i wydał wargi z rezygnacją.

– Jak sobie chcesz. Dziękuję za pomoc zeszłej nocy. Zdaję sobie sprawę, że popsulem ci wieczór.

George już myślał, że się go ostatecznie pozbył, ale wtedy Arbuthnot rzekł:

– Mam jeszcze jedną prośbę, lordzie Kennard.

– Nie... – zaczął George.

– Wysłuchaj mnie! – przerwał Arbuthnot. – Nie prosiłbym cię o nic, przysięgam, gdyby sytuacja nie była aż tak krytyczna. Mam paczkę, którą trzeba dostarczyć na przystanek poczty, do zajazdu w Kent. Na wybrzeżu. Wydaje mi się, że to bardzo blisko twojego domu.

– Dosyć... – zaczął znów George.

– Nie, proszę, pozwól mi skończyć! Jeżeli to załatwisz, przyrzekam, że już więcej nie będę ci zawracał głowy. Będę szczerzy: wiąże się z tym pewne niebezpieczeństwo. Są ludzie, którzy wiedzą, że to ma być tam dostarczone i będą chcieli temu przeszkodzić. A są to rzeczywiście niezmiernie ważne dokumenty.

– Tu Arbuthnot wytoczył najcięższe działo. – Mogą nawet uratować twojego brata!

Dobry jest ten Arbuthnot, uznał w duchu George. Ani przez chwilę nie wierzył, że ta skierowana do Kent paczka ma cokolwiek wspólnego z Edwardem, a jednak o mało nie wyraził zgody w chwili, kiedy generał skończył.

– Nie jestem pańskim człowiekiem – powiedział spokojnie.

I to powinien być koniec.

To byłby koniec, ale w tej chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich Billie z oczyma jaśniejącymi energią.

Billie nie miała zamiaru podsłuchiwać. Szła akurat korytarzem na śniadanie, z włosami być może trochę niedbale upiętymi, ale tak bardzo pragnęła zobaczyć znowu George'a! I nagle usłyszała jego głos w salonie... Pomyślała, że może rozmawia z matką – bo któż inny mógłby być w Manston House tak wcześnie rano? – ale po chwili odezwał się głos innego

dżentelmena, mówiący coś o wczorajszej nocy.

Tej nocy, o której George jej mówił, że nie może opowiedzieć...

Nie powinna była tego słuchać, ale – mówiąc szczerze – która kobieta zrezygnowałaby z takiej okazji?

A potem ten pan prosił George'a o dostarczenie jakiejś paczki, i powiedział, że to mogłoby pomóc Edwardowi!

Nie była w stanie się pohamować. Jedyne, o czym myślała, to był Edward. Jej ulubiony przyjaciel z dzieciństwa. Skoro była gotowa spaść z drzewa, ratując niewdzięcznego kota, z pewnością mogłaby też zawieźć jakąś paczkę do zajazdu na wybrzeżu. Co w tym trudnego? A nawet jeżeli, jeśli to coś wymagało dyskrecji, to ona z pewnością będzie najlepszym kamuflażem. Kto by sądził, że paczkę dostarczy kobieta?

Nie myślała. Nie musiała myśleć. Po prostu wpadła do salonu i oznajmiła:

– Ja to zrobię!

George nie myślał. Nie musiał myśleć.

– Mowy nie ma! – warknął.

Billie na moment zastygła: najwyraźniej nie spodziewała się takiej reakcji. Podbiegła do niego.

– George – powiedziała błagalnie – mówimy przecież o Edwardzie! Musimy zrobić wszystko...

Złapał ją za ramię i odciągnął na bok.

– Nie wiesz o wszystkim – syknął.

– Nie muszę wiedzieć.

– Jasne, że nie musisz – mruknął.

Zmrużyła gniewnie oczy.

– Mogę to załatwić – nalegała.

Dobry Boże! Ona mnie wykończy...

– Z pewnością możesz, ale tego nie zrobisz.

– Ale...

– Zabraniam.

Cofnęła się.

– Ty mi zabraniasz?

W tym momencie włączył się Arbuthnot.

– Chyba nie przedstawiłem się pani wczoraj wieczorem – rzekł z miłym uśmiechem starszego pana. – Jestem lord Arbuthnot.

– Wynoś się z mojego domu! – ryknął George.

– George! – wykrzyknęła, przerażona jego gburowatością.

Arbuthnot zwrócił się do niego z zamyślonym wyrazem twarzy.

– Ta dama wydaje się bardzo pomysłowa. Myślę, że moglibyśmy...

– Wynocha!

– George...?

Tym razem w drzwiach pojawiła się jego matka.

– Co to za wrzaski? Och, przepraszam, lordzie Arbuthnot! Nie wiedziałam, że pan tu jest.

– Lady Manston... – ukłonił się elegancko. – Proszę mi wybaczyć tak wczesną wizytę. Miałem sprawę do pani syna.

– Pan właśnie wychodzi – rzucił George, zaciskając mocniej rękę na ramieniu Billie, która zaczęła się wyrywać.

– Pozwól mi – szepnęła. – Mogę być naprawdę pomocna.

– Albo i nie.

– Przestań! – syknęła i tym razem szarpnęła się ze złością. – Nie masz prawa mi rozkazywać.

– Zapewniam cię, że mam – odparł z płonącymi oczyma.

Na miłość boską, miał zostać jej mężem! Czy to się nie liczy?

– Ale ja... ja chcę pomóc – powiedziała ciszej, odwracając się plecami do reszty.

– I ja, ale nie w taki sposób.

– Ale to może być jedyny sposób!

Przez chwilę nie był w stanie nic zrobić; zamknął tylko oczy. Więc taka miała być reszta jego życia jako męża Billie Bridgerton? Czy jego przeznaczeniem miało być życie w strachu, w jakie niebezpieczeństwo się wpakuje?

Czy to warto?

– George...? – szepnęła niepewnie. Czy dostrzegła coś w

wyrazie jego twarzy? Oznakę zwątpienia?

Dotknął jej policzka i spojrzał w oczy. I ujrzał tam... cały swój świat.

– Kocham cię – szepnął.

Ktoś cicho krzyknął. Pewnie jego matka.

– Nie mogę żyć bez ciebie – ciągnął – i naprawdę odmawiam załatwienia tej sprawy. A więc nie! Nie będziesz jeździła na wybrzeże z jakąś misją bez sensu, nie będziesz przekazywała jakiejś podobno niebezpiecznej paczki ludziom, których nie znasz! Bo gdyby ci się coś stało... – Głos mu się załamał, ale nie zwrócił na to uwagi. – Gdyby ci się coś stało, to by mnie zabiło. A chyba mnie za bardzo kochasz, żeby na to pozwolić, prawda?

Billie stała, wpatrzona w niego, a jej delikatne usta drżały, kiedy starała się powstrzymać łzy.

– Kochasz mnie? – szepnęła.

Omal nie przewrócił oczami.

– Oczywiście, że cię kocham.

– Nigdy tego nie powiedziałaś...

– Musiałem to zrobić!

– Nieprawda. Pamiętałabym.

– I ja bym pamiętał – powiedział miękko – gdybyś mi to kiedykolwiek powiedziała.

– Kocham cię – rzekła natychmiast. – Naprawdę. Kocham cię tak bardzo! Ja...

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęła lady Manston.

Obydwoje się odwrócili. George nie wiedział, jak Billie, ale on kompletnie zapomniał, że mają publiczność...

– Czy wiesz, jak ciężko na to pracowałam? Słowo daję, myślałam, że będę cię musiała złoić kijem!

– Zaplanowałaś to? – spytał George z niedowierzaniem.

Zwróciła się do Billie.

– Sybillo, powiedz prawdę! Czy kiedykolwiek nazwałam cię Sybillą?

Zerknął z ukosa na Billie, która ze zdumienia mrugała powiekami.

– Czekałam bardzo długo, żeby cię nazwać córką – mówiła dalej lady Manston, zatykając Billie za ucho lok, który się wymknął z upięcia.

Billie zmarszczyła brwi i pokręciła głową, jakby próbowała to wszystko zrozumieć.

– Ale... zawsze myślałam... że pani chce dla mnie Edwarda. Albo Andrew.

Lady Manston potrząsnęła głową z uśmiechem.

– Zawsze myślałam o George’u, kochanie. W każdym razie w duchu. – Spojrzała na syna już bardziej zdecydowanie. – Mam nadzieję, że już ją poprosiłeś o rękę?

– Mógłbym jej zażądać – zauważył.

– To nawet lepiej.

Nagle George wyprostował się i rozejrzał.

– A co się stało z lordem Arbuthnot?

– Wycofał się, kiedy wy dwoje zaczęliście sobie wyznawać miłość – odparła matka.

Doskonale, pomyślał George. Możliwe, że stary jest bardziej dyskretny, niż przypuszczał.

– A w ogóle dlaczego tu przyszedł? – chciała wiedzieć lady Manston.

– To nieważne – odparł George, po czym spojrzał na narzeczoną.

– Nieważne – zgodziła się.

– To świetnie – oświadczyła lady Manston z radosnym uśmiechem – Nie mogę się doczekać, żeby to wszystkim opowiedzieć. W przyszłym tygodniu jest bal u Billingtonów, i...

– A... czy nie moglibyśmy po prostu pojechać do domu? – przerwała Billie.

– Ależ ty zeszłej nocy tak się doskonale bawiłaś – odparła lady Manston, zerkając na George’a. – Nie opuściła ani jednego tańca. Wszyscy ją podziwiali.

Uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Wcale się nie dziwię.

Matka znów zwróciła się do Billie.

– Moglibyśmy ogłosić wasz ślub na balu u Billingtonów. To będzie prawdziwy triumf!

Ale Billie tylko ścisnęła rękę George'a.

– Już jest.

– Jesteś pewna? – spytał. Zawsze tak się bała swojego debiutu w Londynie. I on nie marzył o niczym innym, tylko o powrocie do Kent, ale Billie zasłużyła przecież na to, by się upajać swoim sukcesem...

– Jestem – odparła. – To było odurzające. I cudownie jest wiedzieć, że kiedy muszę bywać na takich imprezach, umiem to robić i dobrze się bawię. Ale... to nie jest to, co naprawdę kocham. Wolałabym już być w domu.

– W bryczesach? – zażartował.

– Tylko kiedy jadę w pole. – Spojrzała na lady Manston. – Przyszła hrabina musi się chyba jakoś zachowywać.

Lady Manston zachichotała.

– Będiesz wspaniałą hrabiną, chociaż może niezbyt prędko... mam nadzieję.

– O nie! Za wiele, wiele lat! – zawołała Billie z żarem.

– A ty – lady Manston spojrzała na syna zażawionymi oczami – mój synu... Wydajesz się szczęśliwszy niż kiedykolwiek, w każdym razie już od dawna.

– Jestem szczęśliwy – potwierdził. – Pragnę tylko...

– Możesz wymienić jego imię – cicho zezwoliła matka.

– Wiem. – Pochylił się i ucałował jej policzek. – Edward będzie musiał się odznaleźć, inaczej opuści ślub, bo ja nie mam zamiaru czekać, aż on wróci do domu.

– Nie, chyba nie powinieneś czekać... – stwierdziła lady Manston takim tonem, że Billie gwałtownie się zaczerwieniła.

– Ale znajdziemy go, na pewno – rzekł George. Nadal trzymał rękę Billie, a teraz podniósł ją do ust i pocałował, szepcząc jej w dłoń: – Przysięgam.

– Wobec tego myślę, że powinniśmy wracać do Kent – stwierdziła matka. – Moglibyśmy wyjechać nawet dzisiaj, jeżeli koniecznie chcecie.

– Och, to byłoby cudownie! – zawołała Billie. – Jak myślicie, mama będzie zaskoczona?

– Ani odrobinę.

– Co takiego? – Billie otworzyła usta ze zdumienia. – Przecież go nie cierpiałam!

– To nieprawda – zaprzeczył.

Spojrzała zezem.

– Okropnie mnie irytowałeś.

– A ty mnie uwierałaś jak kamyk w bucie.

– A ty...

– Co to, konkurs? – z niedowierzaniem spytała lady Manston. George spojrzał na Billie, a kiedy się uśmiechnęła, poczuł wielką radość.

– Nie – odpowiedział miękko i wziął narzeczoną w ramiona. – Jesteśmy już drużyną.

Billie patrzyła na niego z miłością, która jej niemal odbierała dech.

– Mamo – powiedział, nie odrywając oczu od narzeczonej – czy mogłabyś teraz wyjść z pokoju?

– Przepraszam...?

– Bo chcę ją pocałować.

Matka aż krzyknęła.

– Nie możesz tego zrobić!

– Ależ jestem pewien, że mogę.

– George, jeszcze nie jesteś jej mężem!

Spoglądał na wargi Billie okiem znawcy.

– Jeszcze jeden powód, żeby wszystko przyspieszyć – mruknął.

– Billie – zarządziła matka, zwracając się do tej, którą z pewnością uważała za słabsze ogniwo. – Idziemy!

Ale Billie tylko potrząsnęła głową.

– Przepraszam, ale będzie tak, jak on mówi. Jesteśmy drużyną.

A ponieważ to była Billie Bridgerton, której nigdy nie przeszkadzało, że czymś kieruje, zanurzyła palce w jego włosach i

przysunęła usta do jego ust.

A ponieważ to był George Rokesby i miał zamiar ją kochać do końca swoich dni – oddał jej pocałunek.



## *Przypisy*

<sup>[1]</sup> *Joie de vivre* (fr.) – radość życia.

<sup>[2]</sup> Chwalebna Rewolucja (Glorious Revolution) – przeprowadzona w 1688 roku przez angielski parlament zmiana panującego: usunięto wówczas z tronu Jakuba II Stuarta i wprowadzono Wilhelma III Orańskiego. Rewolucja była bezkrwawa.

<sup>[3]</sup> *Terra firma* (łac.) – twardy grunt.

<sup>[4]</sup> Midszypmen – najniższy stopień oficerski w brytyjskiej marynarce, odp. podchorążego.

<sup>[5]</sup> Magna Carta (łac.) – Wielka Karta Swobód, akt wydany w Anglii w 1215 roku przez króla Jana bez Ziemi, do dziś uznawany za fundament porządku publicznego i gwarancję swobód obywatelskich.

<sup>[6]</sup> *Modus operandi* (łac.) – sposób postępowania.

<sup>[7]</sup> *C'est la vie* (fr.) – takie jest życie.

<sup>[8]</sup> Lojaliści i Patrioci: W okresie wojny z Wielką Brytanią o niepodległość Stanów Zjednoczonych (1775–1783) mniej więcej jedna piąta miejscowych stała po stronie Wielkiej Brytanii. Byli to przeważnie obywatele pochodzenia angielskiego.

<sup>[9]</sup> Żołnierze brytyjscy podczas wojny ze Stanami Zjednoczonymi nosili czerwone kurtki.

<sup>[10]</sup> *Meilleur* (fr.) – lepiej.

